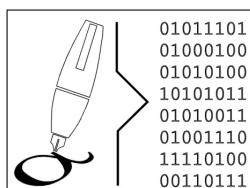


Timothy Zahn

Koń Wojny

Tłumaczenie: Joanna Gilewicz i Roman Kubiki



ROZDZIAŁ 1

Przed dwiema godzinami okręt wojenny Sił Gwiezdných CSS *Driada* przestał się obracać wokół własnej osi i po raz pierwszy od piętnastu dni powrócił do grawitacji zero. Godzinę później dokonano ostatniej zmiany kursu, ustawiającej statek możliwie najbliżej planety Arachne — celu wyprawy. Teraz, gdy zostało zaledwie pięć minut, środek ekranu przecięła jaskrawa czerwona linia. Powoli zaczęła przesuwać się ku krawędzi.

Byli prawie na miejscu, prawie na Arachne. Gdzie czekali na nich Tamplesi.

Kapitan Haml Roman wpatrywał się w linię. Jeszcze miał absurdalną nadzieję, że w ostatniej chwili tę misję jednak powierzą komukolwiek innemu. Wynik misji był równie trudny do przewidzenia jak zamiary Tamplesów, a on nie wierzył w gołosłowne zapewnienia i nie interesowały go zgadywanki. Świadomość, że właśnie wchodzi do gry, przyprawiła go o skurcz żołądka. Ale przy tego rodzaju sprawach Senat i Admiralicja nikogo nie pytały o zdanie.

Pięć minut. Sięgnął do interkomu i połączył się z kabiną pasażerską. W tej samej chwili po prawej stronie otworzyły się drzwi i ambasador Pankau majestatycznie wpływają na pomost.

— Kapitanie... — skłonił się, i straciwszy równowagę sunął bezwładnie w kierunku Romana. — Mamy już ETA?

— Właśnie zamierzałem telefonować, panie ambasadorze. — Roman oddał ukłon.

Patrzył z chłodnym podziwem jak Pankau, unosząc się w powietrzu niczym dziecinny balonik, jednak zachowuje właściwe mu dostojenie.

— Za niespełna pięć minut start.

Aby zatrzymać się, Pankau chwycił za oparcie kapitańskiego fotela i mocno wsunął stopy w jeden z uchwyty pokładowych.

— Jak daleko jesteśmy od Arachne? — zapytał.

— Kilka godzin. Może mniej. Zależy, na ile zbliżymy się do niej przed wyjściem z nadprzestrzeni.

Pankau odchrząknął lekko. Tak, z pewnością miał dość doświadczenia, by wiedzieć, że te sprawy wymykają się spod kontroli kapitana. Mitsuushi, poruszająca się z pręd-

kością trzydziestu godzin na jeden rok świetlny, pokonuje jednostkę astronomiczną w jedną i siedem dziesiątych sekundy. Potrzeba dużo szczęścia, aby wyjść z nadprze-strzeni w odległości nie większej niż pół miliona kilometrów od planowanego celu. Skinął głową.

— Tym razem dacie z siebie wszystko — oznajmił chłodno.

Ze stanowiska nawigatora komandor porucznik Trent rzucił mu wściekłe spojrzenie. Pankau tego nie zauważył.

— Rozumiem, panie ambasadorze. — Roman starał się zachować obojętną uprzejmość.

Pankau znów skinął głową. Teraz w zgodnym milczeniu obserwowali przesuwającą się nieustannie linię. Była już prawie na skraju ekranu, gdy raptownie przygasły światła i połowa górnego pokładu rozjarzyła się ostrą czerwienią.

Driada przybyła na Arachne.

— Porucznik Nussmayer? — Roman włączył główny monitor.

Ekran rozbłysnął tysiącem gwiazd. Po lewej stronie płonęła czerwonopomarańczowa kula słońca Arachne.

— Jesteśmy na wprost celu — zameldował Nussmayer. — Wyszliśmy ponad siedemdziesiąt tysięcy kilometrów od Arachne, powoli opadamy. Ciężenie słońca pomoże nam osiągnąć cel.

— Bardzo dobrze, poruczniku. Ustalić minimalny czas kursu przy... — Spojrzał na Pankaua. — Trzymać poniżej półtora G.

— Tak jest! Przypuszczalnie mamy więc dziewięćdziesiąt minut do orbity.

— Bardzo dobrze. Wykonać!

Rozległ się sygnał alarmu, *Driada* zwiększała szybkość. Pomost obracał się wolno do pozycji poprzedniego przyspieszenia liniowego. Roman wsłuchiwał się w trzaski i zgrzyty, ich natężenie rosło. Gorąco modlił się, by statek wytrzymał przynajmniej do chwili, kiedy znowu będą mogli wykonać zwrot w lewo. Manewrowanie z niewspółosiowego pomostu nawet tak niewielkim okrętem wojennym jak *Driada* jest piekielnie ryzykowne.

— Czy chce pan wysłać jakieś wiadomości, zanim wejdziemy na orbitę? — zapytał spoglądając na Pankaua.

Ten zerknął na główny ekran, na którym właśnie pojawił się mały półksiężyc, wskazujący centrum tarczy Arachne.

— Zobaczymy. To zależy od tego, czy delegacja Tamplesów ciągle tam jest, czy wróciła do domu — odpowiedział. — Może pan trochę powiększyć obraz?

Roman wrócił do swego pulpitu. Oczekiwanie napełniało go dziwnym niepokojem. Przełączył ekran na pełne zbliżenie. Jeśli statek Tamplesów rzeczywiście nadal jest w pogotowiu... Mały półksiężyc powiększał się, obraz wypełniał ekran, zatrzymywał

się i znowu rósł, aż wreszcie stał się nakrapianym prostym paskiem krawędzi planety. Kamera rozpoczęła powolne przeszukiwanie.

Byli tam!

Ciemne sylwetki na oświetlonym wycinku: mały podłużny walec ciągnięty przez podobny, lecz dużo większy. Statek Tamplesów, a przed nim... kosmiczny koń. Na ekranie pojawiła się skała, po kilku drgnięciach znieruchomiła. Na pokładzie ktoś cicho zagwizdał.

— Dziewięćset dwadzieścia metrów długości — odczytał Pankau, a w jego profesjonalnie chłodnym głosie zabrzmiała lekka nuta przestachu. — Nigdy nie widziałem tak dużego konia.

— Przeważnie mają około ośmiuset — zgodził się Roman.

Mimo zdenerwowania, w swoim głosie usłyszał ton chłopięcego podniecenia. Pankau na pewno też to dostrzegł, Roman poczuł, że ambasador odwróciwszy wzrok od ekranu patrzy na niego.

— To pański pierwszy koń, kapitanie?

Roman miał szczęście, przy zerowej grawitacji trudno się zarumienić.

— Pierwszy, którego oglądam z tak bliska — przyznał. — W ogóle, oczywiście, widywałem je.

Pankau chrząknął.

— Dowódcy statku z pogranicza raczej trudno byłoby tego uniknąć. — Raz jeszcze spojrział na ekran i zacisnął wargi. — Myślę, że powinienem ich uprzedzić i nawiązać kontakt. Przynajmniej dajmy im znać, że tu jesteśmy.

Roman sięgnął po przełącznik lasera, lecz w tej samej chwili uświadomił sobie pomyłkę i włączył radio. Tamplesi nie znali lasera, a możliwość korzystania z technologii Cordonale zupełnie ich nie interesowała.

— Wszystko przygotowane, ambasadorze — zameldował.

Pankau odkaslnął i powiedział:

— Tu ambasador Pankau z pokładu *CSS Driada*. Z kim mam przyjemność?

Tamplesi musieli wcześniej zauważyć *Driadę*, odpowiedź przyszła natychmiast:

— Słyszę — odezwał się obcy głos, a raczej skowyt, trudny do zniesienia i drażniący uszy.

Roman mocno zaciskał zęby, starając się pamiętać, że przecież Tamplesi nie robią tego celowo.

— Tu Ccist-paa, w imieniu Tampliss-ta — kontynuował głos. — Pozdrawiam cię!

— Pozdrawiam cię również — powiedział Pankau.

Jego ton i zachowanie w najmniejszym stopniu nie zdradzały irytacji. Ale Pankau był przecież przyzwyczajony do skowytu Tamplesów.

— Przybywam z otwartymi rękami i dobrą wolą. Chcę wam przekazać pragnienie

Wysokiego Senatu, aby różnice naszych interesów zostały jak najszybciej zlikwidowane. — na ułamek sekundy zawahał się. — Chciałbym się dowiedzieć, czy w ciągu ostatnich piętnastu dni sytuacja zmieniła się?

Teraz w głosie Pankaua pojawił się cień rozdrażnienia, które Roman doskonale rozumiał. Do nieprzyjemnych głosów i zachowań zawodowy dyplomata musi przywyknąć, brak informacji to jednak zupełnie coś innego. Oni tymczasem od piętnastu dni pozostawali odcięci od sieci nadajników Cordonale, które przekazują informacje z planet. Wszystko co *Driada* wiedziała o problemach na Arachne, pochodziło sprzed dwóch tygodni. Misja Tamplesów mogła natomiast utrzymywać kontakt ze swoją kolonią aż do chwili opuszczenia portu macierzystego, co zresztą prawdopodobnie nastąpiło dopiero przed kilkoma godzinami. W tym przypadku opóźnienie rzeczywiście okazało się bardzo istotne.

— Są zmiany — wykrztusił Ccist-paa jakby z westchnieniem. — Kilku ludzi z osady na Arachne zaatakowało Tampliss-ta na Tyari.

Roman skrzywił się. Ta wiadomość powtarzała się w ostatnich dniach coraz częściej, docierając do pół tuzina światów: ludzie są w konflikcie z Tamplesami. Konfrontacje przeradzają się w incydenty z użyciem siły. Oczywiście Tamplesi zawsze przegrywają.

— Przykro mi — rzekł Pankau. — Mniej więcej za dziewięćdziesiąt minut zrównamy się z wami. Będę zaszczycony, jeśli zechcesz, żebym zabrał cię na nasz pokład.

— Zaszczyc dla mnie — odpowiedział Ccist-paa. — Ale to niepotrzebne. Mogę skorzystać z własnego lądownika.

— Aha — mruknął Pankau. — W takim razie może byłbyś tak uprzejmy i zabrał mnie?

Po stronie Tamplesów zapanowała krótka cisza.

— Na pokładzie nie mamy niestety masek filtracyjnych — odezwał się w końcu Ccist-paa.

— Mam własną — Pankau zawahał się, spoglądając na Romana. — Wydaje mi się, że w świetle ostatnich wydarzeń byłoby dobrze przedyskutować sprawę najpierw prywatnie, a dopiero potem porozmawiać z osadnikami.

Znowu milczenie.

— Zapraszam cię do mojego lądownika — odpowiedział wreszcie Ccist-paa, w jego głosie Roman nie wyczuł najmniejszego śladu emocji. — Gdy się przybliżycie, mój lądownik połączy się z waszym statkiem.

— Dziękuję — powiedział Pankau. — Będę na ciebie czekał.

— Żegnaj! — odparł Ccist-paa.

Połączenie radiowe zostało przerwane.

Roman wyłączył radio *Driady*. Za jego plecami narastał warkot głównego silnika jądrowego, przechodząc w głuchy łomot. Zaczęło powracać ciążenie.

— Napęd pobudzony — potwierdził Nussmayer.

— Bardzo dobrze! — Roman skinął głową. — Gdy tylko zbliżymy się dostatecznie, zacznij obliczać wektor odcinka do statku Tamplesów.

Popatrzył na Pankaua. Jego twarz wydała mu się nagle starsza, choć może był to po prostu skutek powracającego ciężenia.

— Mam nadzieję, że jest pan przygotowany na wypadek konfliktu — dodał spokojnie.

— Czego innego można się spodziewać, gdy spotykają się ludzie i Tamplesi — Pankau skrzywił się z goryczą, wpatrzony w główny monitor.

Z głębokim namysłem spojrzął na Romana.

— Nie będzie pan miał nic przeciwko temu, żeby podprowadzić swój statek w pobliże kosmicznego konia? — zapytał wyzywająco.

Roman zmarszczył brwi:

— Nie. A powinienem?

Pankau jeszcze przez moment przyglądał mu się badawczo. Po chwili odpowiedział obojętnie:

— Na temat kosmicznych koni krąży dużo plotek. Fałszywe, wydumane historie, w ogóle jedna wielka paranoja. — Wyprostował się i wydobył stopy z uchwytu w pokładzie. — Będę na dole, w kabinie, przygotuję ekwipunek. Proszę mnie powiadomić, gdy dotrzemy do ich statku... — zawahał się. — Albo gdy... zdarzy się coś nieoczekiwanego.

Roman spojrzął na Trenta. Czuł, że tamten śledzi go wzrokiem.

— Dobrze, panie ambasadorze — odpowiedział.

— Lądownik Tamplesów jest w drodze. Zbliża się po naszym torze. — zameldował Trent.

— Odebrałem — potwierdził Roman. — Tak trzymać, komandorze! Proszę upewnić się co do jego kursu.

Wracając do monitorów, Trent jeszcze raz obejrzał się na Romana.

— Sądzi pan, że Pankau wie coś, czego my nie wiemy? — zapytał.

Roman wzruszył ramionami.

— Myślę, że jest ostrożny. Z drugiej strony... Zdarzył się już co najmniej jeden wypadek użycia siły.

Trent parsknął:

— I dlatego prawdopodobnie każe nam zgodzić się na wszystko?

Roman znów wzruszył ramionami:

— Zastanawianie się nad tym nie należy do nas — powiedział cicho, niemal sam do siebie.

Statek Tamplesów posuwał się powoli po orbicie w odległości dziesięciu kilometrów poniżej *Driady*.

— Poruczniku, trzymajmy się go — polecił Roman Nussmayerowi, obserwując odczyt prędkości na monitorze taktycznym. Kilometr przed statkiem Tamplesów płynęła ciemna bryła kosmicznego konia... — A zresztą, zróbmy coś więcej — dodał szybko. — Chciałbym obejrzeć z bliska kosmicznego konia. Powolne zbliżenie! Kurs równoległy! Zatrzymać się w odległości około dwóch kilometrów!

Odgłosy spokojnej rozmowy za jego plecami umilkły natychmiast. Nussmayer spojrział na Trenta, Trent na Romana.

— Co się stało, komandorze? — grzecznie zapytał Roman.

— Tamplesi nie będą zachwyceni, że straszymy ich konia — skrzywił się Trent.

— Dlatego zatrzymamy się dwa kilometry od niego — odparł Roman.

— A jeśli to nie wystarczy?

Roman zmarszczył brwi i rozejrzał się po mostku.

— Panowie, przecież nie będziemy skradać się cichaczem. Operatorzy Tamplesów na pewno potrafią zapobiec wypadkowi, a przynajmniej, jeśli uznają sytuację za niebezpieczną, dadzą nam sygnał do zatrzymania. Poza tym, konie kosmiczne nie są aż tak bardzo płochliwe...

Trent z kamiennym wyrazem twarzy powrócił do rutynowych czynności. Roman przez chwilę patrzył na niego, potem skierował uwagę na ster.

— Poruczniku?

— Manewr przygotowany — lekko niepewnym głosem zameldował Nussmayer.

Podobnie jak Trent, z pewnością nie był zachwycony. Jego zdanie nie miało jednak żadnego znaczenia.

— Bardzo dobrze — stwierdził Roman. — Wykonać!

Silnik pracował na najniższych obrotach. Przez płyty kadłuba dochodził jego cichy szum i równie delikatny odgłos powracającego ciężenia. *Driada* powoli posuwała się w kierunku planety. Minęła statek Tamplesów i prawie niewidoczny kilometrowy „pas uprzęży”. Po kilku minutach zrównali się z koniem.

Było jednak coś z prawdy w krążącej od dwudziestu lat opinii, że żadna kamera ani holograf nie są w stanie wiernie oddać potężnego majestatu kosmicznego konia. Od czasu, gdy wstąpił do Sił Gwiazdnych, Roman słyszał to chyba ze sto razy, ale dopiero teraz zrozumiał wreszcie, dlaczego każdy, kto widział konia z bliska, tak bardzo upiera się, żeby jeszcze raz sprawdzić jego rzeczywiste wymiary.

Nowicjuszom stwór wydawał się ogromny. Miał dziewięćset dwadzieścia metrów długości. Kształtem przypominał walec, z zaokrąglonymi brzegami i wąskim stożkiem, który przebiegał wzdłuż całej długości. Ogromne cielsko całkowicie zasłaniało ciągnięty niewielki statek Tamplesów. Delikatna „lina”, łącząca statek z koniem, była niewidoczna, nawet na ekranie teleskopu, chwilami jednak odbijały się w niej promienie słońca, tworząc bajeczny i niesamowity obraz.

Nie wszystko dało się dostrzec za pomocą dalekosiężnych przyrządów i właśnie te odkrywane teraz cechy najbardziej zafascynowały Romana. Przede wszystkim skóra kosmicznego konia: na hologramach wydawała się jednolicie szara, w rzeczywistości mieniła się jak jedwab. Wiązki czuciowe, rozmieszczone w równoległych pierścieniach po obu stronach walca, też miały delikatniejsze kolory niż ich obrazy na hologramach. Paleta barw sięgała od jasnoniebieskiej przez ciemny burgund i jaskrawożółtą do absolutnie czarnej.

— Następuje odczyt absorpcji. — Trent przerwał rozmyślenia Romana.

Ciągle niezadowolony, zaczął wreszcie okazywać trochę chłodnego zaciekawienia.

— Skóra wchłania przypuszczalnie około dziewięćdziesięciu sześciu procent padających na nią promieni słonecznych i wykazuje podobną właściwość w obrębie całego widma elektromagnetycznego.

Roman skinął głową. Domyślał się, że konie kosmiczne pochłaniały promienie o dowolnej długości fali, i że to właśnie one były źródłem siły poruszającej te potężne bestie.

— Czy wiadomo, skąd bierze się efekt połysku? — zapytał.

— Jest to prawdopodobnie zjawisko dyfrakcji zachodzące w rozpylonym pocie konia. Jeśli będę musiał zrobić kilka bezpośrednich odczytów, proszę mnie o tym wcześniej powiadomić.

Wrócił do pulpitu. Nagle na *Driadzie* odezwały się sygnały alarmowe.

— Ruchomy obiekt! — warknął Nussmayer.

Główny ekran przełączył się nieoczekiwanie na monitor taktyczny. Siatka nitek lasera przesunęła się poza cielsko kosmicznego konia.

— Panowie, proszę zachować spokój — powiedział Roman.

Szybko spojrzął na ekran. Mięśnie zeszywniały mu w napięciu. Program sygnalizujący ruchome obiekty przeznaczony był w zasadzie do wykrywania poruszających się powoli pocisków-zasadzek, ale w tej odległości od konia oznaczałoby to, że...

— Nie sądzę, żeby w tym miejscu coś nam zagrażało — stwierdził po chwili.

— To meteor, kapitanie — powiedział Trent, gdy obraz na ekranie teleskopu zatrzymał się i skupił na obiekcie.

— Jak mówiłem — skinął głową Roman. — To nas nie dotyczy.

— Może tak, a może nie — zaprzeczył ponuro Trent. — Wydaje mi się że Tamplesi mogą bez trudu wykorzystać tę bryłę nie tylko jako strawę dla konia, koń mógłby także, na przykład siłą telekinezy, zrzucić meteor na nasz statek.

Roman spojrzął wściekle na Trenta. W żołądku poczuł nieprzyjemny skurcz. W ciągu ostatnich pięciu lat szerzyły się w Cordonale bezzasadne uprzedzenia w stosunku do Tamplesów, lecz on odrzucił je już dawno. Teraz znowu odżyły...

— Poruczniku Nussmayer — powiedział spokojnie — czy ma pan już wektor mete-

oru?

— Skierowany na konia — zameldował sternik trochę zaniepokojonym głosem.

— Przewidywany punkt zetknięcia, gdzieś na przednim pierścieniu czuciowym.

Trent skrzywił się.

— To nic nie znaczy — powiedział z uporem. — Tamplesi mogą rzucić go na nas w ostatniej chwili, a wówczas nasza osłona natychmiast się roztrzaska.

Roman powoli odwrócił głowę.

— W takim razie niech pan się postara, żeby się nie roztrzaskała!

Trent przez chwilę wytrzymał jego spojrzenie, a potem w milczeniu wrócił do monitorów. Roman sięgnął do pulpitu. Jedną z kamer teleskopowych skierował na kosmicznego konia, dokładniej: na punkt przewidywanego zetknięcia z meteorem. Zignorował domysły Trenta i nie miał żadnych wątpliwości, do czego koniowi jest potrzebny meteor... i bardzo chciał to zobaczyć. Obraz na monitorze przesunął się nieznacznie, gdy wektor odcinka został zaktualizowany i dotknął jednej z wiązek czuciowych konia, na którą składało się osiem narządów zmysłów o intensywnej barwie i powierzchni kilku metrów kwadratowych każdy, zgrupowanych naokoło ogromnych płatów słabo widocznej, szarej skóry.

Przez chwilę nic się nie działo... Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, wiązki czuciowe pociemniały. Skóra pomiędzy nimi ściągnęła się, tworząc szczelinę o pomarszczonych brzegach. Druga kamera pokazała meteor wpadający prosto w otwór, którego brzegi z powrotem się wyrównały. Szczelina zamknęła się, a wiązki czuciowe odzyskały pierwotny kolor.

— Alarm odwołany — zarządził Roman, a gdy sygnał ucichł, obejrzał się na Trenta. Ten siedział sztywno, odwrócony plecami i wydawał się obrażony. Miał chyba nadzieję, że Tamplesi rzeczywiście zaatakują *Driadę*, że jego uprzedzenia potwierdzą się.

— Komandorze, chciałbym uzyskać kompletną analizę zjawiska, które przed chwilą zostało zarejestrowane — powiedział Roman. — Chodzi o ruchy meteoru, czyli zmiany wektora, interakcje z lokalnymi gradientami grawitacji i wszystko, co tylko możliwe. Tak mało wiemy o telekinezie koni kosmicznych, że naprawdę powinniśmy uzupełnić zestaw danych.

Po plecach Trenta przebiegł dreszcz napięcia.

— Tak jest — powiedział. — Zaraz włączę program. Zdenerwowanie na pomoście wyraźnie opadło i Roman przez moment czuł satysfakcję. Elegancki dowódca, jak go kiedyś nazwano, nigdy nie wypominał błędów swoim podwładnym, jeśli nie było to absolutnie konieczne.

Być może Trent był fanatykiem, ale nawet fanatycy muszą czasem zachować twarz.

Ambasador Pankau wrócił po dwudziestu godzinach... z ugodą, która zgodnie z przewidywaniami Romana okazała się dość zagadkowa.

— Koloniści z Arachne przesuną swoją siłownię o mniej więcej trzydzieści kilometrów w dół — powiedział Pankau, wręczając Romanowi taśmy i podpisane dokumenty w celu umieszczenia ich w oficjalnym rejestrze *Driady*. — Poza tym nie chcą oddać zbyt wiele.

Roman poczuł na sobie spojrzenie Trenta.

— A co z osadnikami? — zapytał, odbierając dokumenty od Pankaua. — Czy przenosząc siłownię, chcą przenieść się razem z nią?

Pankau skrzywił się.

— Niektórzy chcą. Nie wszyscy jednak.

— A co zechcieliby oddać? — wmieszał się Trent.

Pankau popatrzył na niego spokojnym, oficjalnym spojrzeniem.

— Okazuje się — powiedział obojętnie — że w tym przypadku oni mają rację. Siłownia kolidowała z kierunkiem lokalnej migracji przynajmniej czterech gatunków ptaków i zwierząt.

Trent parsknął.

— Każde zwierzę, które nie może przystosować się do życia obok wszawej siłowni, zasługuje na wymarcie. Niemożliwe, żeby te cholerne gornhedy były do czegoś potrzebne.

Pankau zachowywał spokój, ale, jak zauważył Roman, przychodziło mu to z trudem.

— Hm, gornhedy chyba tak, ale nie można tego powiedzieć o mrullach, które utrzymują bezpieczny poziom populacji dzikich rodunisów, a jednocześnie towarzyszą gornhedom jak wierne psiaki.

Nie czekając na odpowiedź zwrócił się do Romana:

— Ccist-paa powiedział mi również, że mają kłopoty z naszymi kłusownikami, polującymi na kosmiczne konie w ich systemie Cemwanninni Yishyar.

— Ich systemie? — mruknął Trent, na tyle głośno, aby można go było usłyszeć.

Pankau spojrzał na niego ostro.

— Tak, w ich systemie. Czy to się komuś podoba, czy nie, komandorze, Senat zrzekł się wszelkich roszczeń na tym terenie. Tamplesi rzeczywiście mogą korzystać z pastwisk kosmicznych koni, a my nie. Rola psa ogrodnika nie przystoi cywilizowanemu człowiekowi.

Roman zauważył, że słowa ambasadora padają z automatyczną płynnością wyuczonej przemowy, którą Pankau prawdopodobnie wygłaszał już wiele razy.

— Myślę, że wszyscy rozumiemy racje Senatu — wtrącił, zanim Trent zdążył powiedzieć cokolwiek, czego później mógłby żałować. — Myślę jednak, że są równie ważne przyczyny, dla których rezygnacja z wszelkich praw do systemu nie jest najlepszym pomysłem.

— Teraz już nic nie da się zrobić — powiedział Pankau chłodno. — W każdym razie, kapitanie — dokończył, wskazując na papiery, które Roman trzymał w ręku — pan i *Driada* macie oficjalne pozwolenie na przekroczenie granic Yishyar... i po odwiezieniu mnie na Solomona wyruszycie zobaczyć, co da się zrobić z tym awanturnikiem.

Z Arachne przez Solomona do Yishyar, coraz lepiej.

— Myślę, że spróbuje pan, ambasadorze, uspokoić Tamplesów.

— Kapitanie, moim zadaniem nie jest uspokajanie Tamplesów — Pankau przerwał mu lodowato. — Moim zadaniem jest spełnianie rozkazów i życzeń Wysokiego Senatu Terytorium Cordonale, a w tym przypadku oficjalnym życzeniem Senatu jest, aby nie upoważnione statki trzymały się z daleka od obszaru Tamplesów — spojrzał chłodno na Romana. — Czyżby pan sugerował, że nie mam prawa wysłać pana z taką misją?

Przynajmniej tego nie można było kwestionować. Roman widział już przedtem pełnomocnictwa Senatu i był zupełnie świadomy znaczenia tych papierów.

— Wcale nie podważam pańskiego autorytetu — odpowiedział. — Mówimy jednak o bardzo długiej podróży, a *Driada* to mały statek. Dwa tygodnie zajmie nam powrót na Solomona, sześć tygodni albo dłużej potrwa podróż do Yishyar, sześć tygodni powrót stamtąd. To daje razem trzy miesiące, i trzeba jeszcze dodać czas, jaki spędzimy w Yishyar, czekając na kłusownika.

— Sądzi pan, że pańska załoga nie wytrzyma paru tygodni w kosmosie? — ironicznie zapytał Pankau.

— Nie — odparł spokojnie Roman. — Sądzę, że moglibyśmy zaoszczędzić kilka tygodni, gdyby poprosił pan Ccist-paa, żeby zboczył na Solomona i odwiózł pana.

Pankau wydawał się trochę zaskoczony:

— Ach, tak.

— Chyba że — Roman patrzył mu prosto w oczy — uważa pan, iż nie wytrzyma kilku godzin na statku Tamplesów.

Przez moment sądził, że profesjonalna maska opadnie. Pankau potrafił się jednak kontrolować.

— Nie widzę problemu, kapitanie. Czy może pan włączyć radio?

W ciągu dziesięciu minut wszystko było załatwione. Godzinę później Roman siedział na swoim stanowisku na pomoście i obserwował SKOK kosmicznego konia.

Była to chyba jedyna rzecz dotycząca kosmicznego konia, która, przynajmniej wizualnie, wydawała się całkiem nieefektywna. W jednej chwili koń i statek widziano jeszcze na monitorach, w następnej — już ich tam nie było.

— Wiele bym dał, żebyśmy też tak potrafili — mruknął Trent.

Roman wpatrywał się w monitor, w puste miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą znajdował się statek Tamplesów.

— Pan i wszyscy inni w Cordonale — przytaknął bez emocji. — Pozornie nieefek-

towne... Można wręcz zapomnieć, co się właściwie wydarzyło. Błyskawiczna podróż w obszarach międzygwiazdnych... praktycznie bez ograniczeń odległości, zależnych jedynie od zasięgu wzroku konia.

Kiedy pomyślał o tym wszystkim, dreszcz przebiegł mu po plecach.

— Jeśli Program Amity zostanie zrealizowany, to, być może, zyskamy jakiś sposób ich ujarznienia i kontrolowania.

Trent parsknął:

— Nikłe szanse, kapitanie!

Roman spojrział na niego:

— Sądzi pan, że ludzie i Tamplesi nie mogą nauczyć się pracować razem na pokładzie jednego statku?

— Nie sądzę, żeby kiedykolwiek to się udało — powiedział szorstko Trent. — Moim zdaniem, Program Amity to nic innego jak zasłona dymna, którą wymyślili Tamplesi i ich zwolennicy w Senacie, żeby wyglądało, iż coś się robi w sprawie spornych terenów. Ci z Sił Gwiazdnych nigdy nie skończą budowy statku, a jeśli nawet, to załoga będzie z pewnością tak źle nastawiona, że wyniki kontrolnej wyprawy okażą się zupełnie fałszowane.

— A jeśli nie...?

Trent spojrział mu prosto w oczy:

— Wtedy... nie, nie wierzę, żeby ludzie i Tamplesi mogli razem pracować, nie zabijając się wzajemnie.

Roman skrzywił się:

— Pozostawia pan Cordonale niewielki wybór.

— Poddanie się albo wojna — Trent zgodził się spokojnie. — Ale nawet taki ugodowy Senat jak nasz nie zechce poddać się na zawsze.

Roman patrzył na monitor w miejsce, gdzie jeszcze przed chwilą był kosmiczny koń. Starał się znaleźć argumenty przeciwko wywodom Trenta, lecz nie potrafił. Zresztą Trent na pewno nie dałby się przekonać. Podobnie jak wielu innych w Cordonale.

— Trzeba zachować rozsądek — upomniał go, lecz słowa zabrzmiały niepewnie nawet w jego własnych uszach. — Nigdy nie wiadomo, kiedy pojawi się alternatywa. Na razie... mamy misję do spełnienia. Musimy złapać kłusownika.

ROZDZIAŁ 2

— To zaczyna być zabawne — mruknął pod nosem Stefain Reese. Powszechne znużenie, które od dawna panowało na pomoście *Scapa Flow*, zmieniło się w bezsilną wściekłość załogi. Chayne Ferrol ze stanowiska dowódcy obserwował swoich ludzi. Niektórzy patrzyli wyzywająco na Reese'a, inni wyraźnie go ignorowali. Choć przekleństwo cisnęło mu się na usta, opanował się. On też miał serdecznie dość Reese'a, ale polityczna konieczność wymagała, żeby utrzymywał z nim poprawne stosunki. Przypomniawszy sobie stary rybacki dowcip.

— Nie złapałeś nic przez pięć godzin? Nie martw się, ja nie złapałem nic przez osiem.

Nikt się nie roześmiał.

— Niech pan przestanie! — burknął Reese. — W ciągu ostatnich dwóch dni słyszałem ten stary i głupi kawał z pięć razy, i już za pierwszym razem mnie nie rozśmieszył.

Ferrol opanował się z trudem.

— Przecież wiedział pan od początku, czego można się spodziewać po tej wyprawie. W systemie Yishyar jednocześnie znajduje się tylko kilka koni. Inne żerują w okolicy, w paśmie asteroidów o objętości czterystu bilionów kilometrów sześciennych. Czyżby liczył pan na to, że od razu pierwszego dnia któryś z nich wpadnie wprost w nasze ręce?

— W pobliżu zarejestrowaliśmy przynajmniej piętnaście ruchomych obiektów — sprzeciwił się Reese. — Dlaczego żadnego nie ścigaliście?

Malraux Demarco, który stał przy sterze, aż zatrzęsł się ze złości.

— Do cholery, nie każdy punkcik na radarze oznacza kosmicznego konia! — warknął. — Nikt nie jest taki głupi, żeby krążyć bez sensu i obserwować przelatujące meteory. Niech pan nie zapomina, że to pan chciał się z nami zabrać!

— Tak, ale właściwie to nie był mój pomysł — tłumaczył się Reese. — To Senator chciał, żebym poleciał z wami i obserwował...

Plaśnięcie dłoni Ferrola o poręcz fotela odbiło się krótkim echem, przerywając w pół zdania wyjaśnienia Reese'a.

— Co? — zapytał Reese wyzywająco.

Przez dłuższą chwilę Ferrol przyglądał mu się uważnie. Wściekłość Reese'a powoli zmieniała się w niedowierzanie, a potem w strach...

— Nie wolno panu — odezwał się w końcu Ferrol lodowatym tonem — wspominać o Senatorze w jakimkolwiek związku z tym statkiem, z tą załogą albo z tą wyprawą. Ani tutaj, ani gdziekolwiek. Nigdy. Rozumie pan?

Reese wyraźnie złagodniał.

— Tak — zgodził się potulnie.

Ferrol odczekał chwilę w kompletnej ciszy.

— Mieliliśmy coś więcej poza tym punkcikiem, który Randall złapał, a potem zgubił? — zwrócił się do Demarca.

Demarco potrząsnął głową.

— Wynik kontroli komputerowej jest negatywny. Mógł to być koń kosmiczny, który SKOCZYŁ po swój kasek i natychmiast uciekł. A może był to statek — dodał po chwili zastanowienia.

Ferrol skinął głową. Tego się właśnie obawiał.

— Sądysz, że nas wypatrzył?

— Przez dwie godziny zdążyłby na pewno zmienić kurs, połączyć się z Mitsuushi i dotrzeć do nas. — Demarco wzruszył ramionami. — Jeśli jeszcze go tu nie ma, to chyba był to inny kłusownik, którego przepłoszyliśmy.

— Albo bardzo cierpliwy kapitan z Sił Gwiezdných, który chce nas złapać na gorącym uczynku — powiedział Ferrol. — Musimy mieć oczy otwarte.

— To wszystko, co macie zamiar zrobić? — wtrącił Reese.

Ferrol spojrzał na niego znacząco.

— Co pan proponuje? — zapytał spokojnie. — Zawrócić do domu z pustymi rękami, nawet nie wiedząc, przed czym uciekaliśmy?

Reese zacisnął zęby.

— Mógłby pan podjąć jakieś praktyczne środki bezpieczeństwa — burknął. — Na przykład, założyć jakąś osłonę na pierścien Mitsuushi.

— Czy mamy jakieś osłony dla Mitsuushi, Mai? — Ferrol zwrócił się do Demarca.

— Które wytrzymałyby bombardowanie jonowe z okrętu wojennego? Raczej nie.

Ferrol popatrzył na Reese'a.

— Ma pan jeszcze jakiś pomysł?

Wyraz twarzy Reese'a zdradzał, że coś wymyślił. Zanim jednak zdążył cokolwiek powiedzieć, Demarco wykrzyknął:

— Ruchomy obiekt na monitorze, Chayne! O Boże, jest tuż obok nas! Namiar dwa-dzieścia trzy na sześć, piętnaście na dwa, zasięg pięćdziesiąt sześć kilometrów.

— Okręt wojenny? — zapytał przerażony Reese, a jego głos brzmiał pół oktawy

wyżej niż normalnie.

— Nie. Koń kosmiczny — Demarco z trudem zachowywał cierpliwość.

— Niezbyt duży — dodał Ferrol, sprawdzając odczyt na swoim ekranie.

Rzeczywiście wydawał się niewielki, jeśli komputer nie zawiódł przy obliczaniu odległości.

Dreszcz emocji przebiegł Ferrolowi po plecach.

— To jest żreback, Mai!

Demarco wpatrywał się w ekran.

— Nie do wiary!

Ferrol przygryzł górną wargę. Słyszał wyraźnie bicie własnego serca... Kosmiczny żreback. Młody, wrażliwy i może, no właśnie, może pojętny.

Włączył interkom.

— Zbliżamy się do celu — zawahał się przez moment. — Postarajcie się, panowie — dodał po chwili. — Chciałbym go mieć.

Demarco przy sterze przygotowywał statek do akcji.

Reese wpatrywał się w Ferrola.

— Jeśli chce pan coś powiedzieć, Reese, to niech pan mówi, a potem niech się pan już więcej nie odzywa.

Kątem oka dostrzegł, że tamten wskazuje walcowaty kształt pośrodku głównego monitora.

— Sądzi pan, że żreback nie boi się ludzi, tak jak dorosłe konie? — zapytał.

— Wysoki poziom rozwoju komórek mózgowych umożliwia człowiekowi podporządkowanie innych zwierząt. To się nazywa tresura.

— Jeśli żreback jest dość młody... — zgodził się ostrożnie Reese. — Zresztą, co to znaczy „dość młody”?

— Jeśli chce pan dyskutować, to niech pan wraca do Senatu — przerwał Ferrol.

— My mamy teraz ważniejsze sprawy.

Westchnął głęboko.

— Okay, Mai, ruszamy!

Zbliżali się z prędkością znacznie mniejszą niż zazwyczaj przy pościgu i dlatego prawie godzinę dryfowali w zasięgu uderzenia. Może była to zbyt duża ostrożność, żreback nie okazywał żadnych oznak niepokoju, a tym bardziej strachu. Mieli jednak dużo czasu i nie warto było ryzykować. Poza tym, nikt nie był pewny, czy przestraszony żreback zachowuje się tak samo jak dorosły koń.

— Wyrzutnia sieci gotowa — zameldował Demarco. — Odległość do celu... jeden i cztery dziesiąte kilometra. Całkowity ładunek na płytach.

Ferrol powoli rozluźnił zaciśnięte szczęki. Stało się!

— Przygotować pierwsze uderzenie! Gotowi... ognia!

Pokład *Scapa Flow* zachwiał się pod stopami. Na monitorze taktycznym pojawił się obraz pocisku, w którym znajdowała się zwinięta sieć. Pocisk zmierzał wprost do celu, ciągnąc za sobą linę uwięzi. Ferrol wstrzymał oddech, wpatrzony w żrebaka. „Jeszcze kilka sekund”, zaklinał go w myślach. „Stój, jeszcze tylko kilka sekund”. Pocisk na ekranie zmienił kształt, rozwinął się w prawie niematerialną cieniutką siateczkę, był coraz bliżej konia... „Jeszcze tylko kilka sekund...”

W tym momencie, zbyt późno, żreback dostrzegł zbliżający się obiekt. Sieć szarpnęła się nagle, jakby siłą telekinezy zmuszona do zatrzymania, ale jej cieniutkie włókna okazały się nieuchwytnie i po chwili mocno owinęły się wokół żrebaka.

— Ogłuszyć go! — krzyknął Ferrol.

Na ekranie ukazał się krótki błysk wyładowania koronowego sieci i żreback zamarł w bezruchu.

Po drugiej stronie pomostu Reese szeptał z podziwem:

— Zrobiłeś to. Naprawdę to zrobiłeś!

Ferrol otarł usta dłonią.

— Chyba go nie zabiliśmy, Mai?

Demarco rozłożył ręce.

— Czy ktoś umie porozumiewać się z kosmicznym koniem? To oczywiste, że nic złego mu się nie stało!

— To świetnie!

Błysk światła odwrócił uwagę. Ferrola. Wskutek wyładowania kondensatorów *Scapa Flow* miała teraz silny ładunek dodatni, co groziło przeniesieniem łuku na kadłub zewnętrzny.

— Zwarcie na kadłubie zewnętrznym! — zameldował Demarco i sięgnął po odpowiedni przełącznik.

— Poczekaj chwilę! — rozkazał Ferrol, czując nieprzyjemny dreszcz niepokoju.

Jeśli dojdzie do zwarcia środkowego i zewnętrznego kadłuba, ładunki dodatnie pozostaną na kadłubie zewnętrznym tak długo, póki nie zgromadzi się na nim ilość elektronów wiatru słonecznego, wystarczająca dla przywrócenia równowagi. Zanim to nastąpi, Mitsuushi pozostanie niesterowna. Daj mi najpierw pełen obraz najbliższego otoczenia. Szukaj informacji, czy statek, który widzieliśmy przedtem, nie czai się gdzieś w pobliżu.

Demarco skinął głową i zajął się skanerami. Ferror czekał, próbując ignorować błyski, zagrażające wywołaniem łuku elektrycznego.

— Nic nie widać — zameldował Demarco, podnosząc się z fotela. — Oczywiście mógł wycofać się w miejsce przeszukane wcześniej przez pętlę Mitsuushi.

Ferrol zmarszczył brwi. Rzeczywiście, było to możliwe. Zastanawiał się przez chwilę. Wreszcie zdecydował się:

— Mamy spięcie na kadłubie zewnętrznym. Musimy odizolować od niego środkowy kadłub. Trzeba również naładować kondensatory! Doładować układ rezerwowy!

Demarco popatrzył na niego zdziwiony. Nie zaprotestował jednak. Znowu rozległ się trzask!

— Ładunek przeskoczył na kadłub zewnętrzny — zameldował. — Kadłub zewnętrzny izolowany, zaczęło się ładowanie.

— Dobrze — odpowiedział Ferrol z roztargnieniem, ponieważ znów myślał o kosmicznym żrebaku.

Połączył się z kabiną obsługi śluzy powietrznej.

— Townee i Hlinka, pośpieszcie się! Za pół godziny koń musi być gotowy do drogi.

— Przyjąłem, Chay!

— Ruchomy obiekt! — krzyknął znów Demarco. — Pięć tysięcy kilometrów stąd, idzie wprost na nas!

— Co? — wykrztusił Reese. — O Boże, Ferrol...

Na stanowisku Ferrola zapalił się sygnał komunikacji laserowej.

— Niezidentyfikowany pojazd, zgłoś się — odezwał się ktoś spokojnym głosem. — Tu kapitan Haml Roman z pokładu CSS *Driada*. Rozkazuję wam zatrzymać się i czekać na naszą interwencję.

— Widzę, że miałem rację — stwierdził Ferrol w pełnej napięcia ciszy. — To był rzeczywiście bardzo cierpliwy kapitan. Myślę, że mógłbyś lepiej umocować to zabezpieczenie, Townee!

— O Boże, Ferrol — jęczał Reese. — Nie podda się pan, prawda? O Boże, jeśli mnie tu znajdą...

— Niech pan milczy albo zjeżdża z pomostu — Ferrol przerwał stanowczo, nie odwracając wzroku od odczytów.

Okręt wojenny poruszał się dość wolno, ale nawet przy takiej prędkości dzieliło go od *Scapa Flow* nie więcej niż dziesięć minut. Za kwadrans mogli spodziewać się interwencji. Mieli zbyt mało czasu na przygotowanie się do ucieczki.

Zewnętrzne czujniki wskazywały, że *Driada* wysyła w ich kierunku promieniowanie jonowe, które groziło unieruchomieniem pierścienia Mitsuushi połączonego z kadłubem. Promieniowanie nie było jednak w pełni skuteczne, ponieważ kadłub *Scapa Flow* zdążył już uzyskać prawie cały ładunek z wcześniejszych wyładowań kondensatorów i dlatego znaczna część promieni ginęła bezskutecznie w przestrzeni. Fakt ten okazał się nadzwyczaj korzystny dla Ferrola, a przeciwnika mógł łatwo zmylić.

— Stan kondensatorów, Mai? — zapytał Ferrol.

— Jeszcze trzy minuty i główny układ będzie całkowicie naładowany — zameldował Demarco. — Dla zregenerowania układu rezerwowego potrzebuję tylko czterech minut.

Ferrol skinął głową i nastawił odliczanie wsteczne. Od tej chwili nie spuszczał oka z chronometru.

— Zobaczymy, czy uda się go trochę powstrzymać — powiedział z namysłem.

Włączył nadajnik i nowiutki refraktor głosu, Domino III. Uśmiechnął się złośliwie, zadowolony z własnej przezorności, dzięki której przekonał Senatora, żeby nie szczędził pieniędzy na ten aparat. Refraktor zmieniał precyzyjnie barwę i częstotliwość dźwięków, tak że odbiorca mógł analizować je w nieskończoność i w żaden sposób nie był w stanie zidentyfikować głosu. Senator uważał to za zbyt cenny wydatek, ale tym razem Ferrol nie ustąpił.

Zapaliła się lampka kontrolna: laser *Scapa Flow* osiągnął cel.

— Kapitanie, tu profesor John Englisch z pokładu statku badawczego *Milan* — powiedział bardzo poważnym głosem. — Mamy do wykonania pewną delikatną misję i bylibyśmy wdzięczni, gdybyście trzymali się z daleka.

— Bylibyście! — usłyszał ironiczną odpowiedź. Chciałbym się jednak dowiedzieć, czym się zajmujecie?

— Oczywiście chodzi o konie kosmiczne — wyjaśnił Ferrol.

Zauważył, że *Driada* ani trochę nie zmniejszyła prędkości. Nie zdziwił się, wcale na to nie liczył.

— Badamy ich szlaki i zwyczaje. Przypuszczam, że jako funkcjonariusz służby granicznej nie słyszał pan o naszym programie.

— Tak, strażę pogranicza nie otrzymują specjalistycznych czasopism naukowych — powiedział oschle kapitan.

Jego ton świadczył, że nie uwierzył w ani jedno słowo.

— Czy zechciałby pan zbliżyć się na odległość trzydziestu sześciu kilometrów w strefie zasięgu naszego odbiornika tachionowego?

— Nasza aparatura ma dużo mniejszy zakres — powiedział Ferrol, udając zupełny spokój. — To model doświadczalny, który umożliwia tylko wybiórczy przekaz punktów statyki tachionowej. Mamy jednak nadzieję, że już wkrótce, w wersji zmodernizowanej, statek będzie przystosowany do bezpośredniej komunikacji z bazą i innymi pojazdami kosmicznymi.

— Rzeczywiście, warto się o to postarać! A propos pojazdów kosmicznych, czy mógłby mi pan wyjaśnić, dlaczego nie ma was w naszym rejestrze?

— Chyba dlatego, że jesteśmy nowi — powiedział Ferrol, obserwując wskaźnik odliczania wstecznego kondensatorów i jednocześnie obraz na głównym monitorze taktycznym. *Scapa Flow* ustawiona bokiem, prawie dokładnie na torze zbliżającej się *Driady*, znajdowała się w fatalnej pozycji.

— Zarejestrowaliśmy się przed kilkoma miesiącami, tuż przed wyprawą. Powinien pan po prostu częściej aktualizować rejestry.

— Chyba tak — zgodził kapitan. — Procedura byłaby uproszczona, gdybyśmy mogli porozumieć się przez ten pański dziwaczy mikroodbiornik. Czy oprócz dokumentów rejestracyjnych posiada pan pisemną zgodę Tamplesów na penetrowanie systemu Yishyar?

— Ależ oczywiście — zapewnił Ferrol wyniośle. — Mamy też wytyczne Senatu, pozwolenie z Sił Gwiazdnych i całą masę innych świstków. To zdumiewające, ile papierków musieliśmy zgromadzić przed ekspedycją. Zaraz coś znajdę i prześlę kopię przez komputer.

Wyłączył nadajnik.

— Mai, na mój sygnał wykonaj obrót, tak aby koń znalazł się między nami a *Driadą*. Nie przejmuj się naprężeniem liny i sieci, i tak musimy się ich pozbyć.

— Na Boga, poczekaj chwilę — przerwał Demarco. — Wyskoczył drugi punkcik! Dokładnie za nami... To chyba statek tych cholernych Tamplesów.

Ferrol gwizdnał przez zęby.

— Na mój sygnał natychmiast wycofaj statek za konia!

— I tak będziemy zupełnie widoczni, jeśli ustawimy się bokiem — wtrącił nerwowo Reese.

— Nie szkodzi — stwierdził Ferrol. — Są za daleko, żeby osiągnąć nas promieniowaniem jonowym, nawet gdyby je mieli. Groźniejszej broni raczej nie zastosują.

Reese wpatrywał się w monitor taktyczny.

— Dlaczego nie? — zapytał.

— Oczywiście dlatego, że mogliby trafić w konia, poza tym, nie sądzę, żeby na oczach załogi *Driady* zachowali się niezgodnie z prawem.

Włączył nadajnik, obserwując uważnie wskaźnik odliczania wstecznego. Jeszcze tylko półtorej minuty...

— Chwileczkę, kapitanie — powiedział do mikrofonu. — Mamy całe mnóstwo dokumentów i właśnie przygotowujemy kopie do wysłania.

— To świetnie, kapitanie — dowódca *Driady* zachowywał spokój. — Sądzę jednak, że najlepiej zrobicie, jeśli wróćcie do bazy. Czy mamy was wyprzedzić i uznać sprawę za załatwioną, czy też zdecydował się pan tracić czas, wysyłając nam plik fałszywych dokumentów?

Ferrol skrzywił się. Nienawidził dowcipów wypowiedzianych protekcjonalnym tonem.

— Czy to oficjalne zawiadomienie o aresztowaniu?

— Właśnie w ten sposób proszę potraktować moją wypowiedź. Chyba nie oczekiwał pan, że ta zmyślona historyjka na coś się przyda?

— Warto było przynajmniej spróbować. Nawet pan sobie nie wyobraża, ilu ludzi można oszukać papierami, które mają urzędowy wygląd.

Pstryknął palcami, dając znak Demarco, który potakująco skinął głową. Gwałtowny zryw silnika wepchnął Ferrola w głąb fotela. Spodziewał się, że dowódca *Driady* zareaguje na ten manewr zdumieniem albo wybuchem wściekłości. Tymczasem jego głos nie zdradzał żadnych emocji.

— Cokolwiek pan zamierza, kapitanie, muszę pana uprzedzić, że to zupełnie bezskuteczne — usłyszał wypowiedziane spokojnie słowa. — Czujniki wykazują wysoki ładunek dodatni na waszym kadłubie zewnętrznym i na pierścieniu Mitsuushi. Obaj wiemy, że nie uda wam się nas wyprzedzić w normalnej przestrzeni.

— Skoro i tak jesteście aresztowani, nie będzie pan chyba zabierał moich ludzi na swój statek? — powiedział Ferrol, ignorując ten komentarz.

Scapa Flow ruszyła do przodu. Za minutę promieniowanie będzie przynajmniej częściowo powstrzymywane przez żrebaka, ciągle unieruchomionego w sieci.

— Poza tym chciałbym, żeby pańscy kumple o wykrzywionych twarzach trzymali się od nas z daleka.

— Ma pan coś przeciwko Tamplesom?

Na chwilę wróciły wspomnienia, lecz Ferrol odrzucił je stanowczo. Nie miał teraz czasu na rozpamiętywanie doznanych krzywd.

— Po prostu wiem, do czego są zdolni — powiedział krótko. — Mimo propagandy Senatu — dodał.

Dowódca *Driady* nie dał się sprowokować.

— Interesująca opinia — odpowiedział po chwili. — Moglibyśmy kontynuować dyskusję w drodze powrotnej, którą odbędzie pan wcale nie z powodu Tamplesów.

Ferrol zachnął się:

— Nie o to chodzi! — powiedział. — Jeśli nawet nie przylecieli specjalnie po to, żeby obserwować polowanie na kłusownika, to i tak mogę się założyć, że wykonujecie ich rozkazy.

Długie milczenie było dowodem, że kapitan *Driady* poczuł się dotknięty.

— Wykonujemy wyłącznie polecenia Senatu — opanował się w końcu.

— Myślę, że powinien pan jednak stanąć po mojej stronie — Ferrol spróbował jeszcze raz. — Dopóki Tamplesi mają monopol na posługiwanie się kosmicznymi końmi, musimy wraz z całym Cordonale tańczyć, jak nam zagrają. Jedynie wyjście, to...

— Proszę przygotować się na naszą interwencję — tym razem jego rozmówca nie żartował.

„No cóż”, — pomyślał Ferrol, zacisnąwszy zęby, — „warto było próbować. Przynajmniej zyskaliśmy czas na przygotowanie *Scapa Flow*”.

Statek znalazł się wreszcie w odpowiedniej pozycji. Licznik wskazywał piętnaście sekund do uzyskania pełnego ładunku.

Ferrol przerwał połączenie i włączył interkom.

— Mitsuushi będzie za dwadzieścia sekund — powiedział do załogi. — Zapnijcie pasy, może trochę kiwać.

Odwrócił się do Demarca.

— Natychmiast po naładowaniu kondensatorów przerzuć wszystkie ładunki na uprząż — polecił. — Zdaje się, że Mitsuushi powróci tylko na kilka sekund. Nie przepapaj wyjścia!

— Ferrol, co...?

— Niech pan milczy, Reese — przerwał Ferrol wpatrzony w monitor taktyczny. *Driada* była teraz widoczna z boku, okrążała konia, chcąc zapewnić sobie wolny tor dla pocisków jonowych. Manewr odbywał się powoli, przeciwnik był przekonany, że całkowita neutralizacja kadłuba *Scapa Flow* nastąpi najwcześniej za godzinę.

Wskazówka odliczania wstecznego zbliżała się do zera. Ferrol usiadł głęboko w fotelu i zacisnął kciuki.

— Start! — zawołał po chwili.

Huk wstrząsnął pokładem, a na głównym ekranie natychmiast pojawił się nowy obraz.

— Straciliśmy sieć i uprząż! — krzyknął Demarco. — Prąd zamienił je w parę.

W tej samej chwili włączył się sygnał alarmowy informujący o zagrożeniu wytrzymałości kadłuba.

— Przygotować się! — Ferrol nie odrywał wzroku od wskaźnika ładunków powierzchniowych.

Elektrony uwolnione z kondensatorów połączyły się z tymi, które pozostały ze skroplonych włókien sieci i wszystkie zmierzały teraz z prędkością Van de Graffa do punktu o największym deficycie. Dźwięk alarmu wzrastał, lecz Ferrol prawie go nie słyszał. Z uwagą obserwował, jak ładunki dodatnie nieustannie przesuwały się do przodu... Jeszcze moment... i kadłub został rozładowany.

— Start! — zawołał do Demarca.

Koń, *Driada* i gwiazdy zniknęły w mgnieniu oka!

Udało się!

Ferrol odetchnął z ulgą.

„Nie do wiary”, — pomyślał, — „mamy to już za sobą”.

— Czy nic nie zostało uszkodzone? — zapytał.

— Mitsuushi jest sprawna, tylko trochę nadwerężona — zameldował Visocky z maszynowni. — Mamy godzinę na wyjście z nadprzestrzeni. Wkrótce środkowy kadłub zostanie rozładowany.

Ferrol skinął głową.

— Odpalamy za trzy minuty, zmieniamy kurs i po dziesięciu minutach ruszamy. W tej sytuacji będziemy mieć dość czasu, żeby zrobić porządek, nie obawiając się nie-

proszonych gości.

Zauważył pytające spojrzenie Reese'a i wyłączył interkom.

— Czy chciał pan jeszcze coś powiedzieć? — nie wytrzymał.

— Domyślam się, że wracamy?

— Nic innego nie możemy zrobić. W końcu sympatycy Tamplesów odwołają ten patrol z Yishyar. Do tej pory nie mamy tu czego szukać. Chyba że chce pan na ślepo przeszukiwać systemy.

— Raczej nie — Reese patrzył w pusty ekran. — Bardzo pan ryzykował — dodał nieśmiało. — Może nie znam się zbyt dobrze na pojazdach kosmicznych, ale zdaję sobie sprawę, że skierowanie głównego przepływu prądu pomiędzy konia a *Scapa Flow* zagrażało nie tylko delikatnym spojeniom kadłuba, lecz również samemu pierścieniowi Mitsuushi.

— Ma pan zupełną rację. Pan się nie zna na pojazdach kosmicznych — rzekł Ferrol z ironią w głosie.

Reese spojrział na niego ostro.

— Mógł pan przecież przerzucić ładunek kondensatorów bezpośrednio na zewnętrzny kadłub — powiedział tonem oskarżenia. — Mógł pan nie dopuścić do wyparowania sieci i uprzęży.

— Chciałem mieć zapas elektronów między naszym statkiem a *Driadą*, na wypadek gdyby znów spróbowali zaatakować nas promieniowaniem — wyjaśnił Ferrol spokojnie. — Poza tym, przerzucenie ładunków bezpośrednio na kadłub mogłoby go uszkodzić.

— A poza tym — dopowiedział Reese — mógł pan zabić konia.

Na pomoście zaległa cisza. Ferrol rzeczywiście zdawał sobie sprawę, że prąd mógł zabić żrebaka. Na samą myśl poczuł skurcz w żołądku, ale za wszelką cenę starał się ukryć słabość przed Reese'em.

— To jest nasz koń — powiedział, akcentując każde słowo, jakby rzeczywiście w nie wierzył. — Jeśli go nie schwytemy, to Tamplesi też go nie złapią.

Reese westchnął głęboko.

— Rozumiem — wymamrotał.

— Nie sądzę, żeby pan cokolwiek rozumiał, choć szczerze mówiąc, pańskie zdanie mnie nie interesuje. Poza tym, proszę nie pokazywać się na pokładzie do końca podróży.

Reese skrzywił się. Odpiął pasy i ruszył w kierunku drzwi.

— Senator dowie się o wszystkim — zagroził na koniec.

— Nie wątpię — odciął się Ferrol — ale nic mnie to nie obchodzi.

Drzwi zamknęły się za Reese'em. Ferrol spojrział zmęczonym wzrokiem na główny monitor.

„To chyba początek końca”, pomyślał.

Nawet towarzysze ze *Scapa Flow* przestali mu wierzyć, że Cordonale balansuje nad przepaścią. Nawet oni dali się przekonać zapewnieniom Tamplesów o możliwej zgodzie i przyjaźni. Chyba stracili odwagę.

Kiedy wróci, będzie musiał odbyć kilka bardzo poważnych rozmów.

Na pomoście trwało milczenie, które Roman odczytał jako wyraz zaskoczenia i rozczarowania ze strony załogi. Zresztą odczuwał to samo: niedowierzenie i głęboki żal z powodu przegranej.

Westchnął głęboko.

— Poruczniku Nussmayer, czy zarejestrowaliśmy wektor odwrotu?

— Chyba tak — odpowiedział porucznik — ale przeciwnik może zmienić kurs, jeśli okaże się dość przebiegły.

Roman popatrzył na niego z ukosa. Porucznik nie potrafił ukryć emocji.

— Pan oczywiście uważa, że jest bardzo przebiegły?

— Przepraszam — Nussmayer lekko się zarumienił na chwilę...

Bezradnie machnął ręką.

— Trudno nie podziwiać człowieka, który ryzykuje tak wiele i wygrywa.

— Doprawdy?

Nussmayer znów się zaczerwienił i nie odpowiedział. Roman poczuł się pokonany. Rozejrzał się po pomoście. Nieudana operacja z pewnością nie wzbudziła entuzjazmu załogi. Zauważył, że gadanie kłusownika o rozkazach Tamplesów spotkało się z wielką aprobatą, chociaż to właśnie Tamplesi przeszkodzili im w akcji, zjawiając się w najmniej odpowiednim momencie.

„Przekłęci Tamplesi”, pomyślał.

W tej chwili coś przyszło mu do głowy. Szybko włączył radio. Może tam jeszcze byli, chcąc obserwować polowanie.

— Statek Tampliss-ta, tu kapitan Haml Roman z pokładu *CSS Driada*. Wasza obecność w tej części systemu przeszkadza nam w polowaniu na kłusownika — powiedział bardziej opryskliwie, niż zamierzał. — Czy moglibyście przeprowadzić waszą akcję w innym miejscu?

— Słyszę — odezwał się natychmiast skowyt Tamplesa. — Nie przeprowadzamy tu żadnej akcji, Rro-maa. Mamy dla was wiadomość.

Roman zmarszczył brwi. Tego się nie spodziewał.

— Ach tak! Zbliźcie się na odległość przekaźnika, czekamy!

Jedna z kontrolnych lampek na pulpicie zapaliła się na chwilę i zgasła.

— Żegnaj! — powiedział Tamples.

Monitor wyłączył się. Wiadomość była krótka i zaskakująca. Roman przeczytał ją

dwa razy, zanim odwrócił wzrok od ekranu.

— Poruczniku, ustalić kurs powrotny na Solomona — rozkazał Nussayerowi.

— Wykonać, gdy tylko Mitsuushi będzie gotowa.

— Jakież kłopoty? — zapytał Trent.

— Nie wiem — Roman potrząsnął głową. — Dostałem rozkaz powrotu ze względu na zakończenie prac przygotowujących Program Amity.

— Co to znaczy? Czego od nas chcą? — Trent zastanowił się chwilę. — Może chodzi o udział w próbnym locie?

— Niezupełnie — sprostował kapitan. — Przede wszystkim chodzi o to, żebym... został dowódcą *Amity*.

ROZDZIAŁ 3

Statek liniowy, który wiozł Romana z Solomona do systemu Kialinninni, był już bardzo sfatygowany. Sądząc po wyglądzie i dźwiękach dochodzących chwilami od strony wsporników, musiał być zbudowany mniej więcej w tym samym czasie co zagroda dla kosmicznych koni.

Roman milczał, pogrążony w myślach. Niepokoił go fakt, że Program Amity dla wielu ludzi z Senatu i Sił Gwiazdnych okazał się niepopularny, a nawet podejrzany. Zwłaszcza dla tych, którzy kontrolowali finanse.

— Mam nadzieję, że *Amity* jest w lepszym stanie niż ten wahadłowiec — odezwał się w końcu.

Pilot roześmiał się. Był to porucznik w średnim wieku, który najprawdopodobniej całe życie spędził na wahadłowcu i nie miał większych ambicji. Wyglądał równie niepozornie jak jego pojazd. Spojrzenie zdradzało jednak coś więcej — jakiś skrywany zapał i optymizm, którego nie były w stanie ugasić niskie dochody i lekceważenie ze strony urzędników.

Roman dość często widywał takie twarze fanatycznych zwolenników Tamplesów. Nie potrafił jednak rozstrzygnąć, czy budziły w nim sympatię, czy raczej niechęć.

— Proszę się nie martwić — uspokajał go pilot. — *Amity* to piękny, nowiutki, znakomicie wyposażony frachtowiec, zmodernizowany w środku i na zewnątrz. Będzie pan miał na nim aparaturę lepszą aniżeli na każdym innym obiekcie latającym. W każdym razie lepszą niż wszystko, z czym kiedykolwiek miałem do czynienia.

To była dobra wiadomość.

— Bardzo się cieszę — Roman spojrział na monitor kontrolny. — Czy można ją stąd zobaczyć?

— Na razie jest prawie niewidoczna — pilot popatrzył przez iluminator. — Widzi pan ten punkt, w którym odbijają się promienie słoneczne? To właśnie jest *Amity*. Po prawej stronie, na skraju zagrody.

— A więc to jest część zagrody? — Roman był trochę zaskoczony. — Myślałem, że zagroda jest tam — wskazał miejsce położone trzydzieści stopni w lewo, gdzie w czer-

wonawym świetle majaczyły zaokrąglone krawędzie stacji kosmicznej.

Obok niej zauważył walcowate cielska trzech koni, z których każdy przywiązany był do niewielkiego statku. Były to z pewnością pojazdy kurierów. Posługiwali się nimi Tamplesi, którzy konsekwentnie odrzucali propozycje wykorzystania oferowanych przez Cordonale nadbiorników tachionowych, stosowanych od dawna w komunikacji międzygwiazdnej.

— To jest główna część, nazywana „Ogniskiem” — wyjaśnił porucznik. — Tutaj znajdują się biura administracji, kwatery operatorów na służbie i ośrodek badań naukowo-medycznych. Cała zagroda ma około trzystu kilometrów długości — uśmiechnął się. — Jest dużo miejsca do tresowania koni.

Roman z uwagą obserwował wskazany obszar. Po chwili spostrzegł kilka innych koni, które swobodnie poruszały się na otwartym terenie.

— Dlaczego nie uciekną? — zapytał. — Czy jest tam jakieś niewidoczne ogrodzenie?

— Tak, cały teren otoczony jest cieniutką siecią, której nie mogą przekroczyć.

Roman spojrział z ukosa na zamgloną czerwonawą gwiazdę.

— Dlaczego po prostu nie WYSKOCZA? Czyżby z powodu niskiego potencjału grawitacyjnego w okolicach gwiazdy?

— To jedna z przyczyn. SKOKI mogą odbywać się tylko między powierzchniami ekwipotencjalnymi. W rzeczywistości każda gwiazda, którą mogą stąd zobaczyć, jest znacznie większa i bardziej rozgrzana. Dlatego Tamplesi umieścili zagrodę właśnie w tym systemie. Tutejsze słońce jest zimne i bardzo gęste. Żaden SKOK się nie uda. Jest jeszcze inna przyczyna — dodał, manipulując przy monitorze nawigacyjnym, na którym po chwili ukazał się obraz wycinka sieci. — Te supełki na przecięciach nitek, o tutaj! To końcówki światłowodów, połączone z soczewkami umieszczonymi na największych gwiazdach.

— Aha — domyślił się Roman — konie widzą wokół spektrum gwiazd, ale to nie są prawdziwe gwiazdy, według których mogłyby się orientować.

— No właśnie — przytaknął porucznik. — Fałszywe światło przesłania prawdziwe gwiazdy. To jest dodatkowe zabezpieczenie. Proste i eleganckie.

Roman skrzywił się. „Proste i eleganckie”, takim sloganem posługiwali się zwolennicy technologii Tamplesów. „Prostackie i prymitywne”, odpowiadali ich przeciwnicy.

— I na pewno skuteczne — przyznał po chwili. — Skąd pan to wszystko wie?

Pilot zmarszczył brwi.

— Wiele razy rozmawiałem z Tamplesami. Chętnie dzielą się swoim doświadczeniem.

— Jeśli chcemy ich słuchać...?

— No właśnie — porucznik spojrział badawczo na Romana. — Przecież mają dość

siły, żeby zmusić nas do uległości.

— Właśnie to robią na spornych terenach — Roman z uporem odgrywał rolę adwokata diabła. — Bierny opór to też opór.

Porucznik wyraźnie sposepniał.

— Tak, to prawda, kapitanie — powiedział zmienionym głosem, sztywno i oficjalnie.

Roman celowo przedłużał chwilę milczenia.

— Wie pan, poruczniku — odezwał się w końcu swobodnie — nie znając argumentów obu stron, niepotrzebnie ulega się emocjom i pustej retoryce. To utrudnia porozumienie.

— Może tym razem nie ma płaszczyzny porozumienia?

— Zawsze można się jakoś dogadać — stwierdził Roman. — Tylko ktoś musi pierwszy wyciągnąć rękę.

Pilot spojrział na niego z wyraźną niechęcią.

— Rozumiem — powiedział. Mimo wszystko spróbował się uśmiechnąć: — Czy tym „kimś” ma być właśnie pan?

Roman zamyślił się. Stosunek do Tamplesów podzielił całą ludzkość na dwa przeciwne, a nawet wrogie ugrupowania. Niełatwo będzie przekonać drugą stronę.

— Rozjemca to jedna z ról, jaką mi przypisano — powiedział z goryczą.

— A druga? — zapytał porucznik.

— Druga to... rola kozła ofiarnego.

Do biura wślizgnęła się wysoka, szczupła kobieta około czterdziestki. Miała ciemne, lekko siwiejące włosy i bystre spojrzenie. Poruszała się zwinnie i swobodnie, jakby brak ciężenia nie sprawiał jej żadnych kłopotów.

— Porucznik Erin Kennedy — przedstawiła się. — Melduję się w wyznaczonym terminie na rozmowę przed ekspedycją.

Roman ukłonił się.

— Witam na pokładzie, poruczniku. Czy też „komandorze”?

— Wystarczy „poruczniku” — powiedziała stanowczo. — Zapewniano mnie, że zmiana stopnia nie będzie wpisana w moje dokumenty.

— I nie jest — wyjaśnił Roman. — Po prostu jeden z moich przyjaciół służył kiedyś na statku, na którym pani była nawigatorem. Nazwisko utkwilo mi w pamięci.

Przyjrzał się jej uważnie:

— Sądzę, że degradacja była dobrowolna?

— Tak, kapitanie — odpowiedziała. — Początkowo miałam być nawigatorem *Amity*, ale później odrzucono moją kandydaturę. Myślę, że to z powodu sporów w Senacie, moi protektorzy przegrali. Pozostawiono mi wybór: albo zgodzę się na degradację do stopnia drugiego oficera, albo w ogóle nie wezmę udziału w tej wyprawie.

- Ach tak — powiedział Roman z namysłem. — Bardzo pani na tym zależy?
— Tak — przyznała otwarcie. — Mam jednak inne powody niż większość załogi.
— Tanglesi właściwie pani nie obchodzą.

Było to raczej stwierdzenie niż pytanie. Z arkusza kwalifikacyjnego wynikało, że jej stosunek do Tanglesów był zupełnie obojętny, podczas gdy pozostali członkowie ekspedycji wypowiadali się jednoznacznie: za lub przeciw.

Lekko wzruszyła ramionami.

— Niezupełnie zgadzam się z tą opinią. Szczerze mówiąc, jest wiele rzeczy, które mi się u nich podobają, i wiele innych, których nie znoszę.

Doskonale ją rozumiał. Miał przecież podobne poglądy. Przez chwilę żałował, że jednak nie została nawigatorem.

— Chciałaby pani pogodzić zwaśnione frakcje? — podpowiedział uprzejmie.

— Nie mam zamiaru dostawać po nosie z obu stron — uśmiechnęła się przekornie. — Interesują mnie wyłącznie doświadczenia z końmi kosmicznymi. Nadchodzi era bezpośrednich podróży międzygwiazdnych. Towarzystwa przewozowe przeprowadzają już pierwsze próby na obszarach wydzierżawionych od Tanglesów.

— To nie takie proste. Kilka towarzystw przewozowych, które próbowały wynajmować konie zamiast statków z Mitsuushi, straciło już mnóstwo pieniędzy i zaufanie klientów. Poza tym, rozważa się wprowadzenie ograniczeń prawnych dla doświadczeń wykonywanych przez osoby prywatne.

Plany Kennedy zaniepokoiły go. „Jeszcze jeden kłopot spadł na *Amity* i jej dowódcę”, pomyślał rozgorączony.

— Sądzę, że doświadczenia z końmi kosmicznymi mogę pani spokojnie zagwarantować — powiedział po chwili. — Czy przejrzała już pani nasz plan podróży?

— Ależ, oczywiście, kapitanie. Przeczytałam też wstępne raporty na temat planet, które będziemy penetrować. Nazwano je Alfa, Beta, Gamma i Delta.

— Te nazwy to nie mój pomysł — zastrzegł się Roman. — Wymyśliłbym coś oryginalniejszego.

Uśmiechnęła się znowu.

— Ja też mam pewne doświadczenia z biurokratami produkującymi raporty — stwierdziła. — Jeszcze jedno pytanie, jeśli można: Czy wszystkie informacje pochodzą od Tanglesów?

— Tak. W każdym z tych czterech systemów będziemy pierwszymi ludźmi.

— Mówiąc krótko, wszystko jest przedstawione z ich punktu widzenia?

— Trzeba o tym pamiętać — zgodził się Roman. — Czy ma pani jeszcze jakieś uwagi na temat planu lub raportów?

Zastanowiła się chwilę.

— Chyba nie. Zauważyłam tylko, że w niektórych punktach harmonogram, a nawet

sam plan, jest trochę zbyt ogólny. Czy zrobiono to celowo?

— Rzeczywiście — przyznał Roman. — Chciałem mieć trochę swobody, bo nie wiadomo, co nas czeka. Proszę pamiętać, że to pierwszy eksperyment tego rodzaju. Będzie pani współtworzyć historię.

„A przynajmniej przypisy do historii”, mówiło jej przekorne spojrzenie.

— Tak jest, kapitanie — odpowiedziała, przemilczając wątpliwości.

— Będziemy korygować plan w trakcie wyprawy — dokończył Roman. — Oczekuję aktywnego udziału, jeśli będzie pani miała jakieś propozycje.

Sprawdził na komputerze, czy lista pytań została wyczerpana.

— Jak pani sobie radzi z załogą? Nie ma kłopotów?

— Raczej nie — pokręciła głową. — Na razie wszystko układa się pomyślnie, mimo widocznych różnic poglądów.

— W maszynowni doszło już do pierwszych konfliktów — przyznał niechętnie.

— Tak, słyszałam. Nie sądzę, żeby coś podobnego zdarzyło się wśród sterników — powiedziała pocieszająco. — Na okrętach wojennych musiałam radzić sobie z większymi problemami.

— To wszystko — zakończył Roman. — Jeśli nie ma pani więcej pytań, proszę wrócić do swoich obowiązków.

— Tak jest, kapitanie. A więc wyruszamy jutro, punktualnie o ósmej? — upewniła się jeszcze.

— Jeśli tylko Tamplesi i ich koń będą gotowi — pozwolił sobie na małą złośliwość.

Niedawno przekonał się, że nigdy nie wiadomo, czego można spodziewać się po Tamplesach. W ostatniej chwili okazało się na przykład, że maksymalną prędkość statku ustalili znacznie poniżej normy!

— W każdym razie termin jest obowiązujący, dopóki nie zostanie oficjalnie odwołany — dodał tonem wyjaśnienia.

— Moi ludzie będą w pogotowiu.

— Nie wątpię. Dziękuję za rozmowę.

Kennedy zręcznie złapała równowagę i wyslizgnęła się z kabiny.

Roman spojrział z westchnieniem na biurowy komputer. Odbił już sto dwadzieścia trzy rozmowy, pozostała ta jedna: najtrudniejsza.

Nie znał jeszcze nawigatora *Amity*, który w przeciwieństwie do reszty załogi zjawił się na statku dopiero dwadzieścia cztery godziny przed startem. Z arkusza kwalifikacyjnego i charakterystyki wynikało, że był nieprzejednanym wrogiem Tamplesów. Stanowisko zastępcy dowódcy uzyskał wskutek nacisków w Senacie, mimo niewątpliwych zasług i kompetencji Erin Kennedy.

Na tym właśnie polegała logika intryg politycznych, której, niestety, w żaden sposób nie można się było przeciwstawić. Wypowiedź Kennedy potwierdziła słuszność jego

podejrzeń. Frakcja przeciwników Tamplesów usiłowała po prostu zrównoważyć sympatie Romana wrogą postawą oficera operacyjnego. Prawie do końca miał nadzieję, że w ostatniej chwili coś się zmieni, że ciągłe konflikty przygraniczne przyczynią się do złagodzenia stanowiska tej grupy w Senacie. Teraz był już pewien, że nie ustąpią. Musiał pogodzić się z losem.

Jeszcze raz rzucił okiem na kwestionariusz nawigatora, chcąc przypomnieć sobie pewne szczegóły. Odczekał chwilę i włączył interkom.

— Czy jest u was nawigator? — zapytał podoficera-kancelistę.

— Tak, kapitanie!

— Proszę go tu przysłać!

Po chwili w drzwiach pojawił się młody człowiek. Utrzymanie równowagi sprawiało mu znacznie więcej trudności niż Erin Kennedy. „Brak doświadczenia w poruszaniu się przy zwolnionych obrotach”, zauważył Roman, odruchowo zapisując informację na komputerze.

— Witam na pokładzie, komandorze — powiedział. — Jestem kapitan Haml Roman.

— Komandor porucznik Chayne Ferrol — przedstawił się tamten oficjalnym, chłodnym tonem. — Melduję się na rozkaz.

Ferrol długo i uparcie przeciwstawiał się Senatorowi i jego przyjaciółom, zanim wreszcie dał się przekonać. Wynajdował setki przyczyn, dla których eksperyment nie miał szans powodzenia, i setki innych powodów, by nie współpracować z człowiekiem, któremu przed trzema miesiącami ledwie wymknął się z rąk. Zapewniali go, że wszystko będzie dobrze, że tylko on może spełnić tę misję...

Teraz, stojąc twarzą w twarz z Romanem, żałował, że się zgodził. W pierwszej chwili był prawie pewien, że został rozpoznany. Gorączkowo przygotowywał się do odparcia zarzutów. Kapitan patrzył na niego długo i przenikliwie...

— Czekaliśmy na pana, komandorze — odezwał się wreszcie.

Ferrol odetchnął z ulgą.

„Co za paranoja”, pomyślał wściekły, że tak łatwo dał się wyprowadzić z równowagi.

— Tak jest, kapitanie — powiedział. — Przepraszam, że zjawiam się w ostatniej chwili.

Roman machnął ręką.

— Myślę, że to wina tych, którzy pana przysłali. — Popatrzył na monitor. — Proszę mi wybaczyć, ale moim zdaniem, dwadzieścia cztery lata to trochę za mało na stanowisko drugiego oficera.

— To była honorowa nominacja — wyjaśnił Ferrol.

Właściwie zagwarantowano mu nieujawnianie tego faktu, ale najprawdopodobniej kapitan i tak by się domyślił.

— Mimo to mam pewne doświadczenie. Służyłem przez sześć lat we flocie handlowej, w tym dwa lata jako dowódca własnego statku. Jestem przekonany, że sprawdzę się jako oficer operacyjny *Amity*.

— Nie wątpię — powiedział Roman uprzejmie. — Zauważyłem tylko, że w pańskiej ankiecie nie podano wielu szczegółów. Chciałbym je teraz wyjaśnić. Po pierwsze: wielkość statku, którym pan dowodził?

— To był niewielki pojazd międzygwiazdny z piętnastoosobową załogą — odpowiedział krótko Ferrol.

— Znam ten typ. Zgrana załoga, paru dobranych kumpli, którzy kapitana traktują niemal jak Boga. Kto się nie zgadza, wysiada w najbliższym porcie. Niektórzy uważają, że to najkorzystniejszy układ — zażartował Roman, ale jego spojrzenie pozostało poważne.

— Zaoszczędzilibyśmy mnóstwo czasu — powiedział spokojnie Ferrol — gdyby pan od razu przystąpił do rzeczy i zapytał po prostu, czego tu szukam.

— Nie muszę o to pytać. Chciałbym się tylko dowiedzieć, dlaczego nienawidzi pan Tamplesów, komandorze?

— To chyba jasne — Ferrol próbował się opanować. — Przecież pan czytał moją ankietę.

Roman spojrzał na niego badawczo.

— Chodzi panu o traktat na Prometeuszu?

— Traktat? — oburzył się Ferrol. — To nie był traktat, kapitanie. To była agresja. — Ruchem głowy wskazał komputer. — Niech pan sobie poczyta oficjalne dokumenty, jeśli uda się panu wyciągnąć je z Sił Gwiazdnych. Niech pan przeczyta, jak pewnego dnia Tamplesi zapragnęli Prometeusza, chociaż to my harowali tam przez trzy lata przy budowie kolonii. Może się pan dowie, że Senat ustąpił bez najmniejszego sprzeciwu i wysłał *Defiance*, żeby usunęła nas siłą. — Głęboko wciągnął powietrze, nie mogąc opanować drżenia głosu. — Wątpię, żeby udało się panu wyczytać, że moi rodzice stracili zdrowie, nie mogąc przystosować się do nowych warunków po opuszczeniu Prometeusza i zmarli dwa lata później. Oficjalne dokumenty pomijają zazwyczaj takie drobiazgi.

— Bardzo mi przykro — powiedział Roman.

Mimo wzburzenia Ferrol zauważył, że kapitan jest naprawdę poruszony.

— Nie oczekuję współczucia, kapitanie — odrzekł stanowczo. — I niech pan nie myśli, że chcę się zemścić. Chcę tylko, żeby Cordonale poznało prawdę o Tamplesach.

— To znaczy...?

Ferrol spojrzał mu prosto w oczy.

— W oficjalnej wersji ukrywa się starannie dwa istotne fakty. Po pierwsze: to nie załoga *Defiance* wyrzuciła nas z domu. Zrobili to Tamplesi, bezwzględnie i brutalnie. Po

drugie: napadli na nas dokładnie cztery dni przed podpisaniem traktatu.

Roman milczał przez dłuższą chwilę.

— Chce pan powiedzieć — przemówił w końcu — że Tamplesi użyli broni?

— Chcę powiedzieć — sprostował gwałtownie Ferrol — że dokonali agresji, a Senat im na to pozwolił.

— Może pomylił pan daty — kapitan próbował oponować. — Był pan jeszcze bardzo młody.

— Miałem prawie siedemnaście lat — przerwał Ferrol. — To wystarczy, żeby znać miesiące i dni tygodnia i umieć przeliczać miary lokalnego czasu na czas ziemski. — Spojrzał na kapitana. — To nie pomyłka. Oficjalna wersja przedstawiająca Tamplesów jako pacyfistów i miłośników natury jest zwyczajnym kłamstwem. Wiem o tym równie dobrze jak Senat, a cała reszta Cordonale też powinna się o tym dowiedzieć.

— W jaki sposób chce pan to osiągnąć? — zapytał ostro Roman.

— Myli się pan co do moich zamiarów, kapitanie — Ferrol nie dał się sprowokować. — Nie będę zmuszał Tamplesów, żeby pokazali prawdziwe oblicze. Nie powinienem tego robić ze względu na ludzi, z którymi będę współpracował przez trzy miesiące. Chcę tylko ujawnić oczywiste zakłamanie.

Roman zdawał się nie dostrzegać ukrytego zarzutu pod swoim adresem.

— Rozumiem — skinął głową. — Jeszcze jedno pytanie: Czy mając taki stosunek do Tamplesów jest pan gotów powierzyć im życie?

Ferrol zastanawiał się chwilę.

— Co pan ma na myśli?

— Naprawdę pan nie rozumie? — Roman wzruszył ramionami. — *Amity* jest frachtowcem o zmodyfikowanym systemie, nie przystosowanym do współpracy z Mitsuushi. Wszystkie szlaki międzygwiazdne będziemy pokonywać przy pomocy koni kosmicznych. Zresztą, odległości pomiędzy systemami znacznie przekraczają normalny zasięg Mitsuushi.

Ferrol poczuł skurcz w żołądku.

— Nie powiedziano mi o tym — wymamrotał. — A więc będziemy posługiwać się oswojonymi końmi, a tylko Tamplesi potrafią porozumieć się z tymi bestiami. To jest trochę... lekkomyślne, kapitanie.

— Możliwe — Roman popatrzył na niego ze zrozumieniem. — Jestem gotów przyjąć pańską rezygnację.

Lęk ustąpił miejsca hamowanej wściekłości. Ferrol nie znosił, gdy traktowano go jak dziecko.

— Dziękuję, kapitanie. Chcę jednak zostać — odpowiedział z godnością.

Roman przez chwilę mierzył go wzrokiem.

— W porządku, komandorze — powiedział poważnie. — Witam na pokładzie *Amity*

Wyruszamy jutro punktualnie o ósmej. Proszę stawić się na pomoście dwie godziny wcześniej!

— Zrozumiano!

— Może pan odejść. Do zobaczenia!

Ferrol skierował się do sektora oficerskiego, znacznie oddalonego od biura. Posuwał się z wielkim trudem, walcząc ze zmianami grawitacji i siłą Coriolisa. Wykonywano właśnie rutynowe czynności przed odlotem: zmiany prędkości obrotowej statku to najszybszy sposób jednoczesnej kontroli dyszy obrotowych, koła zamachowego i odporności konstrukcji. Ferrol nienawidził rutynowych czynności! Nawet jeśli były skuteczne.

„Rutynową czynnością w polityce jest kłamstwo”, pomyślał rozgoryczony. Okłamali go, celowo przemilczając fakty. Najgorsze, że sam ponosił część winy. Do diabła, dlaczego nie przyszło mu do głowy, żeby zapytać, czy *Amity* jest wyposażona w Mitsuushi!

Dotarł wreszcie do swojej kabiny, starannie zamknął drzwi i rzucił się na łóżko. Przez niewielkie okienko widać było przesuujące się gwiazdy, ale w tej chwili nie interesowała go panorama. Jego kabina była ostatnia w tej części statku. Od Tamplesów dzieliła go tylko cienka ściana — sześć centymetrów metalu i izolacji akustycznej. Zamyślony wpatrywał się w grodz...

Przekłęci Tamplesi! Wykrzywione twarze, idiotyczne kraciaste apaszki, do tego skowyczące głosy i drażniący odór. „Biotechnologia”, która nie zasługiwała na tę nazwę. Szlachetne ideały, wzniosłe słowa i... brutalne zachowanie. Wspomnienie Prometeusza odżyło w pamięci i na chwilę owładnął nim paniczny strach.

Otrząsnął się wkrótce. Nie był już bezradnym szesnastolatkiem. Wiele zmieniło się od czasów Prometeusza!

Sięgnął ręką do jednej z szuflad pod koją i spod stosu koszul wydobyl wąski, czarny futerał. Właściwie nie powinien go tu zostawiać, póki Roman nie dokonał kontroli bagażu... Sprawdził szybko wmontowany czujnik i uspokoił się stwierdzając, że zamek był nietknięty. Nastawił szyfr, zamek cicho zazgrzytał. Ferrol uniósł wieko i wyciągnął ze środka płaski pistolet iglicowy wraz z zapasem nabo i pozwoleniem na posiadanie broni. Odłożył pistolet na łóżko, obracając go lufą do ściany.

Potem sięgnął po prawdziwą broń. Była to na pozór zwyczajna koperta, ukryta między podwójnymi ściankami futerału. „Zastosować w razie konieczności”, odczytał krótką instrukcję wypisaną na wierzchu drobnym, starannym pismem Senatora. Przez chwilę miał wrażenie, że sam Senator odezwał się do niego z właściwą sobie łagodną stanowczością i zdecydowaniem.

Uspokoił się powoli. Nie był już bezradnym chłopcem z Prometeusza. Wierzył, że tym razem zwycięży Tamplesów.

Po wyjściu Ferrola Roman długo wpatrywał się w drzwi, wsłuchany w bicie wła-

snego serca. Był wprawdzie przygotowany na rozmowę z wrogiem Tamplesów, ale nie spodziewał się takiej ślepej nienawiści. Przeraził go bezmiar gwałtownych emocji, które wyczuwał niemal w każdym słowie Ferrola. Ból i gniew były wciąż żywe, jakby wypadki na Prometeuszu zdarzyły się zaledwie wczoraj. Wspomnienie klęski i upokorzenia przetrwało przez osiem lat, podsycane świadomością, że Senat ukrywał prawdę o tamtych wydarzeniach.

Niestety, Ferrol miał rację. Kapitan znał fakty z oficjalnych raportów.

Popatrzył na interkom i z trudem oparł się pokusie. Wystarczyło nacisnąć guziczek: jedna krótkka, choć niełatwa, rozmowa i Ferrol musiałby odejść. Jednak bomba zegarowa przeciwników Tamplesów zostałaaby wprawdzie usunięta, ale zbyt wielkim kosztem. Mogliby z zemsty udaremnić misję *Amity*, która była przecież ostatnią szansą powstrzymania wojny.

Nie mógł ryzykować. Na chwilę przymknął oczy ze zmęczenia. Nie miał wyjścia. Musiał w dalszym ciągu prowadzić grę z Ferrolem. Dać mu wolną rękę i czekać, aż wykona pierwszy ruch, któremu będzie można przeciwdziałać.

Na razie trzeba zająć się statkiem. Starając się nie myśleć o Ferrolu, włączył monitor kontrolny i wrócił do swoich zajęć.

Próbował nie dostrzegać, jak bardzo jego plan oczekiwania na rozwój wypadków przypomina sposób postępowania zwolenników Tamplesów w Senacie.

ROZDZIAŁ 4

Następnego ranka, dokładnie o ósmej dwanaście *Amity* znalazła się w pobliżu zagrody Tamplesów. Kosmiczny koń, który wyniósł statek w przestrzeń, ciągnąc go na prawie niewidocznej, kilometrowej linii, nazywał się Pegaz.

Roman wiedział, że widok ze statku poruszanego przez konia kosmicznego jest wspaniały. Nie spodziewał się jednak, że cudowna okaże się również sama podróż. Cisza, która panowała wokół, wydała mu się niezwykła. Od dawna przyzwyczał się do różnych dźwięków silnika jądrowego. Znał głuche, choć przenikliwe brzęczenie oznaczające stan gotowości. Znajomo brzmiał jednostajny huk pełnego przyspieszenia. Zazwyczaj, odgłosy te podczas pracy silnika ani na chwilę nie ustawały, dlatego osiągnięcie jednostajnego przyspieszenia bez najmniejszego śladu znajomych dźwięków wzbudzało podziw i odrobinę niepokoju.

Brak odgłosów silnika oznaczał oczywiście brak wibracji pokładu, a także wyeliminowanie delikatnych ruchów tocznych, powodujących zwykle pewną nierównomierność ciągu pomiędzy dyszami silnika. Właściwie miał wrażenie, że nadal przebywa w symulatorze naturalnej wielkości podczas ćwiczeń w Akademii.

— Minęliśmy dalszą krawędź ogrodzenia — zameldowała Kennedy przy sterze.
— Operatorzy sygnalizują zwiększenie przyspieszenia do dziewięciu dziesiątych.

Roman skinął głową. Spodziewał się, że Kennedy obejmie ster na tym etapie podróży. Nie zawiodła go. Doświadczenia z końmi kosmicznymi interesowały ją naprawdę.

— Jakie ETA przewiduje się dla najbliższego SKOKU? — zapytał.

— Godzina i dwadzieścia minut — odpowiedziała. W tej chwili ciężenie zaczęło lekko wzrastać.

— Oczywiście, jeśli utrzymamy ten kurs przy minimalnym zużyciu energii.

— Właściwie nie śpieszy się nam, poruczniku — powiedział Roman. — Poza tym, chcę w czasie tej wyprawy wypróbować z Pegazem różne manewry. Minimalna energia, minimalny czas, prostoliniowość — zna pani te parametry.

Ferrol obrócił się na swoim stanowisku.

— Myślę, że nie ma pan zamiaru badać granic możliwości kosmicznego konia

— próbował oponować. — Słyszałem, że bez widocznego wysiłku pokonują pięć G.
Roman potrząsnął głową.

— Nie szukam granic, tylko różnic, komandorze. Odwrócił się do człowieka z obsługi skanera.

— Poruczniku Marlowe, jaki mamy sygnał z repetytora zasilacza kontaktowego?

— Wzmaga się — stwierdził Riddick Marlowe. — Rejestruję na dwóch osobnych taśmach, według rozkazu.

Roman skinął głową. Odwracając się zauważył, że Ferrol myśli nad czymś ze zmarszczonym czołem.

— Co pan o tym sądzi, komandorze?

Ferrol zawahał się chwilę, a potem szybko potrząsnął głową.

— Nie, pomyliłem się — powiedział jakby sam do siebie. — Jeśli chodziłoby tylko o zarejestrowanie sygnałów z hełmu kontaktowego, to można by taką bibliotekę skompletować znacznie wcześniej.

— No właśnie — zgodził się Roman. — Oczywiście to nie jest powód, dla którego opracowujemy listę prawidłowych komend. Bezpośredni i natychmiastowy kontakt z Tamplesami jest konieczny ze względu na kierowanie kosmicznymi końmi — zmarszczył brwi. — Czy pana interesuje kierowanie końmi?

— Oczywiście — odpowiedział Ferrol. — Jak wszystkich. Jeśli mamy zamiar kiedykolwiek wyruszyć dalej niż kilkadziesiąt lat świetlnych od bazy, będziemy potrzebować albo własnych koni, albo gruntownej przeróbki Mitsuushi.

— Ewentualnie długoterminowej umowy dzierżawnej z Tamplesami — wtrąciła Kennedy.

Ferrol popatrzył na nią.

— Dzierżawa ma swoje granice. Nie sądzę, żeby kolonizacja mogła się na niej oprzeć.

— Oczywiście, że nie, jeśli tamci będą siedzieć kolonistom na karku i wiecznie krytykować nasze plany — po cichu zgodził się Marlowe. — Czasami wydaje mi się, że Tamplesi uważają nas za gromadę ośmiolatków, którym trzeba matkować.

Kennedy roześmiała się, Ferrol milczał.

— Może ma pan rację — powiedział Roman do Marlowe'a. — Proszę tylko zauważyć, że czasami rzeczywiście zachowujemy się jak ośmiolatki.

— To prawda, kapitanie. — Marlowe wzruszył ramionami.

Patrzył Romanowi prosto w twarz, jakby chciał stwierdzić, w jakim stopniu nowy dowódca toleruje komentarze załogi.

— Uważam jednak, że większość takich zachowań świadczy o naszym poczuciu humoru. Tamplesi zupełnie go nie posiadają.

— Może — zgodził się Roman. — Jeśli nawet mają jakieś poczucie humoru, to dla

nas całkowicie niezrozumiały. Tak jak ich mowa i przedmioty...

Pochylił się, odpinając pasy.

— Komandorze, obejmuje pan służbę na pomoście — zwrócił się do Ferrola i po raz ostatni spojrzął na instrumenty. — Myślę, że wrócę przed SKOKIEM.

— Tak jest, kapitanie — rzekł Ferrol. — Czy mógłbym się dowiedzieć, gdzie pana szukać?

— Będę na lewej burcie — odpowiedział Roman. — Pora na kurtuazyjną rozmowę z Tamplesami.

Przedziały ludzi i Tamplesów na *Amity* były połączone czterema korytarzami, z których każdy wyposażono w standardową służbę powietrzną. Obok służby znajdował się wieszak na maski. Roman wybrał jedną z nich i założył na twarz, starając się, by ruchome zaciski dokładnie opinały nos, czoło i brodę. Słyszał różne historie o tym, jak Tamplesi cuchną w zamkniętym pomieszczeniu, byłoby naprawdę nieprzyjemnie, gdyby zemdlilo go przy pierwszej wizycie. Włączyła się służa, wymieniająca powietrze na czystsza mieszaninę tlenu i azotu. Po około trzydziestu sekundach zasygnalizowała zakończenie cyklu. Roman ostrożnie odetchnął przez maskę i otworzył drzwi.

Za drzwiami był inny świat. Przez chwilę stał w progu, przyglądając się. Panował półmrok, światło było przyćmione, powietrze zimne i suche, poruszane lekkim podmuchem, który przypominał trochę leśny wiaterek. Wzdłuż ścian i sufitu umieszczono w nieregularnych odstępach różnego rodzaju artystyczne przedmioty — małe rzeźby i reliefy. O dziwo, mimo braku symetrii wyposażenie tworzyło jednolitą, harmonijną całość. Każdy nie wykorzystany centymetr kwadratowy ściany i podłogi pokryto miękkim, zielonym dywanem. Roman rozpoznał w końcu tę dziwną wykładzinę: była to wyjątkowo odporna odmiana mchu, zastosowana przez Tamplesów jako prosty filtr i wymiennik powietrza. Efekt przewyższał jednak wszelkie oczekiwania: wykładzina przypominała raczej egzotyczne sztuczne tworzywo niż zwyczajną ziemską roślinę.

Zwolennicy Tamplesów zapewniali często, że zmysł estetyczny tych istot jest nie tylko bardziej rozwinięty, ale i bardziej praktyczny niż ludzi. „Jeśli to reprezentatywny przykład”, pomyślał Roman, „to mieli rację”.

— Rro-maa? — usłyszał powitanie z głębi pomieszczenia.

Zdecydował się i postąpił kilka kroków po uginającym się jak dywan mchu. Skierował się w stronę głosu.

Po raz pierwszy spotykał się twarzą w twarz z Tamplesem. Właściwie był trochę rozczarowany. Wskutek konfliktu, który od dziesięciu lat powoli narastał, i na podstawie wypowiedzi takich ludzi jak Ferrol, twierdzących, iż Tamplesi stanowią zagrożenie dla ludzkości, wyobrażał sobie, że są to istoty, które mimo niskiego wzrostu wytwarzają wokół siebie atmosferę powagi, a nawet grozy. Co do wzrostu miał rację, ale reszta była pomyłką. Tamples, który odwrócił do niego skrzywioną twarz, był chudy i niepozorny,

wąskie ramiona były przygarbione jak u starca, dłonie splecione na brzuchu. Cerę miał bladą jak obłożnie chory, a wyrastające w nieregularnych odstępach kępkę sztywnych włosów na głowie wyglądały zupełnie jak zwoje cienkiego miedzianego drutu. Wydawał się zdumiewająco słaby i w pierwszej chwili Roman nie potrafił zrozumieć, jak można było kiedykolwiek traktować te stworzenia serio, a nawet się ich obawiać.

Potem przypomniał sobie Prometeusza i... natychmiast spoważniał. Tak, Tamplesów rzeczywiście nie można lekceważyć. W tej chwili zwrócił uwagę na chusteczkę w żółto-pomarańczowe wzory zawiązaną luźno wokół szyi Tamplesa. To szczególne zestawienie kolorów należało do...

— Rin-saa? — zidentyfikował go niepewnie.

— To ja — potwierdził Tamples. — Ty jesteś Rro-maa?

— Tak, jestem kapitan Roman — skinął głową. — Nie byłem tutaj oczekiwany?

Tamples szybko dotknął palcami ucha. Roman przypomniał sobie, że u nich oznacza to wzruszenie ramion.

— Czy chciałbyś obejrzeć wszystko?

Była to naprawdę kusząca propozycja. Jeśli reszta przedziału Tamplesów jest urządzona równie niezwykle, to chyba warto zobaczyć całość. Ale można z tym poczekać!

— Nie, dziękuję, Rin-saa — odpowiedział. — Na razie chciałbym obejrzeć wasz ośrodek dowodzenia.

— Nie rozumiem.

— Ośrodek dowodzenia. Centralę, z której kierujesz lotem *Amity* i wydajesz odpowiednie rozkazy.

— Ja nie wydaję rozkazów, Rro-maa — powiedział Rin-saa. — Ja nie kieruję.

Roman milczał chwilę.

— Aha, przepraszam. Myślałem, że dowodzisz tą częścią statku.

Rin-saa szeroko otworzył usta, jakby naśladowując uśmiech człowieka, co u Tamplesów oznaczało zaprzeczenie.

— Mówię za wszystkich — powiedział Rin-saa — nie rozkazuję.

— Rozumiem — powiedział Roman, chociaż właściwie nic nie rozumiał. Ani anarchia, ani grupowe dowodzenie nie jest chyba najlepszym sposobem kierowania statkiem.

— Jeśli jednak nie ty jesteś dowódcą, to kto?

Rin-saa dotknął dłonią ucha:

— No, ty, Rro-maa.

— Aha — mruknął Roman.

Zaczynał rozumieć...

— Mówisz, że dopóki twoja załoga zgadza się, żeby człowiek dowodził *Amity*, mogę wam wszystkim wydawać rozkazy?

— Masz rację.

Roman wiedział, że nie ma racji. Skoro Tamplesi urządzili swoje pomieszczenia i zorganizowali załogę bez żadnej pomocy ludzi, to z pewnością wszystkie proste operacje porządkowe będą także wykonywać bez ich udziału. Rrin-saa nie wydawał się zainteresowany opracowaniem specjalnego łańcucha rozkazów.

— Gdzie są więc repetytory sygnałów z pomostu? — zapytał Roman.

— U operatorów.

Roman skinął głową.

— Pokaż mi je, jeśli możesz.

Pomieszczenie operatorów znajdowało się tuż za magazynem na dziobie, naprzeciwko pomostu *Amity*. Pośrodku kabiny siedział Tamples w zielono-purpurowej chusteczce i mrucał coś pod nosem. Miał szeroko otwarte oczy, ale nie zwracał uwagi ani na Romana, ani na Rrin-saa. Z lewej strony wzdłuż wewnętrznej ściany znajdowały się repetytory, rozmieszczone w nieuporządkowanej kolejności. Z prawej, przyciśnięty do ściany zewnętrznej, siedział drugi Tamples. Tkwił w niewygodnej pozycji, odwracając w stronę iluminatora twarz ukrytą pod wielkim, wieloprzewodowym hełmem. Przewody wychodziły na zewnątrz do metalowej klatki, w której...

Gdy Roman odważył się spojrzeć drugi raz, nie było aż tak źle. Musiał tylko pamiętać, że to bezwłose, prosiaczkowate stworzenie ma właśnie tak wyglądać i choć teraz spokojnie śpi, jest żywe, a jego podłączone do sieci zwoje mózgowe mają pojemność równą najlepszym komputerom z Cordonale. Wiedział, że wszystkie komputery Tamplesów opierały się na tej samej zasadzie. Nie takiej prostej, ale zawsze... eleganckiej.

— Sso-ngii — powiedział Rrin-saa, wyciągając obie ręce w kierunku Tamplesa w hełmie. — Rozmawia z Pegasunninni.

— Pega...? Aha! — zrozumiał Roman.

Pegasunninni, tak Tamplesi nazywali konia Pegaza, dodając do jego nazwy swoją końcówkę.

— Ten drugi to Hhom-jee? — zapytał, mając nadzieję, że dobrze zapamiętał zestaw kolorów na chusteczce.

— Masz rację — potwierdził Rrin-saa. — On odpoczywa.

— Ach tak — odrzekł Roman, patrząc z zainteresowaniem na mruczącego Tamplesa.

Tamplesi sypiali kilka razy na dobę w nieregularnych odstępach czasu i wykazywali podczas snu większą aktywność fizyczną niż ludzie. To wyraźne odstępstwo od ziemskiego rytmu dobowego spowodowało już wiele nieporozumień podczas pierwszych prób nawiązania współpracy. Ludzie nigdy nie byli pewni, czy Tamplesi po prostu nie udają. Dla tych ostatnich zaś, ludzki zwyczaj przesypiania jednej trzeciej doby musiał być po prostu irytujący. Nie było to jednak pewne, bo nigdy nie wypowiedali się na ten

temat.

— Domyślam się, że będzie zastępował Sso-ngii, gdy ten pójdzie spać?

— Masz rację — powiedział Rrin-saa, wskazując dwoma rękoma tym razem na Hhom-jee. — On jest drugim, który rozmawia z Pegasunninni.

— Tak, pamiętam, że na liście załogi było trzech operatorów. — Roman wskazał na Sso-ngii i bezwłose, uwięzione w klatce stworzenie. Tym razem nie wyglądało tak strasznie. — Chciałbym obejrzeć z bliska hełm kontaktowy, jeśli nie będzie to jemu przeszkadzać!

— Nie zbliżaj się!

Roman zatrzymał się wpół kroku.

— Dlaczego nie?

— On rozmawia z Pegasunninni powiedział Rrin-saa.

— I co...?

— Tobie nie wolno — powiedział Sso-ngii.

Roman nie zauważył, że operator od pewnego czasu przysłuchuje się rozmowie.

— I dlatego nigdy nie będziemy mogli kierować końmi kosmicznymi? — zwrócił się do niego rozgoryczony. — Ani nawet trzymać ich na uwięzi?

— Nie wiem — powiedział Sso-ngii. — Wiem tylko, że ludzie czasami męczą nasze konie. To wszystko.

Hm. Roman zacisnął wargi.

Przez moment zawahał się myśląc, co powinien teraz zrobić lub powiedzieć. Odwrócił się do Sso-ngii. W tej chwili przypomniał sobie o repetytorach i podszedł bliżej, by je dokładnie obejrzeć. Były oczywiście oznaczone pismem Tamplesów. Na szczęście znajomość ich pisma zdobyta na intensywnym kursie wystarczyła, by w ciągu minuty odszukać właściwy aparat.

— Chyba wrócę na pomost — powiedział do Rrin-saa. — Jesteśmy coraz bliżej SKOKU.

— Rozumiem — odpowiedział Rrin-saa. — Rro-maa, ta wyprawa ma wielkie znaczenie dla Tamplissta. My was rozumiemy, ale wy nie rozumiecie nas. Ten brak harmonii nie powinien trwać dłużej.

Roman skinął głową:

— Masz rację — powiedział. — Będziemy wspólnie nad tym pracować, Rrin-saa. Może uda nam się znaleźć nieco zrozumienia u moich ludzi.

— To nadzieja dla Tamplissta. Jeśli nie... — dotknął dłonią ucha i nie dokończył zdania.

— Rozumiem — powiedział Roman. Jeśli nie, to Ferrol może wywołać wojnę.

Pół godziny przed przewidywaną pozycją SKOKU, kapitan wrócił w końcu na pomost. Ferrol odpiął pasy i wstał z fotela dowódcy.

— Kapitanie, zbliżamy się zgodnie z planem, dwadzieścia siedem minut do SKOKU. Na podstawie kursu wyznaczonego przez Kennedy wnioskuję, że przed SKOKIEM nie zmniejszymy prędkości do zera.

— Słusznie, komandorze — powiedział Roman. — Konie kosmiczne zwykle wykonują SKOK w ruchu, czasem dość znacznie przekraczając prędkość wyjściową.

W rzeczywistości Ferrol miał o wiele większe doświadczenie w tych sprawach niż kapitan. Stracił kilka koni, zanim nauczył się skradać tak, aby ich nie wystraszyć.

— Tak, kapitanie. Przypuszczam, że przynajmniej chce pan najpierw wytracić przyspieszenie.

Roman zastanowił się.

— Dobry pomysł — rzekł po chwili. — Nie mam pojęcia, czy koń potrafi SKOCZYĆ przy przyspieszeniu?

Ferrol zmarszczył brwi, usiłując sobie przypomnieć. Pamiętał przynajmniej jednego konia w systemie Yishyar, który wykonał błyskawiczny SKOK z sieci. Ale czy rzeczywiście uciekł podczas przyspieszenia...?

— Nie jestem pewien — odpowiedział. — Nie pamiętam, żebym czytał coś na ten temat. Właściwie nie wiem, dlaczego miałyby to być niemożliwe.

— Ja też nie wiem. Spróbujemy, zobaczymy.

„A jeśli Tamplesi nie chcą, żebyśmy się dowiedzieli?”, pomyślał Ferrol ironicznie. Nie mógł jednak zapytać głośno. W obowiązującej opinii Tamplesi byli uczciwi, szczerzy i gotowi do podzielenia się całą swoją wiedzą z drogimi braćmi, ludźmi. Jedno było pewne: kapitan jest specjalistą w wykonywaniu oficjalnych dyrektyw.

— Tak jest — powiedział Ferrol. — Czy mam powiadomić Tamplesów?

Przez chwilę sądził, że Roman zgodzi się na tę propozycję. Jednak nie:

— Dziękuję, komandorze. Sam to zrobię — kapitan usiadł w fotelu dowódcy i przebiegł wzrokiem wszystkie monitory.

Marlowe popatrzył na niego ze stanowiska obsługi skanera.

— Niech pan zapyta, kapitanie, dopóki ma pan połączenie, czy ten pył nie przesłania Pegazowi widoku planety docelowej?

— Nie powinno być tyle pyłu w takiej odległości od ekliptyki — Roman zmarszczył brwi i włączył odpowiedni odczyt na monitorze.

— Ja też tak uważam — przytaknął Marlowe. — Ale jest. Zdaje się, że otacza nas ze wszystkich stron, gęstość powoli rośnie.

Gdy na ekranie pojawiły się liczby, Ferrol spojrzał Romanowi przez ramię.

— Nie ma problemu — stwierdził. — To tylko pot Pegaza.

Roman popatrzył na niego.

— Nie sądzę, żeby rozpylony pot mógł mieć taką gęstość.

Ferrol wzruszył ramionami.

— Koń wykonuje ciężką pracę, chociaż nie widać po nim wysiłku — odpowiedział.
— A wokół jest tyle przestrzeni, w której może gromadzić się pył.

— I oczywiście przy takim przyspieszeniu cała masa spada na nas — przytaknął Roman. — Ciekawe. Jest to jeden z problemów związanych z kosmicznymi końmi, na które dotąd nikt nie zwrócił uwagi. Myślę, że w ciągu najbliższych kilku miesięcy napotkamy ich więcej.

„Nie mogę czekać”, pomyślał Ferrol. Zostawił Romana i wrócił na swoje stanowisko. Słuchał jednym uchem, jak kapitan omawia z Tamplesami związek między przyspieszeniem a SKOKIEM. Oni też nie wiedzieli, czy konie kosmiczne mogą SKAKAĆ w czasie przyspieszenia, ale operatorzy byli gotowi spróbować.

„Oczywiście nie wiedzą”, pomyślał Ferrol z odrobiną goryczy. Była to pierwsza rzecz, którą Tamplesi musieli sprawdzić, wykorzystując konie do działań wojennych. I nie zrobili tego? Roman oczywiście weźmie wszystko za dobrą monetę, on przecież nie zamierza wykorzystywać koni do działań wojennych...

— Komandorze?

Nim Ferrol odwrócił się do kapitana, jego twarz zmieniła wyraz.

— Słucham, kapitanie?

Przez krótką chwilę Roman zdawał się badać Ferrola, jakby odgadując jego myśli.

— Chciałbym uzyskać próbkę tego pyłu — powiedział. — Proszę powiadomić sekcję badawczą, a potem kontrolować operację przez interkom.

Ferrol spojrzał na chronometr:

— Czy chce pan mieć próbkę przed czy po SKOKU, kapitanie?

Roman zacisnął wargi.

— To ważne pytanie — przytaknął z namysłem. — Skład chemiczny może się zmieniać. Weźmy po jednej próbce przed i po SKOKU, a potem do końca wyprawy po dwie każdego dnia. — Popatrzył na główny monitor. — Warto by wziąć pod uwagę, że one jedzą meteory, i sprawdzić, co jest produktem rozkładu.

— Zwłaszcza jeżeli ich pokarm zamieniałby się w złoto, platynę albo iryd — dopowiedziała Kennedy.

Roman skinął głową.

— Ja także o tym myślałem — przyznał.

Ferrol krzywił się z lekceważeniem. Zatelefonował do sekcji badawczej. To wieczne, niezmiennie pragnienie zysku!

Czytał kiedyś, że starożytni Rzymianie utrzymywali ożywione stosunki handlowe ze swoimi wrogami, póki nie zostali przez nich zniszczeni. „Nie znając historii, jesteśmy skazani na powtórkę”, podsumował gorzko w myślach.

Amity została zarejestrowana jako statek naukowo-badawczy i liczna ekipa naukowców okazała się lepsza, niż Ferrol się spodziewał. Dziesięć minut przed SKOKIEM wy-

niki wstępnej analizy pierwszej pobranej próbki były gotowe. Ferrol cieszył się po cichu, że pył składający się z dziwnych, egzotycznych krzemianów nie zawierał ani trochę złota, platyny czy irydu.

ROZDZIAŁ 5

Roman nacisnął klawisz. Na ekranie pojawił się wynik wstępnej analizy potu kosmicznego konia. Głównie krzem i żelazo. Śladowe ilości wapnia, magnezu i glinu. Nic szczególnie pożytecznego ani w czystej postaci, ani w mieszaninie.

— Czy jest już gotowa analiza budowy cząsteczek? — zapytał.

— Jeszcze trwa — powiedział Ferrol, odwrócony do telefonu. — Niektóre cząsteczki są bardzo złożone, ale nie stwierdzono niczego, co miałoby jakąś większą wartość.

— Dobrze, niech oznaczają i przechowują wszystko, co tylko da się wyizolować — polecił Roman.

— Tak jest! — powiedział Ferrol i przekazał rozkaz badaczom.

Ukrywając rozczarowanie, Roman powrócił do głównego monitora. Oczywiście nie spodziewał się bryłek złota! W ciągu dwudziestu lat kontaktów z Tamplesami pot był zapewne analizowany dziesiątki razy i to przez ludzi, którym bardziej niż jemu zależało na zrobieniu pieniędzy dzięki koniom kosmicznym. To mogło być piękne!

— Poruczniku? Czas SKOKU?

— Minuta do SKOKU, kapitanie — odpowiedziała Kennedy. — Operatorzy sygnalizują gotowość, wszystkie układy wskazują zielone światło.

— Marlowe?

— Wszystkie czujniki zewnętrzne i wewnętrzne są włączone — zameldował Marlowe. — Zarejestrujemy wszystko, co da się podczas SKOKU zauważyć.

Roman skinął głową.

— W porządku — powiedział, machinalnie zapinając pasy. — Zobaczymy!

Przed paroma miesiącami Roman stwierdził, że SKOK kosmicznego konia to widok zupełnie nieefekowny. Teraz przekonał się, że przeżycie również. Nie było żadnej sensacji. W pierwszej chwili płynęli przy dziewięciu dziesiątych G przez system Kialinninni, mając z tyłu zamglone, czerwone słońce, w następnej poruszali się tak samo, tylko wprost przed sobą widzieli słońce o białym, oślepiającym blasku.

— Marlowe? — odezwał się Roman.

— Nic, kapitanie — Marlowe potrząsnął głową. — Żadnych sygnałów ani innych śla-

dów na czujnikach wewnętrznych. Na zewnętrznych... też brak jakichkolwiek danych.

— Jakie kwantum czasu podały czujniki? — zapytał Roman. — Przypominam, że norma wynosi pół piko-sekundy?

— Nawet lepiej, kapitanie — powiedział Marlowe. — Podręcznik określa minimum na pięć setnych pikosekundy. My natomiast mamy mniej więcej jedną dziesiątą pikosekundy.

„Jedna dziesiąta pikosekundy albo jeszcze mniej. To według każdej rozsądnej definicji czas zero”, pomyślał z podziwem kapitan.

— Dziękuję! Poruczniku Kennedy? Czy zlokalizowaliśmy już Alfę?

— Obliczenia jeszcze trwają, kapitanie — powiedziała Kennedy swoim zwykłym, swobodnym tonem, jakby co najmniej raz w tygodniu wykonywała SKOK z kosmicznym koniem. — Komputer zidentyfikował położenie ekliptyki, a teraz na podstawie danych uzyskanych od Tamplesów szuka planety Alfa. Wynik będzie za kilka minut.

Roman skinął głową. Na wspomnienie Tamplesów coś nagle przyszło mu do głowy. Połączył się z kabiną operatorów.

— Tu kapitan Roman. Sso-ngii, czy możesz teraz rozmawiać?

Przez chwilę panowała cisza, a potem na ekranie ukazał się Tamples ze skrzywioną twarzą, wciśniętą między hełm kontaktowy a czerwono-białą chusteczkę. Na szczęście tym razem śpiące zwierzę było niewidoczne.

— Słucham — powiedział Sso-ngii. — Czego sobie życzysz?

— Czy Pegaz wie, gdzie jest planeta, do której zmierzamy? Czy może ją stąd wy-czuć?

Twarz Tamplesa była jak zawsze nieprzenikniona.

— Nie wiem — zaskowyczał. — Wiadomo, że konie kosmiczne mogą widzieć wiele odległych gwiazd i ciał stałych w zasięgu telekinezy. To wszystko.

— Taak — mruknął Roman ze złością, chociaż właściwie niczego więcej się nie spodziewał.

Szczególnie irytującą cechą Tamplesów był ośli upór w udzielaniu wymijających odpowiedzi. Wypytywanie Sso-ngii doprowadziłoby najwyżej do uzyskania zawiłych informacji o życiu kosmicznych koni. Co zresztą mogło się kiedyś przydać, nie warto więc było się obrażać.

— No dobrze — powiedział do Tamplesa. — Bądźcie przygotowani. Za pięć minut będziemy mieć lokalizację i podamy wam kierunek. Do tej pory, być może, Pegaz zmniejszy przyspieszenie.

— Wasze życzenia są naszymi!

Roman ze zmarszczonym czołem spoglądał w ekran. Zastanawiał się, czy Tamplesi mogą być sarkastyczni. Chyba raczej nie.

— Bardzo dobrze! Wykonać!

Przerwał połączenie. Czując gwałtowny zawrót głowy, uchwycił się oparcia fotela. *Amity* przechodziła do stanu zero G. Sygnał ujemnego przyspieszenia włączył się zbyt późno. Roman zaklął pod nosem. Według podręcznika, ujemne przyspieszenie silnika jądrowego razem ze schładzaniem trwa pięć minut. Znowu zwiodło go dawne przyzwyczajenie.

— Kapitanie? — W jego myśli wdarł się pozornie obojętny głos Ferrola, nie wolny jednak od satysfakcji spowodowanej kłopotami dowódcy. — Sekcja badawcza melduje o pobraniu następnej próbki potu. — Ferrol zmarszczył brwi. — Czy mają nadal zajmować się jego analizą?

Roman spojrział mu w oczy:

— Czy otrzymał pan jakieś inne rozkazy, komandorze? — zapytał łagodnie.

Skóra wokół oczu Ferrola ściągnęła się lekko.

„Czyżby liczył na mój wybuch?”, pomyślał Roman.

— Nie, kapitanie — przyznał Ferrol tym samym tonem.

— Zatem mógł pan spokojnie uważać, że nadal czekam na wyniki analizy. Czyżby był pan innego zdania?

— Tak, kapitanie — kąciki ust Ferrola zadrżały lekko ze zdenerwowania.

Musiał się bronić, a nigdy tego nie lubił. — Pomyślałem — dodał — że może warto zmienić rozkaz, ponieważ pierwsze wyniki okazały się negatywne.

Roman przez chwilę wpatrywał się w nawigatora, obserwując, jak rośnie jego zdenerwowanie.

— To statek badawczy, komandorze — powiedział po chwili. — Naszym zadaniem jest zbieranie danych o Tamplesach i interakcjach między nimi a ludźmi. Interesujemy się nieznanymi planetami, kołnami i ich wędrownkami. Rejestrujemy wszystkie dane, nawet te, które wydają się niepotrzebne.

— Rozumiem, kapitanie — wykrztusił z wściekłością Ferrol.

— To dobrze — skinął głową Roman.

Jeszcze przez chwilę patrzył na niego, a potem zwrócił się do Marlowe'a.

— Czy jest jakiś postęp w poszukiwaniu Alfy, poruczniku? — zapytał.

— Jeszcze chwilę, kapitanie — Marlowe odpowiedział szybko, obojętnym służbowym tonem, starając się nie zwracać na siebie uwagi. — Określiliśmy już teoretyczne położenie Alfy, a teraz szukamy jej w granicach przewidywanego obszaru.

Roman skinął głową, włączył swoje monitory i osobiście obserwował poszukiwania. „Zaczęła się walka”, pomyślał ponuro.

Oczywiście Ferrol dobrze wiedział, że nie ma żadnych powodów, aby troszczyć się to, czy sekcja badawcza traci czas na analizę potu. Pozostali na pomoście również o tym wiedzieli. Pytanie było tylko próbą podważania autorytetu dowódcy i słuszności jego decyzji. Może się jednak zdarzyć i tak, że Ferrol, wbrew głośnym zapewnieniom z po-

przedniego dnia, nie zadowoli się zmianą nastawienia załogi *Amity* do Tamplesów. Może chce doprowadzić do bezpośredniej konfrontacji swego realistycznego stanowiska przeciwnika Tamplesów z militarnym i politycznym oportunizmem Romana. Jeśli reakcja Marlowe'a nie była tylko chwilowa, to Ferrolowi udało się jednak popsuć atmosferę na pomoście. Subtelna intryga stawała się coraz bardziej wyraźna.

— Mamy ją, kapitanie — zgłosiła Kennedy. — Namiar: 96,4. 15,3. Odległość: sześćset tysięcy kilometrów.

— Proszę przekazać kierunek Tamplesom — odpowiedział Roman. — Tor prostoliniowy, jedno okrążenie i niech Sso-ngii utrzymuje dziewięć dziesiątych G.

Na razie miał przewagę, sądził więc, że Ferrol ustąpi. Pomylił się jednak.

— Czy mam wyliczyć moment obrotu? — odezwał się Ferrol. — Ich umiejętność obsługi komputera może okazać się niewystarczająca.

— Zobaczmy! — odpowiedział Roman. — Poruczniku, proszę podać Sso-ngii lokalizację i pozwolić Tamplesom wykonać resztę. — Popatrzył uważnie na Ferrola. — Oczywiście, jeśli potrafią.

Potrafili. Wszystko obliczyli prawidłowo. Po pięciu godzinach Pegaz łagodnie przeniósł *Amity* na geosynchroniczną orbitę wokół Alfę.

Przez wiele lat Roman zdążył zobaczyć już różne krajobrazy planet na własne oczy albo dzięki hologramom. Zestawienia kolorów, przeważnie dzikie i obce, sprawiały w egzotycznej przyrodzie zdumiewające wrażenie. Alfa była zdecydowanym wyjątkiem od tej reguły. Rozległe pole, przeszukane dokładnie przez naukowców z grupy lądującej, przypominało prerię. Wraz z rosnącym za nim lasem stanowiło czarno-białą całość z szarymi cieniami.

To naprawdę jest niesamowite — zauważył Ells Sanders. Nawet maska filtrująca nie mogła stłumić podniecenia w jego głosie. — Dominujące czarno-szare zabarwienie roślin ma ogromne znaczenie dla fotosyntezy. Pozwala zgromadzić więcej energii, która jest lepiej wykorzystywana w podczerwieni aniżeli przez zwykłe odmiany chlorofilowe.

— Krajobraz wydaje się jednak dość nieciekawym — stwierdził Roman. — Czy wszystkie zwierzęta i owady są z natury ślepe na kolory?

— Właśnie to między innymi chcielibyśmy zbadać — powiedział Sanderson. — Zwrócił pan uwagę na istotny problem. Nie wiemy mianowicie, jak odbywa się zapylenie bez udziału różnobarwnych kwiatów, które mogłyby przyciągnąć owady.

— Przecież nie muszą tego robić owady — pomyślał głośno Roman. — Może pyłek jest przenoszony przez wiatr albo przez zwierzęta?

— Raczej niemożliwe przy takiej budowie pylnika — wtrącił któryś z naukowców.

Roman rozpoznał głos Steefa Burcha:

— Poza tym zauważyłem różne owady, które odbywały swoje loty nad skupiskami tylko niektórych typów roślin.

— Pobierzemy kilka próbek powietrza z najbliższego otoczenia — dodał Sanderson — i to pozwoli nam stwierdzić, czy rośliny wysyłają sygnały chemiczne.

— To ciekawe — Roman przeszukiwał wieloczęściowy ekran, ukazujący obrazy dostarczane zarówno przez wszystkie kamery połączone z lądownikiem, jak i kamery przenośne grupy lądującej. Wybrał obraz, który pokazywał stół analityczny ustawiony w odległości dziesięciu metrów od śluzu powietrznej lądownika. Nacisnął przycisk i obraz brudnoszarego listowia zastąpiony został przez zbliżenie szarobrazowego stworzonka, które wyglądało jak koszmar, z głową jaszczura, skorupą żółwia, krótkimi nogami małpy i szczypcami raka. To dziwne zwierzątko przywiązane było do stołu za pomocą siatki.

— Doktor Peyton? Jak tam badania zwierząt?

— Ttra-mii i ja robimy postępy — Miki Peyton odpowiedziała z roztargnieniem, zaabsorbowana pracą.

Arkusze kwalifikacyjny określał poglądy Peyton jako umiarkowanie przeciwnie Tamplesom, o czym Roman myślał z niepokojem już w czasie lądowania. Tamplesi będą na pewno bacznie śledzić ten etap badań i sprawdzać, czy ludzie nie dręczą zwierząt. Roman za wszelką cenę chciał uniknąć przypadków wyprowadzenia kogokolwiek z równowagi przez te ich nieufne spojrzenia. Jednakże Peyton była szefem grupy, która zorganizowała to stanowisko badawcze, i niewątpliwie chciała osobiście uczestniczyć w eksperymentach, będących jej oficjalnym debiutem w wymarzonym programie. Za pokój na Alfie nie było warto płacić wojną domową na *Amity*, dlatego Roman zgodził się na Peyton. Przynajmniej dotąd wszystko zdawało się przebiegać bez zakłóceń. Roman miał nadzieję, że Ttra-mii będzie tylko obserwował i nie wtrącał się.

— Wykonaliśmy wstępne pomiary warstwowe — kontynuowała Peyton. — Czy dane, które otrzymujecie, są dość czytelne?

— Doktor Tenzing? — zapytał Roman.

— Bardzo czytelne — głos szefa sekcji badawczej natychmiast zagrzmiął przez interkom — zaczęliśmy je już selekcjonować.

— Dobrze. Ttra-mii, co z twoją ręką?

— Rana nie jest poważna, Rro-maa — zaskowyczał Tamples. — Jak już mówiłem, wewnętrzna skóra jest nienaruszona.

— To wyklucza ryzyko infekcji lub zatrucia, nawet jeśli to dziwne stworzenie wydzielałoby jakiś jad szkodliwy dla twojego organizmu. Mimo wszystko zrób sobie analizy — polecił Roman. — Doktor Peyton, czy może już pani powiedzieć, jak do tego doszło?

— Chodzi panu o to, czy zwierzę mogło uszczypnąć Ttra-mii przez siatkę z odle-

głości większej niż zasięg jego szczypiec? — zapytała oschle. — Jeszcze nie wiemy dokładnie, ale w każdym razie stwierdziliśmy, że jest to możliwe. To zwierzę nie ma kości. Roman zdziwił się.

— W ogóle?

— W ogóle — potwierdziła. — I bardzo mało chrząstek. Większość szkieletu to ni mniej, ni więcej tylko organiczne, dwupostaciowe tworzywo, które w zależności od potrzeb staje się sztywne lub elastyczne.

Roman przyjrzał się z podziwem stworzeniu na ekranie.

— Ciekawe. Czy jest to szczególna cecha tego gatunku, czy też na Alfie jest to zjawisko normalne?

— Za chwilę się dowiemy — nowy głos włączył się do rozmowy. — Mówi Singh, kapitanie. Wraz z Llos-tlaa łapię królika.

Roman przeszukał wieloczęściowy ekran. Po chwili odnalazł przenośną kamerę Andrey Singha i ustawił obraz. Zwierzątko, które przykucnęło na tylnych łapkach na tle szarego krzaka, ani trochę nie przypominało ziemskiego królika.

— To ma być królik? — zapytał Singha.

— Tak, wygląda jakby miał wypełnić tę niszę w ekosystemie.

Na skraju ekranu pojawiła się dłoń trzymająca sieć, gdy Singh zbliżał się do zdobyczy. Roman widział również Llos-tlaa, który z podobną bronią zmierzał do zwierzęcia z drugiej strony.

— Spokojnie, przyjacielu — szeptał Singh łagodnie. — Nie chcemy cię skrzywdzić, tylko bezboleśnie zajrzemy ci do wnętrza.

Ostrożnie unióś sieć... Nagle zwierzę zamieniło się w coś zupełnie innego i daleko odskoczyło!

— Cholera! — zaklął Singh. Zdezorientowany spoglądał za uciekającym w podskokach nowym stworzeniem. — To przecież niemożliwe — powiedział.

Ostatnie słowo zostało zagłuszone przez ochryply terkot szybkostrzelnej broni iglicowej. Zwierzę zatrzymało się w pół skoku pośrodku pola, drgnęło i bezwładnie upadło na ziemię.

— Zatrzymać ogień — krzyknął Roman. — Kto to zrobił?

Przez chwilę nikt się nie odzywał.

— To ja, Garin, kapitanie — odezwał się w końcu szef czteroosobowej ochrony grupy lądującej. — Myślałem, że naukowcy potrzebują go do badań.

— Nie trzeba było go zabijać!

Roman podskoczył, usłyszawszy przeraźliwy, ostry krzyk, pełen rozpacz i cierpienia, oskarżenia i żalu. Przebiegł wzrokiem po ekranie i odnalazł zwierzę uwięzione w sieci na stole analitycznym. W pierwszej chwili pomyślał z przerażeniem, że to może ono tak krzyczy.

— Co to? — zapytał.

— Przepraszam, Rro-maa — w tych dwóch słowach skowyt Tamplesa odzyskał swoje normalne brzmienie.

— Byłem zdenerwowany.

— Domyślam się, Llos-tlaa — powiedział Roman.

Dreszcz przebiegł mu po plecach. Zapomniał nawet o gniewie spowodowanym nieuzasadnionym użyciem broni. W żadnych instrukcjach nie było wzmianki, że głos Tamplesa może mieć tak straszliwe brzmienie.

— Garin, nie wolno strzelać bez rozkazu z wyjątkiem bezpośredniego śmiertelnego zagrożenia. Zrozumiano?

— Tak jest, kapitanie — Garin odpowiedział krótko i zdecydowanie.

— Dotyczy to również pozostałych — Roman ostrzegł resztę załogi. — Doktorze Singh, czy to, co zostało z królika, nadaje się do badań?

Singh pochylił się nad zwierzakiem, zbliżenie ciała przeoranego iglicą wzbudziło w Romanie uczucie obrzydzenia.

— Spróbujemy, kapitanie — odpowiedział naukowiec, owijając zwierzę siecią.

— Ciekawe, czy zauważył pan, że przed śmiercią znów zamieniło się w królika?

— Właściwie nigdy nie było niczym innym — odezwał się Ferrol z drugiej strony pomostu. — Myślę, że grupa lądująca powinna o tym wiedzieć.

— Mamy coś dla pana — powiedział Roman. — Proszę przełączyć się na odbiór obrazu.

Ferrol przepuścił przez komputer przekaz zarejestrowany przez kamerę Singha i odtworzył go w zwolnionym tempie. Obserwacja przemiany królika była łatwiejsza, lecz nie mniej fascynująca.

— Ta skóra jakby spływała — mruczał Singh. — Jak coś bardzo rozciągliwego albo nawet półpłynnego...

— Można zobaczyć, jak zmienia się pod nią struktura szkieletu — dodała Peyton. — Miałam rację. To rzeczywiście jakby dwupostaciowe tworzywo. Mięśnie muszą być zbudowane podobnie, inaczej kończyny nie mogłyby się tak wydłużać bez zmniejszenia wytrzymałości.

— Tak samo mięśnie i narządy — stwierdził Singh. — Warto zauważyć, że pojemność płuc wzrosła już dwukrotnie.

— Stał się pędzącą maszyną — z podnieceniem wyszeptał Burch.

Tak właśnie było. Jeśli w pierwszej chwili stworzenie wydało się Singhowi podobne do królika, to w nowej postaci, obserwowane w zwolnionym tempie przypominało Romanowi biegnącego charta.

— Co państwo o tym sądzą? — zapytał.

— Z pewnością natrafiliśmy na coś niezwykłego — powiedział Tenzing. — Musimy

wykonać wiele doświadczeń, żeby stwierdzić, czy zdolność do zmiany kształtu występuje tylko w sytuacjach zagrożenia, czy też każde zwierzę, w zależności od sytuacji, wypełnia dwie zupełnie różne nisze ekologiczne.

— No właśnie — zgodził się cicho Burch. — Nazwijmy tę planetę Wilkołakiem.

— Zostańmy lepiej przy „Alfa”, dobrze? — powiedział krótko Sanderson. — Myślę, że mamy zbyt dużo spraw do rozwiązania, abyśmy mogli tracić energię na wymyślanie nazw. Zwłaszcza że to będzie problem Tamplesów, a nie nasz.

Na chwilę zapanowało pełne napięcia milczenie. Niepokój wyczuwało się również na pomoście. W podnieceniu wszyscy zdawali się zapominać o realiach. Alfa znajdowała się czterysta trzydzieści lat świetlnych od Ziemi. Znacznie poza zasięgiem statków wyposażonych w Mitsuushi. Cokolwiek tu znajdą: miejsce na założenie kolonii, pożyteczne gatunki roślin i zwierząt czy po prostu egzotyczną, fascynującą przyrodę, będzie zdobyczą Tamplesów, a nie ludzi.

— Oni nie chcą nic przed nami ukrywać — mruknął Ferrol dość głośno, aby Roman mógł go usłyszeć. — Chcą, żebyśmy zdobyli dla nich łup.

— Wystarczy, komandorze — przerwał Roman, ale tamtemu udało się już zepsuć nastrój. — Doktorze Singh, proszę wykonać dokładne badanie mikrobiologiczne królika i sprawdzić, czy można bezpiecznie przenieść go na *Amity*. Skoro już jest martwy — dodał, uprzedzając spodziewany sprzeciw Tamplesów — to wykorzystajmy go w pełni.

— Jeśli wstępna analiza powietrza i gleby nic nie wykaże, to samo zwierzę nie powinno stanowić zagrożenia — wyjaśnił Sanderson.

— Wiem o tym — powiedział Roman. — Mimo to, proszę wszystko dokładnie sprawdzić.

— Tak — przerwała nagle Peyton. — Myślę, że kapitan ma rację. Poza tym, Ells, czy mógłbyś wykonać szybko parę odczytów pola elektrycznego niektórych roślin?

— W porządku — zgodził się Sanderson.

Obraz w jego części ekranu zadrżał nagle, gdy doktor ze swoją kamerą przyklęknął na ziemi.

— Czyżbyś podejrzewała występowanie sygnałów elektrycznych? — zapytał z powątpiewaniem Burch.

— A dlaczego by nie? Chyba pamiętasz, że to ty po pierwszych odczytach zwróciłeś uwagę na znaczną gęstość jonów w powietrzu.

— Rzeczywiście — przyznał Burch — jednak to zupełnie nie przypomina gęstości, jaką obserwowałaś w wodzie morskiej, gdzie zwykle pojawiają się sygnały elektryczne. Rozumiesz: nasze rekiny i tak dalej.

— Konie kosmiczne też wyczuwają pole elektryczne — powiedział Ttra-mii.

— To ciekawe — Burch zareagował niezbyt uprzejmie — ale raczej bez znaczenia

w dyskusji o zwierzętach, które zmieniają zewnętrzne uwarunkowania.

— Założmy, że to zwierzę wykazuje jednoznacznie zdolność odbierania sygnałów elektrycznych — wtrąciła Peyton. — Czy masz już coś, Ells?

— Zdaje się, że masz rację — potwierdził Sanderson. — Niewątpliwie są tutaj pola o intensywności i częstotliwości oscylacji różnej dla poszczególnych gatunków.

— Częstotliwość oscylacji? — powtórzył Tenzing. — To znaczy, że pola nie są statyczne?

— Na pewno nie. Te trzy rośliny, które badałem, mają cykle od dziewięciu sekund do prawie sześćdziesięciu.

— Organiczne oscylatory elektryczne mruknął Singh. — Rzeczywiście eleganckie.

— Bardzo eleganckie — zgodził się Sanderson. — Nie mówiąc już o tym, że potencjalnie użyteczne, jeśli uda nam się odkryć ich mechanizm.

— Dobrze, nazbieraj trochę próbek i przynieś na pokład — powiedział Tenzing. — Pamiętaj, że z jednej planety możemy zabrać tylko jedną skrzynię, a badania będziesz prowadził jeszcze przez dwa tygodnie. Zapełnisz laboratorium do sufitu, a ci z nas, którzy będą nad tym pracować, spędzą w nim następne dwa miesiące, przeklinając twoich przodków.

Sanderson wymamrotał coś, co miało oznaczać niechętną zgodę. Roman z trudem opanował uśmiech.

„Jak dzieci w sklepie z zabawkami”, pomyślał.

— Kapitanie? — włączył się nagle Marlowe. — Mam coś ciekawego.

— Proszę pokazać — zgodził się Roman, włączając repetytor skanera.

Termograf przedstawił obszar lądowania fotografowany z aparatów w podwoziu *Amity*. Na zdjęciu zaznaczono coś błyszczącą strzałką.

— Doktorze Sanderson, niech pan chwilę poczeka — zawołał Roman przez interkom. — Mam coś, co wygląda jak trzy ogromne zwierzaki, które zbliżają się z północy. Szmer rozmów nagle ucichł.

— Przyjąłem, kapitanie — powiedział po chwili Garin oficjalnym tonem. — Ciągłe brak wizualnego kontaktu, ale mamy je na skanerze. Namiar: wprost na nas!

Przerwał, w ciszy dał się wyraźnie słyszeć zgrzyt ładowanej automatycznie broni iglicowej.

— To dopiero przygotowanie do alarmu, Garin — przypomniał Roman szefowi ochrony. — Nie wpadajmy w panikę, zanim nie przekonamy się, o co chodzi.

Usłyszał głębokie westchnienie po drugiej stronie pomostu.

— Co się stało, komandorze? — zapytał, wpatrzony w obraz z kamery Garina.

— Czy nie trzeba ich stamtąd odwołać? — Ferrol był jeszcze bardziej przestraszony aniżeli Garin. — Czy nie powinni przynajmniej schronić się w ładowniku?

— Jest już za późno — odezwała się Kennedy.

Roman zauważył, że w jej głosie było więcej zaciekawienia niż niepokoju.

— Są za daleko, żeby zdążyć uciec. Poza tym, jeśli mają walczyć, to lepiej na otwartej przestrzeni, gdzie mają odsłonięte pole do strzału — dodała.

— Jeśli Tamplesi pozwolą im strzelać — mruknął Ferrol.

— Dość tego — powiedział Roman, włączając monitor taktyczny.

Na ekranie pojawił się płaski krajobraz z lądownikiem i postaciami ośmiu ludzi i dwóch Tamplesów, z których każda zaznaczona była kolorowym krzyżykiem. Garin i pozostali trzej z ochrony utworzyli półkule zwróceni twarzami w kierunku lasu, z którego miały wynurzyć się zwierzaki. Roman nie miał wątpliwości, że ci dobrze wyćwiczni ludzie, wyposażeni prawdopodobnie w najlepszą broń z arsenału Cordonale, poradzą sobie bez trudu, jeśli tylko okaże się to konieczne. Pozostawało pytanie, czy rzeczywiście będzie to konieczne i... czy Tamplesi też będą tak uważać.

— Ells, instrumenty na stole analitycznym zaczynają wariować — odezwała się Peyton. — Sądzę, że odbierają pole elektryczne zwierząt.

— Niemożliwe — zaprzeczył Sanderson. — Te instrumenty mają krótki zasięg, nie są w stanie wykryć nic poza stołem.

— Wiem — westchnęła Peyton. — Dyskutuj o tym z instrumentami, nie ze mną.

— Może — zaproponował Llos-tlaa — Gga-rii mógłby to sprawdzić swoimi czujnikami.

— Nie denerwuj mnie, Tamplesie — warknął Garin.

Obraz kamery pokazał czubek broni iglicowej.

— Mam teraz na głowie ważniejsze sprawy.

— Niech pan to zrobi, Garin — rozkazał Roman. — Jeśli zwierzaki promieniują na taką odległość, że ich obecność można wykryć na stole analitycznym, to powinniśmy o tym wiedzieć.

Wylot lufy na chwilę pojawił się w poprzednim miejscu, a potem nagle zniknął z ekranu.

— Tak jest, kapitanie — powiedział Garin przez zaciśnięte zęby. — Właśnie sprawdzam... Nie, nie ma nic. To jakieś zakłócenia na stole analitycznym.

— To nie są zakłócenia — upierała się Peyton. — Sprawdź jeszcze raz, zwłaszcza na najwyższych częstotliwościach, pięćdziesiąt herców i więcej. Moim zdaniem, nie potrzeba wcale wielkiej mocy. Chodzi raczej o ukierunkowanie albo też wysokie stężenie jonów, które pozwala elektryczności docierać aż tak daleko.

Ledwo skończyła zdanie, gdy nagle rozległ się trzask łamanych gałęzi. Garin wymierzył broń w kierunku krzaków, które rozchyliły się gwałtownie i trzy zwierzaki wyszły na równinę. Jeśli zwierzę, które przedtem zabił Garin, było królikiem, to te trzy były ogromnymi psami. Miały nagą, słoniową skórę i płaskie głowy, ogromne łapy z zakrzywionymi kocimi pazurami, widocznymi już z odległości dwustu metrów, i długie

pyski wypełnione białymi zębami rekina.

Grupa lądująca zamarła w bezruchu, gdy środkowy pies postąpił krok naprzód, zatrzymał się i... zmienił postać. Czynił to wolniej niż królik i dlatego było to bardziej emocjonujące. Najpierw rozciągnęły się obojczyki i łopatki, przedłużając przednie kończyny. Równocześnie tylna część ciała skróciła się o połowę. Łapy stały się cieńsze, jakby działały w nich nowe mięśnie, brzuch spłaszczył się. Pomarszczona skóra, rozciągana na wszystkie strony, wygładziła się w końcu i nabrała połysku. Pysk pozostał prawie nie zmieniony, głowa zaokrągliła się po bokach, co przypominało Romanowi widok ptaka stroszącego pióra. Cała operacja nie trwała dłużej niż dziesięć sekund i... pies zamienił się w wilka.

Wilk miał rozmiary dużego niedźwiedzia grizzly. Na chwilę przysiadł na tylnych łapach, podniósł łeb, jakby wyjąc bezgłośnie. Potem wstał i wolno obracał głowę, obserwując przybyłych do jego świata intruzów. Spojrzał na Peyton i Ttra-mii, stojących ciągle przy stole analitycznym i na królika przygotowanego do badań. Znów uniósł głowę, wyjąc bezgłośnie i... ruszył w ich stronę.

ROZDZIAŁ 6

Celować w nogi! — wykrztusił Garin, kierując wylot lufy w zbliżającego się wilka.
— Spróbujemy go powalić nie zabijając.

— Nie strzelać! — odezwał się Llos-tlaa.

— Rehfeldt, odbezpiecz broń, dodatkowy cel w głowę — kontynuował Garin, nie zwracając uwagi na protest Tamplesa. — Boschelli, Wehrmann — do diabła! — przerwał spostrzegłszy, że dwa pozostałe psy zaczęły też zamieniać się w wilki.

— Gga-rii — spróbował Llos-tlaa jeszcze raz.

— Milcz! — syknął Garin. — To go powali: pociski-iglice, w pełni zautomatyzowane, najpierw nogi, potem głowa. Na mój sygnał...

— Nie strzelać!

Roman podskoczył w swoim fotelu i zaklął pod nosem. W uszach brzmiał mu skowyt Tamplesa przepełniony najwyższą emocją. Tym razem nie był to żal i rozpacz, lecz zdecydowany sprzeciw i uczucie sprawiedliwego gniewu.

— Zatrzymać ogień, Garin — rozkazał, gdy tylko odzyskał głos.

Wilk pokonał mniej więcej jedną czwartą odległości dzielącej go od Peyton i Ttra-mii. Zbliżał się do nich spokojnie, zupełnie obojętny na skowyt Tamplesa i śmiercionośne pociski wysyłane w jego stronę.

— Llos-tlaa, dlaczego nie mają strzelać?

— Woli, żeby nas trafił szlag, niż żeby cokolwiek stało się ich leśnym ulubieńcom — wtrącił ostro Garin, zanim Tamples zdążył się odezwać.

— Odpowiedz, Llos-tlaa.

— Nie trzeba zabijać, Rro-maa powiedział Llos-tlaa. Głos mu drżał, jakby za chwilę miał znowu przejść w przeraźliwy krzyk. — Ppey-taa i Ttra-mii muszą odsunąć się od stołu. Wówczas zwierzęta nie zaatakują.

— To bzdury — powiedział Garin. — Załoga, przygotować się: raz...

— Powiedziałem: „wstrzymać ogień”! — wrzasnął Roman. — Peyton i Ttra-mii, róbcie, co każe Llos-tlaa. Odsuńcie się od stołu, nie wykonując gwałtownych ruchów.

— Kapitanie, oni tam poruszają się po cholernie cienkim lodzie — wtrącił gwałtow-

nie Ferrol. — Tylko iglice mogą im pomóc. Jeśli zwierzaki zbliżą się na pięć metrów, zrobią spustoszenie, zanim i tak zostaną zabite.

— Tym bardziej jeśli będą szarżować — przytaknęła Kennedy. — Powinni unieszkodliwić najbliższego i spróbować odstraszyć dwa pozostałe.

Roman zacisnął pięści. Wilki przybliżyły się na odległość niecałych sześćdziesięciu metrów.

— Llos-tlaa, dlaczego uważasz, że nie zaatakują?

Wilki pokonały kolejne pięć metrów, zanim Tamples zdążył się odezwać.

— One nie mają instynktu drapieżnika — powiedział.

Roman słyszał, że tamten zastanawia się nad każdym słowem.

— Tu nie ma dla nich żadnego łupu.

Wydawało się, że Tamples nie ma pojęcia, dlaczego tak uważa.

— Sanderson, jaka jest pańska opinia? — zapytał Roman.

— Przekształciły się w sytuacji zagrożenia, prawda? — odpowiedział Sanderson.

— A jednak nie wyglądają, jakby się czegoś przestraszyły.

— To prawda, nie wyglądają — zgodził się Roman.

Z drugiej strony, Tamplesi byli znani z tego, że nigdy nie kombinują w nowych sytuacjach... Llos-tlaa musiał więc raczej wiedzieć, co ma na myśli, nawet jeśli nie potrafił tego wyrazić. Chyba nie był to tylko sprzeciw wobec zabijania zwierząt... Zostało już tylko trzydzieści metrów. Nie mógł dłużej zwlekać z podjęciem decyzji.

— Garin, mierz z bliska w głowę tego pierwszego! Strzelać iglicami z ośmiu metrów. Rehfeldt, Boschelli, te same rozkazy!

— Z ośmiu metrów ładnie się je załatwi, kapitanie — mruknął Garin.

— O to chodzi — odpowiedział Roman.

— Rro-maa!

— Cicho, Llos-tlaa!

— Rro-maa, to niepotrzebne — upierał się Tamples. — One nie interesują się nami.

— A czym, do diabła, się interesują? — krzyknął Garin.

Na ekranie pojawiła się dłoń Llos-tlaa, wskazująca na stół analityczny.

— Zmierzają tutaj.

— Co...?

Na monitorze taktycznym widać było, że pierwszy z wilków zatrzymał się powoli, lecz zdecydowanie w pobliżu stołu.

— On chce tego królika — szepnęła Peyton. — To wszystko.

— Niemożliwe — sprzeciwił się Singh. — One nie mają typowej budowy padlinozercy. Raczej... ojej!

— Co? — zapytał Roman. — Co się stało, Singh?

Singh cicho odchrząknął.

— Pomyliliśmy się, kapitalnie — powiedział z ulgą i rosnącym rozbawieniem. — Przemiana nie była reakcją w sytuacji ucieczki lub ataku. Jest jeszcze trzecia przyczyna, dla której zwierzęta chcą wydawać się jak największe i najsilniejsze. Mianowicie... zresztą, sam pan zobaczy. Już się zbliża.

Obserwowali, jak wilk wspina się na tylne łapy i wdrapuje na stół, odsuwając przednimi łapami skaner CAT. Obejmując go w dziwaczny sposób, uniósł łeb do góry i zaczął się cały trząść.

— Niech skonam! — powiedział zaskoczony Burch — on kopuluje z naszym stołem.

— Te wszystkie pola elektryczne — wyjaśnił Singh — pamiętasz, Miki: zarejestrowałaś udar, gdy zaczęły się do was zbliżać.

— Podłączyły się do elektroniki w skanerach — westchnęła z żalem. — Pewno myślały, że to samica. O, mój biedny stół!

Po chwili stół analityczny, nie przystosowany do takiego traktowania, rozpadł się gwałtownie. Nogi zarwały się, zrzucając wilka na ziemię wśród zagrożonej zniszczeniem delikatnej aparatury elektronicznej. Gdy stół upadł, dostrzegli słaby błysk. Zapalił się samodzielny generator stołu analitycznego.

— Wszyscy pozostają w pogotowiu! — rozkazał Garin. — Jeszcze mogą nas zaatakować!

Roman wstrzymał oddech, ale obawy były niepotrzebne. Zwierzak wstał, zmiażdżył łapami kilka przedmiotów, usiłując złapać równowagę, a potem wraz z pozostałymi dwoma zaczął przekształcać się w pierwotną, mniejszą postać psa. Ten pierwszy rozejrzał się jeszcze raz, a potem wszystkie trzy zawróciły i udały się w powrotną drogę.

— Tak, czegoś takiego nie ogląda się codziennie — stwierdził Burch, próbując zachować powagę. — Te dwa mogą być wściekłe, że nie zdążyły zaliczyć swojej kolejki.

— Być może, to zanik pola elektrycznego stołu spowodował wygaśnięcie popędu — zasugerował Singh. Znajdował się bliżej zwierząt niż Burch i głos mu lekko drżał. — A może to byli po prostu towarzysze zalotnika.

— Nie ma się co śmiać — burknęła Peyton. Klęczała przy zniszczonym stole, ratując co się dało. — To koniec eksperymentów ze zwierzętami, przynajmniej na dzisiaj.

— Myślę, że nie tylko ze zwierzętami — powiedział Sanderson. — Doktorze Tenzing, proponuję, żebyśmy zebrali wspólnie kilka próbek roślin i wrócili na statek. Dzisiaj już nic więcej nie możemy zrobić.

— Zgoda — powiedział Tenzing. — Musimy przynajmniej znaleźć sposób, w jaki chronić nasze instrumenty. Powiadomię załogę lądownika, żeby zaczęła przygotowania do powrotu. To znaczy — dodał, przypomniawszy sobie nagle, że nie jest to uniwersytecka ekspedycja pod jego kierownictwem — jeśli pan wyrazi zgodę, kapitanie.

— Oczywiście, doktorze — zapewnił Roman, który w zasadzie doszedł do tego sa-

mego wniosku. — Poruczniku Kennedy, proszę powiadomić załogę lądownika.

— Tak jest, kapitanie — odpowiedziała Kennedy, włączając interkom.

— Jeszcze jedno, kapitanie — odezwał się znowu Tenzing. — Będziemy potrzebować kilku elektroników z Amity, którzy zbudowaliby jakieś zabezpieczenie przed zwierzętami. Czy może nam pan kogoś polecić?

— Mam lepszy pomysł — powiedział Roman.

Już po pierwszym dniu wyprawy okazało się, że politycy, którzy organizowali Program Amity, przyznali naukowcom z sekcji badawczej dużą niezależność od reszty uczestników. Dali im do dyspozycji własny sprzęt, wyznaczyli autonomiczny obszar działania i odrębne dowództwo. Roman zgadzał się tylko w dwóch pierwszych sprawach.

— Wydaje mi się, doktorze, że potrzebujemy lepszej komunikacji i koordynacji pomiędzy pańskimi ludźmi a mną. W związku z tym, chcę wyznaczyć jednego z moich oficerów na łącznika. Będzie wam pomagał w uzyskaniu ze statku potrzebnego wyposażenia i personelu, kontrolował, czy przebieg waszych prac jest zgodny z obowiązującymi zasadami bezpieczeństwa i tak dalej.

Zapanowała długa cisza.

— Rozumiem — powiedział w końcu Tenzing. — Sądziłem raczej... a zresztą, nieważne! To chyba dobry pomysł z tym łącznikiem. Czy ma pan kogoś na myśli?

— Tak — powiedział Roman, decydując się nieoczekiwanie.

Wiedział, że to hazard, wielkie ryzyko, ale i wielka szansa, z której nie chciał zrezygnować. Miał przeczucie, że warto spróbować.

— Wyznaczam komandora Ferrola!

Obejrzał się i odnalazł zdumione spojrzenie Ferrola.

— Kapitanie, z należnym szacunkiem...

— Obejmuje pan tę funkcję, komandorze — przerwał Roman chłodno. — Proponuję, żeby przeszedł pan do hangaru i spotkał się tam z grupą lądującą. Proszę sprawdzić, czy próbki są właściwie zabezpieczone i czy będą odpowiednio przechowywane, zanim znajdą się w laboratorium.

Ferrol odetchnął głęboko.

— Tak jest, kapitanie!

— W porządku, komandorze! Odmaszerować!

Ferrol skrzywił się i sztywnym krokiem opuścił pomost.

„Czy rzeczywiście tak musi być”, myślał ponuro Ferrol, kierując się do hangaru Amity. „Naraża ludzkie życie, bo tak mu każą Tamplesi, dopuszcza, żebyśmy znaleźli się na skraju nieszczęścia, a gdy próbuję przywołać go do rozsądku, jestem zupełnie ignorowany”.

Chciał tupnąć nogą, ale powolne obroty statku właśnie ustały, co odebrało mu nawet

tę odrobinę satysfakcji. Niezadowolenie przerodziło się we wściekłość, głównie dlatego, że lądownik miał pojawić się już za chwilę. Nagle przypomniał sobie o pistolecie iglicowym i kopercie ukrytych w kabinie...

„Nie!”, postanowił.

Na razie nie będzie ingerował w przebieg ekspedycji. Doprowadzi do tego, że załoga *Amity* przegra tę ostatnią kiepską próbę i przekona się, że ludzie i Tamplesi pozostaną na zawsze zaciekłymi wrogami. Remis mógłby jedynie skłonić partię zwolenników Tamplesów do większej ostrożności.

Nagle przyszło mu do głowy, że może właśnie dlatego kapitan się na nim wyżywa. Chce go zmusić do reakcji, w nadziei na uzyskanie remisu. Może nawet liczy na sprowokowanie sprzeciwu zwolenników Tamplesów. Ferrol uśmiechnął się lekko. „Przepraszam, kapitanie, ale to nie będzie takie proste”. Będzie działał tak, jak postanowił, będzie wzorowym nawigatorem i... poczeka.

Obsługa hangaru sprawdzała gotowość na przyjęcie lądownika. Ferrol nie miał wielkiej ochoty tkwić tutaj w oczekiwaniu na przyłot. Upewnił się, że wszystko jest w porządku, i przeszedł do kompleksu laboratoryjnego sekcji badawczej. Chciał jeszcze szybko skontrolować wyposażenie w pojemniki na próbki roślinne. Naukowcy i technicy zdawali się dobrze przygotowani, mimo to uznał za stosowne zadać im kilka pytań, dotyczących szczegółów technicznych. Ledwo zdążył wrócić do hangaru, gdy pojawił się lądownik.

— Doktorze Sanderson — zwrócił się do kierownika grupy, który usiłował utrzymać równowagę przy zerowej grawitacji, zanim udało mu się umieścić stopy w jednym z uchwytów. — Jestem komandor Ferrol. Zdaje się, że poznaliśmy się wczoraj.

— Tak — mruknął tamten, wyraźnie myśląc o czymś innym. — Musimy przenieść kilka pojemników z próbkami. Czy mógłby pan przysłać paru ludzi, którzy pomogliby dostarczyć je do laboratorium?

Za plecami Ferrola rozległ się sygnał, oznaczający obrót statku.

— Jeśli poczeka pan kilka minut, doktorze — powiedział do Sandersona — uzyskamy ciężenie, które pozwoli nam posłużyć się jednym ze stojących tam wózków.

— Tak, to racja — odparł Sanderson, odsuwając się na bok, gdy reszta grupy zaczęła opuszczać lądownik. — Pójdę naprzód, żeby wszystko przygotować. Steef, to jest doktor Burch, pokaże panu, jak wypakowywać i ładować pudła.

Ferrol przełknął ripostę, która przyszła mu na myśl.

— Dobrze, doktorze — powiedział tylko.

Sanderson skinął głową i bez słowa zniknął za drzwiami hangaru. Ferrol skierował się do drzwi ładowni na rufie. Odsunął zasuwę, przekroczył wysoki próg obciążonej gumą i wszedł do środka.

Grupa lądująca miała tu naprawdę mnóstwo pracy. Siatki ładunkowe wypełnione

były częściami zniszczonego stołu analitycznego oraz dziewięcioma pięćdziesięciolitrowymi pojemnikami na próbki. Ferrol skrzywił się na widok stołu. Zastanawiał się, w jaki sposób kapitan przedstawi całe zdarzenie w swoim raporcie. Odwiązał jedną z siatek, sprawdzając jej elastyczność. Poczłł nagle czyjś oddech na karku. Odwrócił się...

W odległości niecałych trzydziestu centymetrów stał Tamples. Było to pierwsze spotkanie Ferrola twarzą twarz z Tamplesem od czasów Prometeusza. Wszystkie plany, starannie obmyśłone na tę okoliczność, okazały się zawodne. Skrzywiona twarz zdawała się przybliżać, w zamkniętym pomieszczeniu rozlegał się głośny oddech Tamplesa, gorzko-kwaśny odór jego ciała wzbudzał obrzydzenie. Gdy czerwona mgła wspomnień opadła i minął gniew, zauważył że Tamples zniknął. Wokół słyszał głosy dezaprobaty i oburzenia. Piekły go kostki prawej dłoni... Do diabła! Ruszył w kierunku drzwi ładowni, gdy spostrzegł, że Burch i Llos-tlaa w warunkach słabej grawitacji pomagają wstać drugiemu Tamplesowi. Z lewej strony wykrzywionych ust Tamplesa zaczęła pojawiać się czerwona plama.

Burch popatrzył z niedowierzaniem na Ferrola.

— Co tu się stało? — zapytał.

Ferrol głęboko zaczerpnął powietrza. Mięśnie drżały mu pod wpływem wydzielającej się adrenaliny.

„Muszę przeprosić”, pomyślał, ale gdy otworzył usta, słowa uwięzły mu w krtani. Przeproszać za pobicie kogoś z gatunku tych, co zabrali mu dom...

— Wszystko w porządku — zaskrzypiał Tamples, pocierając dłonią szczękę w miejscu uderzenia. — Nie jestem ranny. Nic się nie stało.

Ferrol zacisnął zęby, znowu wściekłość zaczęła przesłaniać mu wzrok.

Oczywiście: „wszystko w porządku”, Tamples powiedziałyby to nawet w lazarecie. Tamplesi na *Amity* mieli działać przez perswazję, a okazanie obojętności wobec doznanej krzywdy miało oczywiście obrócić bezmyślną reakcję Ferrola przeciwko niemu. Byłby idiotą, gdyby potwierdził ich dobrotliwość, udając, że przeprosza.

— Następnym razem nie skradaj się tak blisko mnie — powiedział krótko.

— Doktorze Burch, jeśli jest pan gotowy, to mogę panu pomóc z tymi pudłami.

Burch popatrzył na Llos-tlaa.

— No... dobrze — powiedział w końcu. — Oczywiście.

Po chwili wahania, spojrzawszy porozumiewawczo na swoich współpracowników, zostawił Tamplesa i wszedł za Ferrolem do ładowni.

Pracowali razem w ciszy. Wynosili z ładowni pojemniki i stawiali je na podłodze hangaru. Po pewnym czasie pojawiła się Peyton, ale jej rola w ciasnym pomieszczeniu ograniczała się głównie do wyciągnięcia wózka z przegrody hangaru i do ciągłych ostrzeżeń, żeby nie deptali tego, co zostało ze stołu analitycznego. Gdy kończyli załadunek, wróciło pełne ciężenie. Ferrol pokierował wózkiem w kierunku kompleksu labora-

toryjnego. Burch przemówił dopiero w połowie drogi.

— Dlaczego uderzył pan Tamplesa? — zapytał, starając się przybrać rzeczowy ton.

— Nie lubię Tamplesów — powiedział Ferrol.

— Ależ dlaczego? Chyba zechce mi pan odpowiedzieć?

— Właściwie, wolałbym nie odpowiadać — burknął Ferrol.

Obejrzał się i zauważył, że Burch nerwowo przełknął ślinę.

— Aha — odezwał się niepewnie.

— Mamy tu mnóstwo ciekawych materiałów do badań — przerwała Peyton, wyraźnie próbując skierować rozmowę na bezpieczniejsze tory. — Czy zarejestrował pan nas na monitorze?

— Opracowałem na komputerze transformację królika — przypomniał Ferrol.

Zaczerwieniła się lekko.

— Ach tak.

Nagle uświadomił sobie, że postępuje niewłaściwie. Nie było powodu, żeby lekceważąco traktować naukowców. Do nich przecież nie miał pretensji. Przeciwnie, to właśnie sekcja badawcza miała największe szansę odkrycia prawdziwego oblicza pacyfistycznej dobroci Tamplesów. Jeśli naukowcy odniosą wrażenie, że wszyscy przeciwnicy Tamplesów są brutalnymi półgłówkami, to będzie im znacznie trudniej przyjąć prawdę, gdy wreszcie wyjdzie ona na jaw.

— Te szkielety z organicznego tworzywa wydają się szczególnie fascynujące — podjął temat. — Czy sądzą państwo, że uda się wam wyprodukować imitację tego materiału?

— Ależ oczywiście — zapewnił Burch. — Ziemska biotechnologia doszła do perfekcji w odtwarzaniu odpowiednich cząsteczek i układów biochemicznych.

Peyton chrząknęła lekko.

— Ale ludzie mają zwyczaj zapominać, że zbiór komercyjnie użytecznych elementów to jeszcze nie wszystko. Przynajmniej co do Tamplesi mają rację.

Burch spojrział na nią niechętnie.

— Pomijając filozofowanie, komercyjne wyniki takich ekspedycji są oczywiście korzystne.

— Będzie ich bardzo wiele — westchnęła Peyton. — Oprócz syntetycznych szkieletów i organicznych oscylatorów pola elektrycznego zbierzemy dość dużo materiału, żeby usatysfakcjonować strażników budżetu w Senacie.

— Nawet jeśli Tamplesi zabiorą wszystko, co uda nam się zebrać przez następne dwa tygodnie? — mruknął Ferrol.

Burch zacisnął zęby.

— Nawet wtedy — powiedział, ale nie zabrzmiało to zbyt przekonująco.

Peyton znowu skierowała rozmowę na dziwy natury i życie zwierząt. Dopóki Ferrol

pomagał ustawiać skrzynie w laboratorium, nie poruszano już tematu Tamplesów i ich filozofii. Potem Ferrol oddalił się. To, co usłyszał, wystarczyło mu. Był zadowolony. Wśród naukowców nie będzie musiał siać nieufności i niezadowolenia. Ich wątpliwości były widoczne. Musi je tylko pielęgnować, a pełniąc funkcję łącznika, będzie miał w ciągu najbliższych miesięcy dosyć możliwości.

Wracając korytarzem na pomost, uśmiechał się. Nie, na razie nie potrzebował kopty ani broni. Być może, w ogóle nie będą potrzebne. Jeśli tak dalej pójdzie, to kapitan Roman wykona za niego większość roboty.

„Chyba że...”, pomyślał i przez chwilę przestał się uśmiechać. Może właśnie dlatego Roman powierzył mu od razu funkcję łącznika? Żeby szerzył wśród naukowców nastroje wrogie wobec Tamplesów?

Czyżby Roman był jego ukrytym sprzymierzeńcem?

„Nie”, stwierdził stanowczo Ferrol. Zupełnie niemożliwe. Senator znał charakterystykę Romana i na pewno nie dałoby się tak ogłupić badaczy dusz z Sił Gwiezdných. Kapitan z pewnością był zwolennikiem Tamplesów i przydzielił Ferrolowi stanowisko łącznika albo za karę, albo też kierując się nieuzasadnionym idealistycznym przekonaniem, że częste kontakty z Tamplesami jakoś załagodzą jego nienawiść. Głupiec!

Tymczasem...

Ferrol postanowił wykorzystać kilka następnych dni wolnych od służby na uzyskanie dostępu do charakterystyk załogi. Jeśli je zdobędzie, nie zaszkodzi rzucić okiem na charakterystykę Romana.

Trzeba mieć pewność.

ROZDZIAŁ 7

Ferrol był pewien, że po pobiciu Tamplesa w hangarze, spotka się z oficjalną reakcją Romana. Spodziewał się surowego zakazu opuszczania przez pewien czas swojej kwatery albo nawet degradacji i aresztu. Tymczasem, ku jego zdziwieniu, kapitan nigdy nie wspomniał nawet o tym zdarzeniu. Może kierował się swoim wyobrażeniem Tamplesów, łagodnych i skłonnych do wybaczenia, a może nie chciał, żeby zagrożony przeciwnik Tamplesów był wśród załogi *Amity* uważany za męczennika. Te ostatnie obawy były uzasadnione. Ferrol zdawał sobie sprawę, że reakcje emocjonalne, odpowiednio sterowane, mogą być przedmiotem zręcznej manipulacji. Roman jednak nie wydawał się typem, który posiadałby taki talent. A może po prostu Burch i Tamplesi nie uważali za stosowne powiadomić go o tym incydencie. Stwierdził, że jest to w końcu tak samo dobre wyjaśnienie, jak każde inne. Kolejne dwa tygodnie spędzili na *Amity*, krążąc po orbicie i obserwując, jak grupa lądująca penetruje pustynię, las i wysokie góry. Głośno podziwiali wszystko wokół. „Laski Lorelei”, jak nazwał doktor Tenzing ogromne pale elektronicznego namiotu, skonstruowane przez techników *Amity*, funkcjonowały znakomicie. Oscylujące pola elektryczne odstraszały drapieżniki od grupy lądującej albo też napędzały je prosto w pułapki, jeśli ludzie Sandersona właśnie sobie tego życzyli.

Gdy Pegaz przeniósł ich z orbity w przestrzeń kosmiczną, zgodnie z przewidywaniami, pierwsze laboratorium było dosłownie po sam sufit wyładowane pojemnikami zawierającymi próbki.

SKOK do systemu Beta udał się znakomicie, podobnie jak późniejsza pięćdziesięciogodzinna podróż na samą planetę. W tym czasie Ferrol śledził dokładnie profil przyspieszenia/opóźnienia. Zdziwiło go trochę, że Pegaz zgodnie z poleceniem Romana, potrafił utrzymać dokładnie dziewięć dziesiątych G i nigdy nie zwiększał przyspieszenia więcej niż o pół procenta. Był to ewidentny przykład, który skłaniał do zastanowienia nad siłą i skutecznością powiązań między operatorami a kosmicznym koniem. Skuteczność ta w razie wojny mogła stać się dla ludzi poważnym problemem.

Beta, druga planeta ujęta w planie ekspedycji, różniła się od poprzedniej tak bar-

dzo, jak tylko mogą różnić się dwie planety. Była oczywiście nie mniej interesująca. Obracając się wokół jasnej czerwono-pomarańczowej gwiazdy, wykształciła maksymalnie zindywidualizowane formy życia, wypełniające niezwykle wyspecjalizowane nisze ekologiczne. Wyspecjalizowane do tego stopnia, że badacze napotykali czasem na przestrzeni pięciu kilometrów kilka różnych odmian tej samej rośliny, które nie wykazywały prawie żadnych form pośrednich. Połowa próbek, które zabrali na statek zwiędła, zanim *Amity* opuściła orbitę. Tylko kilka roślin udało się zachować dłużej.

Zgodnie z oczekiwaniami Ferrola, Beta okazała się idealnym miejscem dla rozniecenia konfliktu między ludźmi a Tamplesami. W trosce o utrzymanie prawa do tytułu „Lorda Obrońcy Przyrody” Tamplesi czuli się zobowiązani do ciągłych sprzeciwów wobec niszczenia delikatnych struktur ekologicznych. Z obu stron padały ostre słowa, szerzyło się niezadowolenie, a pod koniec pierwszego tygodnia Tamplesi przestali uczestniczyć w wyprawach grupy lądującej na powierzchnię planety. Co dziwniejsze, bojkot nie spowodował wyraźnych zmian nastawienia naukowców w stosunku do Tamplesów. Wszystkie rozkazy, które słyszał Ferrol, pełniąc funkcję łącznika, nakażywały pełnię zrozumienia, tolerancję, a nawet sympatię dla stanowiska Tamplesów. Zastanowiwszy się Ferrol stwierdził, że w zasadzie powinien spodziewać się takiej reakcji. Już na *Prometeuszu* zauważył przecież, że koloniści, którzy ściśle współpracowali z Tamplesami, często byli później przez nich nobilitowani.

Jeśli nawet zwolennicy Tamplesów w Senacie stawiali na taką emocjonalną infekcję, to musieli się rozczarować. Mimo że naukowcy zaczęli głosić filozofię Tamplesów i rozpaczać nad rozdeptaną trawą, stosunki między Tamplesami a resztą załogi zaczęły powoli, ale konsekwentnie ulegać pogorszeniu.

Pierwsze symptomy pojawiły się już przed SKOKIEM z systemu Alfa. Przez pierwszy tydzień między przedziałami ludzi i Tamplesów panował ożywiony ruch. Częściowo spowodowany był ciekawością. Niewykluczone, że był to także wynik usiłowań zwolenników Tamplesów, którzy próbowali stymulować przyjazne kontakty. Kiedy jednak ciekawość została zaspokojona, a Rrin-saa i inni Tamplesi nie zaprzestali świętoszkowatych uwag o niszczeniu przyrody, liczba członków załogi zaliczanych do „turystów” i „ambasadorów dobrej woli” zmalała prawie do zera. Bojkot grup lądujących na *Becie* nie poprawił sytuacji, a gdy *Pegaz* wyniósł *Amity* poza orbitę, po statku zaczęły skrycie krążyć liczne dowcipy o Tamplesach, nie docierały one jednak jeszcze do naukowców i wyższych oficerów.

Gdy *Amity* przeniosła się poza orbitę trzeciej planety, *Gammy*, drzwi łączące obie części statku były używane tylko wyjątkowo w razie konieczności, a dowcipy o Tamplesach powtarzano otwarcie przy posiłkach w mesie.

Kiedy ostatnie próbki z *Delty* znalazły się na pokładzie, stało się już widoczne, że nadzieje zwolenników Tamplesów spełzły na niczym.

— Hhom-jee melduje, że Pegaz jest gotowy do SKOKU — zgłosiła podporucznik Connie MacKaig, odwróciwszy się od steru.

Ferrol skinął głową.

— Proszę przekazać, żeby szedł do przodu, jeśli tylko będzie to możliwe.

— Tak jest! — włączyła interkom.

Ferrol odetchnął głęboko. Załatwione! Teraz Roman może przez cały dzień siedzieć w biurze, przeglądając kwestionariusze załogi. Ale i to nie uratuje go przed kompletną porażką. Wiedział o tym tak samo jak Roman i jak każdy, kto wyczuwał atmosferę, od kilku tygodni panującą na statku.

Gdy zniknęło pomarańczowe słońce systemu Delta zastąpione przez żółtą gwiazdę systemu Solomona, wszystkie monitory na dziobie zamigotały.

— SKOK wykonany — zameldowała MacKaig. — Odległość do Solomona... trzy i pół miliona kilometrów.

Ferrol obliczał szybko. Prawie jedenaście godzin drogi z przyspieszeniem dziewięć dziesiątych G, które zwykle wybierali Tamplesi.

— Poinformować Solomona, że się zbliżamy, prowadzeni przez operatorów — zwrócił się do MacKaig. — Zachować zwykły profil przyspieszenia/opóźnienia dziewięć dziesiątych G.

— Tak jest!

Gdy tylko skończy się ta ostatnia trasa, można będzie wrócić na *Scapa Flow* i podjąć przerwana akcję. Oczywiście, jeśli patrole Sił Gwiazdnych znikną z systemu Yishyar i jeśli Senator go wypuści. Ferrol skrzywił się na to wspomnienie. Senator nie ukrywał niezadowolenia, że Ferrol omal nie dał się schwytać przez kapitana *Driady*. Ba, nawet pośądzał go o lekkomyślność. Czy potrafi przekonać Senatora, że nadal jest godny zaufania — zastanowił się.

— Komandorze! — odezwała się MacKaig podnieconym głosem. — Salomon przekazuje pilną informację tachionową: Alarm!

„Wojna”, pomyślał nagle Ferrol i na ułamek sekundy krew zastygła mu w żyłach. Wybuchła wojna, a on tkwi na statku z załogą Tamplesów...

— Ogłosić stan gotowości! — rozkazał, powstrzymując drżenie głosu. — Zawiadomię kapitana.

Gdy rozległy się sygnały alarmowe, manipulował przy interkomie.

I wtedy znów przyszło mi na myśl to wyczekiwane słowo: wojna.

ROZDZIAŁ 8

„To był ciekawy eksperyment, ale dłużej nie chciałbym już współpracować z Tamplesami. Dzieli nas zbyt wiele i wszystkie te różnice są przyczyną ciągłych konfliktów”.

Wypowiedź ta niewiele różniła się od opinii pozostałych członków załogi. Kiedy umilkły ostatnie słowa i ekran zgasł, kapitan włączył odpowiedni program i pełen najgorszych obaw czekał na podsumowanie obliczeń komputera.

Po chwili pojawiły się liczby. Dwadzieścia osiem osób było „za”, dziewięćdziesiąt siedem — „przeciw”.

„Do diabła”, zaklął w myślach, „prawie dwadzieścia sześć procent załogi przeszło na stronę przeciwników Tamplesów. Przed wyprawą było ich tylko sześćdziesięciu pięciu”.

Pochylił się w kierunku iluminatora. Jeszcze raz chciał popatrzeć na szare cielsko Pegaza.

Wielkie przedsięwzięcie, które miało przyczynić się do nawiązania przyjaznych stosunków z Tamplesami, zakończyło się klęską...

Rezultat był gorszy od przewidywań największych pesymistów. Właściwie wszyscy sympatycy Tamplesów z *Amity* czuli się w jakimś stopniu rozczarowani, ich przeciwnicy natomiast utwierdzili się jedynie w swoich przekonaniach.

„Może powinienem bardziej ich kontrolować”, zastanawiał się, ale w głębi serca czuł, że nie miał żadnych szans. Współpraca wrogich gatunków na jednym statku od początku wydawała się niemożliwa. Tak naprawdę, nie warto było nawet próbować.

Na wspomnienie słów Rrin-saa, który podkreślał znaczenie Programu Amity, ogarnęła go wściekłość. Tamplesi ponosili z pewnością znaczną część winy. Nie uczynili nawet najmniejszego wysiłku, żeby załagodzić swój opór spowodowany postępowaniem ludzi wobec reszty świata. Chwilami reagowali wręcz histerycznie!

Z zamyślenia wyrwał go nagle cichy, lecz przenikliwy dźwięk alarmu!

Przez kilka sekund trwał w bezruchu. Pośpiesznie wracał myślami od problemów polityki międzygwiazdnej do spraw bardziej przyziemnych. Interkom włączył się, zanim zdążył dotknąć go ręką.

— Tu kapitan — powiedział.

— Tu pomost — odezwał się zdenerwowany Ferrol. — Otrzymaliśmy informację tachionową z Solomona! Super-pilne!

Kapitan zbladł. Wiedział, że jest tylko jedna przyczyna, dla której ktoś mógłby teraz wzywać *Amity*.

— Przyjąłem — odpowiednim kodem zapisał odbiór na swojej końcówce komputera. — Odebrać wiadomość — polecił Ferrolowi — i przekazać ją mnie. Również obsłużyć pomostu! Poza tym nikomu więcej!

Na chwilę napotkał wzrok Ferrola i dostrzegł w jego oczach iskrę porozumienia. Jeśli spory przygraniczne rzeczywiście przerodziły się w wojnę, obaj potrzebowali trochę czasu do namysłu, zanim wieść rozejdzie się także wśród Tamplesów przebywających na statku.

— Tak jest, kapitanie — Ferrol odwrócił się do klawiatury. — Przekazuję wiadomość.

Twarz nawigatora zniknęła z ekranu. Zastąpiły ją słowa:

DO STATKU BADAWCZEGO AMITY, SOLOMON
OD KOMANDORA SŁUŻBY GRANICZNEJ SIŁ GWIEZDNYCH, PREPYAT:
SUPERPILNE — SUPERPILNE — SUPERPILNE
KIERUNEK BEZPOŚREDNI NCL 1148, AKCJA RATOWNICZA,
ZAGROŻENIE STACJI BADAWCZEJ NA TRZECIEJ PLANECIE NCL 1148-B
PRZECHODZI W STAN NOWEJ.

— O, cholera! — zaklął ktoś na pomoście.

— Spokój! — burknął Ferrol.

DALSZE DANE W SYSTEMIE DO PRZETWORZENIA DOSTĘPNE ZE
STACJI SIŁ GWIEZDNYCH SOLOMON
WICEADMIRAŁ MARCOSA, COMBOREX, PREPYAT
CODE/VER 7882/
8:22 GMT///ESD 3 KWIETNIA

— Komandorze, proszę połączyć się ze stacją i odebrać dane dla komputera — rozkazał Roman. Trochę się uspokoił. Lot w kierunku systemu zagrożonego gwiazdną eksplozją nie należał do przyjemności, ale nie był tak straszny jak wojna, którą przewidywał. — Uprzedzić Tamplesów, żeby Pegaz był gotowy do SKOKU, gdy tylko określimy cel.

— Tak jest — Ferrol nadal był bardzo zdenerwowany. — Czy mam odwołać stan pogotowia?

— Myślę, że należy to zrobić — zgodził się Roman.

Dźwięk syren z pewnością wzbudził niepotrzebny niepokój wśród załogi. Większość najprawdopodobniej zrozumiała go jako zapowiedź wojny. — Proszę przejść na dziób i odczytać wiadomość przez ogólny interkom. Jeśli gwiazda ma niebawem wybuchnąć, to wszyscy powinni o tym wiedzieć.

— Przyjąłem!

Kapitan wyłączył interkom, odpiął pasy i umieścił stopy w najbliższym uchwycie. Na chwilę zatrzymał się przed pulpitem i popatrzył na gwiazdy widoczne na ekranie. W tym momencie Ferrol odwołał alarm i poinformował załogę o niespodziewanej zmianie kursu.

Wiadomość była datowana 8:22 GMT, czyli 3 kwietnia 2335 roku czasu ziemskiego. Wysłano ją zatem przed ponad trzydziestoma godzinami... Przez ten czas czekała na nich, aż zbliżyli się do Solomona. A przecież Marcosa mógł znacznie szybciej przesłać ją do Tamplesów przez statek kurierski wyposażony w kosmicznego konia. O tej porze statek ratowniczy znajdowałby się już w systemie 1148, a może nawet na samej stacji.

Dlaczego Marcosa postąpił inaczej?

„Polityka”, pomyślał kapitan z goryczą.

Polityka, zarozumiałość, odrzucanie za wszelką cenę pomocy Tamplesów. Ta przekłeta bezmyślność mogła kosztować życie kilkudziesięciu ludzi ze stacji badawczej! Odpowiedzialność spadłaby oczywiście na *Amity*.

Ferrol przejrzał pobieżnie dane wejściowe. Przydzielił ludzi do odpowiednich sekcji, a sam zaczął uważniej śledzić tekst przekazywany z Solomona. Po chwili na pomoście zjawił się kapitan.

— Grupa składa się mniej więcej z pięćdziesięciu ludzi pod kierunkiem doktora Jamena Lowry'ego z Cambridge wyjaśnił Ferrol, gdy kapitan usadowił się już w fotelu i zapiął pasy. — Mieli informacje, że gwiazda jest w stadium prenowej. Chcieli prowadzić tam jakieś badania sądząc, że wszystko potrwa znacznie dłużej.

Roman skinął głową i włączył kopię danych.

— Co się stało z ich statkiem?

— Oni nie mają własnego statku — Ferrol wzruszył ramionami. — System znajduje się dobre tysiąc lat świetlnych poza zasięgiem Mitsuushi. Do przewozu wynajęli statek Tamplesów.

— W tej chwili jest on już nieosiągalny?

— Uważam, kapitanie, że to nie ma znaczenia — powiedział Ferrol z udaną stanowczością, chociaż sam nie był do końca przekonany. — Oni wzywali Ziemię, Ziemia wzywała nas. To jest wyłącznie nasza sprawa.

— Na to wygląda — mruknął Roman. — Czy system został zlokalizowany?

— Tak jest, kapitanie — odezwała się MacKaig ze stanowiska sternika.

Szybko zmieniła program. Ekran repetytora steru umieszczony na stanowisku Ferrola pokazywał teraz odpowiednią stronę Atlasu Nowego Łabędzia.

— Odległość tysiąc sto sześćdziesiąt pięć lat świetlnych, długość astronomiczna minus dwa i sześć dziesiątych stopnia, szerokość pięć i dziewięć dziesiątych — odczytała. — Stąd nie da się wykonać bezpośredniego SKOKU. Widoczność jest na razie zbyt słaba, ale Pegaz widzi Deneb, a stamtąd powinien zobaczyć 1148.

Roman przez chwilę studiował mapę, potem z namysłem skinął głową.

— Powinno się udać. Proszę przekazać Hhom-jee kierunek i schematy i powiedzieć, żeby wykonali SKOK, gdy tylko Pegaz będzie gotowy.

— Tak jest — odpowiedziała i zajęła się obsługą interkomu.

Za plecami Ferrola komputer zasygnalizował rozwiązanie problemu wprowadzonego minutę wcześniej. Na ekranie ukazała się mapa systemu 1148 z lokalizacją najbliższych planet, określoną do czwartego miejsca po przecinku. Ferrol odwrócił się, poprawił ostrość obrazu i wyregulował skalę.

System składał się z dwóch gwiazd: czerwonego karła i białego giganta oraz trzech planet o zróżnicowanych wymiarach i orbitach. Karzeł krążył tak blisko zewnętrznej atmosfery giganta, że prawie nie było miejsca na stałą orbitę pomiędzy nimi. Wokół obu gwiazd obracały się wszystkie planety systemu, co mogło powodować ogromne nieścisłości w standardowych obliczeniach. Całe szczęście, że uwięziona załoga okazała się dość przezorna i razem z prośbą o pomoc przekazała aktualne położenie. Baza znajdowała się na środkowej planecie, którą odkrywcy nazwali Shadrach. Była to planeta mniej więcej wielkości Marsa, skalista i pozbawiona żywych organizmów. Orbity jej obydwu księżyców dzieliło od środka giganta kilkaset milionów kilometrów.

— Zaczynamy okrążenie — zameldowała MacKaig. — Ustawiamy się do SKOKU na Deneb.

— W porządku — powiedział Roman. — Komandorze?

— Słucham? — zapytał Ferrol, wciąż spoglądając na ekran.

— Czy pan zna tego admirała Marcose?

Ferrol zeszywniał. Próbował rozluźnić mięśnie, pocieszając się, że kapitan nie widzi jego twarzy.

— Słyszałem o nim, ale nigdy nie poznałem go osobiście — wyjaśnił.

Było to w pewnym sensie zgodne z prawdą.

— Czy to przeciwnik Tamplesów?

Ferrol powstrzymał złośliwy uśmiech. Oczywiście, że to antytamplesista i do tego zażyty. Marcosa był w Admiralicji jednym z najbliższych przyjaciół Senatora i cichym sprzymierzeńcem wszelkich poczynań, które w końcu doprowadziły Ferrola na pokład *Amity*: od wypraw kłusowniczych *Scapa Flow* do zakulisowych intryg w Senacie. Nieprzypadkowo nowe rozkazy zostały podpisane właśnie przez Marcose.

— Tak sędzę — powiedział głośno. — Dlaczego pan pyta?

Poczuł na plecach wzrok Roman.

— Zastanawiam się, dlaczego ryzykował, czekając na nas — powiedział wprost kapitan — zamiast poprosić o pomoc Tamplesów.

Była to doskonała okazja do dyskusji na temat szybkości i skuteczności Tamplesów, ale niestety Ferrol miał w tej chwili zbyt wiele innych problemów do rozwiązania.

— Mam pewną propozycję co do naszego kursu, kapitanie — nie czekając na pozwolenie, pokazał Romanowi schemat rozmieszczenia planet. — Jeśli bezpośrednio z Deneb SKOCZYMY na 1148, znajdziemy się gdzieś na tej linii — piórem świetlnym zaznaczył prostą biegnącą od podwójnej gwiazdy — dokładny punkt zależy od działania grawitacyjnych powierzchni ekwipotencjalnych. W każdym razie będziemy co najmniej sto milionów kilometrów od samej planety.

— Uważa pan, że zbliżylibyśmy się znacznie bardziej, wybierając położenie między gwiazdami?

Ferrol skinął głową z mimowolnym podziwem. Chyba Roman nie był tak głupi, jak można by wnioskować z jego bezmyślnego zaufania do Tamplesów.

— Tak, kapitanie — potwierdził. — Znalazłem kilka takich rozwiązań, ale nie jestem pewny, które byłoby najlepsze.

— Poruczniku? — Roman zwrócił się do MacKaig.

Liczyła coś na komputerze. Jednocześnie wpatrywała się w schematy i wstępne rozwiązania Ferrola.

— Zdaje się, że drugi wariant okaże się najkorzystniejszy — odezwała się w końcu — chociaż różnica jest niewielka. W najlepszym wypadku zaoszczędzimy pół miliona kilometrów.

— Nie mamy lepszego wyjścia — powiedział Roman z lekkim zniecierpliwieniem. — Proszę powiększyć ten schemat i przekazać Hhom-jee. Musimy wykonać trzy SKOKI jeden po drugim, gdy tylko znajdziemy się w odpowiednim położeniu.

— Tak jest, kapitanie. Zakładając oczywiście, że Pegaz potrafi wykonać kolejno aż trzy SKOKI — dodała. — To ważne pytanie — zgodził się Roman i natychmiast włączył interkom. — Spróbuję się dowiedzieć!

Ferrol podłączył się do obwodu, gdy na ekranie ukazała się twarz Tamplesa.

— Rro-maa, tak? — przywitał się Tamples.

— To ja — potwierdził Roman. — Rrin-saa, *Amity* została przed chwilą wezwana do akcji ratowniczej. Czy zostałeś powiadomiony?

— Tak, Efe-rho mówił nam o tym — odpowiedział Rrin-saa.

— W porządku. Musimy wykonać trzy SKOKI z rzędu. Potrzebuję szybkiej odpowiedzi na dwa pytania. Po pierwsze: czy Pegaz będzie musiał odpoczywać po każdym SKOKU?

— Nie wiem — zaskowyczał Tamples. — Wiem tylko, że konie kosmiczne mogą bez odpoczynku SKOCZYĆ dwa razy. To wszystko.

— Rozumiem — Roman nie zdradzał najmniejszego zniecierpliwienia kolejnym wykrętem Tamplesa. Ferrol pomyślał cynicznie, że może kapitan uznał odpowiedź za wyczerpującą.

— Sądzę, że wspólnie przekonamy się o tym — dokończył Roman. — Teraz drugie pytanie: jeśli konie kosmiczne absorbują znaczną ilość docierającej do nich energii słonecznej, to czy planeta w stadium nowej albo prenowej może okazać się zbyt jasna, ograniczając tym samym ruchy Pegaza?

Ferrol nerwowo przełknął ślinę. Nie pomyślał o tym wcześniej. W oczekiwaniu wstrzymał oddech, ale i tym razem Tamples uchylił się od odpowiedzi.

— Nie wiem, Rro-maa. Wiem tylko, że konie mogą przebywać blisko normalnych gwiazd. To wszystko.

— No tak... dziękuję. To wszystko.

Ferrol wyłączył interkom i popatrzył kpiąco na kapitana.

— Chyba nie oczekiwał pan od nich czegoś więcej? Roman przez chwilę nie odzywał się, a potem odwrócił się w stronę steru:

— Poruczniku, proszę podać położenie!

— Jesteśmy na linii Deneba — zameldowała Mac-Kaig. — Hhom-jee zgłasza gotowość Pegaza.

Roman skinął głową.

— SKOK!

SKOK na Deneb odbył się bez przeszkód. W nowym położeniu MacKaig sprecyzowała kolejne parametry. Po pół godzinie *Amity* była gotowa do drugiego SKOKU, na ciemną, bezimienną gwiazdę.

Ferrol miał wrażenie, że tym razem przygotowanie Pegaza zajęło Tamplesom trochę więcej czasu. Przy trzecim SKOKU, na 1148, nie było już żadnych wątpliwości. Po raz pierwszy w czasie wyprawy wystąpiły u Pegaza objawy zmęczenia.

— Rrin-saa, będziemy w tej pozycji tylko pięć minut — powiedział Roman przez interkom, starając się nie okazywać zdenerwowania. — Czy macie jakieś kłopoty?

— Nie mamy kłopotów — usłyszał cichy skowyt Tamplesa. — Pegasunninni jest w lekkiej... perasiata, to potrwa tylko chwilę.

Roman zacisnął zęby.

— Niech Hhom-jee spróbuje go ponaglić. Nie wiadomo, ile czasu nam zostało.

— Wasze życzenia są naszymi!

Roman przerwał połączenie i zapytał Ferrola:

— Czy mamy jakieś informacje z dołu na temat wyników ostatniej analizy potu?

— Zaobserwowano istotne zmiany w składzie chemicznym — Ferrol był wyraźnie

speszony. Przecież to on głośno sprzeciwiał się analizom, a teraz okazywało się, że nie kryje się za nimi wyłącznie akademicki problem. Trudno powiedzieć, co bardziej go dotknęło: własna pomyłka czy niezwykła przezorność kapitana.

— Nastąpił wzrost ilościowy połączony ze spadkiem zawartości niektórych pierwiastków śladowych — dodał po chwili.

Roman skinął głową. Do tej pory unikał złośliwych uwag pod adresem Ferrola i na temat jego argumentów przeciwko badaniom potu. Wszelkie komentarze okazały się zbyteczne.

— Zdaje się, że zmęczenie mija — zagadnął pojednawczo.

— Doktor Tenzing twierdzi, że jest taka możliwość.

— Hm... musimy poczekać i zobaczyć, jak długo to potrwa.

— Tak, kapitanie. A co to za wykręt z tą „perasiata”?

— To nie żaden wykręt — Roman natychmiast spoważniał. — Jest to pewnego rodzaju utrata świadomości, jakiej czasem doznają konie kosmiczne. Coś w rodzaju snu Tamplesów, w każdym razie oni tak to określają.

Ferrol zamyślił się. A więc istnieją granice możliwości kosmicznego konia... Ciekawe! Jeszcze ciekawsze, że nikt przedtem nie zwrócił na to uwagi.

— Kapitanie! — odezwała się MacKaig. — Hhom-jee zgłasza wreszcie gotowość do SKOKU!

— Bardzo dobrze! Wykonać!

Niemal w tym samym momencie światło słoneczne przygasło, by po chwili znów rozblysnąć pełnym blaskiem. Byli na miejscu.

1148, oglądana przedtem gołym okiem, wydawała się zwyczajną czerwonawą gwiazdą. Teraz, widziana przez słoneczny teleskop, sprawiała niezwykle wrażenie. Bliźniacze gwiazdy, okryte świecącą mgiełką jaskrawych, na pozór kłócących się barw, ucieleśniały zarazem jedność przeciwieństw i przeciwieństwo w jedności. Wyglądały jak dziecko w ramionach matki albo jak wojownicy walczący na śmierć i życie.

Ferrol za wszelką cenę starał się odrzucić te fantazje. Nadmiar wyobraźni był ostatnią rzeczą, na jaką mógł sobie pozwolić, teraz, gdy zbliżali się do systemu z gwiazdą w stanie prenowej.

— Ciekawy widok — powiedział Roman za jego plecami. — Poruczniku, czy widać stąd Shadracha?

— Tak, kapitanie — odpowiedziała MacKaig. — Około trzy stopnie od prostej biegnącej w kierunku gwiazdy, w przybliżeniu, pięćdziesiąt milionów kilometrów.

— Prawie dokładnie zgodnie z przewidywaniami — ucieszył się kapitan. — Dobra robota! Proszę przekazać obliczenia Hhom-jee i niech nas prowadzi. — Włączył radiotelefon, nakazując Ferrolowi podłączyć się do obwodu.

— Doktorze Tenzing, czy pańscy ludzie mają już jakieś teorie na temat przyszłych

wydarzeń?

— Na tym etapie mamy tylko hipotezy — mruknął Tenzing.

„Naukowe wykręty”, pomyślał Ferrol, wahając się między ciekawością a bardzo prozaicznym pragnieniem, żeby znaleźć się daleko stąd.

— W każdym razie dwie rzeczy wydają się w miarę pewne — kontynuował Tenzing. — Po pierwsze: obie gwiazdy, zwłaszcza karzeł, są znacznie bardziej rozgrzane niż powinny i po drugie: B gwałtownie stygnie. Najprawdopodobniej obserwujemy jakiś wariant Cyklu Anzelma — grawitacyjny albo termiczny.

— Czy Cykl Anzelma był kiedykolwiek...?

— Cóż, o ile mi wiadomo, nigdy dotąd nie był obserwowany. Sądzę jednak, że scenariusz będzie mniej więcej wyglądał tak: po uzyskaniu równowagi grawitacyjnej część powłoki gazowej A, giganta, spadnie na B, powodując wzrost energii, która rozgrzeje powierzchnię B i zmieni powłokę. Wyrzucony w ten sposób nadmiar energii promienistej rozgrzeje powłoki A, która rozszerzy się lekko, wysyłając jeszcze więcej energii w kierunku B. W końcu, przynajmniej w myśl teorii, jeden z cykli dostarczy dość substancji, aby na powierzchni B wywołać reakcję protonowo-protonową. B przejdzie w stan nowej, przy czym jej jasność zwiększy się około pięćdziesięciu tysięcy razy i spali wszystko w systemie.

Roman skinął głową ze zrozumieniem.

— To brzmi dość przekonująco. Kiedy możemy oczekiwać kolejnego wyparcia energii?

— Nie wiadomo — stwierdził Tenzing. — Według przybliżonych obliczeń, ostatni wybuch zdarzył się przed sześćdziesięcioma, ewentualnie osiemdziesięcioma godzinami, co według teorii stanowi mniej więcej dwie trzecie długości cyklu. Kolejny powinen nastąpić w ciągu trzydziestu, czterdziestu godzin, ale nie mamy pewności.

— Kiedy będzie można zauważyć jakieś ostrzeżenie?

Tenzing speszył się.

— Również tym razem żaden z moich ludzi nie jest w stanie odpowiedzieć. Prawdopodobnie co najwyżej parę minut wcześniej.

— Rozumiem. Czy można przewidzieć, za którym razem pojawi się nowa?

Doktor Tenzing spoważniał.

— Niestety nie. Nie mamy aparatury do dokładnych pomiarów dynamiki plazmy. Nie znając powierzchni Lagrange'a i współczynników rozszerzalności, możemy jedynie snuć przypuszczenia. Może potrwa to bardzo niedługo, a może nawet kilka tygodni.

Roman ponuro skinął głową.

— Dziękuję, doktorze! — przerwał połączenie i odwrócił się twarzą do monitora maszynowni. — Jak statek wytrzymuje te warunki?

— Temperatura kadłuba wzrasta, ale nie ma niebezpieczeństwa — odpowiedział dy-

żurny podporucznik, nie spuszczać oka z odczytów. — Dopóki B stygnie, wszystko jest w porządku. Występuje słabe promieniowanie korpuskularne, ale w bezpiecznych granicach.

Na razie nie było powodów do niepokoju. Kadłub miał dużą wytrzymałość, a w najgorszym wypadku mogli przecież schronić się w cieniu Pegaza...

Nagle...

Ferrol i kapitan równocześnie spojrzeli na siebie i rzucili się do telefonu. Roman dopadł go pierwszy:

— Rrin-saa? Tu kapitan. Dlaczego jeszcze stoimy? Ferrol włączył się do obwodu. Dopiero po chwili ekran rozjaśnił się, ukazując Tamplesa w hełmie kontaktowym i zielono-purpurowej chusteczce.

— Słucham, Rro-maa? — odezwał się Hhom-jee.

— Dlaczego stoimy? — powtórzył Roman. — Podporucznik MacKaig podała wam kierunek przed kilkoma minutami.

— Pegasunninni nie może się ruszyć.

Roman zaklął po cichu.

— Hhom-jee, musimy się stąd wydostać. Może Pegaz boi się zbliżyć do gorącej gwiazdy? W takim razie będziemy go osłaniać.

— Pegasunninni nie boi się gwiazdy — powiedział Hhom-jee. — Nie ruszy się w każdym kierunku. Źle się czuje.

Roman spojrział na Ferroła. Nawigator siedział blady jak ściana. Bez Pegaza *Amity* była uwięziona w systemie.

W okolicach gwiazdy, która niebawem miała wybuchnąć.

ROZDZIAŁ 9

„To dziwne”, pomyślał Roman.

Od wielu lat, ubrany w ciężki kombinezon, spędzał długie godziny w ciasnym waha-
dłowcu i zawsze czuł się znakomicie. Teraz, kiedy wokół siebie miał biliony kilometrów
sześciennych otwartej przestrzeni, zaczął nagle odczuwać nieprzyjemne objawy klau-
strofobii. Byli uwięzieni w systemie prenowej...

— Co to znaczy, że Pegaz źle się czuje? — jeszcze raz spróbował się czegoś dowie-
dzieć. — Jest chory, zmęczony?

Odpowiedź była łatwa do przewidzenia.

— Nie wiem. Wiem tylko, że nigdy nie widziałem kosmicznego konia w takim sta-
nie. To wszystko.

Roman zacisnął zęby:

— Gdzie jest Sso-ngii? Chciałbym z nim porozmawiać.

— Sso-ngii odpoczywa — wyjaśnił Hhom-jee.

— No dobrze, w takim razie obudź go — warknął Ferrol.

— Nie można mu przeszkadzać!

Ferrol chciał jeszcze coś powiedzieć, ale Roman powstrzymał go ostrzegawczym
spojrzeniem.

— Schodzę do was — powiedział do Hhom-jee. — Spróbujcie jeszcze raz!

Przerwał połączenie i odpiął pasy.

— Komandorze, niech pan trochę pogoni ludzi Tenzinga — polecił, odwróciwszy się
przez ramię. — Gdy wrócę, chciałbym mieć już gotową diagnozę. Musimy się dowie-
dzieć, co się stało z Pegazem i jak go leczyć — wślizgnął się przez drzwi.

— Tak jest, kapitanie! — zawołał za nim Ferrol.

Przedział Tamplesów wyglądał zupełnie tak samo jak wówczas, kiedy był w nim po
raz pierwszy, tym razem jednak Roman nie dostrzegł jego egzotycznego piękna. Jak
mógł najszybciej posuwał się korytarzem, szukając palcami uchwytów, ukrytych do po-
łowy w mchu.

Dotarł do drzwi pokoju operatorów i wślizgnął się do wnętrza, gdzie spokojnie cze-

kało na niego trzech Tamplesów, a właściwie tylko Rrin-saa i Hhom-jee. Sso-ngii, wciśnięty w najdalszy kąt, mruczał coś przez sen i wydawał się zupełnie nieświadomy tego, co się wokół dzieje.

— Rro-maa — odezwał się Rrin-saa bardzo poważnie. — Hhom-jee powiadomił mnie, że przyjdiesz.

Kapitan usiłował odszukać któryś z niewielu uchwyty pokładowych, jakie Tamplesi pozwolili zainstalować w swojej części statku.

— Hhom-jee poinformował mnie, że Pegaz jest chory.

Wreszcie odnalazł uchwyt i złapał równowagę. Spojrzał pytająco na Tamplesa i westchnął ciężko pod maską. Rrin-saa odwrócił się w kierunku iluminatora i popatrzył na Pegaza.

— Nie wiemy, czy jest chory — sprostował. — Może jest po prostu osłabiony zmianą światła i nie chce się ruszyć.

— Dlaczego nie wiemy? — zapytał Roman. — Przecież Hhom-jee jest z nim w kontakcie. Dlaczego go nie zapyta, co się stało?

Rrin-saa spojrział na Hhom-jee, a potem znów na Romana.

— Nie o to chodzi, Rro-maa — powiedział. — Tu nie ma pytań i odpowiedzi. Tak po prostu jest.

Roman westchnął znowu, hamując nagły wybuch gniewu.

— Nie czas i miejsce na dyskusje filozoficzne — stwierdził stanowczo. — Na planecie jest pięćdziesięciu ludzi, którzy spłoną, jeśli nie ruszymy Pegaza. Nie wspominając już o załodze *Amity*.

Rrin-saa spojrział na niego z dziwnym wyrazem skrzywionej twarzy.

— Podzielamy wasze uczucia, Rro-maa. My też mamy obserwatorium w tym świecie.

Nie przyszło mu do głowy, że Tamplesi mogli mieć swoją bazę na Shadrachu. Właściwie, dlaczego nie? Zawsze jednak wydawało mu się, że Tamplesów nie interesowała nieożywiona część przyrody.

— Dlaczego nie mówiłeś o tym wcześniej? — zdziwił się.

Rrin-saa dotknął palcami ucha, czyli wzruszył ramionami.

— Nie pytano mnie o to.

Roman zacisnął usta.

— Tym bardziej nie powinniśmy tu tkwić — wskazał na mruczącego Sso-ngii. — Jeśli Hhom-jee nie potrafi poruszyć Pegaza, to może Sso-ngii...

Rrin-saa popatrzył na Hhom-jee, potem na Sso-ngii, wreszcie utkwiał wzrok w Romanie.

— Chyba nie. Nie zechce zastosować przymusu, zresztą nie sądzę, aby przymus okazał się skuteczny.

— Przynajmniej spróbujcie!

Rrin-saa spojrział znów na Sso-ngii.

— On teraz odpoczywa i nie wolno mu przeszkadzać.

Roman całą siłą woli starał się opanować.

— Rrin-saa, rozumiem, że czas odpoczynku jest dla was równie ważny jak dla nas sen. Ale teraz jesteśmy w krytycznej sytuacji. Jestem przekonany, że przebudzenie nie zaszkodzi mu. Obudź go!

— To nie jest dla niego dobre — upierał się Rrin-saa. — I to jest niepotrzebne. Jeśli Hhom-jee nie może ruszyć Pegasunninni, to Sso-ngii też nie będzie mógł.

Przez chwilę Roman miał wielką ochotę wstać i po prostu obudzić Sso-ngii. Chodziło jednak o zasadę, o przypomnienie im, kto właściwie dowodzi *Amity*.

— Rrin-saa, od początku zgodziłeś się, że będę wydawał wam rozkazy i że podporządkujecie się im ze względu na znaczenie tego eksperymentu. Zgadzam się z twoim poglądem, że Sso-ngii ma niewielkie szanse, ale my, ludzie, chwytamy się każdego sposobu i jeśli nam się udaje” to właśnie dlatego, że nie zrezygnowaliśmy przedwcześnie. — Wskazał na Sso-ngii. — Teraz też nie zmienię zdania. Uznaj to za lekcję ludzkiego myślenia albo ludzkiego uporów, jak wolisz. I potraktuj jako rozkaz.

Rrin-saa przez dłuższą chwilę trwał w bezruchu i milczeniu. Potem zbliżył się powoli do Sso-ngii. Chwycił go za ramię, łagodnie przemawiając w piskliwej mowie Tamplesów. Mruczenie ucichło, Sso-ngii otrząsnął się jak zmoczony pies i potarł dłonią kark. Rrin-saa powiedział coś jeszcze. Sso-ngii przez chwilę patrzył na Romana, potem podszedł do Hhom-jee i założył jego hełm.

— Będzie próbować — powiedział Rrin-saa.

Roman nie zauważył w jego głosie najmniejszego śladu emocji.

Przez kilka minut w pomieszczeniu panowała cisza. Wreszcie Sso-ngii odwrócił się od iluminatora.

— Pegasunninni nie ruszy — oznajmił stanowczym głosem, który nie pozostawiał miejsca na żadne wątpliwości.

Mimo wszystko, warto było próbować.

— Spróbuj jeszcze raz! — poprosił kapitan.

Zatoczył się w kierunku tablicy z instrumentami nagłaśniającymi, odnalazł interkom i połączył się z pomostem.

— Komandorze, czy mamy jakieś informacje z sekcji badawczej?

— Nic ciekawego — Ferrol pozwolił sobie na ironię. — Przedstawili z pięć różnych teorii, poczynawszy od choroby popromiennej, a skończywszy na niedożywieniu, i żadnych istotnych dowodów, które uzasadniałyby którąkolwiek z nich. O leczeniu oczywiście nie ma mowy!

Przynajmniej jedna możliwość została wyeliminowana.

— No cóż, myślę, że musimy na dobre zacząć improwizować — zdecydował się kapitan. — Niech pan połączy się z maszynownią i każe Stoltowi włączyć silnik. Potem proszę przekazać Tenzingowi, żeby zebrał wyposażenie potrzebne do dalszych badań kondycji Pegaza i przeniósł je do lądownika.

Ferrol zmarszczył czoło.

— Mam nadzieję, kapitanie, że nie będzie pan próbował wlec za sobą Pegaza przez całą drogę na Shadracha. — Było to stwierdzenie, a nie pytanie.

— Ma pan rację — przyznał Roman. — Odłączymy *Amity* i polecimy sami. Pegaz zostanie z większością naukowców i częścią Tamplesów, którzy będą pilnować, żeby nagle nie ozdrowiał i nie SKOCZYŁ na nas.

— A jeżeli...? — przerwał gwałtownie Ferrol. — Chciałbym z panem pomówić prywatnie, kapitanie, jeśli można.

Roman spojrzał na niego pytająco.

— Za minutę będę z powrotem na pomoście. Czy to wystarczy?

Ferrol skinął głową.

— Każe Stoltowi uruchomić silnik.

— W porządku! Skończyłem. — Kapitan odwrócił się do Tamplesów: — Słyszałeś, Rrin-saa?

— Słyszałem, Rro-maa.

— To dobrze. Teraz zastanów się, kto ci będzie potrzebny na *Amity* w drodze na Shadracha. Reszta niech przygotuje łodzie ratunkowe. Wszyscy trzej operatorzy muszą oczywiście zostać z Pegazem.

Rrin-saa zawahał się.

— Wasze życzenia są naszymi! — zaskowyczał w końcu.

— Spróbujcie jeszcze raz ponaglić Pegaza — przypomniał Roman, kierując się do drzwi. — Jeśli się uda, natychmiast ruszajcie do przodu. Gdybym okazał się potrzebny, będę na pomoście.

Opuścił przedział Tamplesów i wyszedł na korytarz, gdzie rozlegał się już cichy szum silnika. Ferrol czekał na niego na pomoście.

— Stolt mówi, że potrzeba około godziny na rozruch — zameldował. — Nie kazałem się spieszyć, bo i tak przygotowanie lądownika i łodzi ratunkowych zajmie nam mniej więcej tyle samo czasu.

Roman przez chwilę obserwował program kontroli lotu, potem spojrzał badawczo na nawigatora.

— O czym to chciał pan pomówić ze mną prywatnie?

Ferrol spojrzał mu prosto w oczy.

— Szczerze mówiąc, kapitanie, nie ufam Tamplesom.

— Sądzi pan, że udają z tą chorobą Pegaza?

— Nie. Sądzę, że mogą zwać stąd, nie czekając na powrót *Amity*, jeśli tylko Pegaz poczuje się lepiej.

Przez chwilę Roman obserwował młodego człowieka. W jego oczach migotały upiory Prometeusza. Kapitan z niepokojem przypomniał sobie wypowiedzi dziewięćdziesięciu siedmiu przeciwników Tamplesów z pokładu *Amity*.

— Moim zdaniem, jest to zupełnie nieprawdopodobne — stwierdził po chwili — a ponadto, możemy uniknąć ryzyka i zostawić na stacji badawczej część naszej załogi. Dam panu do dyspozycji dość ludzi do obserwowania Tamplesów.

Przez sekundę Ferrol zdawał się nie rozumieć, potem oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

— Mnie, kapitanie?

— Tak, panu, komandorze! — potwierdził Roman. — Proszę w ciągu pół godziny sporządzić listę osób, które chciałby pan mieć przy sobie. Niech pan pamięta, że musi być to zgrana grupa. Wśród załogi zdarzają się nieporozumienia i konflikty, na które nie możemy pozwolić sobie na łodziach.

— Tak jest — Ferrol oblizał wyschnięte usta. — Kapitanie, jestem gotów, jednak... wolałbym polecieć na *Amity*.

— Wiem o tym — powiedział Roman — ale nie mam wyboru, komandorze. Ktoś upoważniony do wydawania rozkazów musi zostać z Pegazem, a Kennedy i Stolt będą mi potrzebni. Zatem pozostaje tylko pan.

Ferrol westchnął głęboko.

— Tak jest! — odpowiedział i zrezygnowany oddalił się bez słowa.

Roman przez chwilę patrzył za nim. Potem zasiadł za swoim pulpitem, ponieważ przed rozpoczęciem akcji chciał znać odpowiedź na decydujące pytanie. Po chwili uzyskał wynik analizy komputerowej, który okazał się jednoznaczny i złowieszczy. *Amity* wytrzyma podróż na Shadracha nawet nie osłaniana przez Pegaza... pod warunkiem, że nie wzrośnie ilość energii oddawanej przez B. Podróż w jedną stronę potrwa ponad dwadzieścia pięć godzin, ponieważ Tamplesi nie zniosą przez dłuższy czas przyspieszenia większego niż dwa G. Tymczasem wybuch białego karła może nastąpić w każdej chwili. Jeśli eksplozja zdarzy się w przeciągu najbliższych pięćdziesięciu godzin, *Amity* będzie zgubiona.

„My, ludzie, chwytamy się każdego sposobu”, przypomniał sobie własne słowa skierowane niedawno do Rin-saa.

Nie były to tylko przechwałki. Przetarł ekran i włączył czytnik, wzywając jednocześnie poruczników Kennedy i Marlowe’a.

Jasne smugi przegrzanej plazmy z silnika *Amity* były widoczne jeszcze dość długo po zniknięciu statku. Ferrol obserwował przez tylne okienko lądownika, jak stawały się coraz cieńsze, aż wreszcie rozplynęły się w świetle bliźniaczych gwiazd. Po *Amity* nie

było śladu... Przez chwilę wpatrywał się w pustą przestrzeń, zastanawiając się nad sytuacją. Wprawdzie kapitan nie wpadł w panikę, ale przed opuszczeniem statku Ferrol przeanalizował dokładnie wszystkie parametry i dobrze wiedział, jakie niebezpieczeństwo zagrażało *Amity*. Jeśli jeden z wybuchów rozsadzi gwiazdę, zanim dotrą na Shadracha, statek spłonie!

Wtedy oczywiście zostałby dowódcą... Skrzywił się. Nie zależało mu na dowodzeniu niezorganizowaną gromadą naukowców, którzy na ogół nie mieli najmniejszego pojęcia o funkcjonowaniu lądownika i zmuszeni do działania, mogliby co najwyżej przeszkadzać. Nie chciał kierować ludźmi z obsługi, którzy doskonale wiedzieliby, jak do tego doszło, i czuliby się pokrzywdzeni. Ani tym bardziej grupą Tamplesów!

Odwrócił się od iluminatora i rozejrzał po wnętrzu lądownika. Ludzie tłoczyli się pośród instrumentów o dziwnym przeznaczeniu. Przez środek tłumu przeciskał się doktor Tenzing w masce i udzielał instrukcji naukowcom, starając się przy tym mówić jak najwyraźniej. Obok niego Garin, szef obrony, ustalał coś z załogą.

W małej oazie spokoju na dziobie lądownika znajdowali się Tamplesi. „Siedzieli” w ciasnym kręgu (nawet przy zerowej grawitacji Ferrol wzbraniał się określać ich dziwną pozycję jako siedzenie), trwając na ogół w ciszy i bezruchu.

Od czasu do czasu przechylali tylko krzywe głowy, spoglądając na grupę łodzi ratunkowych ukrytych w czarnym cieniu oddalonego o kilometr Pegaza. Jeden z nich poruszył się lekko, dzięki czemu Ferrol rozpoznał pod potężnym hełmem Sso-ngii ze zniechęconym spojrzeniem. Przez moment widział też przywiązane do hełmu odrażające zwierzę.

Ferrol był przekonany, że coś knują. Nie wiedział tylko, co...

Ruszył do przodu, trzymając się ściany. Nieoczekiwanie udało mu się przerwać potok słów Tenzinga.

— Doktorze, co robią pańscy ludzie?

— Jesteśmy prawie gotowi — odpowiedział tamten trochę zniecierpliwiony.

— Będziemy mogli wyruszyć, powiedzmy... za dziesięć, piętnaście minut.

— Dobrze. Nie muszę chyba przypominać, że trzeba się spieszyć.

Maska zmarszczyła się, jakby Tenzing ukrywał pod nią ironiczny uśmiech.

— Uzyskałem stopień naukowy w dziedzinie astrofizyki — powiedział z godnością.

— Wiem znacznie lepiej aniżeli pan, kiedy można oczekiwać wybuchu.

— Nie mam zamiaru oglądać go z bliska — odciął się Ferrol. — Może pan sprawdzi, czy nie będziemy do tego zmuszeni.

Uchwycił się poręczy i skierował na lewo, chcąc porozmawiać z Garinem, który kręcił się w okolicach iluminatora na śródkręciu.

— Co słyhać? — zagadnął Ferrol.

— Nic szczególnego — mruknął Garin. — Oglądam właśnie liny łodzi ratunkowych.

Wyglądają dość solidnie.

— W porządku. Jeśli będzie pan miał chwilę czasu, niech pan odszuka Yamoto i polecą jej przesunąć lądownik w cień Pegaza. Niekoniecznie zaraz, ale w najbliższym czasie. Nie mamy osłon jak *Amity*. Nie warto bez potrzeby narażać się na upał i promieniowanie.

— Tak jest — powiedział Garin. — A potem?

Ferrol zawahał się.

— Potem? Chciałbym, żeby pan pilnował Tamplesów.

Garin zmarszczył brwi.

— Czy mam uważać na coś szczególnego?

— Na jakiś podstęp. Próbę SKOKU bez *Amity*, gdy Pegaz ozdrowieje. Mogą planować jakiś szaleńczy sabotaż. Rrin-saa mógłby na przykład próbować zostawić nas tutaj z grupą samobójców. Na pewno coś knują, nie wiem tylko jeszcze co. Mam jakieś złe przeczucie.

Garin spojrzał na Tamplesów.

— Ja też to czuję. Proszę się nie martwić, będę ich obserwował.

— Dobrze. Jeśli pan ich przyłapie... — zastanowił się chwilę. — No cóż, proszę mnie powiadomić. Prywatnie.

— Tak jest — powiedział spokojnie Garin. — Na pewno to zrobię.

Ferrol skinął głową i oddalił się.

W wewnętrznej kieszeni munduru czuł ciężar pistoletu.

ROZDZIAŁ 10

Kolejny wybuch nastąpił wówczas, gdy Roman drzemał spokojnie w fotelu, a *Amity* znajdowała się jeszcze czterysta tysięcy kilometrów od Shadracha.

— Czy jest pan pewien? — kapitan zmarszczył brwi.

Wpatrywał się w ekrany, usiłując odegnać resztki snu.

— Wykres ubytku energii właściwie niewiele się zmienił.

— Tak, jestem absolutnie pewny, kapitanie — Marlowe zmienił program.

Na repetytorze skanera pojawiła się krzywa prędkości.

— Karzeł wyemitował cienką warstwę plazmy, która teraz rozprzestrzenia się z prędkością prawie czterystu kilometrów na sekundę — wyjaśnił. — Na razie plazma blokuje przepływ energii promienistej, ale to długo nie potrwa. Gdy powłoka rozrzedzi się na tyle, że zacznie przepuszczać światło... będziemy mieli mały kłopot.

— Ile pozostało nam czasu? — zapytał Roman, sprawdzając parametry kursu.

— Najwyżej kilka minut.

Roman ponuro skinął głową. Przed chwilą *Amity* wytraciła prędkość przy zmianie kursu. Teraz kierowała się prosto na Shadracha z przyspieszeniem zaledwie dwóch G.

W tych warunkach w bezpiecznym cieniu planety znaleźliby się dopiero za godzinę i pięćdziesiąt sześć minut.

— Co pani na to, poruczniku Kennedy?

Obliczała coś w milczeniu, przebiegając palcami po klawiaturze urządzenia sterującego.

— Można zawrócić i przyspieszyć na parę minut, a potem wykonać obrót i znowu zwolnić — zaproponowała w końcu bez większego przekonania. — Przypuszczalnie jednak wskutek dwóch obrotów stracimy wszystko, co uda się w ten sposób nadrobić.

Kapitan szukał innych rozwiązań. Ograniczenie opóźnienia może być równie nieskuteczne. Wprawdzie *Amity* zatrzymałaby się wówczas szybciej, lecz zbyt daleko od planety. A może...

Analizując powiększony obraz Shadracha, wstrzymał oddech.

Bogowie okazali się łaskawi!

Większy z dwóch księżyców znajdował się jakieś trzysta kilometrów bliżej niż sama planeta i oddalony był tylko o kilka stopni od toru, po którym poruszała się *Amity*.

— Kennedy, zmiana kursu! — zdecydował natychmiast. — Kierujemy się na ciemną stronę księżyca Shadracha. Wykonać niezwłocznie po ustaleniu parametrów. Następnie obliczyć przyspieszenie i ETA! Ustalić najkrótszy czas lotu! Marlowe, proszę określić jasność gwiazdy B poza powłoką plazmy i przekazać wynik Stoltowi! Chciałbym wiedzieć, ile może wytrzymać kadłub. Później zastanówcie się, czy ETA jest wystarczające!

Poczuł lekki przechył, gdy *Amity* zmieniała kierunek o niezbędne kilka stopni. Pomost zaskrzypiał, obracając się do właściwego położenia. Po chwili nastąpił kolejny przechył i pomost przesunął się w drugą stronę.

— Wykonano zmianę kursu — zameldowała Kennedy. — Przy stałym opóźnieniu dwóch G osiągniemy księżyc za niecałe dwadzieścia siedem minut.

— Marlowe?

— Będzie cholernie ciężko — stwierdził Marlowe. — Dysze silnika wezmą wszystko na siebie, a są przecież znacznie bardziej rozgrzane niż kadłub. Musimy pamiętać, że gwiazda nie leży dokładnie na naszym torze. Jeśli nawet wykonamy obrót bardzo wolno, narażając w równym stopniu kolejno każdą część kadłuba, to i tak moment krytyczny może nastąpić w ciągu piętnastu, dwudziestu minut.

— Poruczniku Kennedy, coś jeszcze? — zapytał kapitan.

— Chyba nic więcej nie da się wymyślić — potrząsnęła głową. — Wprawdzie wyłączając silnik i utrzymując przez dziewięć minut dotychczasową prędkość, możemy skrócić czas do dwudziestu minut, ale wtedy ostatnie jedenaście minut musielibyśmy jednak pokonać przy dwunastu G.

Jedenaście minut z przyspieszeniem dwunastu G oznaczało jedenaście minut piekła dla statku i jego załogi! Szczególnie dla Tamplesów. Czy oni w ogóle to przeżyją?

Roman włączył interkom.

— Rrin-saa?

Na ekranie ukazała się twarz Tamplesa.

— Słucham, Rro-maa?

— Rrin-saa, jesteśmy w krytycznej sytuacji — powiedział Roman. — Przez jedenaście minut musimy poruszać się z przyspieszeniem dwunastu G, inaczej *Amity* nie wytrzyma promieniowania. Czy twoja załoga jakoś to zniesie?

Na twarzy Rrin-saa pojawił się jakby cień emocji, ale Roman nie był tego zupełnie pewien.

— Nie wiem — odpowiedział Tamples. — Wiem, że Tamplissta wytrzymywali przez krótki czas osiem G. To wszystko. — Milczał chwilę. — Wasze życzenia są naszymi, Rro-maa. Zrób to, co uważasz za konieczne.

Roman westchnął głęboko.

— Trzymać kurs, Kennedy! Zasygnalizować niebezpieczne przyspieszenie! Powodzenia, Rrin-saa!

Silnik wyłączył się. Zadźwięczał alarm. Fotel Romana automatycznie rozłożył się do pozycji zabezpieczającej przed skutkami gwałtownego przyspieszenia. Kapitan usadowił się głęboko, czując jak oparcie ugina się pod ciężarem ciała. Miał świadomość, że zrobił wszystko, co było możliwe. Teraz mógł tylko czekać na skutki działania praw fizyki. Z uwagą wpatrywał się w monitory.

Zgodnie z przewidywaniami, minutę później pękła rozszerzająca się powłoka plazmy. Kapitan obserwował strzałkę na skali temperatur kadłuba: bezustannie przesuwiała się w górę, osiągając nie notowaną dotychczas wysokość. Po chwili zatrzymała się niespodziewanie i gwałtownie opadła do zera. Najprawdopodobniej czujniki nie wytrzymały, odłączyły się albo po prostu spłonęły. W tym czasie oznaki zniszczenia były już widoczne w całym obwodzie.

Kennedy powoli obracała statek, starając się, żeby przeciążenie rozkładało się równomiernie na każdą część kadłuba. System chłodzenia nie nadążał za wzrostem temperatury. W ciągu kilku minut zewnętrzna warstwa odbłaskowa zaczęła się marszczyć.

Wkrótce silnik włączył się ponownie. Roman jęknął cicho, gdy potężna, niewidzialna siła wcisnęła go w fotel i trzymała, dławiąc bezlitośnie, w żelaznym uścisku.

Narażanie statku i załogi na wysokociśnieniowe piekło nie jest najprzyjemniejszą stroną akcji ratowniczej, to ironiczne spostrzeżenie było ostatnią myślą, jaka przemknęła mu przez głowę, zanim otoczyła go ciemność.

Powoli, jakby nie wierząc we własne siły, *Amity* budziła się do życia.

Ekipa remontowa stwierdziła ponad dwadzieścia odkształconych płyt kadłuba. Natychmiast przystąpiono do najpilniejszych napraw.

— Uszkodzenia niewłaściwie przechowywanych przyrządów są dość znaczne, ale chyba wszystko będzie można naprawić. Na razie robimy porządki.

— Dysze ocalały mimo gwałtownego lądowania. Znajdujemy się parę kilometrów na południowy wschód od środka ciemnej strony księżyca. Mamy dużo czasu, pełny obrót trwa około dziewięciu dni.

— Są ofiary, kapitanie. Tamplesi donoszą o ośmiu zmarłych wskutek przyspieszenia. Po naszej stronie nie ma wypadków śmiertelnych. Zanotowano tylko parę złamań i drobniejszych obrażeń. Grupa medyczna pomaga lekarzom Tamplesów.

Roman zaklął bezmyślnie.

Ośmiu! Aż ośmiu... w dodatku sami Tamplesi.

Powinien zaraz zatelefonować do Rrin-saa i złożyć mu oficjalne kondolencje.

— Kapitanie! — zgłosił się Marlowe. — Wreszcie przebiłem się przez barierę jonową. Mamy kontakt z grupą Lowry'ego!

Roman rzucił się do nadajnika.

— Mówi kapitan Haml Roman ze statku badawczego Cordonale *Amity*. Doktor Lowry?

— To ja, kapitanie! — Zakłócenia ustąpiły i na ekranie pojawiła się sylwetka mężczyzny o śnieżnobiałych włosach, ubranego w skafander ciśnieniowy. Twarz, do połowy ukryta pod hełmem, wydawała się bardzo zmęczona.

— Nie wyobraża pan sobie, jak się cieszymy, że nas odnaleziono!

— Jakoś nam się udało. Gdzie jesteście?

— Po ciemnej stronie Shadracha. Mogę podać długość i szerokość, ale to na nic. Shadrach wykonuje obrót w ciągu czterdziestu dwóch godzin. Musimy się przemieszczać, uciekając przed światłem.

Roman spojrział przez iluminator i natychmiast odwrócił wzrok, oślepiony rażącym blaskiem. Nisko na niebie widać było mniej więcej połowę tarczy planety, której jasne światło było jedynie odbiciem od ciemnych gwiazd.

— Przypuszczam, że macie jakiś lądownik?

— Tak, typ Sinor-Graybach TL-1. Dość ciasny dla pięćdziesięciu osób, ale jakoś się zmieścimy.

— Poruczniku Kennedy? — zapytał Roman szeptem.

— Jest trochę za duży jak na nasze warunki — odezwała się natychmiast. — Chyba trzeba będzie umieścić go w hangarze.

— Dziękuję! Doktorze, damy sobie radę. Jak u pana z paliwem?

— Większość zostawiliśmy w bazie. Poza tym trochę zużyliśmy, uciekając przed promieniami słońca. Mimo wszystko, jeśli orbita nie będzie zbyt wysoko, zdołamy chyba do was dotrzeć.

— Myślę, że możemy wam pomóc — stwierdził Roman. — Słyszałem, że była tam również jakaś grupa Tamplesów. Co się z nimi stało?

Lowry potrząsnął głową.

— Obawiam się, że dla nich nic nie da się już zrobić. W czasie pierwszego wybuchu znajdowali się po słonecznej stronie. Wszyscy zginęli.

— Na pewno? — wykrztusił Roman.

Mimo zakłóceń w odbiorze i skafandra ciśnieniowego, profesorowi nie udało się ukryć, że drży ze zdenerwowania.

— Jesteśmy pewni — odpowiedział z głębokim westchnieniem. — Udaliśmy się tam natychmiast, gdy tylko obóz znalazł się w cieniu. Nie mieli najmniejszych szans ucieczki, żadnego ostrzeżenia. Bylibyśmy w tej samej sytuacji, gdyby wybuch nie wyładował się w najbliższym otoczeniu Shadracha, a fala uderzeniowa nie trafiła do gruntu. — Lowry uniósł rękę, jakby chciał przygłodzić włosy, potem opuścił ją bezradnym gestem. — Nie wiadomo, dlaczego karzeł wybuchnął tak nagle, przecież jeszcze przez miesiąc miał być spokój.

— Później będziemy analizować szczegóły, doktorze. Czy reszta załogi dobrze się czuje?

Lowry uspokoił się trochę.

— Jesteśmy zdrowi. Gdy tylko wydostaniemy się stąd, na pewno poczujemy się jeszcze lepiej. Kiedy możemy startować?

— Obawiam się, że to trochę potrwa. — Roman popatrzył na repetytor skanera. — Musimy poczekać, aż intensywność światła zmniejszy się na tyle, że będziemy mogli ruszyć. Jesteśmy na dłuższym boku ciemnej strony księżyca.

Lowry osłupiał.

— Więc nie jesteście nad samym Shadrachem? Kapitanie! — przełknął ślinę i zacerpnął powietrze. — Kapitanie, nie możemy czekać tak długo! Według naszych obliczeń, następny wybuch będzie ostatni.

— Nowa? — wyszeptał Roman zdławionym głosem.

Lowry bez słowa skinął głową.

— Intensywność światła zmaleje przedtem najwyżej o jedną wielkość gwiazdową — dodał po chwili.

Na pomoście zaległa cisza.

— Ile mamy czasu? — zapytał Roman.

— Mniej więcej sześćdziesiąt do siedemdziesięciu godzin.

Roman zawahał się. Sześćdziesiąt godzin... Z tego co najmniej dwadzieścia pięć trzeba przeznaczyć na powrót do Pegaza.

— W porządku, doktorze. Zobaczymy, co da się zrobić. Skończyłem — wyłączył nadajnik.

Szum z ekranu ucichł i nic już nie zakłócało absolutnej ciszy na pomoście. Roman obrócił się ostrożnie, lot z przyspieszeniem dwunastu G pozostawił ból w każdym mięśniu. Popatrzył na Marlowe'a.

— Słyszał pan wszystko — powiedział poważnie. — Musicie naradzić się ze Stoltem i obliczyć, ile jeszcze kadłub może wytrzymać.

— Już to zrobiliśmy — zameldował Marlowe. Krzywa intensywności światła na monitorze zniknęła, pojawił się inny wykres i kolumna cyfr. — Komandor Stolt szacuje, że dysze mogą pracować jeszcze piętnaście godzin bez uszkodzenia — wyjaśnił, wodząc po wykresie piórem świetlnym. — Niestety, z tej pozycji nie możemy wystartować. Dysze manewrowe nie wytworzą dostatecznej mocy.

— A co z resztą kadłuba? Twarz Marlowe'a stężała.

— Za dwadzieścia minut zaczną pękać spojenia.

Roman zacisnął wargi.

— Co pani na to, poruczniku Kennedy?

— Nie jest dobrze — lekko potrząsnęła głową. — Jeśli pozostaniemy poniżej ośmiu

G, nie starczy nam godziny na ustawienie statku. Ponadto, wyższe przyspieszenie zabiłoby znowu paru Tamplesów.

Przypomniał sobie, że musi przekazać im przykrą wiadomość. Powinien zrobić to natychmiast, ale po prostu nie potrafił.

— Może założymy dodatkowe osłony na kadłub? — zaproponował. — Podobno mamy zapasowe płyty.

Marlowe zastanowił się:

— Wątpię, żebyśmy mieli wystarczającą ilość, ale zaraz to sprawdzę. — Zawahał się, jakby chciał powiedzieć coś jeszcze. Rozmyślił się jednak i ruszył do wyjścia.

— Obawia się pan nowej, poruczniku Marlowe? — zawołał za nim Roman.

Porucznik odwrócił się natychmiast. Drżenie mięśni twarzy nie było chyba spowodowane wyłącznie bólem pourazowym. Popatrzył na Kennedy, oczekując jakiegoś poparcia.

— Porucznik Marlowe chciał chyba zauważyć — odezwała się Kennedy — że większy opór kadłuba będzie utrudniał wydostanie się z B. Może nam zabraknąć paliwa na powrót do Pegaza.

Roman spojrzał jej prosto w oczy.

— Mamy więc zaniechać dalszych prób? Zostawić pięćdziesięciu ludzi bez pomocy? Kątem oka obserwował Marlowe'a, który wydawał się zupełnie zdezorientowany.

— Na razie nie — powiedziała stanowczo. — Uważam jednak, że musimy się wycofać, gdy stwierdzimy, że nie uda się dotrzeć do nich w ciągu trzydziestu godzin.

Na pomoście znowu zrobiło się cicho.

— Przyjąłem do wiadomości, poruczniku — powiedział Roman. — Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Wszyscy rozeszli się do swoich zajęć. Nagle Roman uświadomił sobie, że bezwiednie wpatruje się w plecy siedzącej przed nim Kennedy. Żałował, że jej arkusz kwalifikacyjny nie zawierał szczegółów wcześniejszej służby wojskowej. Wiedział tylko, że służyła na głównych liniach okrętów wojennych. Z pewnością widziała już niejedną prawdziwą bitwę w którymś z niezliczonych konfliktów międzyplanetarnych, jakie wybuchają z przygnębiającą regularnością w całym Cordonale, zanim spór z Tamplesami nie usunął ich na drugi plan. Bardzo możliwe, że czasem była zmuszona wysyłać ludzi na śmierć. Kapitan nigdy dotąd nie musiał decydować o życiu innych ludzi i za wszelką cenę chciał tego uniknąć. Ze zgrozą przypomniał sobie niedawne wydarzenia. A jednak winien był śmierci kilku istot, chociaż to byli tylko Tamplesi. Długo wpatrywał się w telefon i nie mógł zebrać się na odwagę. W końcu zdecydował się. Rozmowa była konieczna, a odkładanie jej na później tylko pogarszało sytuację.

Jak zwykle odezwał się Rrin-saa:

— Rro-maa, tak?

— Tak, Rrin-saa — potwierdził kapitan. — Chciałbym przekazać wyrazy współczucia z powodu śmierci waszych ośmiu towarzyszy.

— Jedenastu. Trzech zmarło później wskutek obrażeń wewnętrznych. Odprawiamy właśnie ceremonię żałobną.

— Jedenastu... Przepraszam, nie wiedziałem. — Roman zawahał się. — Niestety, mam jeszcze gorsze wiadomości z planety. Wasza baza naukowa została całkowicie zniszczona przy pierwszym wielkim wybuchu.

Rrin-saa wykonał gest oznaczający potwierdzenie.

— Spodziewaliśmy się tego.

Roman zmarszczył brwi.

— Już wiesz?

Rrin-saa na chwilę przymknął oczy:

— Gdyby Tamplissta przeżyli, akcja ratownicza nie byłaby wcale potrzebna, Rro-maa. Oni sami potrafiliby przenieść się wraz z ludźmi w bezpieczne miejsce.

— No tak, oczywiście — zdał sobie sprawę, że Rrin-saa i inni Tamplesi musieli domyślić się prawdy, gdy tylko usłyszeli wezwanie na ratunek.

Nie przyszło mu do głowy zapytać ich o to, a oni nie pytani rzadko się odzywali.

— Współczuję wam, Rrin-saa. Chciałbym, żeby było inaczej.

— My też. Muszę już iść, Rro-maa. Trwa ceremonia żałobna.

Na ekranie interkomu pojawiła się zmęczona twarz Stolta. Widać było, że przytłacza go odpowiedzialność za losy statku, a praca w ciągłym napięciu i skupieniu wyczerpuje nerwowo.

— Nic z tego, kapitanie — odezwał się nadspodziewanie silnym i zdecydowanym głosem. — Zapasowe płyty, elementy osłonowe i substancja ablacyjna w rozpylaczu dadzą łącznie najwyżej dwa dodatkowe centymetry i to pod warunkiem, że wszystko rozprowadzimy bardzo równomiernie, co raczej jest niemożliwe.

— Obawiałem się tego, sądziłem jednak, że warto spróbować — kapitan nie okazywał zawodu. — Jak wypadły próby z parasolem odblaskowym, który pan proponował?

— Ciągłe wykonujemy symulacje, ale nie mamy wielkich nadziei — przyznał Stolt. — Materiały, których używamy do doświadczeń, są odporne albo na światło, albo na promieniowanie — żaden na obydwie czynniki łącznie. Woller robi próby z osłoną wielowarstwową, ale ja raczej w nią nie wierzę.

— Kapitanie? — Kennedy odwrócił się do Romana. — Czy mamy dostateczną ilość zapasowych osłon, żeby skutecznie zabezpieczyć łódź?

Jej obawy były uzasadnione. Musieli przecież dolecieć na Shadracha, upchnąć naukowców i wrócić.

— Jak to wygląda, Stolt?

Błyskawiczna odpowiedź świadczyła, że Stolt też już o tym pomyślał.

— Niedobrze. To będzie piekielny lot. Po pierwsze, możemy osłonić tylko jeden bok łodzi, a drugi najprawdopodobniej się rozpieprzy. Poza tym, możemy zabezpieczyć się tylko w jedną stronę, zanim zdążymy wrócić, osłony stopią się.

— Może grupa Lowry'ego ma jakieś zabezpieczenia, które będzie można wykorzystać w drodze powrotnej — podsunęła Kennedy.

Stolt wzruszył ramionami.

— Jeśli nawet mają, to z pewnością będą chcieli przede wszystkim ochraniać własny lądowisk.

— Dlaczego?! — upierała się Kennedy. — To są przecież astrofizycy, a nie inżynierowie. Może nie zdają sobie sprawy, co byłoby przydatne.

— Całkiem możliwe — zgodził się Roman. — Niech któryś z pańskich ludzi skontaktuje się z grupą doktora Lowry'ego i sporządzi wykaz materiałów, jakimi dysponują!

— Tak jest! — odpowiedział natychmiast Stolt. Roman włączył interkom i zwrócił się do Marlowe'a.

— Czy promieniowanie spada, poruczniku?

— Tak, kapitanie, trochę spada — powiedział bez przekonania Marlowe spoglądając na monitor. — Na razie nieznacznie... Kapitanie, coś nowego pojawiło się na orbicie Shadracha! Niech pan zobaczy!

Na ekranie repetytora Roman spostrzegł plamkę obwiedzioną błyszczącym kółeczkiem.

— Koń kosmiczny?

— Też tak uważam — przytaknął Marlowe. — Prawdopodobnie ten, którym posługiwała się ekspedycja Lowry'ego.

— Można nawet zauważyć resztki statku. Ciekawe, co on tu jeszcze robi?

Roman zamyślił się. Przez głowę przemknął mu szalony pomysł, że ten koń tkwi tutaj jak wierny pies, czekając na powrót swoich panów.

— Chyba nie żyje — stwierdził po chwili i wyłączył monitor. — Przypuszczalnie został zabity razem z Tamplesami.

— A może ktoś na statku ocalał i kieruje koniem? — zasugerowała Kennedy.

Roman nie odrzucał tego przypuszczenia. Statek wydawał się wprawdzie do połowy spalony, ale jeśli w chwili wybuchu znajdował się w cieniu konia, ktoś z załogi mógł pozostać przy życiu. Dlaczego w takim razie nie podjął akcji ratowniczej i naraził innych na okrutną śmierć?

— Czy próbował pan nawiązać kontakt ze statkiem?

— Nadałem sygnały, gdy po raz pierwszy wynurzył się zza rąbka planety. Nie było żadnej odpowiedzi — wyjaśnił Marlowe.

Roman zastanowił się chwilę. Rrin-saa i inni Tamplesi ciągle jeszcze oplakują śmierć towarzyszy. Już raz im przeszkodził... jednak coś podpowiadało mu, że nie sposób dłu-

żej czekać.

Rrin-saa znajdował się poza kabiną operatorów, ale monitor interkomu prędko go odnalazł.

— Rro-maa, tak? — zaskowyczał Tamples.

O dziwo, nie okazywał zniecierpliwienia. Krzywił się tylko dziwacznie, ale Roman nie potrafił odczytać znaczenia tych grymasów.

— Znaleźliśmy konia z waszej ekspedycji. Jest nadal na orbicie Shadracha. Czy wiesz może, dlaczego nie SKOCZYŁ?

Przez dłuższą chwilę Tamples stał nieruchomo, tylko twarz zmieniała mu się pod wpływem kolejnych grymasów.

— Wszystko jest możliwe — odezwał się w końcu. — Koń mógł pozostać z kilkoma operatorami na stacjonarnej orbicie nad obserwatorium. Gdy wszyscy zginęli... — zamilkł i znów skrzywił się zagadkowo. — Musisz wiedzieć, że Tamplissta są bardziej wrażliwi niż ludzie. Nagła śmierć towarzyszy mogła spowodować u operatorów reakcję perasiata, a przez nich również u konia.

Katatonía umierającego systemu...

Podziwiana u Tamplesów zdolność empatii czasami okazywała się kłopotliwa!

— A kiedy się obudzą?

— Tamplissta nie obudzą się już nigdy. Oni poumierają. Roman westchnął zrezygowany. Przez chwilę ośmielił się mieć nadzieję na bilet powrotny z tego koszmaru.

— Bardzo mi przykro — powiedział zgnębionym głosem. — Czy koń też nie żyje?

— Nie wiem. Wiem tylko, że albo nie żyje, albo nadal jest w perasiata. To wszystko.

Roman spojrział na Marlowe'a i wskazał na monitory. Marlowe ze zrozumieniem skinął głową i natychmiast zabrał się do obliczeń.

— Przypuśćmy, że jest w perasiata — kapitan nie ustępował. — W jaki sposób można go obudzić?

— Nie powiedziałem, że jest w perasiata. Nie wiem — poprawił go Tamples.

Roman z wściekłością zacisnął szczęki. Nie było czasu na utarczki słowne z Tamplesami.

— Przyjmijmy dla ułatwienia, że jednak żyje. Powiedz mi, jak go obudzić?

— Tylko operatorzy znają specjalne metody — powiedział stanowczo Rrin-saa.

To było straszne! Wszyscy operatorzy zostali przecież z Pegazem.

— Czy nikt inny nie potrafił tego zrobić? Nie orientuje się choć trochę?

Rrin-saa zawahał się.

— Jeśli nawet udałoby się go poruszyć, to i tak nie miałby dość siły, żeby ciągnąć *Amity* na dalszą odległość.

— To zbyteczne — uspokoił go Roman. — Potrzebujemy tylko cienia, żeby się schronić. Mamy aż nadto paliwa i możemy dolecieć na Shadracha o własnych siłach. Musimy

tylko znaleźć kogoś z umiejętnościami operatora, żeby dotarł do konia w opancerzonej łodzi i spróbował go obudzić.

Twarz Rrin-saa zmieniła się znowu.

— No dobrze — powiedział wreszcie. — Przygotuj łódź. Ja to zrobię.

— Ty? — Roman nie krył zdziwienia.

— Odbyłem przeszkolenie operatorów. Wiem, co trzeba zrobić.

Roman popatrzył na niego z podziwem. Zaskoczył go ten stworek o dziwacznej twarzy, która czasami wydawała się nawet dość zabawna, a czasami wręcz straszna. Co skłoniło go do tego, żeby narażać się dla istot obcego gatunku?

— To nie jest rozkaz — przypomniał, kierowany niejasnym impulsem uświadomienia mu rozmiarów niebezpieczeństwa. — To bardzo trudne zadanie, może skończyć się tragicznie...

Coś w twarzy Rrin-saa kazało mu zamilknąć.

— Ciągłe nas nie rozumiesz, Rro-maa? — zapytał łagodnie Tamples. — Mamy obowiązek poszanowania każdej żywej istoty, musimy chronić naturę, dbać o jej równowagę i wewnętrzną harmonię. Jesteśmy obdarzeni szczególną wrażliwością, a zarazem mocą współtworzenia natury. Moc ta wiąże się z wielką odpowiedzialnością. Nie wybieraliśmy roli obrońców. To jest konieczność, cena, którą płacimy za dar wrażliwości.

Roman od dawna znał tę filozofię, ale nigdy dotąd nie słyszał jej z ust Tamplesa.

— Chcesz zaryzykować życie dla ratowania ludzi?

Rrin-saa dotknął palcami ucha: wzruszył ramionami.

— Nie jesteś sługą i obrońcą, tak jak my, Rro-maa. Jeszcze niezupełnie się rozumiemy. Dopiero się tego uczymy.

Kapitan zaniepokoił się trochę. Często myślał o tym, co skłoniło Tamplesów do udziału w Programie Amity, ale nigdy nie zastanawiał się nad oceną, jaką wystawi mu Rrin-saa w raporcie z wyprawy.

— Przyjmuję twoje dobrowolne zgłoszenie — zdecydował się. — Musimy wierzyć, że się uda.

— Ze względu na ludzi i ze względu na konia — dodał Rrin-saa. — Jego też warto ratować.

— Oczywiście — zgodził się Roman. Miał nadzieję, że koń da się nakłonić przynajmniej do ostatniego SKOKU. Oszczędziłoby to *Amity* wielu niebezpieczeństw w drodze powrotnej do Pegaza. Zresztą nie wiadomo, czy Pegaz ocknie się ze swego stanu. Przez chwilę pomyślał o Ferrolu i reszcie załogi, którą tam zostawił. Na razie nie mógł im w niczym pomóc...

— Przygotowujemy łódź — powiedział do Rrin-saa, starając się zagłuszyć niepokój. — Powiadomimy cię, gdy będzie gotowa.

— Będę czekał — zapewnił Rrin-saa.

Roman wyłączył interkom i spojrzał na Marlowe'a.

— Czy ma pan jakieś konkretne wyniki?

— Nie mam nic do przekazania — Marlowe z rezygnacją pokręcił głową. — Wszystkie pomiary, jakich mimo zagęszczenia plazmy udało się dokonać, nie dają jednoznacznej odpowiedzi. Nie można stwierdzić, czy koń żyje, czy nie.

— No cóż, trudno. Niech pan porozumie się ze Stoltem. Trzeba przygotować łódź.

— Zebrał się na odwagę. — Poruczniku Kennedy, potrzebujemy ochotnika, który pokierowałby łodzią. To musi być bardzo dobry pilot.

— Najlepiej MacKaig — odpowiedziała bez namysłu Kennedy. — Ona ma doświadczenie z holownikami i poławiaczami min. Zaraz ją przywołam.

Roman powstrzymał ją ruchem dłoni.

— Proszę jej przedtem uświadomić, że jeśli koń okaże się martwy, akcja może być samobójcza.

— Na pewno się zgodzi — Kennedy uśmiechnęła się lekko. — Brak jej tego, co pan nazwałby zaufaniem do Tamplesów.

Roman długo nie mógł pojąć znaczenia tej zagadkowej odpowiedzi. Dopiero gdy łódź była gotowa, zdał sobie sprawę, że przecież Rrin-saa ma z nimi wspólny interes.

Chcąc uratować konia, musi go zbudzić i skłonić do SKOKU!

ROZDZIAŁ 11

Mała plamka jasnego światła, która przesuwiała się na tle lodowato zimnych gwiazd, wyglądała jak diament zagubiony we wszechświecie.

— I co — zagadnął Ferrol Tenzinga, odwracając się od teleskopu. Mrużył oczy, oślepione blaskiem dalekiego asteroidu, nie przywykły jeszcze do mrocznego wnętrza lądownika.

— Zdecydowanie błędnie — zameldował Tenzing zmęczonym głosem. — Nie sądzę jednak, żeby już teraz można było bezpiecznie opuścić cień Pegaza.

— Nie mam zamiaru tego robić — powiedział Ferrol.

Ze zdenerwowania burczało mu w żołądku, kiedy z obawą spoglądał na płonącą gwiazdę.

Musieli improwizować. Na pokładzie lądownika nie mieli odpowiednich urządzeń pomiarowych, a promieniowanie ciągle było zbyt intensywne, żeby wydostać się z cienia i dokonać bezpośrednich odczytów. Pozostawała jedynie bardzo prymitywna metoda analizy światła odbitego od asteroidu. Niestety, tylko Tenzing miał kiedyś do czynienia z obliczaniem wielkości gwiazdowych bez użycia instrumentów, ale było to już bardzo dawno temu.

Potrzebowali znacznie dokładniejszego rozpoznania sytuacji. Tymczasem można było jedynie stwierdzić, że zbliżenie do B jest w dalszym ciągu niebezpieczne. Jeśli siła światła i promieniowania z drugiej strony gwiazdy była równie wielka, to oczywiście...

— Sądzi pan, że *Amity* wytrzyma? — zapytał rzeczowo Tenzing.

Ferrol bezmyślnie pokręcił głową. Czuł się potwornie zmęczony. Przez trzydzieści godzin od chwili rozstania z *Amity* pozwolił sobie tylko na pięć godzin snu. Jego czuwanie nie miało zresztą żadnego wpływu na przebieg wypadków.

— Nie dowiemy się, póki nie wyjdziemy z cienia i nie spróbujemy odnaleźć ich przez radio albo przez laser — powiedział po chwili. — Jeśli kapitan zwiększył przyspieszenie powyżej dwóch G, powinni zdążyć schronić się w cieniu planety.

Jeśli nie zdążyli... Nie było potrzeby przedstawiania drugiego scenariusza. Wszyscy potrafili sami wyciągnąć logiczne wnioski.

— Taak — westchnął Tenzing. Wstrząsnął nim dreszcz.

— Co się dzieje z Pegazem? — zapytał Ferrol, chcąc przerwać te rozważania.

— Nic nowego — powiedział Tenzing. — Skład chemiczny potu ciągle odbiega od normy, ale jakby trochę się poprawiał.

— Czy wybuch nie spowodował jakichś wyraźnych zmian?

— Nie, nie wywarł żadnego wpływu, co potwierdzają również Tamplesi, którzy badali kondycję psychiczną konia.

— Tak, słyszałem — mruknął Ferrol, rezygnując z prób wyjaśnienia, jak niewielkie znaczenie przywiązuje do słów Tamplesów.

Wszystko wskazywało na to, że stan Pegaza nie zależał od warunków zewnętrznych.

— A zatem jesteśmy w punkcie wyjścia: albo zmęczenie, albo choroba.

— Na to wygląda — zgodził się ponuro Tenzing. — Niestety, nie możemy wykluczyć żadnej z przyczyn i dlatego dysponujemy wyłącznie akademicką diagnozą.

— Tamplesi, oczywiście, też wydają się bezradni!

Tenzing odczytał złośliwość i spojrzał na niego zdumiony.

— Robią, co mogą, komandorze. Przecież oni także pierwszy raz widzą konia w takim stanie.

— To prawda — powiedział Ferrol na odczepnego, chociaż nie mógł pozbyć się podejrzeń, że Tamplesi coś ukrywają.

Ciągle przychodziło mu do głowy, że załoga *Amity* została skazana na samobójczą śmierć. Nie potrafił jednak powiedzieć, co Tamplesi mieliby osiągnąć dzięki katastrofie.

— Obawiam się, że test wanadu też nic nie dał?

— Zupełnie nic — Tenzing skrzywił się. — Zebrane próbki nie zawierają najmniejszych śladów.

Ferrol skinął głową. Od chwili ostatniego SKOKU analizy wykazywały brak wanadu, który normalnie był jednym ze składników potu kosmicznego konia. Owszem, skorzystali z rady doktora Sandersona i wyrzucili z pokładu kilka metalowych przedmiotów, zawierających wanad. Pegaz natychmiast je wchłonął, ale w ciągu następnych sześciu godzin nie wywołało to żadnej reakcji.

— Może powinniśmy spróbować z innymi pierwiastkami? Zdaje się, że Pegaz przestał wydzielać aż osiem składników.

Tenzing wzruszył ramionami.

— Możemy spróbować, chociaż osobiście uważam, że to strata czasu. Niedobory składników pokarmowych nie pojawiają się tak szybko.

— U zwyczajnych zwierząt na pewno nie — mruknął Ferrol. — Kto jednak wie, jak to jest z kosmicznymi końmi?

Poza tym uważam, że zanim nic lepszego nie przyjdzie nam do głowy, ten sposób

marnowania czasu jest równie dobry, jak każdy inny.

— Racja — zgodził się Tenzing. — Chociaż nie sądzę, żebyśmy coś wymyślili, jeśli Tamplesi nie...

Przestraszony przerwał w pół zdania, gdy Ferrol uderzył pięścią w oparcie fotela.

— Nie chcę o tym więcej słyszeć — odezwał się gniewnym tonem. — Ani od pana, ani od pańskich ludzi. Niech pan zrozumie, do cholery, że Tamplesi nie są wszechmocni! Jednoczą się z naturą, kochają każde najędzniejsze stworzenie? Niech tak będzie, w porządku! Ale my ujarzmiamy naturę i robimy z nią, co chcemy! Jeśli Pegaz będzie się opierał, zmusimy go do SKOKU! Nawet bez pomocy Tamplesów!

— Zrozumiano, komandorze — wymamrotał pokornie Tenzing.

— Na pewno? — Ferrol zdjął rękę z oparcia. — A teraz niech pan się zastanawia nad jakimś rozwiązaniem.

Tenzing przełknął ślinę.

— Tak jest, komandorze! — odwrócił się, zmierzając do zaimprovizowanego laboratorium.

„Nie powinienem na niego krzyżeć”, pomyślał Ferrol.

Mimo przygnębienia i fizycznego wyczerpania czuł się jednak trochę winny. Co prawda, Tenzing nigdy nie krył swego podziwu dla Tamplesów, który chwilami przerażał się w irytujący, wręcz nabożny szacunek. Nie można było dopuścić, żeby bierność stała się wzorem postępowania dla reszty załogi, odbierając im szansę uporania się z tajemniczą dolegliwością Pegaza.

Przeniósł wzrok na Tamplesów stłoczonych na dziobie lądownika. Natychmiast zapomniał o swoich rozterkach i groźbie paniki.

Tamplesi nie siedzieli już spokojnie w nieruchomym kręgu. Stali teraz zbici w ciasny kłęb wokół operatora, trzymając go mocno za ręce i nogi. Operator zastygł w bezruchu, tylko twarz zmieniała mu się pod wpływem dziwnych grymasów. Część wskaźników na jego hełmie paliła się czerwonym światłem.

— Garin! — wykrztusił Ferrol i rzucił się w kierunku dziobu.

Było już za późno. Pegaz zakołysał się gwałtownie, odrzucając lądownik w bok i przewracając Ferrola na jeden z foteli. Zanim udało mu się wstać, koń zakołysał się znowu. Sygnał oznaczający wzrost przyspieszenia zagłuszył niespokojne głosy załogi. Ledwo zdążył przytrzymać się oparcia, gdy potężny zryw silnika pchnął pojazd do przodu. Yamoto wykonywała gwałtowne manewry, usiłując utrzymać się w cieniu Pegaza.

— Zapiąć pasy! — Ferrol przekrzykiwał łoskot silnika.

Zresztą nikomu nie trzeba było o tym przypominać. Zryw trwał może trzy sekundy i lądownik znowu znieruchomiał.

— Garin! — zawołał Ferrol.

— Jestem, kapitanie! Co się stało, u diabła? — usłyszał zaniepokojony głos Garina,

dobiegający gdzieś z prawej strony.

— Nie wiem. Musimy iść zobaczyć! — Ferrol wstał, cały czas trzymając się mocno oparcia. Miał nadzieję, że nic się nie zdarzy, póki nie usiądą w fotelach na dziobie i nie przypną się pasami. Jednak po chwili Pegaz zakołysał się po raz trzeci, ale teraz Yamoto, umiejętnie wykorzystując dysze manewrowe, potrafiła już złagodzić wstrząs.

Ferrol posuwał się wzdłuż rzędu pustych foteli, w końcu usadowił się w pobliżu Tamplesów i szybko zapiął pasy.

— Sson-gii! — zawołał, szukając w kłębownisku ciała czerwono-białej chusteczki szefa operatorów. — Sson-gii, gdzie jesteś, do diabła?

— Słyszę, Ffe-rho — odezwał się Sson-gii gdzieś z środka tłumu, gdy Tamplesi na chwilę przestali się kłębić.

— Miło cię słyszeć — burknął Ferrol. — Co tu się dzieje?

— Pegasunninni czuje się... źle — powiedział Sson-gii, wyraźnie wahając się przy ostatnim słowie.

— Naprawdę? — zachnął się Ferrol. — Wydaje się znacznie zdrowszy niż przed dwoma dniami.

— Nic nie rozumiesz, Ffe-rho — stwierdził smutno Sson-gii. — Pegasunninni naprawdę źle się czuje. Musimy go uwolnić.

Ferrol poczuł zimny dreszcz.

— Co musimy?

— Uwolnić...

— Tak, słyszałem — przerwał Ferrol. — Tylko uszom nie wierzę, nawet uwzględniając, że mówi to Tamples. Co to znaczy, uwolnić? Jak to uwolnić?

— Wypuścić na wolność — wyjąkał Sson-gii.

Jego wątła postać wyrażała niezwykle napięcie, lecz Ferrol nie potrafił określić, czy to był strach, czy też zupełnie coś innego.

— Koń musi być wolny. Inaczej zginie.

— O Boże! — jęknął siedzący obok Garin. — Tak po prostu: pozwolić mu odejść? Czy uważasz nas za idiotów, którzy...

Ferrol dał mu znak, żeby zamilkł.

— Dlaczego trzeba uwolnić Pegaza? — zapytał, starając się zachować spokój. Zdenerwowanie Sson-gii okazało się zaraźliwe.

Sson-gii milczał chwilę. Potem powoli otworzył szeroko usta pod maską, co u Tamplesów oznaczało przeczący ruch głowy.

— Nie wiem — powiedział krótko.

— Co to znaczy, „nie wiem”?

— Nie potrafię wyjaśnić — Tamples przerwał, gdy Pegaz zachwiał się znowu.

Yamoto natychmiast skierowała ładownik i przyczepione do niego łodzie w cień.

— Nie wiem, dlaczego umrze. Wiem tylko, że tak się stanie.
Ferrol odwrócił się do Tazinga.
— Ma pan ostatnie wyniki analiz?
— Ostatnie badania nie wykazały nic nowego, ale to było prawie godzinę temu
— Tenzing bezskutecznie starał się opanować drżenie głosu. — Co się właściwie stało?
— Nie wiemy — powiedział krótko Ferrol, zastanawiając się gorączkowo.
Przy gwałtownych ruchach Pegaza na pewno nie uda się pobrać próbek tradycyjną metodą.
— Garin, należy przygotować grupę EVA — zdecydował się w końcu. — Trzeba zbliżyć się do Pegaza i pobrać nową próbkę.
— Tak jest, kapitanie!
Garin wychylił się w stronę iluminatora, żeby jeszcze raz spojrzeć na konia. Odpiął pasy i ruszył na tył lądownika, zabierając po drodze kilku ludzi.
— Ffe-rho, musisz pozwolić, żeby Pegasunninni wydostał się na wolność.
Ferrol spojrział wściekle na Tamplesa. W kieszeni munduru czuł ciężar pistoletu.
— Czy wiesz, co się stanie, gdy go odwiążemy? — powiedział tonem perswazji.
— On po prostu SKOCZY. Czeka nas śmierć w płomieniach.
Sson-gii milczał.
— Myślę, że Pegasunninni nie SKOCZY — powiedział po chwili. — W każdym razie nie zaraz. Na razie nie ma tyle siły.
— Ma aż za dużo siły, może nami rzucać jak piłeczką palantową — sprzeciwił się Ferrol. — Dlaczego uważasz, że nie potrafi SKOCZYĆ?
— Nie wiem — odpowiedział Sson-gii z lekkim zniecierpliwieniem. — Wiem tylko, że musi być wolny. To wszystko.
— Będziesz obstawać przy swoim? — w głosie Ferrola zabrzmiała nuta groźby.
— Nawet gdybyś miał zginąć? I to zaraz, w okropnych męczarniach!
Twarz Tamplesa skrzywiła się jeszcze bardziej, przybierając wyraz, który można było zinterpretować jako lekki, ironiczny uśmiech.
— Tracisz czas, Ffe-rho — zaskowyczał. — Wiem, co mi grozi. Jeśli się mylę i on naprawdę SKOCZY, zginiemy wszyscy.
Ferrol spojrział na niego z nienawiścią. Przez chwilę obrzydzenie i pogarda, jakie żywił dla gatunku Tamplesów, skupiły się na tym jednym osobniku. Zimne wyrachowanie, pokrętna mowa, obojętność na niebezpieczeństwo — w tym momencie Sson-gii uosabiał to wszystko, za co Ferrol ich nie znosił. Dotknął kieszeni z ukrytą bronią, czując niepohamowaną chęć, żeby ją stamtąd wydobyć. Zobaczyć wreszcie strach w skrzywionej twarzy, zanim zostanie zgnieciona na miazgę.
Powstrzymał się jednak. Mimo wzburzenia zdawał sobie sprawę, że w zasadzie nie ma wyboru. Uwolnienie Pegaza było ogromnym ryzykiem, ale jeśli koń zaczęłyby się

szarpać, lądownik mógłby wpaść prosto w płomienie. Śmierć konia oznaczała śmierć wszystkich istot znajdujących się w tym systemie. Co do tego nie było wątpliwości. Sson-gii miał rację i dlatego... Ferrol nienawidził go jeszcze bardziej.

— Garin! — zawołał, obracając się przez ramię. W jego głosie brzmiał gorzki ton porażki. — Trzeba przygotować jeszcze trzech ludzi do EVA. Spróbujemy rozluźnić uprzęż Pegaza. Może to coś da!?

— A jeśli nie? — wtrącił Sson-gii.

Ferrol skrzywił się.

— Wtedy będziemy musieli chyba zupełnie ją zdjąć — powiedział, nie patrząc na Tamplesa. — Na razie spróbujcie jakoś ujarzmić tę przeklętą bestię.

— Wasze życzenia są naszymi!

Ferrol popatrzył w milczeniu na Garina i ekipę EVA. Przypomniał sobie, że kapitan Roman zapytał go przed wyprawą: „Czy mając taki stosunek do Tamplesów, jest pan gotów powierzyć im życie?”

Wówczas nie był zupełnie pewien. Teraz już wiedział.

Jeśli Sson-gii nie mówił prawdy, jeśli Pegaz SKOCZY, pozbawiając załogę szans ocalenia, to Tamplesi zginą pierwsi. W duchu poprzysiągł im zemstę w najgorszych męczarniach.

ROZDZIAŁ 12

— Za minutę nawiążemy kontakt — zameldował Marlowe.

Roman oderwał się od kontroli prac naprawczych przy kadłubie i skupił uwagę na monitorach łodzi ratowniczej.

Niestety, zobaczyć można było niewiele: MacKaig znajdowała się po ciemnej stronie kosmicznego konia, a używane przez nią słabe światło było natychmiast absorbowane przez skórę zwierzęcia. Widoczny był jedynie skrawek uprzęży, który plątał się obok potężnego cielska.

— Zbliżam się do lejców — poprzez zakłócenia w atmosferze dotarł do niego słaby głos porucznik MacKaig. — Rrin-saa zapadł właśnie w ten swój trans, a Hill i Sievers czekają, żeby nas połączyć.

— Marlowe? — Roman rzucił mu pytające spojrzenie.

Marlowe pokręcił głową.

— Ciągłe nie wiadomo: żyje czy nie?

Na pomoście umilkły odgłosy cichej rozmowy.

„Musi żyć”, powtarzał w myślach Roman. „Teoria głosi, że przy znacznym wzroście energii konie kosmiczne wytwarzają wokół siebie czarną dziurę. Zwiększone promieniowanie w ciągu kilku dni nie mogło go przecież zabić”.

Koń na ekranie poruszył się gwałtownie.

— MacKaig... — wykrztusił Roman, czując że serce podchodzi mu do gardła.

— Wszystko w porządku, kapitanie — głos z trudem przebijał się przez zakłócenia wywołane nagłym poruszeniem. — Zakładamy uprzęż!

— Zrobione! — odezwał się Sievers. — Bierz go teraz.

— Rrin-saa!

Roman wstrzymał oddech, lecz ciągle nic się nie działo. Słyszał tylko ciche trzaski zakłóceń akustycznych.

— Rrin-saa, co się stało?

Wśród trzasków dał się słyszeć czyjś głośny oddech.

— Żyje, ale jest bardzo słaby — Roman z trudem odróżnił głos Tamplesa. — Bardzo

ucierpiał wskutek napromieniowania.

— Czy jest w stanie pokonać trasę w obie strony?

— Nie wiem. Odległość może okazać się zbyt duża — Tamples westchnął głęboko.
— Będziemy próbować!

— Kapitanie, ruszamy! — zameldowała MacKaig.

— Przyjąłem — powiedział po chwili Marlowe. — ETA... no cóż, przy takim przyspieszeniu trzeba liczyć co najmniej dziesięć godzin.

— Wystarczy — Roman skinął głową. — Marlowe, tak trzymać! I niech pan bardzo uważa.

— Tak jest, kapitanie!

Ustalona prędkość nie była zbyt duża, lecz i tak, zgodnie z obliczeniami Lowry'ego, mieli jeszcze trochę czasu. Popędzanie konia w takich warunkach mogłoby skończyć się tragicznie. Kapitan jeszcze raz spojrział na monitor, a potem włączył odczyt kontroli lotu. Prace naprawcze postępowały bez zakłóceń i wszystko wskazywało na to, że statek będzie sprawny przed SKOKIEM.

— Poruczniku Kennedy, gdy tylko wykresy kursu będą gotowe, proszę zebrać wszystkie dane i laserem przesłać je komandorowi Ferrolowi na repetytor. Trzeba mu przekazać, żeby oczekiwał nas mniej więcej za pięćdziesiąt godzin. — Zawahał się na moment i dokończył z przymusem: — Proszę go powiadomić, że jeśli nie zjawimy się do chwili kolejnego wybuchu, musi natychmiast wracać na Solomona, nie czekając na nas ani chwili dłużej.

— Tak jest! — Kennedy zachowywała kamienny spokój, jakby przed chwilą otrzymała dyspozycje dotyczące jutrzejszego obiadu. — Chciałam tylko zauważyć, że oni najprawdopodobniej schowali się za Pegazem i znajdują się poza zasięgiem nadajnika.

— Wiem o tym — odpowiedział Roman — ale musimy próbować. Oni nie wiedzą, że następny wybuch, to nowa. Zanim się zorientują, może być za późno.

— Rozumiem, kapitanie!

Nietrudno było odgadnąć, o czym myślała: „Jeśli koń w pobliżu Shadracha ucierpiał tak bardzo wskutek promieniowania podwójnej gwiazdy, to los Pegaza był chyba przesadzony”.

Kapitan starał się jednak o tym nie pamiętać.

Dwanaście godzin później koń ukrył się w cieniu księżyca. *Amy* czekała, przesuwając się w strefę zagrożenia.

— Od konia napływa słaba fala promieniowania — zameldował Marlowe, gdy wydostali się z półcienia. — Nie jest wcale taka groźna, jak wynikałoby z symulacji.

— Czy parasol na coś się przydaje? — zapytał Roman.

— Zdecydowanie tak — stwierdził Marlowe. — Pochłania nie tylko światło widzialne, lecz również część frakcji strumienia neutronów.

Roman skinął głową. Parasol wymyślił któryś z mechaników Stolta. Była to cienka warstwa posrebrzanego plastyku umieszczona na środkowej rozporze, parę metrów od kadłuba, i wzmocniona żebrami z organicznego tworzywa, które skądinąd sprawiło im najwięcej trudności w trakcie przygotowań. Początkowo syntetyzatory pracowały bardzo wolno, nim wreszcie ktoś wpadł na pomysł, żeby skorygować obliczenia sekcji badawczej. Syntetyczne kości i mięśnie, które już podczas pierwszej wyprawy przed dwoma miesiącami wszystkich zdumiewały, wytwarzano teraz znacznie łatwiej i szybciej, uzyskując ponadto dużo większy przekrój poprzeczny wychwyty neutronów.

— Niech pan bardzo uważa — przypomniał kapitan. — Jeśli parasol zacznie nam przeszkadzać, po prostu wyrzucimy go za burtę.

Połączył się z łodzią ratunkową:

— Rrin-saa? Tu kapitan! Co z koniem?

Po drugiej stronie trwało długie milczenie.

— Coraz gorzej — wykrztusił w końcu Rrin-saa. Patrzył z ekranu nieobecny, pustym wzrokiem. — Nie wiem, czy przeżyje tę trasę.

Roman zacisnął pięści.

— MacKaig?

— To prawda, kapitanie — powiedziała zrezygnowanym głosem. — Wyruszyliśmy z przyspieszeniem zaledwie jednej dziesiątej, opóźnienie przy spotkaniu wynosiło trzy czwarte. W najlepszym razie droga na Shadracha potrwa osiemnaście godzin.

Za czterdzieści sześć godzin miała wybuchnąć nowa. Naprawdę pozostało już niewiele czasu. Osiemnaście godzin na Shadracha, dwadzieścia pięć na powrót do *Amity*...

— Marlowe? Poziom promieniowania?

— Ciągle zbyt silne. Musimy czekać. — Marlowe pokręcił głowę. — Płyty wytrzymają najwyżej godzinę lub dwie.

Trzeba też było pomyśleć o jakiejś rezerwie na powrót.

— No cóż — mruknął Roman. — Zostaniemy z koniem, jak długo się da i będziemy mocno trzymać kciuki. Kennedy, co piętnaście minut należy uaktualniać ETA i wysłać dane grupie Lowry'ego. Chcę, żeby byli gotowi do startu na orbitę, gdy tylko znajdziemy się w odpowiednim położeniu.

— Tak jest, kapitanie!

MacKaig miała rację: koń wyraźnie tracił siły. Chwilami po prostu dryfował, poddając się przyciąganiu Shadracha. Z godziny na godzinę okresy słabości stawały się coraz dłuższe. W końcu, gdy tarcza planety wypełniła już cały ekran, zwierzę całkowicie opa-
dło z sił.

— Jestem pewna, że koń nie żyje, kapitanie — MacKaig starała się okazywać emocji. — Przez ostatnie piętnaście minut spada bezwładnie w kierunku Shadracha. Rrin-saa też... wygląda bardzo niedobrze.

Roman spojrział na drugi monitor. Twarz Rrin-saa ukryta pod hełmem kontaktowym była przeraźliwie blada.

— Rrin-saa! — zawołał. — Rrin-saa, co się stało?

Nie było żadnej odpowiedzi.

— Sievers, zdejmijcie mu hełm — rozkazał kapitan, łącząc się jednocześnie z sekcją Tamplesów na statku. — Spróbuję się dowiedzieć, jak go wyrwać z transu.

Pochylił się do telefonu.

— Nie trzeba!

Roman przeniósł wzrok na ekran, czując dławiący skurcz w gardle. Przeraził go skowyt Tamplesa: suchy, załamujący się, niemal zwierzęcy. Nigdy dotąd nie słyszał takiego głosu. Wyczuwał w nim nutę prawdziwie ludzkiej rozpacz. Milczał przez chwilę zupełnie zbity z tropu.

— Dobrze się czujesz? — zapytał, gdy tylko zdołał się opanować.

— Tak, Rro-maa — głos zabrzmiał teraz zupełnie zwyczajnie — ale koń nie żyje.

— Bardzo mi przykro! — Roman westchnął głęboko. — MacKaig, to już koniec. Niech pani odetnie linę i natychmiast wraca. Poczekamy na panią, pozostając w cieniu, a potem chyba jakoś uda nam się stąd wydostać. Jak to wygląda, Kennedy?

— Koń znajdzie się w cieniu Shadracha, zanim opadnie na planetę — odezwała się natychmiast. — Jeśli cały czas będziemy się go trzymać, wpadniemy jednak zbyt głęboko w studnię grawitacji.

— Niech pani obliczy pośrednie parametry. Chodzi o to, żeby uniknąć nadmiernego promieniowania i zużyć jak najmniej paliwa.

— Już to obliczyłam, kapitanie. Musimy opuścić cień Shadracha dokładnie za osiemnaście minut.

— Dobrze! Wykonać natychmiast, gdy łódź powróci. Powiadomić doktora Lowry'ego!

Trzydzieści siedem minut później załoga *Amity*, wyniesiona bezpiecznie na stałą orbitę, obserwowała zbliżanie się niebieskiego płomienia z lądownika Lowry'ego.

Połączenie lądownika z *Amity* odbyło się bez żadnych przeszkód i dodatkowych emocji. Roman niepotrzebnie obawiał się, że mniejszy pojazd nie będzie w stanie uzyskać prędkości poziomej *Amity* i zbyt gwałtownie uderzywszy w hangar, zniszczy go-dzie. Jednak pilot Lowry'ego prawidłowo wyliczył odległość i resztę paliwa zużył na zwiększenie przyspieszenia przed lądowaniem. Przez chwilę na pokładzie panował wielki rozgardiasz, ale na szczęście obyło się bez większych strat i uszkodzeń.

— Witamy na pokładzie! — Roman odezwał się przez interkom do naukowców zgromadzonych w hangarze. — Proszę usiąść w fotelach i zapiąć pasy. Za pięć minut zwiększamy przyspieszenie.

Wyłączył się i odwrócił do Kennedy:

— Jest pani gotowa?

— Tak, kapitanie — odpowiedziała, przekazując mu wykres kursu na repetytorze steru. — Schodzimy z orbity i oddalamy się od Shadracha w linii prostej, starając się jak najdłużej pozostać w jego cieniu. Potem odbijemy w bok, w stronę Pegaza. W ten sposób trochę dłużej pozostaniemy z dala od źródła promieniowania.

— Mimo wszystko — wtrącił Marlowe — chwilami będziemy musieli wyłączać silnik i obracać statek, żeby trochę ochłodzić kadłub.

Kennedy skinęła głową.

— Wkalkulowałam to. Dotrzemy do Pegaza mniej więcej za dwadzieścia siedem godzin.

Rezerwa czasowa zmniejszyła się więc o godzinę.

— Poziom promieniowania? — zapytał Roman Marlowe'a.

— Znacznie spada — odpowiedział porucznik. — Przynajmniej z tym nie powinniśmy mieć większych problemów.

Odchylił się w fotelu, żeby spojrzeć na kapitana.

— Uważam, że komandor Ferrol mógłby już teraz wysunąć się z cienia.

Roman stwierdził to znacznie wcześniej. Właściwie już od godziny był przekonany, że niebezpieczeństwo minęło. Tymczasem Ferrol nie dawał znaku życia.

— Może chce się jeszcze upewnić — Kennedy zdawała się czytać w jego myślach. — Albo też nie jest w stanie przebić się laserem przez zakłócenia akustyczne. Sprzęt nie jest przecież przystosowany do takiego zagęszczenia.

Była jeszcze trzecia możliwość... Może Pegaz ozdrowiał i SKOCZYŁ? Czy operatorzy potrafiliby go opanować?

— Trudno cokolwiek przewidzieć — wzruszył ramionami. — Dowiemy się za dwadzieścia siedem godzin. Do tej pory i tak nic nie możemy zrobić. Proszę włączyć sygnał alarmowy. Ruszamy!

ROZDZIAŁ 13

— Komandorze... — powiedział ktoś ochryplym szeptem.

Przez dłuższą chwilę Ferrol nie wiedział, czy to rzeczywistość, czy też jeden z surrealistycznych snów, które wskutek skrajnego wyczerpania wciąż pojawiały się w jego zamroczonej świadomości.

— Komandorze — głos odezwał się znowu.

Tym razem towarzyszyło mu lekkie szarpnięcie za ramię.

Niechętnie, z wysiłkiem uniósł powieki. Stała przed nim Yamoto. Jej zmęczona twarz była mokra od potu.

— Komandorze, zgłaszam się na służbę — powiedziała zachrypniętym głosem.

— Ach tak — Ferrol ostrożnie zaczerpnął powietrza i natychmiast tego pożałował.

Było rozgrzane jak wnętrze hutniczego pieca.

— Co słysząc na statku? — zapytał, oblizując wyschnięte wargi.

Yamoto wzruszyła ramionami. Jak inni, dawno już zdjęła z siebie mundur, ale Ferrol zdawał się tego nie dostrzegać.

— To samo, co przed godziną — odrzekła. — Ludzie snują się na wpół przytomni.

— Tak jak ja — Ferrol manipulował przy pasach bezpieczeństwa, przytrzymujących go w fotelu sternika.

Z jakichś przyczyn konstrukcyjnych temperatura na dziobie lądownika była z pięć stopni wyższa niż na rufie. Zdecydował więc, żeby oficerowie pełniący wachtę zmieniali się co godzinę. Rozkaz nie dotyczył oczywiście Tamplesów. Popatrzył na nich przez chwilę, stłoczonych w ciasną gromadkę w najdalszym kącie na dziobie. Nie po raz pierwszy pomyślał, że to, co przeżywali, było straszniejsze niż broń iglicowa.

Za Tamplesami widać było przez iluminator łodzie ratunkowe, ustawione szeregiem w cieniu lądownika, wyglądające trochę jak kurczęta ukryte pod skrzydłami matki. Przez moment zaniepokoił się o ich wytrzymałość, ale prędko pozbył się obaw. Łodzie były przecież mniej narażone na promieniowanie aniżeli sam lądownik, a ponadto, ze względu na korzystniejszy stosunek powierzchni do objętości, szybciej oddawały ciepło. Zresztą przed powrotem *Amity* i tak nic nie dałoby się zrobić.

Jeśli *Amity* w ogóle kiedykolwiek powróci...

— Mierniki promieniowania znów się wyłączyły — zameldowała Yamoto.

Ferrol z wysiłkiem skupił uwagę na tablicy rozdzielczej. Wreszcie udało mu się znaleźć odpowiedni monitor. Zgodnie z przewidywaniami, ekran był pusty — elementy elektroniczne nie wytrzymały.

— Kiedy sprawdzałem ostatni raz, znajdowaliśmy się poniżej poziomu zagrożenia — zapewnił, starając się przypomnieć sobie, kiedy to było. Krytyczny moment nastąpił podczas wyrzutu rozszarzonej powłoki, a potem parametry zaczęły spadać.

Rzucił okiem na inne mierniki i zauważył, że mimo zastosowania dodatkowych systemów chłodzących, temperatura wewnątrz ładownika w ciągu ostatnich trzydziestu minut wzrosła o pół stopnia.

— Nadal brak łączności z *Amity*? — zapytała Yamoto.

Ferrol zrezygnowany machnął ręką.

— Czego można się spodziewać, jeśli oni uparcie posługują się laserem. Całe szczęście, że udało nam się odebrać tę wiadomość z księżycy Shadracha.

— Ciągle jeszcze nadajemy sygnały docelowe? O, są — przerwała, spojrzawszy na ekran radiowy.

— We wszystkich możliwych zakresach — Ferrol skrzywił się. — Przy takich zakłóceniach informacja wizualna może okazać się pewniejsza od sygnałów dźwiękowych.

— Oczywiście, jeśli ktoś akurat obserwuje monitor...

Ferrol znów zapadał w półsen.

— Komandorze! — powiedziała z naciskiem Yamoto.

— Przepraszam — mruknął zmieszany. — Nigdy nie sądziłem, że pewnego dnia przebywanie w umiarkowanej strefie planetarnej może stać się nie do zniesienia.

Chciał odpiąć pasy, lecz ze zdziwieniem zauważył, że przed chwilą już to zrobił. Przytrzymał się oparcia i odkleił od rozgrzanego siedzenia. Chciał właśnie odejść, gdy z odbiornika radiowego rozległ się cichy, przerywany sygnał. Sygnał powtórzył się, zanim jeszcze pierwsze dźwięki dotarły do jego świadomości. Dopiero za czwartym razem stwierdził, że sygnały dochodzą z transpondera. Pojawiła się *Amity*. Sięgnął do pulpitu i manipulował chwilę przy włączniku głównego nadajnika.

— Ładownik do *Amity* — zawołał do mikrofonu, mając rozpaczliwą nadzieję, że wiza jeszcze działa. — Ładownik do *Amity* — powtórzył.

— *Amity* do ładownika — odezwał się Roman. — Komandor Ferrol?

— Tak, kapitanie! Cieszę się, że pana słyszę!

Za jego plecami rozległy się okrzyki radości, gdy wycieńczeni ludzie uświadomili sobie szczęśliwe zakończenie morderczych zmagani. Wreszcie pojawił się obraz. Mimo zakłóceń, Ferrol widział wyraźnie zmarszczkę na czole kapitana.

— Mamy już kontakt wizualny — zmarszczka pogłębiła się.

— Nie wie pan, co się stało z Pegazem? — domyślił się Ferrol.

Roman prędko odwrócił głowę. Prawdopodobnie słuchał, co mówi Marlowe.

— Zdaje się, że mamy ten sam problem ze skalą — powiedział do Ferrola.

— To nie jest wina skali — zapewnił Ferrol. — Po prostu, Pegaza już nie ma.

SKOCZYŁ mniej więcej pięćdziesiąt trzy godziny temu.

Roman spojrział w bok, przypuszczalnie w kierunku repetytora skanera. — A co...

— ...widzimy na ekranie? — dokończył Ferrol. — To pożegnalny prezent od Pegaza.

Spojrział na monitor tylnej kamery, ukazujący cylindryczny kształt, otoczony aurą promieni słonecznych.

— Kapitanie, mamy Juniora — dziecko Pegaza! Spojrział na kapitana, dziękując Bogu, że wizja wróciła do normy. Twarz Romana wyrażała to, czego Ferrol tak bardzo oczekiwał.

Po raz dziesiąty — Ferrol liczył po cichu — cieniutka igła nie bez oporu zagłębiała się w skórę. Na szczęście, po chwili było już po wszystkim.

— Skończone! — powiedział energiczny oficer służby medycznej, zwalniając dźwignię i uchylając pokrywę inkubatora. — Dziesięć przednowotworowych narośli. Nie tak źle, jeśli wziąć pod uwagę dawkę promieniowania, jaką pan otrzymał. Wszystkie zmiany zostały zlokalizowane.

— To świetnie! — Ferrol szybko wy dostał się z błyszczącej kabiny i w pośpiechu wciągał spodnie. Inkubatory zawsze przypominały mu nowoczesne trumny, poza tym uważał, że takie idiotyczne urządzenie całkowicie pozbawia człowieka godności.

— Nienawidzę bezsensownego klucia! Mam nadzieję, że to już naprawdę wszystko?

— Nie stwierdziliśmy nic więcej — zapewnił lekarz. — Na wszelki wypadek będziemy wykonywać testy przez kilka następnych tygodni. To znaczy: ktoś inny będzie je wykonywał — sprostował z żalem.

— No właśnie — mruknął Ferrol, mocując się z zapięciem munduru.

Lekarz najwyraźniej żałował, że misja *Amity* dobiegła końca. Był jednym z najbardziej zapalonych zwolenników Tamplesów na statku.

— Przepraszam, ale niezwłocznie po zabiegu mam zgłosić się do kapitana.

Ferrol z ulgą wyszedł na korytarz, gdzie powietrze nie było już tak gęste od cikliwego sentymentalizmu. Ruszył w kierunku biura.

— Komandorze! — kapitan skłonił się uprzejmie. — Chyba nie muszę pana zapewniać, że pański wyczyn przejdzie do historii.

— Raczej wyczyn *Amity* — sprostował spokojnie Ferrol. — Ze swej strony nie oczekuję więcej niż krótkiej notatki w przypisach.

— Jest pan zbyt skromny — Roman obserwował wyraz twarzy Ferrola. — Człowiek, któremu udało się po raz pierwszy doprowadzić do rozmnożenia kosmicznego konia w warunkach niewoli, z pewnością zasługuje na więcej niż przypis.

Ferrol starał się wytrzymać spojrzenie kapitana.

— Przypuszczam, że Sso-ngii już się poskarżył, że groziłem im śmiercią?

Wyraz twarzy Romana nie zmienił się ani trochę.

— Nie powiedział tego dosłownie, ale nauczyłem się już czytać w myślach Tamplesów. Zechce mi pan powiedzieć, dlaczego pan to zrobił?

— Dlaczego im groziłem? Bo te kreatury, delikatnie mówiąc, najpierw pozbawiły nas szans ocalenia, a potem odmówiły wszelkiej pomocy.

— Nie potrafili pomóc — przerwał spokojnie kapitan. — Nigdy nie umieli rozmnażać koni kosmicznych.

Ferrol wzruszył ramionami. Być może kapitan miał rację. Z drugiej strony, nie chciało mu się wierzyć, że Tamplesi nie mieli pojęcia, co się dzieje, póki wybrzuszenie w boku Pegaza nie stało się widoczne. W każdym razie, to oni wymyślili termin „oziębienie”, który wskazywał na podobieństwo między rozmnażaniem kosmicznego konia a zrzućaniem mas lodowych. Budziło to podejrzenie, że od początku obserwowali wszystkie fazy porodu. Może nawet od razu rozpoznali przyczynę niedyspozycji Pegaza, chociaż Rrin-saa stanowczo temu zaprzeczał. Niestety, przynajmniej na razie, Ferrol nie potrafił nic udowodnić.

— Jest faktem, kapitanie — powiedział tylko — że nie mogłem stwierdzić, czy oni mają rację, czy się mylą, czy też kłamią jak z nut. Równie dobrze mogłem oczekiwać zaproszenia do rytualnego samobójstwa.

— A jednak mówili prawdę — zauważył Roman.

— Tym razem tak — zgodził się Ferrol — ale kilku z nas mogło przypłacić to życiem.

— Tak, czytałem wstępny raport medyczny — powiedział sucho kapitan. — Szkoda, że nie pomyśleliśmy wcześniej, żeby zostawić wam dodatkowe osłony albo materiał reflektorowy. Skąd jednak moglibyśmy wiedzieć, że zamienicie osiemsetmetrowego konia na stumetrowego żrebaka? Ferrol uspokoił się trochę. Uwierzył, że Roman naprawdę interesuje się jego sprawozdaniem i nie próbuje stawiać zarzutów.

— No właśnie — powiedział pojednawczo. — To był przypadek, że udało nam się uwolnić Pegaza i schwytać Juniora, zanim zdążył ODSKOCZYĆ.

— Tak, Sso-ngii podziwiał sprawność załogi — kapitan znów spojrzał badawczo na Ferrola. — Odniósł wrażenie, że jest pan świetnym fachowcem.

— Jak mówiłem, to był tylko przypadek — powtórzył spokojnie Ferrol. — I znakomita ekipa EVA.

Kapitan mógł poczuć się zawiedziony, jeśli oczekiwał, że Ferrol przyzna się do swojej kłusowniczej przeszłości. W każdym razie nie okazywał rozczarowania.

— Dlaczego wolał pan zostawić Juniora zamiast Pegaza?

— Obawiałem się, że niedyspozycja Pegaza w sąsiedztwie prenowej mogła mieć jesz-

cze inne przyczyny niż tylko poród Juniora — wyjaśnił Ferrol. — Dlatego zdecydowaliśmy się na żrebaka.

Zabrzmiało to dość przekonująco, choć było niezupełnie zgodne z prawdą.

— Ryzykował pan. Często nie ma innego wyjścia — stwierdził Roman. — Postawić na jedną kartę i czekać, co z tego wyniknie.

Wyjrzał przez iluminator, przyglądając się Juniorowi i jego uprzęży.

— Zdaje się, że tym razem wygraliśmy główną stawkę. Ferrol z przekonaniem skinął głową.

— A właściwie, gdzie my jesteśmy?

— Gdzieś pośrodku systemu — wyjaśnił kapitan. — Było to najlepsze miejsce do SKOKU w chwili, gdy połączyliśmy się z wami. Nie ma tu nic ciekawego: jeden czerwony karzeł i parę wygasłych planet. Będziemy krążyć przez kilka dni, zanim znajdziemy się w położeniu, które Kennedy uzna za odpowiednie do szybkiego, podwójnego SKOKU — najpierw na Siriusa, a potem na Solomona.

— Rozumiem — Ferrol wstał, próbując zachować równowagę w stanie zmniejszonej grawitacji. — Jeśli pan pozwoli, chciałbym rozpocząć przesłuchania.

Roman zmarszczył brwi.

— Jakie przesłuchania, komandorze?

— Chodzi oczywiście o grupę doktora Lowry'ego — powiedział Ferrol. — Wydaje mi się, że w takich przypadkach rutynową czynnością jest jak najszybsze nagranie ustnych raportów członków załogi. Uważam to za mój obowiązek, skoro zostałem mianowany łącznikiem w kontaktach z ekipą badaczy.

— Właściwie nie o to mi chodziło, kiedy powierzałem panu tę funkcję. — Roman zastanowił się. — A zresztą, po tych ciężkich przejściach powinien pan raczej spędzić resztę podróży w izbie chorych albo we własnym łóżku.

— Doceniam pańską troskę, kapitanie — powiedział Ferrol z godnością. — Chciałbym tylko przypomnieć, że w ciągu ostatnich czterech dni każdy z nas, pan również, przeżył trudne chwile.

Na twarzy Romana pojawił się cień uśmiechu, tak nikły, że Ferrol mógł uznać go za skurcz mięśni zeszywniałych po szaleńczym locie na księżyc Shadracha.

„Dwanaście G to naprawdę niezwykle doświadczenie”, pomyślał z podziwem.

— Chyba ma pan rację, komandorze — zgodził się kapitan. — Nigdy więcej upałów! Niech pan zajmie się tymi raportami, jeśli naprawdę ma pan ochotę.

Przesłuchania powoli dobiegały końca. Wreszcie zjawił się człowiek, którego Ferrol od dawna oczekiwał. Był to jeden z pracowników technicznych Lowry'ego nazwiskiem Kheslav.

Po zakończeniu nagrania Kheslav rozejrzał się niespokojnie po kabinie i wymamrotał przestraszony:

— Myślałem już, że Senator rzucił mnie na pożarcie lwom. Zostawił na pastwę losu.

— Oczywiście, że tego nie zrobił — uspokoił go Ferrol. — Wiadomość o pańskich kłopotach dotarła przez admirała Marcosę z trzydziestogodzinnym opóźnieniem. Równie dobrze Senator mógłby nadać rozgłos tej sprawie i zwolnić pana ze służby.

Kheslav gwałtownie odskoczył do tyłu. Żrenice rozszerzyły mu się z przerażenia.

— Sądzi pan, że chce to zrobić?

— Chyba nie — mruknął Ferrol żałując, że w ogóle wdał się w rozmowę.

Kheslav okazał się uosobieniem cech, których Ferrol nienawidził najbardziej. Do pasji doprowadzało go tchórzostwo, brak odpowiedzialności, a przede wszystkim rozwlekły sposób mówienia.

— Niechże mi pan w końcu wyjaśni, dlaczego Marcosa chce kontynuować misję *Amity*, skoro został pan rozszyfrowany?

Kheslav nerwowo oblizał wargi.

— Mam w kabinie pakiet danych — wyznał konspiracyjnym szeptem. — Lowry się nie domyśla, że moim prawdziwym zadaniem na Shadrachu była obserwacja kosmicznego konia. Miała trwać kilka miesięcy, dzień w dzień, w tym samym miejscu, rozumie pan...

— Tak, rozumiem — przerwał Ferrol. — To było również jedno z zadań *Amity*.

— Ach tak — Kheslav znów rozejrzał się niespokojnie. — Chodzi o to, że udało nam się bez wiedzy Tamplesów przymocować do uprzęży kilka czujników, połączonych z odbiornikiem, bezpośrednio bądź przez przekaźnik. Kiedy nastąpił pierwszy wybuch, zdaje się, że wszyscy Tamplesi zginęli? No więc, właśnie wtedy miałem już kompletny rekord intensywności światła i promieniowania, absorbowanego przez skórę konia oraz mnóstwo informacji na temat uprzęży. — Jeszcze bardziej ściszył głos. — Niektóre instrumenty były osłonięte od słońca. To było wtedy, gdy zbliżaliśmy się do nas w cieniu kosmicznego konia. Właśnie wtedy skompletowaliśmy niektóre dane. — Zmierzył Ferrola badawczym spojrzeniem. — Czy pan wie, co to znaczy?

Ferrol był świadomy wagi tego osiągnięcia. Od tej chwili człowiek będzie umiał zabić kosmicznego konia. Ten historyczny moment należałoby właściwie uczcić chwilą milczenia. Niestety, Kheslav paplał bez przerwy.

— No więc, rozumie pan, mogę mieć problemy z wyniesieniem tych materiałów. Teraz, gdy sprawa kosmicznych koni budzi tyle emocji, zwłaszcza po narodzinach źrebaka, których z naukowców spostrzegłby z pewnością...

— Domyślam się, że chce pan oddać mi pakiet na przechowanie — przerwał potok słów Kheslawa.

— Jeśli mógłby pan... — na twarzy Kheslawa pojawił się wyraz odprężenia. — Myślę, że na razie powinien pan ukryć to gdzieś na statku i przy najbliższej okazji oddać Senatorowi.

— Tak, dziękuję za wskazówki! Poradzę sobie! — burknął Ferrol. — Po skończeniu przesłuchań, przyjdę do pańskiej kabiny i zabiorę materiały.

Spojrzał groźnie na Kheslava.

— A potem nie chcę pana oglądać ani słyszeć do końca podróży!

— Oczywiście — zgodził się Kheslav skwapliwie. — Oczywiście, rozumiem. Naprawdę potrafię to docenić, komandorze.

— Do widzenia panu!

— Tak, oczywiście... — Kheslav niezręcznie podniósł się z fotela. — No więc, do widzenia, komandorze...

O dziwo, zamilkł w końcu i wyszedł.

Dwie godziny później Ferrol do swojej kabiny. Bez trudu umieścił pakiet danych w zamykanym futerale razem z pistoletem i kopertą Senatora.

Kiedy spoglądał na przegrodę oddzielającą go od przedziału Tamplesów, czuł gorzko-słodki smak ironii. Delegując Ferrola na pokład *Amity*, Senator próbował dokonać sabotażu i spowodować fiasko wielkiego programu współpracy. Wbrew jego woli zdarzyło się coś, czego nie potrafili przewidzieć ani ludzie, ani Tamplesi. Funkcja Ferrola zmieniła się diametralnie. Teraz musiał za wszelką cenę wspomagać misję *Amity*. Uśmiechnął się na myśl, jak przewrotny bywa los. Przecież już kiedyś miał okazję schwytać żrebaka, a Roman mu nie pozwolił. Teraz ten sam człowiek miał dać ludzkości szansę stworzenia własnej flotyli kosmicznych koni. Jeśli nawet żrebaki nie poddadzą się tresurze...

Ferrol jeszcze raz spojrzął na pakiet danych. Znajdzie się inne wyjście!

Sprawa była przesadzona: Tamplesi utracili monopol na podróże w dalekiej przestrzeni.

Ferrol starannie zamknął futerał i umieścił go w szufladzie pod łóżkiem.

ROZDZIAŁ 14

Ostatnim gwałtownym zrywem silniki wahadłowca poderwały pojazd i po chwili zgasły. Przez kilka sekund Ferrol walczył z objawami choroby morskiej, przystosowując organizm do swobodnego spadania. Silne osłabienie sprawiało, że tym razem trwało to nieco dłużej niż zazwyczaj.

Zrezygnowany rozejrzał się wokół. Pojazd nazywany przez senatorów wahadłowcem przypominał raczej ekskluzywny jacht, zarekwirowany do publicznego użytku. W pomieszczeniu, które prawdopodobnie było kiedyś jadalnią lub salą konferencyjną, stało kilka rzędów foteli. Drobne przeróbki nie wpłynęły wcale na zmianę panującej tu atmosfery. Funkcjonalne siedzenia, wyposażone w system indywidualnej komunikacji, w niczym nie przypominały rozkładanych foteli, produkowanych seryjnie w Siłach Gwiezdnych. Ferrol nie wierzył, że senatorowie podejmowani w tym latającym salonie potrafią w ogóle cokolwiek zrozumieć.

— Komandorze?

Dopiero po chwili zorientował się, że ktoś przemówił do niego z sąsiedniego fotela.

— Słucham? — zapytał z roztargnieniem.

— Kapitan Mendez wzywa pana na pomost. Ferrol zaniepokoił się. „Znowu jakieś kłopoty?”

— Już idę!

Przycisnął wyzwalacz i odczekał kilka sekund, aż pasy bezpieczeństwa odepną się i delikatnie wsuną pod siedzenie.

Od pomostu oddzielały go dwa pomieszczenia i mała kabinka, która po przebudowie jachtu nie była już wykorzystywana. Ferrol ruszył w kierunku drzwi, otworzyły się natychmiast, gdy tylko dotknął ich ręką i zasunęły, zaledwie zdążył przejść. Na chwilę zabłysło światło, prawdopodobnie kontrola tożsamości, potem rozsunęły się drzwi wewnętrzne i Ferrol wpłynął do kabiny.

— Dobry wieczór, Chayne!

Ferrol przytrzymał się najbliższego fotela. Nie był wcale zaskoczony, gdy okazało się, że jego podejrzenia nie są jedynie wytworem przewrażliwionej wyobraźni.

— Dobry wieczór, Senatorze — odpowiedział z chłodną uprzejmością. — Wzywano mnie do kapitana.

Usta Senatora wykrzywiły się w nieprzyjemnym uśmiechu.

— Sądziłem, że będzie bezpieczniej, jeśli użyję tego pretekstu. Indywidualny system komunikacji działa na ogół bez zarzutu, wolałem jednak nie ryzykować.

Ferrol usadowił się w fotelu. Zapinając pasy, spoglądał na oddalone o parę metrów drzwi pomostu.

— Senatorze, nigdy nie myślałem, że pana tu spotkam.

— Wszędzie mam swoich ludzi — zapewnił Senator, z uwagą wpatrując się we własne paznokcie. — No cóż, Chayne, proszę wybaczyć moją bezceremonialność, zdaje się, że nie jest pan zadowolony z dzisiejszych przesłuchań?

Ferrol odchrząknął i odezwał się niepewnie:

— Zauważył pan, Senatorze.

Senator powoli odwrócił wzrok od paznokci i popatrzył na Ferrola.

— Wszyscy zauważyliśmy!

Ferrol zaczerwienił się:

— Przykro mi, Senatorze — wymamrotał.

Senator badał go spojrzeniem.

— Chyba zdaje pan sobie sprawę — powiedział surowo — że jest ostatnią osobą, którą mogliśmy podejrzewać o sympatię dla Tamplesów. Chyba rozumie pan, jak bardzo ta nagła zmiana poglądów zaniepokoiła naszych przyjaciół.

— Nie popierani Tamplesów — Ferrol zaczął się bronić. — Uważam jedynie, że kontynuacja Programu Amity jest dla nas równie ważna, jak dla nich. Nie potrafię tego dokładniej wyjaśnić.

— Ależ doskonale pana rozumiemy — Senator wzruszył ramionami. — Właśnie to przekonanie budzi nasze wątpliwości.

— To nie jest jakiś głupi pomysł, który nagle wpadł mi do głowy. Zawsze uważałem, że kosmiczne żrebaki są największą szansą dla ludzkości. Mówiłem to na długo przedtem, zanim dzięki panu znalazłem się na pokładzie *Amity* — przypomniał Ferrol.

— Rzeczywiście — zgodził się niechętnie Senator. — Pańska koncepcja koni wojennych jest doskonale znana w naszym środowisku. Niektórzy uważają nawet, że to jest jakaś obsesja. Dlatego niepokoją nas pańskie poglądy. Skąd ma pan pewność, że żrebaki podporządkują się człowiekowi łatwiej niż dorosłe konie?

— Nie mam absolutnie żadnej pewności — powiedział Ferrol. — A skąd pan wie, że będzie inaczej?

Senator popatrzył na niego groźnie i Ferrol poczuł się przez chwilę jak krnąbrne dziecko.

— No cóż, Chayne. Spróbuję to panu wyjaśnić w kategoriach, w których pan na

pewno rozważał już ten problem. Załóżmy, że Junior nie pojawił się przypadkiem, że zaistniał jakiś czynnik zależny od statku lub od załogi, który spowodował rozmnażanie. Załóżmy również, że nauczymy się wywoływać to zjawisko i osiągniemy umiejętność posługiwania się żrebakami. Jak, według pana, zareagują Tamplesi?

— Z pewnością będą niezadowoleni.

— To określenie nawet w przybliżeniu nie oddaje ich potencjalnych reakcji — prze-rwał ostro Senator. — Niech pan nie zapomina, że Tamplesi uważają się za strażników natury w ogóle, a koni w szczególności. Przywłaszczenie żrebaka może wywołać prawdziwą wojnę, do której naprawdę nie jesteśmy przygotowani.

Ferrol z wysiłkiem rozluźnił zaciśnięte szczęki.

— Przecież nie musimy kraść konia. Może znajdziemy jakiś sposób wykonywania eksperymentów bez wiedzy Tamplesów.

— Jak pan to sobie wyobraża? — Senator spojrział na niego pytająco.

— Nie wiem — mruknął Ferrol. — Proszę zapytać swoich ekspertów. Chyba potrafią jeszcze myśleć.

Senator nagle spowaźniał.

— To wymaga czasu, Ferrol. Czasu, pieniędzy, projektów. Musiałby pan zostać na *Amity* parę miesięcy dłużej, może nawet rok.

— Ale dlaczego...? — Ferrol wpatrywał się w Senatora. — Co ja mam z tym wspólnego?

— Komitet zgodził się na eksperymenty z rozmnażaniem koni pod warunkiem, że co najmniej połowa załogi i wszyscy starsi oficerowie zdecydują się pozostać na pokładzie do czasu wyjaśnienia mechanizmu tego zjawiska.

— O to panu chodziło! — wykrzyknął Ferrol wzburzony. — Chciał mnie pan skołować, żebym bez namysłu podarował wam kolejny rok!

— To będzie pewnego rodzaju test wytrzymałości — odparł chłodno Senator. — A zresztą, nie zmuszam pana. Jeśli nie czuje się pan zobowiązany pozostać do końca... — wzruszył ramionami.

Ferrol poczuł się głęboko dotknięty nieuczciwością Senatora, lecz nawet mając świadomość manipulacji, nie potrafił się bronić. I tak musiałby w końcu ustąpić.

— Zostanę na *Amity*, jak długo będzie trzeba. Na pewno w końcu schwytamy jakiegoś żrebaka — poddał się zrezygnowany.

— Jeśli w ogóle się pojawi... Na razie trzeba czekać i obserwować.

Wyzywający ton Senatora ustąpił miejsca cynicznej obojętności, która zawsze Ferrolowi z nim się kojarzyła, budząc niechętny podziw i onieśmienie.

— Czy to już wszystko, panie Senatorze? — drżącymi dłońmi szukał wyzwalacza przy oparciu fotela.

„Jestem jak nakręcany pajacyk”, myślał rozgoryczony. „Muszę tańczyć, jak mi zagra-

ją”.

— Jeszcze jedno, Chayne — Senator zawahał się chwilę. — Jeśli zatrzymamy wszystkich starszych oficerów, to musimy zostawić również Erin Kennedy — dokończył niezbyt pewnym głosem.

Ferrol spojrział na niego zdziwiony.

— Przecież to nie moja sprawa.

Senator cicho odchrząknął.

— A szkoda! Czy pan wie, że ona zgodziła się na degradację, żeby wziąć udział w pierwszej wyprawie *Amity*?

— Tak, słyszałem.

Ferrol zastanowił się. Nie utrzymywał bliższych kontaktów z Kennedy i właściwie niewiele mógł o niej powiedzieć poza tym, że była doskonałym fachowcem. Senator musiał mieć jakieś poufne informacje...

— Sądzi pan, że to „wtyczka”? — domyślił się. — Może wywiad?

— Możliwe — zgodził się Senator. — Dopóki ona jest na pokładzie, nie jesteśmy w stanie tego wyśledzić. Zwolennicy Tamplesów muszą darzyć ją wielkim zaufaniem, skoro chcieli, żeby została nawigatorem. Trzeba ją obserwować, Chayne. Bardzo uważnie. Zwłaszcza gdy... — znacząco uniośł brwi.

„Zwłaszcza gdy będę musiał sięgnąć po kopertę”, dokończył w myślach Ferrol.

— Będę uważał — obiecał niechętnie. — Ciągle jeszcze mam tę broń, którą dostałem od pana.

— To dobrze — powiedział Senator. — Nie wątpię, że w razie potrzeby poradzi sobie pan. Proszę pamiętać: to najniebezpieczniejsza osoba na pokładzie.

Nagle jakby coś sobie przypomniał.

— Zdaje się, że ma pan dla mnie jakąś przesyłkę?

— Tak, Senatorze. Mam pakiet danych od Kheslava. Jutro go przyniosę. — Ferrol udawał kompletny brak zainteresowania tematem.

— Odda mi pan natychmiast!

— Co, teraz gdy wahadłowiec przygotowuje się do powrotu? — Ferrol sprzeciwił się w końcu. — Na razie chyba nie ma sensu łączyć się z *Amity*.

— Nie interesują mnie pańskie poglądy. Chcę mieć pakiet danych i to zaraz — powiedział Senator chłodnym, rozkazującym tonem.

Przez chwilę Ferrol patrzył mu prosto w oczy, ale nie zaprotestował.

— Tak jest — powiedział tylko. — Czy mogę się odmeldować?

— Jeszcze jedna sprawa, Chayne. — Senator świdrował go przenikliwym spojrzeniem. — Nie przejąłem się specjalnie tym, w jaki sposób pan ze mną rozmawiał. Niech pan sobie czasem nie myśli, że mnie wyprowadził z równowagi. Czy wyraziłem się dość jasno?

Ferrol przełknął ślinę.

— Oczywiście, Senatorze — zgodził się, choć wiedział, że Senator kłamał.

Po pół godzinie wahadłowiec połączył się z *Amity*. Gdy Ferrol wrócił z materiałami Kheslava, przygotowania do powrotu ciągle jeszcze trwały. Obawiał się trochę podejrzliwości Senatora, lecz ten przyjął go zupełnie obojętnie. W każdym razie nie zapytał, dlaczego musiał tak długo czekać na wykonanie rozkazu. Może nawet tego nie zauważył. Dwa razy w ciągu krótkiej rozmowy Ferrol odniósł wrażenie, że Senator i jego przyjaciele zaczynają przegrywać. Tym bardziej cieszył się z wykonanej potajemnie dodatkowej kopii.

Nikommu nie przyjdzie do głowy, żeby jej szukać.

ROZDZIAŁ 15

Miesiąc później *Amity* z dawną załogą i nowym koniem wyruszyła z Solomona na kolejną wyprawę. Tak jak poprzednio, celem ekspedycji były wstępne badania czterech planet, odkrytych przez Tamplesów. Tym razem nie było okazji, żeby powtórzyć doświadczenie z prenową, nawet gdyby ktoś miał jeszcze na to ochotę. W zamian przeżyli inną przygodę: Roman wprowadził statek w chmurę rozprężającego się gazu mgławicy planetarnej. Wrócili po trzech miesiącach z pakietem danych, pełnym fascynujących odkryć, i z nowym żrebakiem, ciągnącym lądownik.

Podczas trzeciej wyprawy *Amity* spenetrowała pulsar i przyległy system Wolf-Rayet. Do zbadania pozostały jedynie obszary przestrzeni międzygwiazdnych. Wtedy już nawet najbardziej niedomyślni członkowie Senatu i Admiralicji zaczęli podejrzewać, że deklarowany cel wyprawy jest tylko pretekstem.

Mimo to nikt jakoś nie zainteresował się ciągłymi zmianami w składzie załogi ekipy badawczej. Najważniejsze, że z każdej wyprawy wracano z nowym żrebakiem.

W ostatnim dniu przygotowań do piątej ekspedycji, Senator nareszcie ujawnił swój plan.

U boku Ferrola stał wysoki, chudy mężczyzna o twarzy zupełnie pozbawionej wyrazu. Patrzył w przestrzeń i pustym, nieprzytomnym wzrokiem narkomana. Po zapoznaniu się z nienaganną opinią Senatu, kapitan odrzucił jednak podejrzenie o narkotyki.

„Tym gorzej”, pomyślał Roman, przeglądając dokumenty, które przyniósł ze sobą ten człowiek. „To znaczy, że on zawsze tak patrzy i nic nie da się wyczytać z jego spojrzenia”. Wyłączył czytnik i odwrócił się do gościa.

— No cóż, panie Demothi — odezwał się po namyśle. — Rzeczywiście, eksperyment będzie ciekawy. Proszę mi wybaczyć, lecz mimo wszystko pozostanę sceptykiem.

— Senat też był sceptyczny — przyznał obojętnie Nodin Demothi. — Tak samo jak Admiralicja, Instytut Psychologii i Uniwersytet. Jednak szybko zmienili zdanie! — ruchem głowy wskazał rozłożone na pulpicie raporty.

— Możliwe — zgodził się Roman. — Pamiętajmy jednak, że delfiny i wieloryby prze-

żyły z nami na jednej planecie kawał historii. Konie kosmiczne to coś zupełnie innego.

Demothi wzruszył ramionami.

— Tamplesi też są inni. Mimo to potrafiłem porozumiewać się z nimi podczas pobytu na Traklee-Kyn.

— To kiepski argument, podobnie jak pańskie studia wielorybnicze — stwierdził Roman. — Niewykluczone, że Tamplesi specjalnie starali się z panem porozumieć.

Zauważył, że podświadomie usiłuje zmusić Demothiego do jakiegokolwiek emocjonalnej reakcji. Zawsze lubił wiedzieć, z kim ma do czynienia. Demothi jednak nie dał się sprowokować.

— Rozumiem pańską nieufność, kapitanie — powiedział z niewzruszonym spokojem. — Setki razy spotykałem się z nieprzychylnym przyjęciem, a w końcu i tak udało mi się wszystkich przekonać. Proszę mi pozwolić.

Prawdę mówiąc, kapitan nie miał innego wyjścia. Rozkazy, które przekazał mu Demothi, były jednoznaczne. Musiał się zgodzić.

— Niestety, nie mam wyboru — przyznał niechętnie. — Ostrzegam tylko, że eksperymenty nie mogą zagrażać życiu i zdrowiu żrebaka. W przeciwnym razie będę musiał zakazać dalszych prób. Daję panu tylko jedną szansę.

Demothi wyprostował się z godnością, co przy jego tyczkowatej posturze wyglądało trochę zabawnie.

— To mi wystarczy! — stwierdził z przekonaniem.

— W porządku! Komandorze? — Roman spojrzał na Ferrola, który przezornie nie włączał się do rozmowy. — Czy przygotował pan kwaterę dla pana Demothiego?

— Tak jest, kapitanie! Przeznaczyłem dla pana Demothiego czwartą kabinę w sekcji D. Jest wolna od czasu, gdy Siły Gwiazdne odwołały w końcu tych czterech geologów — Ferrol nie potrafił ukryć zadowolenia. Był pewien, że Demothi jest wysłannikiem przeciwników Tamplesów.

— Dobrze się składa! — powiedział chłodno Roman.

Przez chwilę obserwował Ferrola, który w dalszym ciągu nie zdradzał zainteresowania rozmową. Potem znów zwrócił się do Demothiego:

— Czy przebywał pan kiedyś na okręcie wojennym?

— Tylko kilka dni podczas testów — przyznał Demothi. — Poza tym często podróżowałem pasażerskimi liniowcami. Ostatnio spędziłem dużo czasu na statkach Tamplesów.

— No cóż, musi się pan jeszcze wiele nauczyć — Roman wcisnął jeden z klawiszy na pulpicie. — Niestety, życie na pokładzie *Amity* nie przypomina przejażdżki statkiem pasażerskim. Trzeba podporządkować się rygorom. Pewne trudności może również sprawić przystosowanie do swobodnego spadania.

Demothi spojrzał przez iluminator na gwiazdy wirujące w rytmie obrotów *Amity*

i natychmiast odwrócił wzrok.

— Rozumiem, kapitanie. Jestem przygotowany na wszystko.

— Prawdopodobnie spędzimy w kosmosie kilka miesięcy — kontynuował Roman.
— Dotychczas ekspedycje trwały średnio dziewięćdziesiąt osiem dni, najdłuższa: sto trzydzieści cztery.

— Rozumiem — powtórzył Demothi.

Roman zacisnął zęby. Co prawda, nie wierzył, że uda mu się odstraszyć Demothiego, ale uważał, że mimo wszystko warto spróbować.

— Miejmy nadzieję, że pan wytrzyma — poddał się w końcu niechętnie.

Drzwi kabiny otworzyły się niespodziewanie i do wnętrza wszedł młody człowiek z obsługi. Kapitan wskazał na przybysza:

— Kliement zaprowadzi pana do kabiny i pomoże się urządzić. Przez następne pięć godzin pozostaniemy jeszcze na orbicie Solomona.

Demothi skłonił się lekko.

— Dziękuję, kapitanie. Postaram się nie zawieść nadziei — powiedział i wyszedł za Kliementem.

— Co pan o tym sądzi, komandorze? — zapytał Roman.

— O czym, kapitanie?

— O zamiarach tego człowieka. Myśli pan, że mu się powiedzie?

— Senat twierdzi, że tak. Chyba to nie są tylko pobożne życzenia.

— Z pewnością nie — zgodził się Roman. — Obawiam się jednak, że wyznaczono mu całkiem inną funkcję.

Ferrol zmieszał się lekko.

— Czyżby miał pan na myśli potajemne obserwacje?

— Raczej nie — Roman potrząsnął głową. — Przecież jedynym celem naszej wyprawy jest właśnie obserwacja rozmnażania koni. Nie sądzę, żeby człowiek mógł zauważyć więcej niż kamera. Inne informacje są już w pełni udokumentowane.

— Może ma śledzić zachowanie załogi? — zasugerował Ferrol. — Senat nadal interesuje się możliwością współpracy z Tamplesami. W tym celu przecież opracowano Program Amity.

Teoretycznie Ferrol miał rację, jednak po czterech wyprawach nawet najwięksi optymiści przestali liczyć na sukces. Przeciwnicy Tamplesów trwali przy swoich poglądach, niewzruszeni nawet niezwykłym faktem narodzin kosmicznego źrebaka. Mimo deklarowanego uznania dla misji *Amity* tylko jedna trzecia dawnej załogi wzięła udział w kolejnej wyprawie. Zaledwie dziesięć osób, nie licząc starszych oficerów i Tamplesów, uczestniczyło od początku we wszystkich czterech ekspedycjach.

— Wątpię, żeby ktokolwiek jeszcze myślał o nas w tym kontekście — powiedział Roman. — Jestem przekonany, że Demothi interesuje się wyłącznie źrebakami.

Doroślego konia mógłby schwytać w zagrodzie systemu Kialinninni.

Spojrzał badawczo na Ferrola.

— Tam również mógłby osiągnąć tak zwany bezpośredni kontakt.

Ferrol wzruszył ramionami.

— Możliwe. Z drugiej strony, wskażę panu od razu dwie przyczyny, dla których łatwiejszy jest bezpośredni kontakt ze źrebakiem. Po pierwsze: najprawdopodobniej źrebak jest mniej płochliwy, i po drugie: jest znacznie słabszy. Poza tym, nie umie SKAKAĆ.

— To chyba najważniejszy argument.

Roman popatrzył podejrzliwie na Ferrola. Obawiał się, że to logiczne uzasadnienie nie zostało wymyślane na poczekaniu. Czyżby przyjaciele z Senatu wtajemniczyli Ferrola w plany Demothiego? A może po prostu komandor od dawna interesował się kosmicznymi źrebakami?

— Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na dalszy rozwój wypadków.

— Tak jest, kapitanie! Uważam, że zawczasu nie trzeba się martwić. On chyba naprawdę ma zamiar zajmować się źrebakami.

— To dobrze — powiedział Roman bez przekonania. — Wszyscy jesteśmy świadomi, że kontrola nad kosmicznymi końmi otworzy ludzkości drogę do dalszej ekspansji. Doskonale się składa, że właśnie Kennedy poprowadzi lądownik.

Kamienna twarz Ferrola lekko drgnęła, co nie uszło uwadze Romana.

— Dlaczego Kennedy? — zapytał Ferrol niepewnie.

— Bardzo jej zależy, żeby wykonać manewr zbliżenia — wyjaśnił kapitan. — Zresztą, skoro mamy na pokładzie ulubieńca Senatu, musimy przydzielić mu najlepszych ludzi. Na wszelki wypadek.

— Oczywiście, kapitanie — wyjąkał Ferrol. — Co prawda, sam chciałem pana prosić o pozwolenie na kierowanie lądownikiem...

Roman zaniepokoił się, znajdując w słowach Ferrola potwierdzenie swoich niejasnych podejrzeń. Był prawie pewien, że nawigator zna ukryte zamiary Demothiego i chce mu pomóc. Poza tym, na pewno ma jakieś poufne informacje o Kennedy. Mimo wszystko, kapitan wolał nie wysyłać jej samej z Demothim.

— Nie widzę problemu — powiedział z udaną obojętnością. — Możecie polecieć razem.

Ferrol zdawał się odczytywać intencje kapitana.

— W porządku — zgodził się bez entuzjazmu. — Chyba Kennedy nie będzie urażona brakiem zaufania ze strony dowódcy.

— Będziecie się doskonale uzupełniać — wyjaśnił pojednawczo kapitan. — Ona ma doświadczenie zawodowe, a pan ogromny zapał.

— Tak jest! Dziękuję, kapitanie! — Ferrol nie sprzeciwiał się dłużej.

— A więc załatwione! — Roman udawał, że nie dostrzega niezadowolenia Ferrola. — Proszę wrócić na pomost, komandorze! Ma pan dużo pracy do czasu opuszczenia orbity.

— Tak jest, kapitanie! — Ferrol uklonił się i wyszedł.

Kapitan patrzył ponuro na drzwi, które zamknęły się za nawigatorem. Stało się: przeciwnicy Tamplesów podjęli wyzwanie! Z samym Ferrolem dałby sobie radę, ale ze spiskowcami będzie mu znacznie trudniej. Stanowisko Kennedy nadal pozostawało zagadką.

Chociaż nowe osoby na pokładzie *Amity* nie były już żadną atrakcją, kapitan nie bez racji obawiał się jednak, że Demothi wzbudzi sensację wśród załogi. Wiadomość o jego historycznym eksperymencie obiegała statek w ciągu godziny, a po dwóch stała się głównym tematem rozmów. Zanim Sso-ngii przy pomocy nowego konia o nazwie Man o'War przeniósł *Amity* poza orbitę Solomona, cała załoga spierała się już gorąco o szansę powodzenia przedsięwzięcia. Zanim wykonano pierwszy SKOK, wymyślono co najmniej dwa dowcipy na temat misji Demothiego.

Roman był przekonany, że Demothi może sprawiać mnóstwo kłopotów, ale na razie obawy nie potwierdziły się. Wprost przeciwnie, Demothi zupełnie nie zwracał na siebie niczyjej uwagi. Większość czasu spędzał w przedziale Tamplesów, gdzie dyskutował z operatorami i sprawdzał działanie hełmów kontaktowych. Wracał dopiero wieczorem i w porze posiłków. Ponieważ jadał osobno we własnej kabinie, Roman czasami nie widywał go przez cały dzień, nie licząc przelotnych spotkań na korytarzu. Kapitan nie znajdował właściwie żadnych powodów dobrowolnej izolacji Demothiego. Charakterystyka, którą otrzymał przed wyprawą, nie wspominała ani słowem o społecznej postawie kandydata. Najbardziej prawdopodobne uzasadnienie wymyśliła chyba Kennedy, która uważała, że Demothi spodziewa się lepszych efektów obcowania z koniem, jeśli przedtem będzie unikał kontaktów z ludźmi. Ta teoria była równie dobra, jak każda inna, zważywszy że tak mało wiedziano dotąd o psychice kosmicznych koni. Pustelniczy tryb życia Demothiego był przedmiotem złośliwych żartów i docinek znużonej załogi, dopóki wreszcie po sześćdziesięciu dniach podróży Man o'War nie zaczął powoli zapadać w letarg.

— Zaczyna się! — zameldował Marlowe. Bębniąc palcami po klawiaturze komputera, porównywał dane z poprzednich przypadków.

— Moim zdaniem: jeszcze jeden SKOK, a potem parę godzin odpoczynku i Man o'War będzie gotowy do porodu.

Roman skinął głową.

— W porządku. Proszę uprzedzić Demothiego, prawdopodobnie potrzebuje trochę czasu na przygotowanie. Jak wygląda „sala porodowa”, komandorze?

Monitor na stanowisku Ferrola wyświetlał wycinek mapy Nowego Łabędzia. Roman

dostrzegł ze swego fotela, że niektóre linie zaznaczono żółtym kolorem.

— Właśnie nad tym pracuję — wyjaśnił Ferrol. — Sądzę, że jesteśmy w tym miejscu. Zbliżyliśmy się do systemu NCL 11612. Jest to mała gwiazda typu K, oddalona od nas o prawie cztery lata świetlne. Poza tym nie ma tu nic ciekawego, oprócz paru gazowych gigantów. Nie stwierdzono śladów życia.

Spojrzał pytająco na Romana.

— Chyba wszystko się zgadza — powiedział Roman, obracając się w kierunku steru.
— Co słyhać, poruczniku Yamoto?

— Wektor został obliczony — zameldowała natychmiast. — Można przekazać Tamplesom.

— Wykonać! — rzucił krótko.

Napięcie rosło. Kapitan czuł bolesny skurcz w żołądku. Ferrol wpatrywał się w niego w skupieniu.

— Niech pan zejdzie na dół, komandorze i dopilnuje przygotowań sekcji myśliwych.

— Tak jest, kapitanie! — Ferrol odpiął pasy i ruszył do drzwi.

Kapitan obejrzał się za nim.

„Niech pan sam też się przygotowuje”, ponaglił go w myślach.

Przygotowania zakończono na długo przed oczekiwanym porodem. Pozostało jedynie kilka drobiazgów, z którymi zwlekano do ostatniej chwili. Ferrol też nie potrzebował wiele czasu: wystarczyło tylko ukryć pistolet i kopertę w pakiecie ETA. Zostało mu kilka godzin nerwowego oczekiwania. Analizował w myślach rozmowy z Demothim, z których każda budziła coraz większe wątpliwości. Czyżby Demothi był tylko tym, na kogo wygląda: hobbystą-marzycielem, którego Senator wynalazł nie wiadomo skąd i zwabił na *Amity* w odpowiedzi na prośby Ferroła? Czy też był jednak tajnym agentem przeciwników Tamplesów, któremu powierzono specjalne zadanie pod pretekstem prób bezpośredniego kontaktu z kosmicznym koniem? Nie dowiedział się prawdy, choć starał się sprowokować Demothiego przejrzytymi aluzjami.

Po SKOKU do systemu docelowego Man o'War prawie godzinę trwał w bezruchu. Ferrol denerwował się coraz bardziej. Wreszcie odezwał się sygnał interkomu!

— Kapitan do kabiny! Komandor Ferrol?

— Tak jest! Czy już czas? — zapytał niespokojnie.

— Chyba tak. Analiza potu wykazuje, że do porodu pozostały najwyżej dwie godziny.

Nie można było dłużej zwlekać.

— Wyruszamy, kapitanie!

W towarzystwie Kennedy i Demothiego udał się do hangaru. Po drodze zastanawiał się złośliwie, jak długo przyjdzie im czekać na Tamplesów. Obawy okazały się jednak

przedwcześnie. Obaj Tamplesi byli już gotowi.

— Ffe-rho? — upewnił się jeden z nich.

— Tak! — potwierdził Ferrol.

Spod maski, do połowy zakrywającej skrzywioną twarz Tamplesa wystawał rąbek czerwono-białej chusteczki.

— Sso-ngii — Ferrol zidentyfikował go po namyśle.

— Tak, to ja — Tamples wskazał na towarzysza. — Wwis-khaa poleci z nami.

— W porządku — powiedział krótko Ferrol.

Zajął miejsce na stanowisku dowodzenia i włączył odczyt parametrów lotu.

Zastanawiał się, czy Sso-ngii celowo wybrał Wwis-khaa na swego asystenta. Z charakterystyki wynikało, że Wwis-khaa jest jedynym operatorem na *Amity*, który ma pewne doświadczenie w ujarzmianiu dzikich koni. Dotychczas nie było potrzeby stosowania wobec nowo narodzonych źrebaków specjalnych metod, ale nigdy dotąd Demothi nie płoszył ich swoimi sygnałami. Właściwie żaden z Tamplesów nie był zainteresowany powodzeniem eksperymentu Demothiego, choć z drugiej strony, żaden nie zgłosił oficjalnego protestu.

— Możemy zaczynać, komandorze! — głos Kennedy wyrwał go z zamyślenia.

Spojrzał na odczyty i skinął głową.

— Wszystko w porządku! Ruszamy!

Kennedy zręcznie wyprowadziła lądownik z hangaru. Po chwili oderwali się od kałduba i posuwali wzdłuż lśniącej linii uprzęży, która prowadziła po bezgwiezdnym niebie w kierunku kosmicznego konia.

Poród rozpoczął się na dobre, zanim dotarli do celu. Reflektory iluminacyjne trzech pobliskich łodzi ratunkowych oświetlały miejsce, w którym stumetrowej długości walec przebijał się przez szarą skórę konia. Wokół uwijali się Tamplesi w kombinezonach kosmicznych, ostrożnie przecinając naprężoną uprzęż, w miarę zwiększania się objętości potężnego cielska. W odległości pięćdziesięciu metrów stały dwie łodzie, połączone luźną, błyszczącą liną. Kennedy skierowała lądownik w ich stronę. Stąd mogli dokładnie obserwować „z lotu ptaka” ostatnią fazę podziału i natychmiast po urodzeniu spętać źrebaka.

Ferrol pomyślał, że na razie trudno byłoby napisać książkę o rozmnażaniu kosmicznych koni, lecz jeśli kiedykolwiek będzie to możliwe, *Man o'War* na pewno zajmie w niej kilkanaście stron.

Od chwili pojawienia się niewielkiej wypukłości w boku konia upłynęło dwie i pół godziny, gdy napięta skóra niespodziewanie rozszczepiła się jak stumetrowy zamek błyskawiczny. Źrebak wysunął się na zewnątrz i zastygł w bezruchu. Jedynie dreszcz przechodzący co pewien czas przez lśniąca skórę zwierzęcia świadczył, że noworodek żyje. Teoretycznie, nawet tuż po urodzeniu źrebaki są dość silne, aby roztrzaskać łodzie my-

śliwych, ale do tej pory zawsze okazywały się niegroźne. Tym razem żrebak także zachowywał się łagodnie. Ciągnięty na uwięzi płynął spokojnie za lądownikiem. Kennedy zachaczyła końcówki uprzęży o uchwyt na dziobie.

Z lewej strony tuż przed Ferrolem siedział nieruchomo Sso-ngii. Odprężył się dopiero, gdy na hełmie kontaktowym zapalił się szereg zielonych światełek.

— *Amity!* Mamy go! — zawołał Ferrol do mikrofonu. — Schwytaliśmy żrebaka! Zdaje się, że wszystko w porządku.

— Bardzo dobrze, komandorze! — odezwał się Roman. Na wszelki wypadek ściągnijcie trochę linę. Hhom-jee, czy Man o'War nie sprawia kłopotów?

— Manawanninni czuje się całkiem dobrze — odpowiedział Tamples. — Już prawie odzyskał siły i nie wykazuje oznak stresu.

— To bardzo miło z jego strony — parsknął Ferrol. Po ostatnim porodzie Hhom-jee stwierdził u konia objawy „niewielkiego stresu”, a potem musiał go co najmniej przez pół godziny uspokajać. Ferrol nie miał oczywiście najmniejszej ochoty na takie przeżycia w kruchym lądowniku.

— Myślę, że możemy podjąć próbę kontaktu.

— Chyba tak — Roman zgodził się po chwili wahania. — Na wszelki wypadek oddalimy się o parę kilometrów, żeby wam nie przeszkadzać.

Ferrol spojrział ukradkiem na Demothiego. Na jego kamiennej twarzy pojawiły się jednak oznaki napięcia.

— Bardzo słusznie, kapitanie. A swoją drogą, czy wymyślił pan już jakąś nazwę dla żrebaka?

— Myślę, że nazwiemy go Quentin, bo to nasz piąty żrebak.

— Niezbyt oryginalnie...

— Musimy go jakoś zapisać w naszych rejestrach — powiedział cierpko kapitan.

Ferrol skrzywił się. W podnieceniu prawie zapomniał, że kapitan stoi po drugiej stronie barykady i prawdopodobnie uważa, że eksperyment Demothiego jest zagrożeniem dla kruchego rozejmu, który zawarli z Tamplesami na czas Programu *Amity*.

— Niech będzie Quentin, kapitanie! — nie sprzeciwiał się dłużej.

Przez kilka minut panowała cisza. Co pewien czas Ferrol czuł lekkie szarpnięcia, gdy żrebak wykonywał pierwsze ruchy. Na ogół jednak słabe wstrząsy nie osiągały lądownika. Kennedy ostrożnie poluzowała linę, rozciągając ją na długość pół kilometra. Zachowywała się jak rybak, który trzyma na wędce ogromną, cenną zdobycz...

Ferrol starał się nie poddawać fantastycznym wizjom.

— Musimy się spieszyć! — ponaglił ją ostro.

— Tak jest! — Kennedy włączyła instrumenty kontrolne. — *Amity* oddaliła się już o pięć kilometrów i zatrzymuje się. Lina rozciągnięta na całą długość, kamery włączone.

— Jesteśmy na stanowisku, komandorze — zgłosił się Roman. — Czy możecie zacząć?

— Tak, kapitanie! — Ferrol spojrział na Demothiego, który siedząc pomiędzy Sso-ngii a Wwis-khaa przygotowywał się w skupieniu. — Zaczynamy!

Sso-ngii zdjął hełm kontaktowy i podał Demothiemu, wahając się tylko przez ułamek sekundy. Demothi ostrożnie włożył hełm na głowę. Ferrol wstrzymał oddech. Zdążył tylko zauważyć, że na hełmie natychmiast zapalił się rząd czerwonych światełek...

W tej samej chwili koń szarpnął się z ogromną siłą i Ferrol upadł ciężko na fotel.

— Sso-ngii — wykrztusił, oceniając w myślach, że przyspieszenie musiało wzrosnąć mniej więcej do jednego G.

„Zdaje się, że żrebak wykazał maksimum swoich możliwości. Ciekawe, jak Demothi go do tego skłonił?”

Po chwili Quentin zaczął przewracać się na boki, bezlitośnie miotając lądownikiem. Ferrol szarpany na wszystkie strony, mimo pasów bezpieczeństwa, kilka razy uderzył głową o ścianę. Zacisnął mocno szczęki, chcąc uchronić się przed utratą zębów.

Dwaj Tamplesi i Demothi usiłowali uchwycić hełm, który kołysząc się na przewodach, wymykał im się z rąk. Quentin zdążył obrócić się cztery razy, zanim Wwis-khaa złapał hełm i wcisnął go na głowę. Czerwone światełka zgasły. Koń zaczął się uspokajać.

— Kennedy, proszę ustalić kurs — odezwał się Ferrol, gdy tylko odważył się rozluźnić szczęki. — Musimy wracać na *Amity*.

— *Amity* już nie ma, komandorze — przerwała Kennedy.

— Co się stało? — Ferrol włączył monitory kontrolne. W widocznym steradianie nie było ani śladu czegoś o rozmiarach statku kosmicznego.

— Nie mogła zniknąć — powiedział i natychmiast uświadomił sobie absurdalność tego stwierdzenia.

„Tylko spokojnie”, pomyślał. „Przecież nie mogli zostawić nas samych. Na pewno wszystko niedługo się wyjaśni”.

— Czy nadal jesteśmy w systemie 11612?

— Zdaje się, że Quentin jest zbyt młody, żeby SKOCZYĆ — przypomniała Kennedy, przebijając palcami po klawiaturze komputera.

— Wiem o tym... Odczytała wynik obliczeń:

— Spektrum nie zmieniło się.

Ferrol zagryzł wargi. Po chwilowym szoku znów zaczął myśleć.

— Czy odebrała pani jakieś sygnały przez radio albo laserem?

Potrząsnęła głową.

— Wsłuchiwałam się przez cały czas, usiłując wyłapać coś w tym hałasie — powie-

działa, przewijając jednocześnie taśmę magnetofonu. — Nie wiadomo, czy wszystko udało się zarejestrować. O, tu coś jest!

Przez chwilę nasłuchiwała przez hełmofon, potem włączyła głośnik. Wiadomość z *Amity* była krótka: „Ładownik — Ferrol — Man o’War spłoszył się. Hhom-jee nie może go utrzymać — wrócimy...”

Głos kapitana i szum przekaźnika laserowego umilkły jednocześnie. Kennedy spojrzała na Ferrola.

— Uważam — powiedziała spokojnie — że dokonaliśmy nowego odkrycia! Czyż nauka nie jest wspaniała?

— Rzeczywiście — przyznał niechętnie.

— Co myślisz o tym wszystkim, Sso-ngii — zapytał, spoglądając na Tamplesów i siedzącego obok nich Demothiego. — Czy mógłbyś mi wyjaśnić, dlaczego Man o’War przestraszył się i SKOCZYŁ, chociaż tylko Quentin miał powody do niepokoju?

— Jak sądzisz, czego się przestraszył? — wtrącił Demothi.

Ferrol rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

— Sso-ngii? — powiedział z naciskiem.

— Nie wiem — odparł Sso-ngii. — Wiem tylko, że pewne emocje mogą być przekazywane innym koniom. To wszystko.

— Telepatia?

Sso-ngii szybko dotknął dłonią ucha, co oznaczało wzruszenie ramionami.

— Co to jest telepatia?

Kennedy zachichotała.

— To sposób komunikowania się, którego nie rozumiemy.

Ferrol obruszył się, lecz właściwie musiał przyznać jej rację. Słowo „telepatia” niczego nie wyjaśniało.

— Spróbuję ci to jakoś wytłumaczyć — powiedział do Sso-ngii. — Zastanawiamy się, dlaczego Man o’War uciekł, zamiast przyjść Quentinowi z pomocą, jeśli w jakiś sposób poczuł jego niepokój.

— To jest antropomorfizacja! — przerwał ostro Demothi. — Czyżby pan oczekiwał, że koń kosmiczny zachowa się jak człowiek?

— Mmo-thee ma rację — zgodził się Sso-ngii. — Manawanninni mógł poczuć strach żrebaka i uciec zamiast niego. — Twarz Tamplesa wykrzywiła się jeszcze bardziej niż zwykle. — Ludzie nie rozumieją współodczuwania.

— Tak, przypuszczam, że szlachetne uczucie empatii jest nam zupełnie obce — mruknięła Ferrol.

Na stanowisku Kennedy dał się słyszeć krótki sygnał.

— Czy to *Amity* — zapytał, przeszukując monitory. Kennedy potrząsnęła głową.

— Nie, to tylko jedna z łodzi odszukała nas laserem. W zasadzie powtarza wiadomo-

ści od kapitana.

Ferrol zapomniał, że oprócz ładownika pozostały w pobliżu jeszcze trzy łodzie.

— Spróbujemy do nich dotrzeć. Niech pani ustali kurs i przekaże Wwis-khaa. Dam im sygnał, że się zbliżamy.

— Nie wiadomo, czy Wwis-khaa potrafi pokierować Quentinem — ostrzegła go Kennedy.

Na hełmie Tamplesa palił się rząd żółtych światełek.

— Myślę, że sobie poradzi, skoro ujarzmił dzikie konie — powiedział Ferrol uspokajająco.

— Wwis-khaa nie będzie kierował Quentinem — odezwał się nagle Demothi. — Ja to zrobię.

Ferrol odwrócił się powoli i spojrzał na niego zdziwiony. Demothi wyprostował się, co teraz, gdy siedział przypięty pasami do fotela, wyglądało jeszcze śmieszniej niż wtedy, gdy stał na baczność w biurze kapitana.

— O co chodzi? — zapytał Ferrol łagodnie.

— Powiedziałem, że będę kierował Quentinem — powtórzył Demothi. — Mam rozkazy z Senatu i Admiralicji.

— Już raz pan próbował — przerwał Ferrol, bliski wybuchu wściekłości.

W ferworze zdarzeń zapomniał prawie, że to właśnie Demothi nieudaną próbą przekreślił jego największe marzenie. — Nie udało się panu.

— To nie była jeszcze prawdziwa próba! — Demothi ożywił się nieoczekiwanie, w jego monotonnym zazwyczaj głosie zabrzmiały nuty prośby i żądania. — To było nowe doświadczenie, dla mnie i dla Quentina. Żaden z nas nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić. Przemyslałem wszystko i wiem, na czym polegał błąd. — Westchnął głęboko. — Proszę, komandorze, niech mi pan da ostatnią szansę.

— Za dwadzieścia cztery godziny Quentin będzie zdolny do SKOKU — szepnęła ostrzegawczo Kennedy.

Ferrol popatrzył na nią podejrzliwie, przypomniawszy sobie ukryte sugestie Senatora. Jej spojrzenie nie wyrażało nic, poza uprzejmym zdziwieniem.

Niestety, miała rację.

Jeśli Demothi chce jeszcze raz spróbować, nie można odkładać tego na później.

— W porządku — zdecydował się i mocniej zacisnął pasy bezpieczeństwa. — Zezwalam na ostatnią próbę. Wwis-khaa, daj mu hełm. Niech pan się skupi na utrzymaniu stałego kontaktu, zanim zdecyduje się pan na jakiś ruch. Gdyby Quentin zaczął się niepokoić, proszę natychmiast oddać hełm. Zrozumiano?

— Tak! — Demothi uśmiechnął się krzywo. — Tym razem na pewno się uda.

„Zobaczmy!”, pomyślał Ferrol sceptycznie.

Demothi założył hełm. Wskaźniki kilkakrotnie zmieniły kolor, zanim wreszcie za-

palili się rząd zielonych świateł. Lądownik zakołysał się lekko, ale na razie nic złego się nie działo. Nadal paliły się zielone światełka. Ferrol miał niesamowite wrażenie, że w tej chwili, na jego oczach, dokonuje się epokowy przełom. Spod przymrużonych powiek obserwował skupioną twarz Demothiego.

„Ten człowiek wygląda, jakby za chwilę miał wybuchnąć”, zauważył z niepokojem. Nagle... lądownik błyskawicznie ruszył do przodu, pociągnięty gwałtownym szarpnięciem Quentina.

— Sso-ngii! — wykrzyknął Ferrol, ale było już za późno.

Znów uderzył się o ścianę. Obolały, rozglądał się wokół. Sso-ngii, zmagając się z przyspieszeniem, próbował ściągnąć hełm z głowy Demothiego. Dysze zgrzytały niepokojąco. Po chwili lądownik obrócił się niespodziewanie. Twarz Ferrola znalazła się tuż przy bocznym iluminatorze, w którym widać było zamgloną czerwonawą gwiazdę. Gwiazda zniknęła, nim zdążył odwrócić głowę.

ROZDZIAŁ 16

Quentin uspokoił się w końcu. Dysze manewrowe przestały pracować i w lądowniku zapanowała kompletna cisza. Ferrolowi przychodziły do głowy setki wymyślnych przekleństw, ale żadne nie wydawało mu się dość odpowiednie dla określenia tego, co się stało. Popatrzył w iluminator. Zza cielska Quentina wyłaniała się krawędź niebieskobiełej gwiazdy, która świeciła oślepiającym blaskiem. Ferrol odwrócił się powoli i spojrzął na siedzącą obok Kennedy. Musiała wyczuć jego spojrzenie, bo odwróciła głowę i popatrzyła mu prosto w oczy. Może też nie umiała znaleźć odpowiedniego przekleństwa!...

— No cóż — odezwał się niepewnym głosem — chyba sprawdzimy, co się stało.

Westchnęła głęboko.

— Tak jest, komandorze!

Jej palce poruszały się wolno po klawiaturze, jakby ciągle jeszcze były sparaliżowane strachem. Ferrol obserwował ją przez chwilę, a potem rozejrzał się po lądowniku. Tamplesi byli zupełnie spokojni. Wskaźniki na hełmie Sso-ngii paliły się zielonym światłem. Pomiędzy Tamplesami siedział Demothi ze spuszczoną głową i wzrokiem dziecka, które uparło się, żeby nieść pamiątkowy wazon i natychmiast go stłukło.

— Darujmy sobie awantury nad rozlanym mlekiem — powiedział Ferrol pojednawczo. — Wwis-khaa, w jaki sposób Quentinowi udało się SKOCZYĆ?

— Nie wiem...

— Właśnie, że wiesz — przerwał ostro Ferrol. Wiesz albo przynajmniej domyślasz się. Może żrebaki potrafią SKAKAĆ nawet tuż po urodzeniu, tylko nie widzą zbyt dobrze i dlatego nie mogą trafić do celu? Co o tym sądzisz?

Wwis-khaa przechylił głowę.

— Możliwe!

— To jest tylko przypuszczenie — wtrącił Sso-ngii. — Tampliss-ta nie wiedzą na pewno.

— Będę się przy tym upierał — powiedział Ferrol stanowczo. — Powiedz mi, Wwis-khaa, jak daleko widzi Quentin?

Tamples zawahał się.

— Nie sędzę, żeby widział zbyt dobrze — odpowiedział w końcu z wyraźną niechęcią.

Ferrol powoli rozluźnił zaciśnięte szczęki.

— Posłuchaj... — powiedział tonem łagodnej perswazji, chociaż najchętniej złapałby Tamplesa za gardło. — Rozumiem, że nie lubicie wypowiadać się, nie mając całkowitej pewności. Spróbuj jednak uświadomić sobie, że jesteśmy zgubieni. Musimy znaleźć jakieś wyjście.

Odpowiedziało mu milczenie.

— Demothi, może pan spróbuje się z nimi dogadać — mruknął zrezygowany. — Może wreszcie zrobi pan coś pożytecznego. — Spojrzał na Kennedy. — Ma pani jakieś wyniki?

— Nic szczególnego.

Uspokoił się trochę, zauważywszy, że jej głos jest znów spokojny i opanowany.

— Komputery wciąż przeszukują najjaśniejsze gwiazdy, wątpię jednak, żeby kiepskie oprogramowanie lądownika umożliwiło dokładną lokalizację. Na *Amity* uzyskałabym odpowiedź w ciągu trzech minut. Tutaj mogę jedynie stwierdzić, że jesteśmy w systemie z gwiazdą B4, ponad osiemset lat świetlnych od miejsca startu, lecz chyba ciągle jeszcze na Drodze Mlecznej.

Osiemset lat świetlnych!

Ferrol zbladł z wrażenia.

— No dobrze. Niech sobie pani wyobrazi, że jest pani kapitanem Romanem i chce nas odnaleźć. Co by pani zrobiła na jego miejscu?

Kennedy zastanowiła się chwilę.

— No cóż, sprawa jest prosta, jeśli rzeczywiście tylko słaby wzrok ogranicza zdolność żrebaka do SKOKU. W tej sytuacji kapitan wybierze kilka najjaśniejszych gwiazd widocznych z systemu 11612 i będzie na chybił trafił szukać tej właściwej.

Ferrol zacisnął zęby. Rzeczywiście, to całkiem proste... chyba że Roman podejrzewa go o konszachty z Demothim i uprowadzenie żrebaka. Wówczas może zareagować zupełnie inaczej. Przeszuka na przykład najbliższe otoczenie Cordonale. Starał się o tym nie myśleć. I tak miał dość kłopotów.

— Nie pozostaje nam nic innego jak zabezpieczyć się i czekać na *Amity*.

Na skraju tablicy rozdzielczej znajdował się czerwony przycisk sygnalizacji alarmowej. Ferrol pochylił się i wcisnął guzik.

— Mam nadzieję, że kapitan okaże się domyślny.

— Można na niego liczyć! — odpowiedziała z przekonaniem Kennedy.

Ferrol zachnął się, wyczuwając w jej głosie niewzruszoną pewność.

„Nie wiadomo, czy zechce tracić czas na ratowanie zdrajców, jeśli nawet wynalazłby sposób”, pomyślał sceptycznie. Uważał jednak, że nie należy dzielić się swoimi wątpli-

wościami.

— No dobrze — starał się mówić równie spokojnie, jak Kennedy. — Skoro musimy tu tkwić, spróbujmy zrobić coś pożytecznego. Ja zajmę się teleskopem, a pani wykona pomiary na komputerze. Zobaczymy, co ciekawego można znaleźć w tym systemie.

Roman dwukrotnie obejrzał zarejestrowany na taśmie przebieg wydarzeń, przez cały czas czując nieprzyjemny skurcz w żołądku. W żaden sposób nie potrafił wyjaśnić tajemniczego zniknięcia żrebaka, trojga ludzi i dwóch Tamplesów.

— Marlowe? — zagadnął i spostrzegł natychmiast, że tamten patrzy na niego z ponurą miną.

— Bardzo mi przykro, kapitanie, ale obraz jest taki niewyraźny, że nawet komputer nie może go odczytać.

— Nie wie pan zatem, w którą stronę SKOCZYŁ Quentin?

Mimo woli w jego głosie zabrzmiała nuta oskarżenia.

— Nie wiem, kapitanie — przyznał Marlowe ze skruchą. — Bardzo mi przykro.

Roman spojrział z roztargnieniem na monitor. Czuł gorzki smak porażki. Był prawie pewien, że Demothi to agent przeciwników Tamplesów i że jego zadaniem była kradzież kosmicznego konia, do której ostatecznie on sam też się przyczynił swoją ugodową postawą. Do diabła, jak Demothi to zrobił, że Man o'War błyskawicznie zdecydował się na SKOK? I w jaki sposób skłonił do SKOKU Quentina?

Roman wyłączył bezużyteczne nagranie i połączył się z sekcją Tamplesów. Na ekranie pojawił się Rrin-saa w żółto-pomarańczowej chusteczce.

— Rro-mma, tak? — upewnił się.

— Rrin-saa, potrzebuję kilku informacji — powiedział Roman. — Z naszej wiedzy o kosmicznych koniach wynika, że takie młode żrebaki, jak Quentin nie potrafią SKAKAĆ. Jak mu się to udało?

Odpowiedź była łatwa do przewidzenia:

— Nie wiem.

Roman zacisnął zęby.

— Czy jest tam Hhom-jee? Hhom-jee, czy mnie słyszysz?

— Słyszę! — odezwał się drugi Tamples.

Roman powtórzył pytanie:

— Hhom-jee, w jaki sposób Quentinowi udało się SKOCZYĆ?

— Nie wiem — odrzekł spokojnie Tamples. — Wiem tylko, że żrebaki, z którymi miałem do czynienia, nie potrafiły SKAKAĆ, nawet gdy były przestraszone. To wszystko.

Roman spojrział wściekle w obojętną twarz Tamplesa.

— Dziękuję! — opanował się z wysiłkiem i wyłączył telefon.

— Za wiele nam nie pomógł — mruknął Marlowe.

— Szkoda, że nie są bardziej komunikatywni — zgodził się kapitan. — Wygląda na

to, że jesteśmy zdani wyłącznie na własne siły. Czy ma pan jakąś hipotezę, poruczniku?

— Najprostsze rozwiązanie, jaki przychodzi mi do głowy, to przypuszczenie, że żrebaki nie SKACZA, ponieważ nie potrafią zobaczyć celu — zasugerował Marlowe. — Jeśli mam rację, to powinniśmy sporządzić listę najjaśniejszych gwiazd widocznych z tego miejsca i kolejno je przeszukiwać.

Roman skinął głową. Hipoteza Marlowe'a miała kilka słabych punktów, ale przynajmniej pozwalała na podjęcie racjonalnych działań.

— Poruczniku Yamoto, co pani o tym sądzi?

— Zgadzam się z Marlowe'em, kapitanie — odpowiedziała, nie odrywając się od obsługi klawiatury. — Mam już wykaz gwiazd, ułożonych kolejno według intensywności światła.

Roman przez chwilę studiował listę, która obejmowała piętnaście pozycji, poczynawszy od trzech gwiazd klasy B: B1, B4 i B6.

Zainteresował się gwiazdą, znajdującą się mniej więcej w połowie listy.

— Czy mam podać Hhom-jee kurs na numer jeden, kapitanie? — zapytała Yamoto.

— Nie. — odpowiedział stanowczo. — Zaczniemy od numeru sześć.

Marlowe obejrzał się zdziwiony.

— Vega?

— Tak! — odpowiedział Roman. — Jeśli ich tam nie ma, chciałbym znaleźć się jak najbliżej Cordonale, żeby tam SKOCZYĆ i nadać sygnały tachionowe.

Marlowe zmarszczył brwi.

— Tak jest, kapitanie — powiedział niepewnie, spoglądając pytająco na Romana.

— Podejrzewam, że Demothi chce ukraść żrebaka — wyjaśnił kapitan spokojnie. — W takim razie będzie próbował dostarczyć go do Cordonale.

— Rozumiem, kapitanie — odrzekł Marlowe poważnie. — Musimy złapać go jak najszybciej.

— Oczywiście! — Roman znów odwrócił się w kierunku steru. — Poruczniku, proszę zawiadomić Hhom-jee, żeby niezwłocznie przygotował konia do SKOKU!

— Tak jest! — Yamoto zawahała się przez moment. — Kapitanie, może to naprawdę był wypadek i oni teraz czekają na naszą pomoc.

— Odnajdziemy ich — uspokoił ją Roman. — Ale najpierw sprawdzimy inną ewentualność.

Zaczerwieniła się lekko.

— Tak jest, kapitanie! — powiedziała krótko i wróciła do swoich przyrządów.

Roman zamyślił się. Trzeźwy tok rozumowania zakłócały mu jednak lekkie wyrzuty sumienia. Yamoto miała rację, lecz właściwie nie było powodów do niepokoju. Jeśli naprawdę zdarzył się wypadek, załoga lądownika jest skazana co najwyżej na kilka godzin niepewności. Poza tym, nic jej nie grozi. Zapas żywności i paliwa mógłby wystarczyć na

kilka tygodni. Czas oczekiwania na pewno będzie dłuży się niemiłosiernie, ale nuda na ogół nie bywa niebezpieczna.

— Ffe-rho?

Ferrol ustawił zdalnie sterowany teleskop i przepłynął obok przyrządu w kierunku dziobu.

— Co się stało, Sso-ngii?

— Quentinninni znalazł źródło pożywienia i chciałby się najeść. Czy może?

Ferrol zmarszczył brwi.

— Gdzie to jest?

— Około pięćdziesięciu kilometrów stąd — Tamples wskazał ręką w odpowiednim kierunku.

— Kennedy?

— To pasmo asteroidów — odpowiedziała natychmiast. — Parametry odbicia wskazują na wysoką zawartość metali.

— W sam raz na strawę dla konia! Jaka jest przypuszczalna gęstość tego pasma? — zapytał. — Musimy pamiętać, że nasza „filiżanka” ma ograniczoną wytrzymałość.

— Nie ma powodów do niepokoju — zapewniła Kennedy. — Chyba że Quentin znów zacznie się szarpać. To miejsce jest równie dobre, jak każde inne, skoro i tak musimy czekać na *Amity*.

— Okay! — zgodził się Ferrol. — Sso-ngii, poczekajcie chwilę, aż zapnę pasy. Potem możecie pognać go na pastwisko!

Łądownik zboczył z toru ekliptyki o prawie dwadzieścia stopni i wycofywał się powoli w kierunku głównej gwiazdy. Dla pojazdu z konwencjonalnym napędem manewr ten stanowiłby ogromne niebezpieczeństwo, dzięki koniowi był po prostu błahostką. Quentin, kierowany przez Sso-ngii, radził sobie doskonale. Najpierw, ze stałym przyspieszeniem pół G, ciągnął łądownik w stronę asteroidów. Trwało to około godziny. Potem odwrócił się i przez kolejną godzinę zmniejszał przyspieszenie. Wreszcie ponownie przyspieszył, osiągając prędkość strumienia asteroidów.

Mijając jeden z bocznych iluminatorów, Ferrol zaobserwował, jak Quentin przyciąga niewielki asteroid i pochłania go. Pierwszy raz miał okazję oglądać z bliska pożywiającego się konia.

Kennedy obliczała coś w skupieniu.

— Czy mamy już wstępne wyniki analizy pokarmu? — zapytał.

— Są prawie gotowe... o tak, już! Bardzo ciekawe! Nic dziwnego, że Quentin tak się spieszył. Analiza wykazuje bardzo dużą zawartość żelaza i niklu, wyjątkowo wysokie stężenie bizmutu, telluru i talu oraz kilkunastu innych pierwiastków śladowych. Materiał zebrany wcześniej nie był aż tak urozmaicony.

Wysokie stężenie pierwiastków śladowych oznaczało...

Ferrol odchylił się w fotelu i popatrzył na Tamplesów. Nawet maski przyklepione do twarzy nie mogły ukryć ich podniecenia.

— Czyżby to był system Yishyar? — zapytał z niedowierzaniem.

— Teoretycznie tak — potwierdziła Kennedy, nie spuszczać oka z Tamplesów.
— Sso-ngii?

— Tak? — Tamples odezwał się dziwnym, zwierzęcym głosem, jakby nadmiar emocji pozbawił go wyrazu właściwego istotom rozumnym.

Ferrol nie dziwił się podnieceniu Tamplesów, sam też nie mógł oprzeć się wzruszeniu. Nowiutki system Yishyar, Yishyar II, w dodatku oddalony o osiemset lat świetlnych od terenów zajętych przez Tamplesów. Idiotyczny eksperyment Demothiego miał swoje dobre strony! Czeka ich wspaniała przyszłość, jeśli Senator nie dopuści do dobrowolnego zrzeczenia się praw do systemu. Poza tym, trzeba znaleźć sposób pokonywania tej cholernej odległości bez pomocy Tamplesów...

— Ferrol? — głos Kennedy oderwał go od fantastycznych projektów.

— Przepraszam... Czy pani coś mówiła?

— Mówiłam, że mamy w komputerze program lokalizacji kosmicznych koni. Co prawda, dość prymitywny: połączenie programu rejestrującego ruchome obiekty z analizatorem kształtów. Może jednak okaże się przydatny?

— Chce pani poszukać innych koni, które mogą żerować w pobliżu? Świetny pomysł — skinął głową. — Niech pani tylko nie zapomni połączyć rejestratorów. Sso-ngii, przyhamujcie trochę Quentina. Zmniejszenie prędkości o parę kilometrów na godzinę z pewnością nie przeszkodzi mu w posiłku, a my uchronimy się trochę przed mgłą.

— Wasze życzenia są naszymi! — Tamples zawahał się. — Ffe-rho, Quentinninni jest niezadowolony. Coś mu przeszkadza.

Ferrol odepchnął się od ściany i zbliżył do Tamplesów.

— Coś z naszej strony? — zapytał ostrożnie.

— Nie — odrzekł Tamples z namysłem. Zdjął hełm i nad głową Demothiego podał go Wwis-khaa. — To jest coś z zewnątrz, coś, co powoduje... — przerwał i wykonał gest, jakiego Ferrol nie widział nigdy przedtem.

— Zaniepokojenie — wtrącił Wwis-khaa, z trudem wymawiając to słowo. — Quentinninni jest zaniepokojony. Może nawet... przestraszony.

Ferrol zdziwił się. Wiedział, jak zachowują się konie kosmiczne, gdy są zdenerwowane, spłoszone, w stanie stresu, nie sądził jednak, że one w ogóle naprawdę mogą się bać. Cóż, u diabła, mogło go przestraszyć?

W ładowniku zaległa cisza. Chyba wszyscy myśleli o tym samym. Po chwili Wwis-khaa zdjął hełm i bez słowa przekazał go Sso-ngii.

— No cóż — rzekł Ferrol. — Nic na to nie poradzimy. Sso-ngii, daj mi znać, gdy

cokolwiek zmieni się albo wyjaśni. Kennedy, niech pani analizuje program lokalizacji koni na zmianę z programem regularnych przeszukiwań. Nie chcę, żeby cokolwiek nam uniknęło tylko dlatego, że nie wygląda jak koń kosmiczny.

— Tak jest! — odpowiedziała Kennedy z lekkim zniecierpliwieniem i natychmiast zabrała się do pracy.

Przez dłuższy czas płynęli w milczeniu, niekiedy tylko wymieniając krótkie uwagi przyciszonym głosem. Wokół lądownika przepływały setki asteroidów. Najbliższe były widoczne jako nieregularne bryły, dalsze — jako refleksy światła odległego słońca.

Ferrol nie pamiętał już dokładnie, ile razy w życiu zdarzyło mu się znaleźć w paśmie asteroidów. Nigdy dotąd nie odczuwał tam najłżejszych objawów klaustrofobii. Tym razem, gdy oczekiwanie na przybycie *Amity* przedłużało się, a kolejne minuty zamieniały się w godziny, poczuł się trochę niepewnie. Chwilami odnosił wrażenie, że białe plamy widoczne na monitorze zbliżają się coraz bardziej i coraz ciasniej otaczają lądownik. Nagle przyłapał się na tym, że bezwiednie wypatruje wolnych przestrzeni pomiędzy bryłami asteroidów. Próbował sobie wytłumaczyć, że wszystkie te objawy są jedynie efektem zbyt długiego przebywania w masce, lecz wiedział, że to nieprawda.

Po czterech godzinach poszukiwań napotkali pierwszego konia.

— Chyba wcale się nie rusza — stwierdziła Kennedy, uważnie obserwując odczyty.

Ferrol skinął głową i jeszcze raz włączył program informacyjny, lecz znów uzyskał tylko zamglony zarys kształtów kosmicznego konia, niewiele wyraźniejszy niż poprzednio. Z niewiadomych przyczyn komputer nie mógł wyregulować ostrości obrazu.

— Sso-ngii, czy Quentin już wyczuł tego konia? — zapytał, odwracając głowę od monitora.

— Tak. Jego niepokój rośnie.

Ferrol poczuł nagły zawrót głowy. Bał się zbliżyć do kosmicznego konia, lecz... jeśli zwierzę żyło, mogło wyczuć ich w każdej chwili i uciec, zanim powróci *Amity*, która dysponowała zdalnie sterowaną aparaturą badawczą. Szkoda byłoby raz na zawsze stracić go z oczu.

— W porządku! — odezwał się niezbyt pewnym głosem. — Sso-ngii, przybliżmy się trochę do konia. Nie za blisko i bardzo powoli. Daj mi znać, jeśli Quentin zacznie okazywać choćby najmniejsze oznaki niepokoju. Jeśli WYSKOCZY z tego systemu, *Amity* nigdy nas nie odnajdzie.

— O Boże, będziemy zgubieni! — wymamrotał Demothi. Jego głos, wydobywający się spod maski, był jeszcze bardziej stłumiony niż zazwyczaj. Ferrol obejrzał się wściekły, lecz nie zdążył się odezwać.

— Ruchomy obiekt! — wykrzyknęła Kennedy. — Mnóstwo małych obiektów! Naciągają w naszym kierunku od strony konia.

Ferrol odchrząknął, czując ucisk w gardle.

— Atakują? — wykrztusił przestraszony. — Co to znaczy „małe obiekty”? — drżącymi palcami wciskał klawisze na tablicy rozdzielczej.

— Mają od pięciu do dziesięciu metrów długości. To na pewno nie są konie — wyjaśniła Kennedy.

Ferrol odnalazł wreszcie właściwy monitor. Z przerażeniem obserwował, jak punkciki widoczne na ekranie mnożą mu się przed oczami.

— Co one robią? Zbierają asteroidy?

— Na to wygląda. Przyciągają je telekinetycznie — odpowiedziała Kennedy.

Ferrol zacisnął pięści i czekał. Nagle zauważył zdziwiony, że punkciki rozproszyły się niczym odłamki gwiazd, by po chwili znowu się skupić. Kennedy odczytała wynik obliczeń komputera:

— Poruszają się w gromadzie, około trzydziestu kilometrów przed nami.

Teraz mieli już tylko jedno wyjście. Musieli stąd uciekać. Nawet bardzo precyzyjny SKOK był ogromnie ryzykowny i mógł skończyć się tragicznie, lecz jeszcze gorzej byłoby pozostać, narażając się na atak nieznanych stworów.

— Sso-ngii, przygotujcie Quentina do drogi — rozkazał Ferrol i włączył monitor astronomiczny. Szukał najbliższej gwiazdy, która mogłaby być celem SKOKU.

— Niech pan nie szuka, komandorze. One nie atakują — odezwała się Kennedy. — Przynajmniej nie od strony Quentina. Zatrzymały się dwadzieścia siedem kilometrów od lądownika.

Ferrol włączył monitor taktyczny. Według obliczeń komputera, skupisko niezidentyfikowanych obiektów poruszało się dokładnie z tą samą prędkością i w tym samym kierunku co żrebak. Przynajmniej na razie lądownikowi nie groziło bezpośrednie niebezpieczeństwo.

— Co to może być? Czy ktoś się domyśla? — zapytał, spoglądając znacząco na Tamplesów.

— Ja nie wiem — odpowiedział Wwis-khaa.

Ferrol odwrócił się z pogardą, choć właściwie nie oczekiwał innej odpowiedzi.

— Prawdopodobnie są jakoś spokrewnione z kosmicznymi końmi — zastanawiała się Kennedy. — Poruszają się z taką samą prędkością, przyciągają asteroidy...

— Poza tym, muszą porozumiewać się z końmi — odezwał się Demothi obojętnym tonem.

Ferrol spojrzał na niego podejrzliwie.

— Skąd pan wie?

Demothi spokojnie wytrzymał spojrzenie Ferrola.

— Zasięg telekinezy dorosłego konia wynosi mniej więcej dwadzieścia kilometrów, wyjątkowo, dwadzieścia pięć. — Ruchem głowy wskazał Quentina. — Podobno te stworzenia są oddalone o dwadzieścia siedem kilometrów.

— Znajdują się poza zasięgiem telekinezy — Ferrol wreszcie zrozumiał.

Nikt się nie odezwał. W końcu Kennedy przerwała milczenie:

— Z drugiej strony, jeśli są poza zasięgiem Quentina, to nas też nie dopadną.

— Rzeczywiście — zgodził się Ferrol. — W takim razie zbliżymy się do konia. Sso-
ngii?

— Wasze życzenia są naszymi! — odrzekł Tamples. Ferrol poczuł lekki wzrost przyspieszenia i odchylił się do tyłu. Uświadomił sobie coś bardzo ważnego. Jeśli te stworzenia nie potrafiły rozpoznać, że Quentin jest żrebakiem o niewielkim zasięgu telekinezy, to znaczy, że na szczęście nie są zbyt inteligentne. Warto o tym pamiętać.

— Zbliżamy się do konia — zameldowała Kennedy, dopełniając zbytecznej formalności. — Te obiekty... zbliżają się razem z nami!

Ferrol spojrział na monitory. Spodziewał się raczej, że nieznane istoty pozostaną na miejscu i zagrodzą drogę lądownikowi. Jednak Kennedy miała rację: jak precyzyjne maszyny połączone niewidzialną siłą z koniem, nadal zachowywały stałą odległość dwudziestu siedmiu kilometrów. Co ciekawsze, przez cały czas znajdowały się dokładnie przed Quentinem.

— Kennedy — powiedział Ferrol z namysłem — proszę trochę zwolnić. Chciałbym podejść do Quentina z boku.

— Oczywiście!

Silnik natychmiast zmniejszył obroty. Lina uprząży rozluźniła się nieco. Lądownik zbliżał się do żrebaka, okrążając go niewielkim łukiem. Ferrol wpatrywał się w monitor taktyczny. Jego przypuszczenia potwierdzały się. Nieznane stworzenia i przyciągane przez nie bryły asteroidów nie zmieniły położenia. Odwracając się od ekranu, napotkał pytające spojrzenie Kennedy.

— Są ciągle przed Quentinem — powiedział. Skinęła głową z namysłem. Jej mocno zacisnięte usta tworzyły bladą, wąską kreskę.

— Sądzę, że powinniśmy zbadać gęstość tej zapory — odezwała się wreszcie.

— Nie trzeba — powiedział łagodnie Sso-ngii. — Masz rację. One całkowicie zasłaniają mu widok.

— Co? — z ust Demothiego wydobył się dziwny dźwięk, ni to pisk, ni to rżenie. Ferrol nigdy dotąd nie słyszał w ludzkim głosie takiego napięcia. — Dlaczego, do jasnej cholery, nie powiedziałaś nam o tym wcześniej?

— Po co? — zapytał rzeczowo Tamples. — Przecież nie możemy SKOCZYĆ, jeśli Amity ma nas odnaleźć.

Demothi głęboko wciągnął powietrze, usiłując nad sobą zapanować.

— Przede wszystkim nie dopuścilibyśmy, żeby zagroziły nam drogę. Mogliśmy je ominąć. A my... — bezradnie machnął ręką.

ROZDZIAŁ 17

— Już dobrze... Niech pan się uspokoi — powiedział Ferrol. — Pewnie, że lepiej byłoby wiedzieć o tym wcześniej, ale teraz musimy pogodzić się z losem. Poza tym, Sso-ngii ma rację. SKOK byłby niebezpieczny.

Uśmiechnął się ironicznie na myśl, że z konieczności broni argumentów Tamplesa, lecz dłużej nie zaprzętał sobie tym głowy.

— Myślę, że *Amity* upora się z tym problemem, a nam też chyba w tej chwili nic nie grozi.

— Nie byłabym taka pewna — powiedziała nagle Kennedy stanowczym tonem. — Niech pan sam zobaczy!

Ferrol usiadł przy pulpicie. Zajęty nieznanymi stworzeniami zapomniał prawie o istnieniu drugiego konia. Tym razem obraz był zupełnie wyraźny. Na monitorze pojawił się dokładny zarys sylwetki konia kosmicznego, a raczej... dwóch trzecich konia. W miejscu gdzie powinna znajdować się pozostała część, zobaczyli wyrwę o postrzępionych brzegach.

— Radzę panu, komandorze, zwiewajmy stąd! — powiedziała z naciskiem Kennedy.

— Nie widzę powodów — mruknął Ferrol. — Sso-ngii, obróć Quentina, wycofujemy się. Zrób to powoli i ostrożnie. Nie prowokujmy tych stworów gwałtownymi ruchami.

— Wasze życzenia są naszymi!

Siła odśrodkowa przycisnęła Ferrola do poręczy fotela. Spojrzał na monitor taktyczny. Quentin odwracał się powoli, a wraz z nim... odwracała się chmara niezidentyfikowanych zwierząt. Ferrol popatrzył na Tamplesów i nagle zaświtał mu pewien pomysł.

— Wwis-khaa, powiedziałeś, że nie wiesz, co to za stwory. Prawda? — zapytał, starannie dobierając słowa.

— Prawda — zgodził się Tamples.

— No dobrze. Powiedz w takim razie, czy znają je inni Tamplesi?

Wwis-khaa zawahał się.

— Nie jestem pewien — odrzekł powoli. — Wiem tylko, że niektórzy je spotykali. To wszystko.

Ferrol uśmiechnął się triumfalnie.

— W takim razie, co inni Tamplesi mogliby o nich powiedzieć?

Zapanowało długie milczenie, jakby Wwis-khaa zastanawiał się, czy warto wdawać się w spekulacje.

— Przypominam ci — powiedział Ferrol poważnie — że od tego, czy je zidentyfikujemy, może zależeć nasze życie. Życie Quentina również — dodał w nagłym olśnieniu.

Wwis-khaa zazgrzytał zębami.

— Powiedzieliby, że to są... padlinożercy — wyjaśnił niechętnie — że to są... — szukał właściwego słowa.

— Sępy — odpowiedziała Kennedy. — Kosmiczni padlinożercy.

— Tak — zgodził się Wwis-khaa. — Podobno widziano je kiedyś w pobliżu martwego konia, w odległym paśmie asteroidów. Obserwacja ta nie została zarejestrowana.

— Czy sępy zbliżyły się do statku Tamplesów? — zapytał Ferrol.

— Zmierzały w jego stronę, lecz koń zdążył ODSKOCZYĆ. Operatorzy zauważyli u niego wyraźne objawy strachu.

Ferrol zastanowił się chwilę.

— Czy Tamplesi widzieli, jak koń umierał?

— Nie. Gdy go dostrzegli, już nie żył, a one go zjadały.

— Czy w ogóle ktokolwiek widział umierającego konia, zanim pojawiły się sępy?

— Nie wiem — powiedział Wwis-khaa.

— Ja też nie wiem — dodał Sso-ngii. — Wiem tylko, że nie słyszałem o czymś takim. To wszystko.

— Może żywią się nie tylko padliną? — Ferrol z niepokojem spojrzał na Kennedy.

— Są małe, ale jest ich całe mnóstwo — zastanawiała się Kennedy. — Z literatury wiadomo, że Tamplesi hodowali niektóre konie przez siedemset lat, ale tak naprawdę nikt nie wie, ile wynosi naturalna długość ich życia. To bardzo dziwne, że sępy znały dokładnie czas i miejsce śmierci.

— Nie wiadomo, czy znały — wtrącił nerwowo Demo-thi. — Ten koń mógł nie żyć od kilkuset lat, nim go odnalazły. Niewykluczone, że w galaktyce jest bardzo dużo sępów, które tworzą stada i przemierzają przestrzeń w poszukiwaniu umierających koni. Może konie w chwili śmierci przekazują im sygnały telepatyczne lub przyciągają je w inny sposób. Po prostu, nic jeszcze nie wiemy na ten temat.

Ferrol i Kennedy spojrzeli na siebie porozumiewawczo. Obojgu wydało się podejrzane, że Demothi usilnie próbuje ich przekonać o nieszkodliwości sępów. W niebezpiecznych chwilach nie można przecież bezpodstawnie wierzyć we własne pobożne życzenia.

— Mówi pan językiem Tamplesów — stwierdził Ferrol ze złośliwą satysfakcją.

— Zanim wymyśli pan inne cuda, które są możliwe we wszechświecie, chciałbym za-

uważyć, że te, podobno niegroźne stworzenia, bardzo chytrze, nie wiadomo w jakim celu, zagroziły nam drogę.

— Pewnie nas obserwują — dodała Kennedy.

— Albo czekają, aż Quentin się zmęczy — powiedział Ferrol. — Tylko zupełnie nie rozumiem, dlaczego chcą go dorwać w systemie Yishyar. Koń nie podda się łatwo, mając wokół niewyczerpane źródło energii.

Quentin wykonał całkowity obrót i lekko przyspieszył. Ferrol wcisnął się w głębi fotela.

— Czy sępy ciągle nam towarzyszą? — zapytał.

— Jak przyklepione — potwierdziła Kennedy. — Quentin porusza się zbyt wolno, aby je wyprzedzić. Nawet gdyby rozproszyła się ta cholerna sieć optyczna.

Sieć optyczna? Może trochę dziwne, ale bardzo trafne określenie. Półprzepuszczalna zapora ciasno otaczała lądowisk niczym sieć ogrodzenia w systemie Kialinninni. Dlaczego zostali uwięzieni?

— Kennedy, czy program lokalizacji koni jest nadal włączony? — zapytał.

Spojrzała na komputer.

— Tak. Nie zarejestrowano nic nowego.

— Czy można włączyć osobno program rejestracji ruchomych obiektów i kontrolować oba programy równocześnie?

Popatrzyła na niego poważnie.

— Sądzi pan — zapytała ściszym głosem — że sępy zatrzymały nas tutaj w jakimś określonym celu?

— Myślę, że bez powodu nie odrywałyby się od obiadu — szepnął Ferrol, nachylając się do niej, żeby nikt więcej tego nie słyszał.

Skinęła głową i zabrała się do pracy. W tej samej chwili Quentin szarpnął gwałtownie i Ferrol znów uderzył głową w oparcie fotela.

— Co się stało? — wykrztusił, odwracając się do Tamplesów.

Sso-ngii kilka razy otworzył bezgłośnie usta, zanim wreszcie przemówił.

— Nie wiem — powiedział. — Wiem tylko, że nigdy dotąd nie odebrałem takiego natężenia emocji ze strony kosmicznego konia. To wszystko.

— Jakich emocji? — warknął Ferrol. — Czy to jest strach, napięcie czy zadowolenie...?

— Ruchomy obiekt! — zawołała Kennedy. — Pojedynczy, bardzo duży, namiar sto z prawej, nadir trzydzieści, odległość sto siedemdziesiąt kilometrów. Zbliża się!

Na monitorach Ferrola pojawił się niezidentyfikowany kształt i drgające cyfry skali.

— Ffe-rho, Quentinninni się boi, nie mogą go utrzymać!

— Nie puszczaj go! — zawołał Ferrol. — Nie daj mu SKOCZYĆ!

Dalsze słowa uwięzły mu w gardle. Quentin gwałtownie rzucił się do przodu, zwięk-

szając przyspieszenie do dwóch G. Ferrol bezwładnie upadł na fotel.

— Kennedy! — wykrztusił, zmagając się z powracającą siłą grawitacji.

— Nie mamy szans — powiedziała zdecydowanie. — Zbliża się z przyspieszeniem co najmniej siedmiu G.

Ferrol włączył monitor taktyczny. Mimo przyspieszenia lądownika, sępy przez cały czas trzymały się w pobliżu. Spojrzał na skalę, określającą wymiary napastnika.

— O Boże! — westchnął ciężko. — To bydlę ma prawie dwa kilometry długości.

— Zdaje się, że znaleźliśmy mordercę koni — stwierdziła Kennedy. — Ten stwór wygląda jak głodny rekin.

— Taak... Spróbujemy go trochę postraszyć... Walcząc ze zwiększonym ciężeniem, włączył laser i wysłał prosto w kierunku rekina długi, niemodulowany sygnał o maksymalnej intensywności. W myślach przeklinał kiepskie wyposażenie lądownika.

— Czy na tej „filiżance” naprawdę nie ma nic lepszego niż laser?

— Nie sądzę — powiedziała Kennedy. — Na szczęście, jesteśmy w dogodnej pozycji i nasze pociski trafiają go prosto w łeb.

— To świetnie! — Ferrol przez chwilę obserwował na monitorze, jak wiązki laserowe niezawodnie trafiają w wydłużone cielsko nieznanego zwierzęcia.

— Proszę zwrócić uwagę na pracę przednich dyszy, żeby przypadkiem nie zranić Quentina.

— Tak jest! Odległość pięćdziesiąt pięć kilometrów.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, ciężenie gwałtownie wzrosło. Ferrol syknął z bólu, czując silny ucisk naprężonych pasów. Huk silnika wzrastał się. W przednim iluminatorze mignęła sylwetka Quentina. Wszystko to trwało zaledwie kilka sekund. Po chwili lądownik z brzękiem i zgrzytem zatrzymał się tuż obok żrebaka.

— Kennedy, co się stało, do diabła? — zapytał zupełnie zdezorientowany.

— Zdaje się, że rekin szarpnął Quentina — odpowiedziała niepewnie.

Ferrol rzucił jej ostre spojrzenie.

— Nie mogłam się zatrzymać — dokończyła już zupełnie spokojnie.

Demothi mruknął coś niewyraźnie, co mogło oznaczać strach, gniew albo coś jeszcze zupełnie innego. Ferrol obejrzał się na Tamplesów.

— Sso-ngii, czy Quentin jest ranny? — zapytał.

— Nie odniósł żadnych obrażeń — powiedział Tamples bardzo niewyraźnie, jakby tylko niewielką cząstkę mózgu angażował w formułowanie zdań po angielsku. Był całkowicie zaabsorbowany czymś innym. Jego oczy błyszczały nienaturalnym blaskiem, a wyraz twarzy zdradzał niezwykle skupienie.

— Zbliża się do niego. Chce go zjeść.

Demothi znów wydał z siebie niewyraźny pomruk.

— Kennedy, niech pani włączy silnik na maksymalne obroty. Spróbujemy zgubić re-

kina! — zdecydował się Ferrol.

— Nie damy rady.

— Spróbujemy, może wyrwiemy się z zasięgu telekinezy!

— Dobrze, komandorze!

Zaledwie zdążył zapiąć pasy, gdy lądownik gwałtownie ruszył do przodu. Natychmiast włączył się laser. Poprzez hałas silnika usłyszał niepokojący trzask kondensatorów. Po kilku sekundach Kennedy wyłączyła silnik.

— Sso-ngii, uwolniliśmy się wreszcie?

— Pościg pozostał z tyłu — powiedział Tamples.

— Może się przestraszył i zostawi nas w spokoju — dodała Kennedy z nadzieją w głosie.

— Walniemy go jeszcze raz! — zdecydował Ferrol. Wycelował laser w otwarty pysk rekina. Tym razem trzask kondensatorów był słyszalny zupełnie wyraźnie.

„Znowu!”, pomyślał zaniepokojony. Zacisnął pięści w oczekiwaniu na zryw silnika. Hałas wzrastał wraz z wzrostem przyspieszenia. Jeśli wierzyć wynikom pomiarów, odległość od napastnika nieco się zwiększyła. Lądownik mknął do przodu, kołysząc się jak wahadło. Ferrol, nękany niespodziewanym atakiem choroby morskiej, nie mógł przystosować się do zwiększonej grawitacji.

— Sso-ngii? — wykrztusił z trudem.

— Quentinninni jest wolny — stwierdził Sso-ngii. — Chce się teraz schować wśród asteroidów.

Ferrol odetchnął głęboko i spojrzał w monitor. Rekin najprawdopodobniej zaniechał pościgu. Lądownik oddalał się: pięćdziesiąt kilometrów, pięćdziesiąt pięć, sześćdziesiąt, był już chyba poza zasięgiem telekinezy.

— Sępy nadal nam towarzyszą — odezwała się Kennedy.

Ferrol ponuro skinął głową.

— Odnieśliśmy połowiczne zwycięstwo. Sso-ngii, czy możemy mieć nadzieję, że pozbyliśmy się rekina na dobre? Zresztą, Quentin to niewielki kąsek dla takiego ogromnego drapieznika.

— Nie wiem — odpowiedział jak zwykle Tamples. — Może ty potrafisz go zrozumieć. Przecież wy, ludzie, też jesteście drapieżnikami.

Ferrol przełknął ślinę. Rzeczywiście odgadywał zamiary rekina... co niestety nie było zbyt pocieszające.

Prawie przez dziesięć minut lądownik mknął z przyspieszeniem dwóch G. Wreszcie Quentin uspokoił się i zwolnił tempo. Kierowany przez Sso-ngii płynął wzdłuż pasma asteroidów na obszarze o szczególnie dużej gęstości.

— Może spróbujemy zgubić sępy w tej mgławicy — zaproponował Ferrol.

— Uważam, że to strata czasu — Kennedy potrząsnęła głową. — Wprawdzie przez

cały czas trzymają się przed Quentinem, lecz nie sądzą, żeby kierowały się wzrokiem.

Ferrol zmarszczył brwi.

— W takim razie: czym się kierują?

— Quentin ma sto metrów długości i maksymalną szerokość około dwudziestu pięciu. Kiedy sępy zaczęły się zbliżać, dzieliło nas od nich prawie sto kilometrów — Kennedy wyjaśniała powoli, jednocześnie wykonując obliczenia na komputerze. — Z tej odległości różnica między widokiem konia z przodu a widokiem z boku stanowiła kąt zaledwie szesnastu minut. Tymczasem sępy od razu uplasowały się z przodu. Nie sądzą, żeby miały taki doskonały wzrok.

— Co za różnica, jak one to robią? — wtrącił niecierpliwie Demothi.

Ferrol pomyślał złośliwie, że Demothi nadrabia dwumiesięczne zaległości w okazywaniu ludzkich uczuć.

— Różnica polega na tym — powiedział z naciskiem — że tym samym sposobem może odnaleźć nas rekin, jeśli zdecyduje się na rewanz.

To właśnie miał na myśli, mówiąc o połowicznym zwycięstwie. Kennedy lekkim skinnieniem głowy potwierdziła jego obawy. Ferrol odwrócił się do Tamplesów.

— Sso-ngii, Wwis-khaa, może któryś z was wie, czy rekiny i sępy potrafią wyczuwać konie kosmiczne, znajdujące się w znacznej odległości?

— Istnieje przypuszczenie, że mogą wyczuwać wewnętrzne źródło siły telekinetycznej — powiedział Wwis-khaa. Tym razem znów zdecydował się na konkretną odpowiedź i dla pewności nie podawał jej we własnym imieniu. Może w obliczu śmierci Tamplesi skończyli wreszcie głupią zabawę w filozofowanie...

— Poza tym, mówi się, że większość energii kosmicznego konia powstaje w wyniku prostych reakcji łączenia i rozpadu.

— To znaczy, że powstają neutrino — myślała głośno Kennedy. — Może wydzielają się według jakiegoś określonego wzorca...

— Myślę, że w grę wchodzi raczej detektor telekinezy — stwierdził Ferrol. — Kierunek czy też dystrybucja tych prądów jest wyraźnie niesymetryczna. W przeciwnym razie byłaby na pewno mniej skuteczna. Gdyby prądy rozchodziły się równomiernie, nie działałyby tak silnie na konia. Dystrybucja neutrino jest zawsze procesem bardziej uporządkowanym.

— Może ma pan rację. Mamy więc tylko jedno, bardzo oczywiste rozwiązanie. — Popatrzyła na niego znacząco i ruchem głowy wskazała Quentina.

— O co chodzi? — zdziwił się Demothi. — O czym pani mówi?

— Chodzi o to, że trzeba uwolnić Quentina — powiedział spokojnie Ferrol.

Był przygotowany na sprzeciw, lecz histeryczna reakcja Demothiego zaskoczyła go.

— Nie może pan tego zrobić! — wrzeszczał Demothi piskliwym, załamującym się głosem, — Quentin nie będzie miał żadnych szans!

— Nie wiadomo! — przerwała Kennedy. — Zresztą, jeśli musimy wybierać między życiem ludzi a życiem konia...

— Nie możecie tego zrobić! — powtórzył Demothi. — Do diabła, lepiej od razu go zabić!

— Mmo-thee — Sso-ngii położył mu rękę na ramieniu, lecz Demothi niecierpliwie strząsnął dłoń Tamplesa.

— Cholera, to jest przecież żrebak, to jeszcze dziecko!

— Na tym polega walka o byt, panie Demothi — powiedział Ferrol tonem perswazji. — Wszyscy wiemy, co to jest ekologia: konie jedzą meteoryty, rekiny jedzą konie, a sępy zjadają resztę. Zdaje się, że jest pan entuzjastą filozofii Tamplesów? Oto ona: nie ingerować w prawa natury.

Demothi zaczerwienił się i nie powiedział ani słowa. Po dłuższej chwili pierwszy odezwał się Sso-ngii:

— To prawda, szanujemy żywe istoty i systemy, w których żyją. Jednakże jesteśmy winni opiekę koniom kosmicznym, które nam pomagają. Nie możemy zostawić Quentinninni w tak niebezpiecznych warunkach. Nawet gdyby mogło to nas ocalić.

— Nie pytam was o zdanie — powiedział krótko Ferrol. — Jestem waszym dowódcą i zrobię, co uznam za konieczne — westchnął głęboko. — Zresztą, uwolnienie Quentina jedynie opóźni niebezpieczeństwo. *Amity* też będzie zagrożona, gdy się tu pojawi. Może jednak do tego czasu zdążymy zebrać trochę informacji, które nam pomogą.

Odwrócił się do Kennedy.

— No cóż, obejrzyjmy walkę z rekinem zarejestrowaną na taśmie. Zobaczymy, czy zadaliśmy mu poważne ciosy.

Nie był specjalnie zaskoczony, gdy przekonał się naocznie, jak mało skuteczne były ich działania.

— Ani laser, ani silnik nie są w stanie wytworzyć dostatecznej mocy, która mogłaby efektywnie przeciwdziałać naturalnej sile absorpcji — stwierdziła Kennedy, odczytując wynik analizy. — Przy takiej dużej odległości jest to zupełnie niemożliwe.

Ferrol skinął głową.

— Następnym razem musimy skupić cały potencjał na małym obszarze i w jak najkrótszym czasie.

— Chcesz zaatakować rekina — wtrącił Sso-ngii zadziwiająco spokojnym głosem. — Pewnie chcesz go zabić. Lepiej byłoby znaleźć inny sposób.

Ferrol skrzywił się lekceważąco. Od kilku minut rekin był niewidoczny i dlatego Tamplesi złagodnieli i zachowywali spokój.

— Daję ci minutę czasu do namysłu — powiedział groźnie — musisz się zdecydować, kogo chcesz ocalić: żrebaka czy rekina?

— Dlaczego nie uratować obu? — sprzeciwił się Tamples. — Możemy uciec rekinowi

przed powrotem *Amity*, jeśli rozbijemy sieć optyczną, która zagradza nam drogę.

— W jaki sposób chcesz pozbyć się sępów, nie narażając Quentina? — odezwał się Demothi, tym razem całkiem rozsądnie.

— W zasadzie Sso-ngii ma rację — wtrąciła Kennedy. — Nie jesteśmy w stanie zabić rekina. Również *Amity* nie jest wyposażona w nuklearne torpedy i lasery bojowe. Pozostaje nam ucieczka, a sępy będą najskuteczniejszą barykadą.

— Nie sądzę, żeby nam się udało — mruknął Demothi.

— Może ma pan rację — odpowiedziała. — Mimo wszystko, musimy próbować. — Wskazała punkcik na monitorze taktycznym. — Rekin oddala się.

Jak wynikało z odczytów, zwierzę wycofywało się w stronę martwego konia, osiągając przyspieszenie jeden i cztery G.

— I tak do nas wróci, gdy tylko upora się z koniem — mruknął Ferrol. — Asteroidy systemu Yishyar stanowią ten sam rodzaj pożywienia co konie kosmiczne, tylko trochę gorszego gatunku. Martwy koń zawiera te same pierwiastki co asteroid, podane jak na dłoni, w odpowiednich proporcjach i stężeniach.

— Dlatego jest łupem drapieżników — dodała Kennedy. — Musimy coś zrobić, zanim rekin dokończy obiad i zechce wrócić na deser.

— No właśnie. Ma pani jakieś pomysły?

— Być może — odpowiedziała tajemniczo.

Wcisnęła kilka klawiszy i na monitorze pojawił się schemat lądownika wraz ze spisem inwentarza. — To zależy od zapasu liny na pokładzie i od wydolności silnika.

Zaczęła powoli objaśniać swój plan. Ferrol obserwował ją z zainteresowaniem. Po raz pierwszy zauważył sieć drobnych zmarszczek wokół oczu, które spoglądały na niego, jak zwykle, zimno i stanowczo. Wiedział, że Kennedy ma czterdzieści sześć lat. Była od niego dwa razy starsza i na pewno bardziej doświadczona. Podobno miała ogromne zasługi w służbie wojskowej, z której dobrowolnie zrezygnowała ze względu na udział w Programie *Amity*. Senator twierdził, że to bardzo podejrzana i niebezpieczna osoba. Ferrol miał nadzieję, że Senator nie przesadzał. Tylko niebezpieczna osoba mogła ich uratować.

ROZDZIAŁ 18

Gwiazda B1 była ogromna i jaskrawa, a jej zamglony, biały satelita krążył poza szerokim pasmem fotosfery. I Wszystko to sprawiało, że nieprzyjemnie kojarzyła się ze sceną fatalnej akcji ratowania doktora Lowry'ego. Kapitan był przekonany, że nie tylko on czuje się niepewnie. Dostrzegał niepokój u Yamoto i Marlowe'a, którzy bez słowa, w pośpiechu wykonywali swoje obowiązki, chcąc uporać się z nimi jak najszybciej i opuścić to podejrzane miejsce.

Gwiazda B4 wcale nie była ciemniejsza, ale przynajmniej nie miała satelity. W pobliżu odnaleźli coś o wiele bardziej interesującego. Według Rrin-saa, był to system Yishyar.

— Ciekawe... — powiedział Roman.

Twarz Tamplesa wykrzywiła się jeszcze bardziej niż zwykle, co najprawdopodobniej było objawem wielkiego podniecenia.

— Rrin-saa, czy Quentin może wyczuć to miejsce, jeśli znajduje się nadal w systemie 11612? Na przykład, gdy będzie głodny?

— Nie wiem, Rro-maa.

— Kapitanie — przerwał Marlowe zmienionym głosem. — Zarejestrowałem ruchomy obiekt!

— Może to Quentin? — Roman szukał właściwego monitora.

Marlowe nie odezwał się.

— To nie jest Quentin — stwierdził po chwili. — To jest... O, do diabła! To wcale nie jest jeden obiekt. Mój Boże, całe stado! — Oczy rozbłyły mu nienaturalnym blaskiem.

— Kapitanie, to coś zupełnie nowego. Nowy gatunek zwierząt kosmicznych.

Roman potrząsnął głową ze zdumieniem. *Amity* była rzeczywiście niezwykle statkiem. Wciąż dokonywała nieoczekiwanych odkryć: najpierw narodziny żrebaka, teraz znów jakieś dziwne zwierzęta...

— Rrin-saa, spójrz na monitor. Czy Tamplesi znają te stworzenia?

— Ja... nie wiem.

Roman dostrzegł wahanie w twarzy Tamplesa.

— Rrin-saa? — powtórzył z naciskiem. Znowu chwila wahania.

— Wiem tylko, że inni Tamplesi opowiadali o nich. To wszystko!

Roman spojrział znacząco na Marlowe'a.

— Co o nich mówili, Rrin-saa?

— Mówili, że to są padlinożercy.

Roman zadrżał z niepokoju.

— Quentin? — wykrztusił zdławionym głosem.

— Nie wiem.

— Co się dzieje, Marlowe? — zapytał Roman nerwowo.

— Na razie trzymają się z daleka. Zresztą, nie mogą przemieszczać się zbyt szybko. Przeszkadza im wiatr słoneczny, który wieje od najbliższej gwiazdy.

Roman odetchnął z ulgą. Może nie będzie aż tak źle. Quentinowi i załodze lądownika też chyba nic nie grozi.

— Yamoto, proszę wyznaczyć tor spiralny łączący *Amity* z teoretycznym punktem zniknięcia lądownika. Podać parametry operatorom!

— Tak jest, kapitanie! Może jednak lepiej rozejrzeć się w najbliższym paśmie asteroidów, a nie wykonywać kolejny SKOK? — zaproponowała.

Roman od razu przyznał jej rację.

— Sądzi pani, że Quentin zgłódniał po tych harcach. Oczywiście, niech pani ustali kurs na asteroidy. Marlowe, jak zachowują się nasi nieproszeni goście?

— Zaczynają się zbliżać, kapitanie. Komputery sekcji badawczej pracują nad... O, już jest obraz!

Na ekranie pojawiły się sylwetki nieznanymi stworzeń, widziane ze wszystkich stron.

Zwierzęta miały około ośmiu metrów średnicy. Wyjadały jak ogromne płaskie talerze z czterema sterczącymi na boki trójkątnymi wypustkami, przypominającymi skrzydła. Znaczną część dolnej powierzchni ciała zajmowały pierścienie czuciowe i otwór trawienny.

— Przypominają bezogoniaste płaszczki z dodatkową parą skrzydeł — zauważył Roman. — Nie rozumiem tylko, dlaczego mają takie wielkie otwory trawienne?

— Też zwróciłem na to uwagę — przytaknął Marlowe. — Cały czas nam towarzyszą.

Roman ze zmarszczonym czołem obserwował monitor taktyczny. Man o'War obracał się w stronę pasma asteroidów, a dziwne stworzenia powtarzały ten manewr. Cały czas poruszały się ze stałą prędkością, zachowując odległość dwudziestu siedmiu kilometrów i nie zmieniając szyku.

Lekki dreszcz przebiegł Romanowi po plecach. Jeszcze raz obejrzał zbliżony obraz nieznanymi zwierząt i zatelefonował do sekcji badawczej. Na ekranie interkomu pojawiła się zdziwiona twarz Tenzinga.

— O co chodzi, kapitanie?
— Chciałbym, doktorze, poznać pańską opinię o naszych gościach!
— Piękne zwierzęta! — Tenzing patrzył daleko w przestrzeń. — Nieznany gatunek kosmicznych stworzeń. Czego właściwie chciałby się pan dowiedzieć, kapitanie?
— Przede wszystkim: czy one mogą być drapieżne?
Tenzing spojrzał prosto w kamerę. Wydawał się lekko zniecierpliwiony.
— Sądzę, że jest to mało prawdopodobne — powiedział z wyniosłym uśmiechem.
— Skąd w ogóle przyszło to panu do głowy?
— Po pierwsze, dziwią mnie wymiary otworów trawiennych — Roman nie dał się zbić z tropu. — Po drugie, te zwierzęta wyglądają, jakby celowo ustawiły się w szyku bojowym.

Tenzing wzruszył ramionami i pochylił się nad klawiaturą.

— Moim zdaniem, to nie jest szyk bojowy. Jeśli chodzi o otwory trawienne, to przypuszczam, że mamy do czynienia z przesiewaczami, które chwytają w locie cząstki pyłu i bryłki asteroidów i selekcjonują wchłaniany pokarm. W ten sposób można również wyjaśnić celowość trójkątnych wypustek, które najprawdopodobniej wychwytyują pokarm i kierują go do otworu trawiennego.

— Równie dobrze mogą służyć do walki z koniem kosmicznym — wtrącił Marlowe.
— Kapitanie, na tych wypustkach odkryliśmy nieznane struktury, podobne do ssawek ośmiornicy.

Roman obejrzał obraz na monitorze.

— Co pan o tym sądzi? — zapytał Tenzinga.

Doktor niechętnie odwrócił się do ekranu. Ze skrywanym zniecierpliwieniem popatrzył na schemat i lekceważącym tonem wygłosił naukową opinię:

— Rzeczywiście, to mogą być ssawki. Nie można jednak wykluczyć, że to coś zupełnie innego. Może te zwierzęta są po prostu kosmiczną odmianą remorów. Jest to jeden z gatunków ryb, które odbywają dalekie wędrówki, przyczepione do skóry żółwia lub rekina. Z pewnością nie są drapieżne, w każdym razie nie na poziomie, który mógłby wzbudzać nasze obawy. Są zbyt małe i zbyt delikatne, żeby w ogóle dotknąć konia. Działanie telekinezy rozniosłoby je na strzępy, zanim zdążyłyby się zbliżyć.

Roman z namysłem potarł dłonią policzek. Musiał przyznać, że argumenty Tenzinga były dość przekonujące.

— Dlaczego jednak trzymają się z daleka, skoro chcą skorzystać ze środka transportu?

— Może to nie one zachowują dystans? Prawdopodobnie Man o'War nie dopuszcza ich do siebie — rzucił niecierpliwie Tenzing. — Kapitanie, naprawdę nie mam czasu. Zajmuję się teraz przetwarzaniem informacji. Chciałbym wrócić do swoich zajęć, jeśli nie ma pan więcej pytań.

— Oczywiście, doktorze — powiedział Roman z hamowaną wściekłością. — Miłej zabawy!

Przez chwilę bezmyślnie wpatrywał się w pusty ekran interkomu. Lekceważące zachowanie Tenzinga wyprowadziło go z równowagi. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że *Amity* z chwilą narodzin pierwszego żrebaka przestała być typowym statkiem badawczym. Tenzing nie umiał jednak pogodzić się z utratą znaczenia sekcji naukowej i przy każdej okazji starał się podważać autorytet laików z Sił Gwiazdnych. Roman mógł mu tylko współczuć, a to wcale nie ułatwiało wzajemnych kontaktów.

Wcisnął jeden z klawiszy. Na monitorze pojawiło się co najmniej dwadzieścia zwierząt. Reszta prawdopodobnie ukryła się za asteroidami, które płynęły w tym samym kierunku.

Kapitan połączył się z przedziałem Tamplesów.

— Rrin-saa?

— Słucham? — odezwał się Tamples.

— Rrin-saa, czy Man o'War nie dopuszcza do siebie tych zwierząt?

— On im wcale nie przeszkadza — wtrącił ktoś niewidoczny na ekranie. Prawdopodobnie był to Hhom-jee, który pełnił służbę operatora.

Wymijająca odpowiedź przynajmniej nie wykluczała teorii Tenzinga.

— Dziękuję! — powiedział Roman i chciał przerwać połączenie, jednak powstrzymał go głos Tamplesa.

— Rro-maa?

— Słucham, Hhom-jee?

Chwila wahania.

— Rro-maa, Manawanninni boi się.

Roman popatrzył w nieprzeniknioną twarz Tamplesa.

— Co to znaczy „boi się”? — zapytał ostrożnie. — Czego się boi?

Znowu milczenie.

— Nie wiem! — Hhom-jee znów uchylał się od odpowiedzi.

Roman skrzywił się z niechęcią. Tenzing twierdził przecież, że to są nieszkodliwe re-mory...

— Spróbuj się dowiedzieć, Hhom-jee. Może uda ci się zlokalizować niebezpieczeństwo.

— Wasze życzenia są naszymi! — odpowiedział Rrin-saa.

Roman wyłączył interkom i zwrócił się do Marlowe'a.

— Proszę włączyć program przeszukiwań o maksymalnym zasięgu — powiedział spokojnie. — Chciałbym mieć dokładne informacje o tym, co się dzieje na obszarze dziesięciu tysięcy kilometrów.

— Tak jest! — Marlowe niechętnie skinął głową i zabrał się do pracy.

Roman popatrzył na Yamoto.

— Wśród programów dla obsługi steru znajduje się zbiór operacji bojowych. Proszę go przygotować! — Za stanął się chwilę. — Pobudzić napęd silnika — zdecydował jednak. Mimo zapewnień Tenzinga, obawiał się „remorów”.

— Tak jest, kapitanie! — Yamoto nie okazała zdziwienia.

Roman uświadomił sobie z niepokojem, że nie mogą zrobić nic więcej, dopóki nie znajdą lądownika. W tej samej chwili, jakby w odpowiedzi na jego nie wypowiedziane rozterki, na stanowisku Marlowe’a rozległ się głośny sygnał.

— Kapitanie! — wykrzyknął Marlowe. — Odnaleźliśmy lądownik! Odebrałem sygnał alarmowy z wnętrza pasma asteroidów.

Plan Kennedy nie wymagał żadnych nadzwyczajnych środków. Wystarczyło po prostu umiejętnie wykorzystać wielofunkcyjne wyposażenie lądownika. Do tej pory Ferrol nie zdawał sobie sprawy, że poszczególne elementy można szybko rozmontować i skonstruować z nich zupełnie nowe układy. Właściwie powinien się tego domyślić. Wiedział przecież, że lądownik może być używany jako dodatkowa łódź ratunkowa. Niezbędne dane techniczne znajdowały się w jednym z programów komputerowych przewidzianych na wypadek niebezpieczeństwa. Montaż trwał prawie trzy godziny, ponieważ pracowali tylko we dwoje. Tanglesów w ogóle nie można było brać pod uwagę, a Demothiego Ferrol wolał nie dopuszczać do spisku. Na szczęście, rekin nie spieszył się.

W końcu gotowy pocisk umieszczono w zewnętrznej osłonie.

— Co teraz? — zapytał Demothi, patrząc, jak Ferrol przy zerowej grawitacji usiłuje ściągnąć z siebie kombinezon EVA.

— A jak pan myśli? — burknął Ferrol, mocując się z oporną nogawką. — Po prostu czekamy. Jeśli się uda, przez kilka sekund będziemy mieli wyjście do SKOKU, nie wiadomo tylko, w którą stronę. Może pan wie?

— A jeśli rekin zaatakuje nas przed powrotem *Amity*? — Demothi nie ustępował.

— Wtedy będziemy się martwić — Ferrol włożył kombinezon do szafki. — Na razie...

Na pulpicie za plecami Demothiego zamigotało niebieskie światełko sygnalizacyjne.

— To *Amity*! — zawołała Kennedy.

Ferrol odepchnął się od szafki i popłynął w stronę monitorów. Aby nie poruszać się zbyt szybko, przytrzymał się każdego z mijanych foteli.

— Gdzie ona jest? — zapytał, siadając przed pulpitem. Z mikrofonu rozległ się głos Marlowe’a.

— Namiar dwadzieścia cztery z lewej, zenit trzydzieści — Kennedy odczytała parametry. — Nie mamy jeszcze zasięgu. Szukamy laserem... Już jest!

Ferrol włączył przyciskiem nadajnik.

— Mówi komandor Ferrol z pokładu lądownika *Amity* — zawołał do mikrofonu.

— Zbliżcie się!

Patrząc na zegar, odliczał sekundy: cztery... pięć.

Nagle odezwał się Roman.

— Ładownik, ahój! — mimo zakłóceń akustycznych, Ferrol usłyszał w głosie kapitana nutę ulgi i odprężenia. — Czyżbyście nie wiedzieli, że nie wypada opuszczać przyjęcia, gdy gospodarz na chwilę wyjdzie z pokoju?

— Przepraszam, nie mieliśmy innego wyjścia, właśnie odjeżdżał nasz pociąg — Ferrol wysilił się na dowcip.

W myślach obliczał odległość: sześć sekund oczekiwania na odpowiedź, czyli sygnał dociera po trzech sekundach, to znaczy, że *Amity* jest około dziewięciuset tysięcy kilometrów stąd. Zanim zdąży...

— Przy dwóch G potrwa to ze cztery godziny — szepnęła siedząca obok Kennedy. Skinął głową w milczeniu.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, gdzie jesteśmy? — powiedział do mikrofonu.

— Przygotowaliśmy dla was kompletny rzut informacji nawigacyjnych — odezwał się Roman po upływie sześciu sekund. — Oto on!

Na pulpicie stanowiska Kennedy zapalił się sygnał oznaczający napływ informacji.

— Co ciekawe — kontynuował Roman — Quentin pokonał odległość prawie tysiąca stu dwudziestu lat świetlnych. Wcale nieźle jak na pierwszy SKOK.

— Później wpisemy się do księgi rekordów — przerwał Ferrol. — Na razie musimy zwiewać z tego systemu. Czy macie dobre wyjście do SKOKU?

Tym razem przerwa trwała znacznie dłużej niż sześć sekund.

— Nie mamy odparł Roman bardzo poważnie. — Otacza nas chmara małych zwierzaków, które zasłaniają widok koniowi.

Ferrol zaklął z cicha. *Amity* była daleko od martwego konia. Sępy nie mogły odnaleźć jej tak szybko, chyba że rekin zdążył już pożreć swoją zdobycz i oddalił się wraz z nimi.

— Marlowe, niech pan jeszcze raz poszuka ruchomych obiektów w jak największym zasięgu — rzekł nerwowo. — Kapitanie, proszę zawiadamiać nas o każdej zmianie kursu i przyspieszenia. Jeśli sępy tak szybko was odnalazły, to bardzo możliwe, że gdzieś w pobliżu czai się rekin.

— Ruchomy obiekt! — przerwał Marlowe. — Namiar osiemdziesiąt siedem z lewej, nadir sześćdziesiąt. To jest... o Boże!

— Hhom-jee, zwiększyć przyspieszenie do czterech G! — powiedział Roman stanowczo. — Yamoto, czy ciągle utrzymujemy kurs na ładownik?

— Tak, kapitanie! — odezwała się głosem zdławionym przez wzrost przyspieszenia. — Przy większym przyspieszeniu trzeba będzie trochę zboczyć z kursu.

— Marlowe?

— Kapitanie, potwór zwiększył przyspieszenie do czterech G — zameldował Marlowe. — Przy obecnym kursie dogoni nas za dwie godziny.

— Nie cieszcie się zawczasu. On potrafi osiągnąć siedem G — ostrzegł go Ferrol. — Na razie się nie spieszy. Pewnie nie jest jeszcze głodny.

— Spróbujemy od razu uciec jak najdalej — powiedział Roman. — Zdaje się, że nazwał go pan rekinem. Czy to drapieżnik?

Ferrol uśmiechnął się gorzko.

— To akademicki przykład drapieżnika. Widzieliśmy, jak pożerał konia, a raczej szczątki konia.

— Zarejestrowaliśmy co nieco na taśmie — dodała Kennedy. — Zapis jest trochę niewyraźny, ale pozwoli wam zrozumieć, z kim macie do czynienia.

— W porządku. Proszę przesłać nam to nagranie!

Lampka kontrolna zapaliła się, po chwili zgasła i przez kilka minut panowała cisza.

— Już wiem, o co chodzi — odezwał się w końcu Roman. — Przekazałem zapis stacji badawczej. Zobaczymy, co powiedzą naukowcy. Czy macie dla nas jakieś wskazówki?

Ferrol oblizwał wyschnięte wargi.

— Kapitanie, z pewnością nie uda się zabić rekina. *Amity* nie posiada broni, która mogłaby uśmiercić nawet mniejsze stworzenie, nie mówiąc już o potworze, pożerającym konie kosmiczne. Możemy jedynie spróbować usunąć sępy i sieć optyczną na odległość, która umożliwi nam SKOK. — Spojrzał na Kennedy. — Kennedy ma pewien pomysł. Chyba powinniśmy spróbować, skoro już wiemy, gdzie jesteśmy i jak się stąd wydostać.

— Prześlę panu skrócony opis tego projektu — dodała Kennedy.

— Proszę bardzo, chciałbym go zobaczyć!

Nadajnik wyłączył się na chwilę. Kennedy wykorzystała okazję, żeby dopracować kilka szczegółów w oprogramowaniu pocisku. Ferrol siedział beczynnym i bardzo chciał zrobić coś równie pożytecznego.

— Ciekawy pomysł! — stwierdził wreszcie Roman. — Rzeczywiście, nie można zwlekać. Jeśli się uda, kierujcie się na Deneb. Czekać na nas przez dwie godziny. Jeżeli do tego czasu nie pojawimy się, nowe informacje nawigacyjne pozwolą wam wrócić na Solomona.

— Kennedy? — mruknął Ferrol.

Skinęła głową.

— Deneb będzie odpowiedni — powiedziała do mikrofonu.

— Podawajcie nam bez przerwy zrzut informacji ze stanowiska sternika — polecił kapitan. — Chcielibyśmy wiedzieć, czy się wam udało. Powodzenia!

— Dziękuję! — Ferrol westchnął głęboko. — Kennedy, zaczynamy!

Skinęła głową i zwróciła się do Wwis-khaa, który właśnie objął służbę, zastępując

Sso-ngii:

— Obróć Quentina około trzydziestu stopni w lewo, nadir siedemnaście, w kierunku tej samotnej, jaskrawej gwiazdy!

— Wasze życzenia są naszymi!

Minutę później Quentin znalazł się we właściwym położeniu, jeśli w ogóle można było je prawidłowo określić, mając widok zasłonięty przez sępy.

— Pocisk gotowy — odczytał Ferrol.

Zacisnął pięści. Ognia!

Przy pomocy dysz manewrowych wypchnięto pocisk z lądownika. Minutę później, targany gwałtownym zrywem silnika, jak piorun pomknął w przestrzeń. Wyminął Quen-tina, którego Wwis-khaa odsunął trochę na bok, a potem z ostrożnością chirurga ustawił w poprzednim położeniu. Sieć optyczna znajdowała się dokładnie na torze pocisku. Ferrol wstrzymał oddech. Sekundę później miniaturowa gwiazda utkwiła w delikatnej sieci uprząży. Sieć utkana przez człowieka, poruszająca się z prędkością pięciuset metrów na sekundę, zderzyła się z siecią optyczną kosmicznych zwierząt.

— Wwis-khaa! — wrzasnął Ferrol, spojrzawszy na ekran. — Na co jeszcze czekasz?

— Quentinninni nie widzi celu — powiedział Tamples.

— Cholera! — Ferrol z bezsilną rozpaczą uderzył pięścią o krawędź pulpitu.

Obserwował bezradnie, jak uprząż płacze się bezcelowo pośród gromady sępów.

— Nie udało się! Nie udało się!

— Już wiem, dlaczego — powiedziała Kennedy. — Uprząż rzeczywiście zgarnęła sporo sępów, ale pozostałe natychmiast wypełniły lukę.

Ferrol zacisnął szczęki.

— Tak. Znów się gromadzą. Musielibyśmy mieć ze cztery takie pociski albo przynajmniej jeden bardzo duży.

— I zagrozić im drogę, zanim znów nadciągną — dodała Kennedy. — *Amity*, czy zarejestrowaliście wszystko?

— Tak, wszystko wiemy — odparł Roman. — Sam pomysł był doskonały. Może ekipa techniczna i ludzie Tenzinga potrafią ulepszyć wasz model. Miejmy nadzieję, że do tego czasu rekin nas nie schwyta.

Amity miała szansę, ale lądownik...

— Kapitanie, zużyliśmy całą linę — powiedział Ferrol.

— Rozumiem. Spróbujemy coś wymyślić — odrzekł Roman bez przekonania.

— Nie ma sensu, żebyśmy tu jeszcze tkwili — powiedziała Kennedy. — Myślę, że ruszymy wam na spotkanie.

Roman zastanowił się chwilę.

— Wówczas Quentin znajdzie się bardzo blisko rekina. Naprawdę chcecie ryzykować?

— To jest o wiele mniejsze ryzyko niż oczekiwanie, że pozbędziecie się tego potwora — stwierdził Ferrol.

— Racja — zgodził się Roman. — Yamoto?

— Jesteśmy gotowi! — Yamoto odezwała się natychmiast. — Poruczniku Kennedy?

— Wszystko w porządku! — zameldowała Kennedy, odczytując napływające dane.

— To dobrze — powiedział Roman. — Powinniśmy spotkać się za godzinę i pięćdziesiąt minut.

Za dwie godziny miał pojawić się rekin.

— Będzie mało czasu — mruknął Ferrol. — Zwłaszcza jeśli rekin przyspieszy.

— Man o'War może w razie potrzeby osiągnąć nawet sześć G — przypomniał Roman.

Niestety, rekin mógł być szybszy...

— Jest jeszcze jedno wyjście — powiedział Ferrol niepewnie. — W szufladzie pod moim łóżkiem znajduje się skrzynka z zamkiem szyfrowym. Szyfr: siedem-dwa-siedem-trzy-trzy. W tej skrzynce jest pakiet danych — zebrał się na odwagę — zawierających informacje o promieniowaniu niebezpiecznym dla koni kosmicznych. Jeśli rekin ma podobny organizm, będziecie mogli go unieszkodliwić.

Wstrzymał oddech, z niepokojem oczekując dalszych pytań. Roman jednak okazał się rozsądny.

— Dziękuję, komandorze. Natychmiast przekażę to sekcji badawczej. Miejmy nadzieję, że się przyda.

Ferrol poczuł, że robi mu się słabo.

„Koniec zakulisowej polityki i tajnej broni”, pomyślał zrezygnowany. Tylko w ten sposób mógł jednak uratować *Amity* i lądownik. Do diabła z politykami! I z Senatorem, jeśli byłby temu przeciwny!

ROZDZIAŁ 19

Przyspieszenie czterech G oznacza czterokrotnie większe ciężenie i konieczność wykonywania wszystkich czynności w pozycji pólężącej. Naukowcy zazwyczaj długo wzbraniali się i ociągali, zanim przystępowali do badań w takich warunkach. Tym razem jednak żaden nie zaprotestował. Po pół godzinie zaczęły napływać pierwsze raporty.

— Obiekt ma dwa tysiące piętnaście metrów — zameldował Tenzing, pokazując na ekranie znajomy kształt wydłużonego walca. — Mimo że jest około dwa i pół raza dłuższy od przeciętnego konia, zachowuje jego proporcje. Podobne jest też rozmieszczenie pierścieni czuciowych, które tworzą równoległe kręgi z przodu i z tyłu, lecz ich średnica wskazuje na dużo większą pojemność otworów trawiennych niż u konia.

Diagram znikł i na ekranie ukazała się twarz Tenzinga. Roman skrzywił się.

— Jeśli dotychczasowa teoria o współzależności pomiędzy wymiarami zwierzęcia a siłą telekinezy jest słuszna, mamy do czynienia z istotą piętnaście razy silniejszą od naszego konia.

Tenzing ponuro skinął głową.

— Może nie jest aż tak źle, ale na pewno nie jest dobrze. Potwierdzają to dane z lądownika.

— Rozumiem. A jak tam sępy?

Tenzing wzruszył ramionami, co nie było łatwe przy czterech G.

— Pokrywają całe ciało rekina — powiedział. — Zdaje się, że moja teoria remorów jest przynajmniej częściowo słuszna.

— Poza tym drobnym szczegółem, że padlinożercy biorą aktywny udział w polowaniu.

— Rzeczywiście — zgodził się Tenzing. — Właśnie z tego powodu możemy mieć kłopoty. Szacujemy, że rekin niesie ze sobą cztery razy więcej sępów, aniżeli w tej chwili znajduje się przed koniem. Pocisk, który budujemy, będzie na pewno za mały, zwłaszcza jeśli sępy zaczną napływać falami.

Roman potarł dłonią policzek.

— Mimo wszystko, sztuczka może się udać, jeśli taka fala nie podejdzie zbyt blisko i zostawi nam wyjście do SKOKU.

— Być może — powiedział Tenzing. — Zależy na jaką odległość zbliży się rekin i czy potrafi zatrzymać pocisk.

Tego właśnie nie można było przewidzieć: czy rekin kieruje się wyłącznie instynktem, czy też posiada wrodzoną, twórczą inteligencję.

— Sądzi pan, że on potrafi myśleć? — zapytał Roman Tenzinga.

Doktor wzruszył ramionami.

— Kapitanie, naprawdę nie wiem. Przeważnie inteligencja zależy od wielkości mózgu, lecz nie ma na to reguły. — Skinął głową w kierunku ekranu. — Po starciu z lądownikiem rekin wrócił do martwego konia, a później wycofał się do miejsca, gdzie go spotkaliśmy po raz pierwszy. Nie wiadomo, czy wrócił po to, żeby się najeść i wylizać rany, czy też chciał zebrać resztę sępów i zaatakować nieznanego napastnika, który uderzył go tak boleśnie. — Potrząsnął głową. — Wszystko jest wielką niewiadomą.

Roman spojrział na monitor taktyczny. Rekin był coraz bliżej, a do spotkania z lądownikiem pozostało jeszcze osiemdziesiąt minut.

— Czy informacje z pakietu komandora Ferrola mogą się na coś przydać?

— Są bardzo interesujące — Tenzing odchrząknął. — Nie wiadomo jednak, czy będziemy mogli je wykorzystać. Okazuje się, że wysokie dawki, naprawdę bardzo wysokie, promieniowania jonizującego i gęste strumienie cząstek relatywistycznych mogą unieszkodliwić albo nawet zabić konia, zwłaszcza przy uderzeniu w pierścienie czuciowe. *Amity* nie posiada jednak ani laserów promieniowania X, ani akceleratorów cząstek.

Roman ze zrozumieniem pokiwał głową.

— Lądownik? Czy słyszeliście?

— Tak, kapitanie! — odpowiedział po chwili Ferrol grobowym głosem. — Nic optymistycznego, prawda?

— Jeszcze żyjemy! — Roman nie załamywał się. — Gdy rekin będzie już blisko, włączymy silnik na maksymalne obroty. Wytworzone w ten sposób promieniowanie cząsteczkowe wystarczy, żeby dać mu mocnego klapsa. Spróbujemy też zbudować laser promieniowania X z elementów lasera komunikacyjnego umieszczonego na rufie. Teoretycznie jest to możliwe.

— Widziałam kiedyś taki laser — wtrąciła Kennedy. — Myślę jednak, że nawet mając niezbędny sprzęt, możecie nie mieć czasu na takie zabawy. Radziłabym skupić się na skonstruowaniu wieloimpulsowego lasera, którym powinniście uderzyć w pierścienie czuciowe.

— Właśnie przygotowaliśmy takie urządzenie — wyjaśnił Roman. — Czy ma pan coś nowego, doktorze?

— W zasadzie tak — powiedział Tenzing. — Tym razem jest to miła wiadomość. Otóż zdaje się, że nasz rekin jest sprinterem.

Roman zmarszczył brwi.

— Nie rozumiem. Proszę powtórzyć!

— Jest sprinterem — powtórzył Tenzing. — W przeciwieństwie do długodystansowca. Zaraz panu pokażę. — W miejsce twarzy Tenzinga pokazał się diagram taktyczny. — To jest analiza walki lądownika z rekinem — wyjaśnił Tenzing. — Proszę zauważyć, że rekin czekał, aż lądownik maksymalnie się przybliży i zwiększył przyspieszenie do siedmiu G dosłownie tylko na minutę, bezpośrednio przed ciosem. Nawet teraz — zmienił diagram — wyraźnie się oszczędza, nie przyspiesza bardziej, niż jest to konieczne, aby nie stracić kontaktu.

— Ciekawe — powiedział Roman z namysłem, gdy na kranie ukazała się znów twarz Tenzinga. — To znaczy, że mamy szansę ucieczki, mimo że rekin jest szybszy?

— Tego nie powiedziałem — sprostował Tenzing. — Pamiętajmy, że to jest drapieźnik, kapitanie. Żaden drapieźnik nie rezygnuje tak łatwo ze swojej zdobyczy, inaczej nie mógłby być drapieźnikiem.

— Hm — mruknął Roman. — Ma pan rację. Z drugiej strony, drapieźnik może być zaskoczony, jeśli ścigana zdobycz nagle zwolni. Opóźnienie spowodowane obrotem statku mogłoby go zdezorientować.

— Nie sądzę — powiedział Tenzing sceptycznie.

— Ja również wolałbym tego nie próbować — odrzekł Roman. — Mam nadzieję, że wydostaniemy się z sieci optycznej, zanim rekin rzuci się na nas. Pytanie do lądownika: czy stado sępów nadal trzyma się w odległości dwudziestu siedmiu kilometrów?

— Jak przymurowane — potwierdził Ferrol.

— U nas jest tak samo. Usadowiły się poza zasięgiem telekinezy naszego konia. Przed chwilą Yamoto zgłosiła ciekawy problem: co się stanie, gdy Man o'War i Quentin staną naprzeciw siebie?

Przez dłuższą chwilę słychać było tylko szum nadajnika. Potem Ferrol zaczął się głośno zastanawiać:

— W odległości pięćdziesięciu czterech kilometrów sieci optyczne zderzą się ze sobą. Idąc dalej: albo zaczną się nawzajem przenikać, albo odepchną się w przeciwnych kierunkach. W obu przypadkach któraś z nich znajdzie się w zasięgu telekinezy.

Roman skinął głową.

— Doszliśmy do tych samych wniosków. Przekonamy się za... niecałe siedemdziesiąt pięć minut.

— Tylko wtedy, gdy rekin okaże się nie dość inteligentny, aby przewidzieć nasze zamiary i zagrozić nam drogę. — Roman skrzywił się.

— To jest podstawowy problem. Odpowiedź poznamy niebawem.

Ciągle miał ukrytą nadzieję, że obrót statku i opóźnienie zmylą rekina, lecz szybko wyzbył się złudzeń. Rekin obrócił się trzydzieści sekund później niż *Amity*, potem nieco zwolnił i ustawił się w pozycji, która według obliczeń komputera pozwalała mu przy zachowaniu zerowej grawitacji pojawić się dokładnie w miejscu zamierzonego spotkania *Amity* z lądownikiem.

Rozpoczął się pościg!

Roman wciśnięty siłą czterech G w fotel, wpatrywał się w ekrany i nasłuchiwał informacji z maszynowni i sekcji badawczej. Nieustannie wykonywał obliczenia, z których jednoznacznie wynikało, że rekin jest coraz bliżej.

— Mamy lądownik na wizji — zameldował Marlowe, przeglądając monitory.
— Zasięg pięćdziesiąt pięć kilometrów. Sieci optyczne w każdej chwili zetkną się ze sobą.

Roman wpatrywał się w stado sępów widoczne na monitorze taktycznym, lecz ciągle nie dostrzegał żadnej zmiany.

— Yamoto, co się dzieje z sępami?

— Zbliżają się — powiedziała, starając się zachować spokój.

— Zasięg dwa tysiące kilometrów, opóźnienie pięć G. Jeśli nic się nie zdarzy, będą tu za niecałe pięć minut.

— Lądownik? — zawołał Roman.

— Jesteśmy gotowi! — odezwał się Ferrol.

Roman włączył interkom.

— Hhom-jee? Już!

Amity obróciła się natychmiast, lekko przechylając się w prawo. Minutę później wróciła do poprzedniej pozycji i skierowała w stronę Quentina. Lądownik, widoczny na monitorze taktycznym, wykonał podobny manewr.

— Marlowe? Czy lądownik jest w odpowiedniej pozycji?

— Tak. Znajduje się na linii Deneb.

— Dobrze. Komandorze, uciekajcie, gdy tylko wyjście będzie wolne. Jeśli nie zjawimy się w ciągu dwóch godzin, wracajcie do domu!

— Tak jest!

Pojazdy zbliżały się do siebie. Roman zacisnął zęby i skupił uwagę na monitorze.

— Sieci optyczne zderzyły się — stwierdził po chwili. — Zaczynają się przenikać... nie, pomyliłem się: tworzą mur pomiędzy nami.

— Nie należy się tym przejmować. Obie sieci będą ściągane siłą telekinezy — powiedziała pocieszająco Kennedy.

— Dopóki Man o'War nie przestanie poruszać się do przodu — mruknął Marlowe.

Roman skrzywił się. W tej chwili konie przeszkadzały sobie nawzajem, kompletnie zasłaniając widok. Ponadto nadal nie było wiadomo, czy potrafią pozbyć się sępów

i otworzyć sobie drogę.

— Sieci rozłączają się — krzyknął Marlowe. — Sępy Quentina cofają się w stronę lądownika.

— Cholera! — zaklął Roman. Włączył skalę na monitorze. Rzeczywiście, sępy wycofywały się w kierunku lądownika i były już poza zasięgiem telekinezy Man o'War. — Ferrol, czy Quentin może je powstrzymać?

— Nie ma szans — powiedział Ferrol po chwili milczenia. — Wwis-khaa twierdzi, że zasięg telekinezy Quentina wynosi tylko cztery kilometry.

— Kapitanie, rekin przyspiesza! — przerwała Kennedy. — Prowadzi ze sobą masę sępów.

— Zaraz tu będą — dodał Marlowe. — ETA za dziesięć minut.

— Zdaje się, że rekin odgadł nasze zamiary — powiedział Roman do Ferrola. — Popędźcie Quentina, może sieć rozwieje się na chwilę, zanim nadciągnie kolejna fala.

— Nie możemy nic zrobić — powiedział Ferrol z kamiennym spokojem. — Po prostu Quentin nie jest dość szybki. Uciekajcie bez nas!

— Rro-maa, Manawanninni zatrzymał sępy! — z głośnika interkomu rozległ się głos Rrin-saa.

— Kapitanie? — ponagliła go Yamoto. — Wyjście do SKOKU będzie otwarte przez dziewięćdziesiąt sekund.

Roman westchnął ciężko.

— Zatrzymać konia! — rozkazał. — Przygotować uderzenie z głównego silnika! Obsługa lasera: mierzyć w któryś z przednich pierścieni rekina! Sekcja obronna...

— Kapitanie, co, u diabła, ma pan zamiar zrobić? — warknął Ferrol. — Ma pan wyjście, niech pan ucieka!

— Nie zostawimy pana samego — powiedział stanowczo Roman. — Przesunąć cel na...

— Niech pan nie będzie przeklętym głupcem — przerwał Ferrol. — Niech pan wraca do Cordonale i przyprowadzi okręt wojenny albo coś bardziej użytecznego.

Roman wpatrywał się w monitor taktyczny. Niestety, Ferrol miał rację: jeśli *Amity* nie umknie, nie uratują się ani ludzie, ani Tamplesi. Za chwilę będzie już za późno. Nie mógł jednak zdobyć się na to, żeby świadomie poświecić część załogi.

— Przepraszam, Ferrol, ale nie dostaliśmy dzisiaj zapotrzebowania na męczenników — powiedział. — Rekin nie ma zamiaru zaatakować żadnego z nas.

— Rekin nas olewa — odburknął Ferrol. — Jemu chodzi o nasze konie. Wypuśćmy Quentina, a będziemy zupełnie bezpieczni.

— Może tak, a może nie. Nie będziemy ryzykować. Na monitorze taktycznym pojawiło się okienko, a w nim zbliżenie rekina i penetratora laserowego, który poszukiwał

pierścienia czuciowego. Obserwację utrudniała chmara sępów, prawie całkowicie zasłaniająca widok.

— Większość składników organizmu konia kosmicznego występuje również w wyposażeniu lądownika — przypomniał Roman Ferrolowi.

— Wprawdzie w innych proporcjach i z domieszkami, ale być może, nie robi mu to różnicy.

Stado sępów pomiędzy *Amity* a lądownikiem nie rozpraszało się, a ostatnio nawet trochę zagęściło.

„Ciekawe, ile ich jest w pobliżu?”, pomyślał nerwowo Roman.

— Nie ma nad czym dyskutować! — postanowił. — Proszę obrócić Quentina i oddać się jak najszybciej, a my spróbujemy trochę powstrzymać rekina.

Dłuższą chwilę czekał na odpowiedź. Myślał, że Ferrol będzie się sprzeciwiał, niespodziewanie ten jednak się zgodził.

— Tak jest! Wwis-khaa, słyszałeś, co powiedział kapitan.

— Główny napęd gotowy — zameldowała Yamoto. — Obsługa lasera zgłasza trudności w celowaniu przez sępy.

— Przyjąłem — powiedział Roman. — Cała załoga na stanowiska!

Zabrział sygnał alarmowy i przez krótką chwilę Roman wrócił myślami na *Driadę*. Na prawdziwy statek kosmiczny, z porządną bronią i prawdziwą obsługą.

Chwila minęła. Był na *Amity* z prowizorycznym uzbrojeniem i niewyszkoloną załogą, naprzeciw wroga, o jakim nie śniło się nikomu z Sił Gwiezdnych.

Robili, co mogli.

Rekin znajdował się teraz pięćdziesiąt pięć kilometrów od *Amity*, a jego eskorta — kilkanaście kilometrów bliżej. Jak wynikało z rekordu zarejestrowanego przez Ferrola, drapieźnik ugodził Quentina z odległości prawie czterdziestu pięciu kilometrów. A zatem: już czas! Roman odetchnął głęboko.

— Silnik i laser: Ognia!

Rozległ się huk silnika, przyspieszenie wzrosło prawie dwukrotnie. Roman wcisnął się w fotel. Po chwili usłyszał lekki brzęk dyszy manewrowych, pokonujących opór silnika. Przeniósł wzrok na monitor steru. Miernik naprężenia liny wskazywał zero, co świadczyło o niezgodności przyspieszenia *Amity* i ciągnącego ją konia.

— Yamoto? Przyspieszenie lądownika?

— Dwa i sześć dziesiątych G — odpowiedziała.

— Hhom-jee, daj Quentinowi dwa i dwie dziesiąte G — nakazał przez interkom. — Yamoto, wyrównać przyspieszenie.

— Tak jest!

Przez chwilę Roman przystosowywał się do zmienionych warunków, zanim znów mógł się zająć obserwacją monitora taktycznego. Rekin był już tylko czterdzieści kilo-

metrów od statku i ciągle się zbliżał.

— Obsługa lasera: raport!

— Nie możemy się przedrzeć! — Mimo huku silnika, głos młodego człowieka zdradzał skrajne napięcie. — Sępy nie ustępują, zablokowały laser.

— Ciągle to samo — Roman westchnął bezradnie. Nie ulegało wątpliwości, że podczas walki z lądownikiem rekin czegoś się nauczył. Wydawało się prawie niemożliwe, że od razu zrozumiał aż tyle...

— Strzelajcie do pojedynczych sępów — rozkazał Roman. — Zobaczmy, czy można je zabić albo unieszkodliwić. Sekcja obrony: Ognia!

Gdy teleskop słoneczny wychwycił oślepiający blask wywołany zapłonem wyrzutni sieci, wszystko wokół na chwilę pociemniało. Roman obserwował jednocześnie monitor taktyczny i obraz kontrolny w zbliżeniu. Po kilku sekundach pocisk bezgłośnie wbił się w srebrzystą linę upręży. A jednak nie udało się! Wybuch nie nastąpił. Sieć kołysała się beużytecznie pośród gromady najbliższych sępów.

— Jeszcze chwilę, kapitanie — odezwał się zaniepokojony Tenzing. — Teraz!

W tym momencie nastąpiła eksplozja. Wyprodukowany przez naukowców szkielet z organicznego tworzywa z ogromną siłą popchnął sieć w kierunku sępów. Kolejny wybuch zepchnął je na bok.

— Obsługa lasera: droga wolna! — krzyknął Roman. Natychmiast zauważył, że widoczny na ekranie połyskliwy strumień zjonizowanego wodoru ugodził w bok rekina. Drapieżnik drgnął.

Sekundę później sępy wypełniły lukę, blokując znowu tor pocisków.

— Cholera! — mruknął Marlowe. — Znow zablokowały laser.

— W co trafiliśmy? — zapytał Roman.

— Zdaje się, że pocisk uderzył w krawędź pierścienia czuciowego. Działanie było jednak zbyt krótkie, żeby go mocniej uszkodzić.

— W każdym razie, jesteśmy na dobrej drodze. Mogliśmy w ogóle nie trafić — pocieszył go Roman. — Sekcja bojowa: raport!

— Następny pocisk jest już prawie gotowy. — Odpowiedź była ledwo słyszalna przez szum silnika. Prawdopodobnie rozmówca odwrócił się do mikrofonu. — Gdy tylko zamontujemy czasomierz...

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, *Amity* cofnęła się gwałtownie. Roman skulił się z bólu pod naciskiem pasów bezpieczeństwa.

— Yamoto, cała naprzód! — wykrzyknął bez zastanowienia.

Po odgłosach silnika zorientował się, że Yamoto włączyła już wszystkie hamulce. Przez moment wydawało się, że lina upręży została zerwana, po chwili jednak naprężyła się znowu. Mierniki siły bezwładności wskazywały, że pojazd cofa się.

Amity została schwytana w pułapkę.

ROZDZIAŁ 20

Roman próbował nie słyszeć przerażonych głosów załogi. Przeglądał monitory, gorączkowo szukając wyjścia z opresji. Mimo że silnik pracował na pełnych obrotach, *Amity* posuwała się bardzo powoli, wykorzystując dodatkowe promieniowanie do walki z sępami. Rekin zbliżył się już na odległość trzydziestu dwóch kilometrów. Prawdopodobnie nie chciał ryzykować uderzenia z daleka i dlatego szybko posuwał się naprzód. Czas naglił. Jeśli sępy nie rozproszą się, a rekin zdecyduje się na atak...

— Sekcja obrony, zmieniamy program! — rozkazał, przekrzykując huk silnika. — Odłączyć zapalnik i przenieść broń do przodu. Skierować ją na sępy przed lądownikiem. Ferrol, czy pan to rejestruje? Niech pan poczeka, aż pocisk przejdzie obok lądownika, a potem odpali go przy pomocy standardowego sygnału radiowego.

W otaczającym go zewsząd hałasie, z trudem dosłyszał odpowiedź Ferrola.

— Kapitanie, nie możemy zostawić pana samego!

— Niech pan nie protestuje. To rozkaz! Obsługa lasera: skupić się na sępach wzdłuż toru pocisku. Może uda się zrobić wyrwę i przedostać do rekina.

— Kapitanie, Man o'War spłoszył się — wtrąciła Yamoto. — Hhom-jee traci kontakt!

Roman zacisnął zęby. „Może posłuchać rady Ferrola i wypuścić konia na wolność”, pomyślał zrezygnowany.

„Tak naprawdę, nie wiadomo, na kogo rekin poluje? Może zatrzymał statek tylko ze względu na konia?”

— Hhom-jee, czy rekin trzyma statek, czy konia?

Jedyną odpowiedzią był huk silnika.

— Hhom-jee, odezwij się!

— On nie może mówić — odpowiedział inny Tamples. — Musi się skupić na kierowaniu Manawanninni.

Roman zaklął pod nosem.

— Yamoto? Naprężenie liny?

— Zbliża się do stanu krytycznego — odpowiedziała. — W każdej chwili lina może

pęknąć.

Wynikało stąd, że rekin trzyma tylko *Amity*. Czyżby spodziewał się, że wcześniej czy później i tak zdobędzie konia? Jeśli lina pęknie, będzie musiał wybierać...

Na monitorze taktycznym rozbłysnął rząd czerwonych cyfr. Była to wewnętrzna sygnalizacja stanu zagrożenia.

— Stolt?

— Laser jest nadal bezużyteczny. Silnik robi trochę spustoszenia wśród sępów, ale rekin ciągle je wymienia.

Był to kolejny dowód inteligencji drapieznika, który bezbłędnie rozpoznał, że *Amity* jest bardziej niebezpieczna niż koń i wszystkie siły skierował przeciwko niej. Zdawało się, że zupełnie ignoruje konia.

— Czy konstrukcja wytrzyma? — zapytał Roman, spoglądając z niepokojem na czerwone cyfry.

— Zaczyna rozciągać się wzdłuż i w poprzek — powiedział poważnie Stolt. — Chyba rekin chce nas rozwalić.

Wszystko wskazywało na to, że rozdrażniony zwierz właśnie do tego zmierza.

— Kiedy może nastąpić katastrofa?

— Jeśli nic się nie zmieni, pierwsze spojenia zaczną pękać za jakieś trzydzieści minut — powiedział Stolt. — Przypuszczalnie jednak rekin zbliżając się będzie powodował coraz większe zniszczenia.

Roman nie potrafił podjąć decyzji. Jeśli Tenzing miał rację, mówiąc, że rekin jest niewytrzymałym sprinterem, można by po prostu poczekać, aż się zmęczy. Jeśli się mylił, każda zwłoka mogła ich kosztować życie. Byli skazani na hazard.

— Obsługa lasera, przerwać ogień — rozkazał. — Naładować wszystkie kondensatory impulsowe i pozostać na stanowiskach! Yamoto, proszę trochę zwolnić. Rrin-saa, czy mógłbym przekazać coś Hhom-jee?

— On cię słyszy, Rro-maa.

— W porządku. Hhom-jee, na mój sygnał wycofaj konia, tak żeby mógł odegnać jak najwięcej sępów pomiędzy statkiem a rekinem.

— Wasze życzenia są naszymi! — odpowiedział Rrin-saa.

Roman westchnął ciężko.

— Yamoto? Zasięg? — zapytał.

Odezwała się natychmiast.

— Dwadzieścia pięć kilometrów do rekina. Osiemnaście do najbliższych sępów.

A zatem są w zasięgu telekinezy Man o'War, dostały się co najmniej dwa kilometry w głąb.

— Obsługa lasera, przygotować się — rozkazał, wpatrzony we wskaźniki stanu zagrożenia.

Wiedział, że *Amity* zdąży oddać tylko jeden decydujący strzał. Bliżej... Jeszcze trochę...

— Kapitanie — odezwała się nagle Yamoto — lina jest już maksymalnie naprężona. Za chwilę będziemy musieli pożegnać się z koniem.

Roman zacisnął pięści.

— Hhom-jee, teraz!

Przez długą chwilę wydawało się, że próba była chybiona. Nagle jednak, jak za sprawą magicznej różdżki, w białawym murze utworzonym przez sępy i asteroidy pojawiła się czarna dziura, wyglądająca jak negatyw błysku eksplozji. Luka rozszerzała się, ukazując dokładnie wydłużone cielsko rekina oświetlone blaskiem emisji silnika.

— Laser! Ognia! — krzyknął Roman.

Cieniutka linia promieni laserowych potwierdziła wykonanie rozkazu. W tej samej chwili potężna siła rzuciła Romana na fotel. Zabrakło czasu na ostrzeżenia i komy, lecz Yamoto czuwała. Po wyłączeniu silnika nastąpił moment nieważkości, a później błyskawiczne przyspieszenie, gdy Man o'War naciągnął linę i pomknął do przodu. Byli wolni!

— Nie przerywać ognia! — krzyknął Roman.

— Rekin oddała się — zameldował Marlowe. — Zasięg: pięćdziesiąt kilometrów... sześćdziesiąt... siedemdziesiąt. Nie sądzę, aby jeszcze nas ścigał, kapitanie.

— Ja też nie — dodała Yamoto. — Sieć optyczna jest znów obok nas.

Mimo przyspieszenia, Roman głęboko zaczerpnął powietrza.

— Obsługa lasera: zaprzestać ognia! Chciałbym dokonać przeglądu wyposażenia, może się jeszcze przydać.

Ciężkimi jak z ołowiu dłońmi bezskutecznie próbował przełączyć monitor.

— Marlowe, czy lądownik odleciał?

— Niestety nie. Znajduje się dwieście trzydzieści kilometrów przed nami, namiar: dwadzieścia z lewej, nadir pięć.

Roman włączył nadajnik laserowy.

— *Amity* do lądownika: raport!

— Tu lądownik — odezwał się Ferrol. — Zrobił pan wszystko, co było możliwe, prawda?

— Nie mieliśmy innych możliwości — powiedział Roman, przeszukując monitor taktyczny. Na razie rekin zaprzestał pościgu. — Pańska obecność tutaj świadczy, że wysłany przez nas pocisk okazał się nieskuteczny.

— Wcale się nie okazał — odpowiedział Ferrol złośliwie. — Rekin zatrzymał go już po dziesięciu minutach lotu.

— Mam nagranie tej sytuacji. Może chciałby je pan obejrzyć? — wtrącił Marlowe.

— Proszę bardzo! — Roman skinął głową. Zdarzenie oglądane z perspektywy *Amity*

wyglądało o wiele ciekawiej niż w relacji Ferrola. Z odległego lądownika nie było widać wszystkich szczegółów.

— Komandorze, pocisk nie tylko został zatrzymany. Niech pan zobaczy, rekin rozewał go na strzępy.

Wysłał kopię laserem i długo czekał na odpowiedź.

— Interesujące... — skomentował Ferrol oszczędnie.

— Z pewnością — zgodził się Roman. — Rekin nie zareagował za pierwszym razem, bo nie znał tej broni.

— Za drugim już wiedział, jak sobie poradzić.

Roman skinął głową.

— Kolejny dowód na to, że rekin potrafi się uczyć. My też powinniśmy.

Przyspieszenie najwyraźniej zmniejszyło się. Nie wiadomo, czy Man o'War był po prostu zmęczony, czy też Hhom-jee zdążył go opanować.

— Hhom-jee, możesz rozmawiać? — zapytał Roman z nadzieją w głosie.

— Słucham, Rro-maa? — Tamples odezwał się po dłuższej chwili.

Roman odetchnął z ulgą. Wolał nie wyobrażać sobie dalszych wydarzeń, jeśli koń nadal będzie szalał ze strachu.

— Czy Man o'War uspokoił się?

— Ciągle jeszcze jest... przestraszony.

— Nie tylko on! Gdy będziesz mógł nim pokierować, spróbujemy dotrzeć do lądownika. Yamoto da ci wskazówki.

— Wasze życzenia są naszymi!

— W porządku! — Roman odwrócił się do Yamoto. — Proszę obliczyć współrzędne zamierzonego spotkania i ciągle aktualizować dane — polecił. — Nie wiadomo, jak długo potrwa przywoływanie konia do porządku.

— Im szybciej, tym lepiej — mruknął Ferrol. — Z rekinem żadna sztuczka nie uda się ponownie. Najlepszym tego przykładem jest wystrzelenie sieci.

— Niestety, chyba ma pan rację — zgodził się Roman. — Musimy zacząć od początku.

— Odegnać sępy?

— No właśnie. Ponieważ rekin jest czujny, musimy działać bardzo szybko, zanim zdąży zareagować.

— To będzie cholernie trudne — skwitował Ferrol.

— Chyba coś wymyślimy — pocieszył go kapitan.

Pokonując ciężenie dwóch i czterech dziesiątych G, Ferrol wyłączył odbiornik. Przez chwilę bezmyślnie spoglądał na tablicę rozdzielczą. Czuł, że robi mu się słabo.

— „Chyba coś wymyślimy” — mruknął pod nosem. — Wspaniałe ostatnie słowa.

— Mogło być jeszcze gorzej — stwierdziła spokojnie Kennedy. — Sam pan wie, że

o mały włos zgubilibyśmy *Amity*.

Ferrol spojrział na nią uważnie. Jej głos i wyraz twarzy były, jak zwykle, niewzruszone. Zaczął się zastanawiać, czy ona w ogóle boi się czegokolwiek.

— Pewnego dnia — powiedział wściekle — coś we wszechświecie wyprowadzi panią z równowagi. Chciałbym tego doczekać.

— Już lepiej — skinęła głową z lekkim uśmiechem. — Gniew nie paraliżuje tak jak strach. Nie utrudnia konstruktywnego myślenia.

— Skąd pani wie? — odburknął, lecz złość już minęła.

Mimo urazy spowodowanej jej nie ukrywaną wyższością, musiał przyznać Kennedy rację. Westchnął głęboko i zabrał się do analizy parametrów dostarczanych przez instrumenty pomiarowe. W pierwszych minutach szaleńczej ucieczki, Quentin powoli, lecz nieustannie zwiększał przyspieszenie. Od pewnego czasu zaczął jednak znowu zwalniać.

— Wwis-khaa — zawołał Ferrol, odwracając się przez ramię. — Dlaczego Quentin tak wolno się porusza?

— Quentinninni jest coraz bardziej zmęczony — powiedział Tamples dziwnym tonem...

Ferrol odwrócił głowę, żeby spojrzeć mu prosto w twarz. Wystarczyło to jedno spojrzenie.

— Wwis-khaa musi odpocząć. Sso-ngii! Trzeba go zmienić — powiedział zdecydowanie.

Sso-ngii wstał i przez moment bezradnie rozglądał się wokół. Potem otrząsnął się jak mokry pies i sięgnął po hełm. Przyglądał mu się przez chwilę, a potem niepewnie założył na głowę.

— Obaj są już potwornie zmęczeni — mruknęła Kennedy.

— Wiem o tym. Ile mamy czasu do spotkania z *Amity*?

— Około pięćdziesięciu minut. Czy mam wezwać jednego z operatorów z łodzi ratunkowej?

Skinął głową.

— Mam nadzieję, że któryś będzie jeszcze w dobrej formie. Kilku jest na pewno wykończonych walką z rekinem.

Kennedy usiadła przy pulpicie i włączyła nadajnik. Ferrol jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie i spoglądał w przedni iluminator. Quentin, oddalony o pół kilometra, wyglądał jak ciemna plama na tle gwiazd. Gdzieś przed nim, niewidoczne z tej odległości, znajdowało się stado sępów ze swoją przekłętą siecią optyczną.

Dwadzieścia siedem kilometrów oddzielało lądowik od zapory, którą Roman chciał jak najszybciej pokonać.

— Jeden z Tamplesów może nam pomóc, jeśli dostosujemy naszą prędkość do prędko-

kości łodzi — zameldowała Kennedy. — Kapitan Roman też ma kłopoty z operatorami, ale jednego może nam przysłać.

— Całe szczęście! — odetchnął Ferrol. — W przeciwnym razie musielibyśmy pozbyć się Quentina.

Na monitorze steru ukazał się wykres kursu *Amity* z zaznaczonym przewidywanym miejscem spotkania. Nagle coś zaniepokoiło Ferrola.

— Czy pani sama wyznaczyła punkt spotkania? — zapytał.

— Nie, robiła to Yamoto razem z Tamplesami. Czy coś się nie zgadza?

Wskazał na wykres.

— Zastanawiam się, dlaczego *Amity* ma się zatrzymać aż tak daleko?

Kennedy wzruszyła ramionami.

— A dlaczego nie? Nie ma potrzeby bliższego kontaktu, zwłaszcza że konie denerwują się ze względu na rekina.

„Denerwują się?” — przez kilkanaście sekund Ferrol zastanawiał się nad tym określeniem, wlepiając wzrok w monitor.

— Czy dlatego potrzebujemy pół kilometra liny, która dzieli nas od żrebaka? — zapytał. — Nie chcemy go denerwować?

Kennedy spojrzała na niego zdziwiona.

— Nie jestem pewna, czy dobrze pana zrozumiałam.

— Chyba tak — powiedział. — Może nigdy się pani nad tym nie zastanawiała, ale na pewno pani wie, o co chodzi.

Przypomniał sobie wykłady z biologii: stado morskich ptaków siedzących na falochronie zawsze zachowuje odstęp między sobą, wyznaczając je z wojskową niemal precyzją.

— To przecież jasne: konie kosmiczne nie są istotami społecznymi. Nie poruszają się w grupach, nie tworzą rodziny ani stada. Nie zbliżają się do siebie, nawet wówczas, gdy dochodzi do przypadkowego spotkania.

Kennedy zamyśliła się.

— Ma pan rację — odpowiedział powoli. — Za każdym razem, gdy przyjmowaliśmy poród, matka od razu porzucała żrebaka, a ten jak najszybciej oddalał się od łodzi myśliwskich. Ciekawe, dlaczego?

Z zainteresowaniem spojrzała na Quentina, który z tej odległości wyglądał jak czarna dziura w gwiazdzistym niebie.

Ferrol uśmiechnął się cierpko.

— No właśnie. Kapitan nie ma racji myśląc, że trzeba koniecznie odpędzić sępy albo uciec przed nimi. Wystarczy po prostu je zmylić. — Wskazał głową Quentina. — Zdaje się, że wiem, jak to zrobić.

ROZDZIAŁ 21

Ferrol utkwiał wzrok w iluminatorze i całym ciałem przygotowywał się do łagodzenia wstrząsów, przed którymi ostrzegali go Tamplesi. Na razie jednak nic złego się nie działo, a Quentin, wbrew oczekiwaniom, zachowywał się spokojnie. Chwilami tylko liny upręży, dotykając burty lądownika, lekko się żarzyły.

— Lądownik, wszystko gotowe! — nagle usłyszał głos kapitana. — Łodzie wracają! Dopóki nie znajdą się w hangarze, będziemy osłaniać je laserem. Im dłużej zatrzymamy sępy, tym większa szansa ucieczki.

Ferrol z trudem powstrzymał się od złośliwej riposty. Wiedział, że Roman przyjął jego propozycję z ogromną rezerwą, ponieważ przypuszczalnie nie chciał narazić się Tamplesom, mimo że żaden z nich otwarcie nie zaprotestował. Tym razem wystarczyły tylko niechętne półsłówka.

— Lekko dryfujemy! — głos Kennedy przerwał gorzkie rozmyślenia.

Z ociąganiem wrócił do rzeczywistości. Mimo wszystko, musiał z nimi współpracować...

— Ppla-zii, podciągnij Quentina w stronę lądownika! — zawołał, odwracając głowę.

Za jego plecami, pomiędzy Demothim a drzemiącym Wwis-khaa, siedział nowy operator. Spojrzawszy na niego, Ferrol pożałował, że w ogóle go tu sprowadził. Twarz operatora wykrzywił grymas bólu, przerażający nawet u Tamplesa.

— Twoje życzenia są... moimi.

— Ppla-zii, co się stało?

— Quentinninni jest... zaniepokojony — powiedział Tamples stłumionym głosem.

Ferrol spojrział na Kennedy.

— Co to znaczy? — zapytał.

Ppla-zii dwa razy otworzył usta, zanim wreszcie przemówił.

— Wytrzyma... jeśli to konieczne.

— Postaramy się skończyć jak najszybciej — mruknęła Kennedy.

Ferrol skinął głową i odwrócił się do pulpitu.

„Może obawy Tamplesów rzeczywiście są choć trochę uzasadnione...”, pomyślał.

— Ładownik do *Amity*: kapitanie, niech pan lepiej pośpieszy się z tymi łodziami.

— Co się dzieje z Quentinem? — zapytał Roman.

— Ppla-zii twierdzi, że Quentin jest zaniepokojony. Cholera wie, co to znaczy? — odpowiedział Ferrol nerwowo.

— Prawdopodobnie właśnie to, co powiedział Ppla-zii: zaniepokojony. Zwłaszcza że Bbri-whoop powiedział to samo o Man o'War. — Roman zamilkł na chwilę. — No do brze, za dwie minuty łodzie będą w hangarze. Nie możemy czekać dłużej.

— W porządku! — Ferrol nachylił się w stronę iluminatora.

Man o'War płynął z lewej strony Quentina, oddalony od niego tylko o sto metrów. W świetle dalekiego słońca wyglądał jak potężna, jasnoszara bryła kamienia.

— Ppla-zii, słyszałeś, co powiedział kapitan. Wykonaj to! — Ferrol ponaglił Tamplesa.

— Twoje życzenia są... moimi.

Ferrol usiadł w fotelu i włączył monitor taktyczny. Sieci optyczne tkwiły naprzeciw koni jak dwie przyczepione do nich jasne łąty.

— Quentin zaczyna się obracać! — zameldowała Kennedy.

— Przyjąłem — odpowiedział Roman. — Sępy naśladują manewr.

Ferrol skinął głową w milczeniu. Ładownik, ciągnięty przez żrebaka, obracał się powoli w kierunku stada, zasłaniającego widoczność drugiemu koniowi. Jeszcze tylko kawałek...

— Już! — zawołała Kennedy. — Okay, Ppla-zii, wycofaj się trochę!

Ferrol wstrzymał oddech... Quentin powoli odwracał się od Man o'War, ale niestety, wraz z nim odwracały się sępy.

— Cholera, trzeba było dopuścić go bliżej!

— Obawiam się, że ma pan rację — Roman zgodził się niechętnie. — Jednak nie jestem pewien. Rrin-saa?

— To byłoby niebezpieczne — powiedział cicho Tamples. — Manawanninni okazuje już objawy stresu.

— Czy pod wpływem stresu ma zamiar dać się zjeść? — krzyknął zniecierpliwiony Ferrol.

— Komandorze, niech pan da spokój! — rzekł ostro Roman. — Jeśli stracimy kontrolę nad koniem, ucieczka i tak się nie uda.

Ferrol skrzywił się.

— Kapitanie, z należnym szacunkiem...

— Ffe-rho ma rację — wtrącił Rrin-saa. — Dla bezpieczeństwa Manawanninni i własnego musimy spróbować.

— Oraz dla bezpieczeństwa niewinnych myszek w laboratorium — mruknął Ferrol pod nosem. — No już, Ppla-zii: zbliżmy się do Man o'War jeszcze ze dwadzieścia pięć

metrów.

Nakłanianie konia zajęło prawie pięć minut. W końcu okazało się, że cały wysiłek Ppla-zii poszedł na marne. Sępy utrzymały swoje sieci naprzeciw obydwu koni.

— W każdym razie, jesteśmy na tropie — stwierdziła Kennedy. — Tym razem ledwo nadążały za manewrem Quentina.

— Przynajmniej to nam się udało — mruknął Ferrol. — Niestety skończył się zapas liny. Nie możemy podejść bliżej.

Czuł, że twarz pali go z gniewu i rozczarowania. Miał przecież taki doskonały pomysł!

— Nie wolno tak szybko rezygnować! — skarcił go Roman. — Skoro stwierdziliśmy, iż sępy potrafią rozdzielić dwa konie ustawione do siebie bokiem, to rzeczywiście nie ma sensu próbować raz jeszcze tego samego tak samo. Myślę jednak, że możemy ustawić je inaczej.

Ferrol zmarszczył brwi.

— Jednego za drugim?

— No właśnie! Wyślemy wam dłuższą linę. Odetniecie uprząż łączącą was z Man o'War i ustawcie Quentina za nami.

Ferrol popatrzył pytająco na Kennedy, która spojrzeniem potwierdziła jego wątpliwości.

— Kapitanie, silnik *Amity* będzie zbyt gorący, nawet jeśli Quentin osłoni nas z przodu.

— Oczywiście — zgodził się Roman. — Odetniecie linę, gdy tylko umocujemy jej koniec przy hełmie kontaktowym. Jeśli Man o'War i Quentin ustawią się w rzędzie, być może sępy dadzą się oszukać i pomyślą, że jest tylko jeden koń.

— Kapitanie! — przerwał Marlowe. — Pojawił się rekin! Zmierza wprost na nas! O Boże, robi prawie osiem G!

Kennedy westchnęła, pochylając się nad klawiaturą.

— Widocznie w końcu zorientował się, o co nam chodzi — powiedziała ponuro. — ETA... Kapitanie, zdaje się, że nie zdążymy wysłać łodzi.

Ferrol popatrzył na monitor taktyczny i szybko wykonał własne obliczenia. Kennedy miała rację... Pozostawała im tylko jedna możliwość.

— Ustawimy się w jednej linii — powiedział do Romana. — Wślizgniemy się z Quentinem pomiędzy *Amity* a waszego konia.

Roman odpowiedział natychmiast, jakby wcześniej przemyślał już to rozwiązanie.

— Nie da rady. Wasza lina jest umocowana w ten sposób, że Quentin zostałby ściągnięty co najmniej dwadzieścia metrów bliżej w kierunku Man o'War. Nie uda się wam nakłonić go do tego.

— Nie mamy takiego zamiaru — powiedział Ferrol, analizując schemat uprzęży:

załamania, punkty podparcia. — Chcemy tylko, żebyście popędzili waszego konia do przodu. Wtedy znów znajdziemy się na końcu liny i zajmiemy odpowiednią pozycję.

— Pod warunkiem, że Quentin nie wpadnie w panikę — powiedział Roman.

— Czy mamy jakąś inną możliwość? — odciął się Ferrol.

— Właściwie nie mamy żadnej — kapitan zgodził się niechętnie. Rrin-saa, słyszałeś wszystko. Powiedz Bbri-whoo, żeby szturchnął trochę Man o'War.

Przez chwilę nic się nie działo. Jednak po kilku sekundach ogromne cielsko drgnęło.

— Ruszył się — mruknął Ferrol.

— Lina naprężona — zameldowała Kennedy. — Man o'War przybliżył się powoli.

Lądownik lekko zadrżał. Ferrol zamarł w oczekiwaniu, lecz Quentin nie spłoszył się. Minutę później, wraz z lądownikiem wcisnął się w kilometrową lukę pomiędzy *Amity* a Man o'War. Ferrol odetchnął z głęboką ulgą.

— *Amity* Jesteśmy za wami! Jak tam sępy?

— Trzymają się z przodu — odpowiedział Roman. — Jednak wyraźnie rozproszyły się, nie tworzą już dwóch odrębnych skupisk. Może wreszcie się udało?

— Zaraz zobaczymy — powiedział Ferrol. — Okay, Ppla-zii, obróć trochę Quentina. Tamples nie odpowiadał.

— Ppla-zii? — Ferrol odwrócił się zdziwiony. — O, do diabła!

— Co? — zapytał Roman.

— Nie jestem pewien — mruknął Ferrol. — Demothi, niech pan zobaczy!

Demothi pochylił się nad Tamplesem.

— Nie mam żadnych wątpliwości — stwierdził drżącym głosem. — To „perasiata”, rodzaj głębokiego snu czy śpiączki.

— Dobrze wiemy, co to znaczy „perasiata”! — zdenerwował się Ferrol.

W tym przypadku oznaczała brak kontroli nad Quentinem. Roman pomyślał nagle o tym samym.

— Rrin-saa! — zawołał. — Rrin-saa, co się dzieje? Czy Man o'War jest przytomny?

— Nie — powiedział Rrin-saa z zadziwiającym spokojem. — To już koniec. Zamknął się cykl jego życia.

— Nie mamy zamiaru rezygnować — przerwał szorstko Roman. — Marlowe, uderz konia strumieniem z lasera, może się ocknie.

— Strata czasu — mruknął Demothi jakby do siebie.

— Niech pan znajdzie inne wyjście — burknął Ferrol. — Pan jest naszym ekspertem od Tamplesów. Niech pan powie, jak oni budzą towarzyszy?

— Wcale ich nie budzą — powiedział cierpko Demothi. — Po prostu pozwalają działać prawom natury.

Ferrol wzruszył ramionami. Oczywiście! Co innego mogliby robić Tamplesi?!

— Tym razem natura przybrała postać drapieźnika, który zbliża się z przyspieszeniem ośmiu G — wtrąciła Kennedy. — Może spróbujemy obudzić Ppla-zii wstrząsem elektrycznym poprzez linę uprzęży?

Ferrol potrząsnął głową.

— Uważam, że to bez sensu. Słabego wstrząsu Ppla-zii nie poczuje, a silniejszy mógłby mu zaszkodzić.

Kennedy zastanowiła się.

— A może wstrząs fizyczny? — zaproponowała. — Na przykład lekkie zderzenie z Quentinem?

Ferrol obejrzał się za siebie. W odległości niecałych dwustu metrów zobaczył błyszczący dziób *Amity*.

— Jesteśmy trochę za blisko, żeby włączyć napęd. Prawda, kapitanie?

— Nie przejmujcie się lakierem *Amity*. Możecie śmiało spróbować!

— Tak jest! — Palce Kennedy poruszały się po pulpicie, wciskając kolejno dziesięć przycisków, uruchamiających napęd. — Jedziemy!

Ładownik ruszył do przodu, nabierał prędkości... Sekundę później uderzył w tylną część ciała Quentina.

— Ppla-zii? — wykrztusił Ferrol, oszołomiony gwałtownym wstrząsem.

Demothi wpatrywał się w pozbawioną wyrazu twarz Tamplesa. W końcu zrezygnowany potrząsnął głową.

— Niedobrze. Nadal jest nieprzytomny.

Ferrol zaklął cicho i odwrócił się do monitora. Rekin przeszedł w fazę opóźnienia, najprawdopodobniej szykował się do ataku. Przy stałym opóźnieniu ośmiu G, za trzy minuty będzie w zasięgu telekinezy.

— Niech pan spojrzy na sępy — powiedziała nagle Kennedy.

Ferrol odwrócił wzrok od rekina. Natychmiast zauważył, że wskutek uderzenia Quentin wysunął się o kilka stopni zza cielska Man o'War. Po raz pierwszy sępy nie podążyły za nim!

Ratunek nadszedł za późno...

— Wspaniale! — Ferrol skrzywił się ironicznie. — Cieszymy się! Szkoda, że nie mamy szampana!

— Niech pan przestanie! — wybuchnęła Kennedy. — Mamy dwie i pół minuty na obudzenie operatora. Wykorzystajmy ten czas!

Ferrol zacisnął szczęki aż do bólu. Kennedy miała rację. Sekundy mijały, a oni ciągle nie mogli nic wymyślić. Za dwie minuty rekin może zaatakować...

— Zmierza wprost na nas — szepnęła Kennedy w napięciu. Nie chciała się poddać.

— Może w końcu odezwie się u Quentina instynkt samozachowawczy?

— Obawiam się, że konie są podobne do Tamplesów... — mruknął Ferrol. — W każdej

chwili gotowe przewrócić się i umrzeć.

Przerwał nagle i uderzył się dłonią w czoło.

— Tak jest! No właśnie, one są jak Tamplesi! Te dwa gatunki nie są drapieżnikami!

— Nic nie rozumiem...

— Demothi! — przerwał Ferrol. — Niech pan natychmiast założy hełm!

— Ładownik! — odezwał się ostro Roman. — O co chodzi?

— Jest szansa na poruszenie Quentina! — krzyknął Ferrol.

Demothi mocował się z hełmem, ściągając go z głowy Ppla-zii. Robił to stanowczo zbyt wolno!

— Myślę — wyjaśniał Ferrol gorączkowo — że Quentin SKOCZYŁ wówczas ze strachu przed Demothim, ponieważ wyczuł w nim drapieżnika. Może teraz znów się przestraszy... — nim zdążył dokończyć, poczuł w ustach smak krwi. Przygryzł sobie język, gdy żreback całą siłą pociągnął ładownik.

Po chwili rozbłysła przed nimi biało-niebieska gwiazda. Lekka błyszcząca mgiełka otoczyła Quentina jak aureola. Uciekli!

Zlokalizowanie pojazdu i wyznaczenie trasy powrotu do Cordonale zajęło Kennedy i jej ludziom niecałą godzinę. Dwa razy dłużej Rrin-saa i jego załoga zastanawiali się, co zrobić z Quentinem.

— Nie rozumiem — powiedział Roman. Prześlizgnął się wzrokiem po Rrin-saa i zatrzymał spojrzenie na Sso-ngii i Hhom-jee, którzy siedzieli spokojnie obok siebie. Obaj mieli na głowach hełmy kontaktowe połączone z kabiną operatorów.

— Sądziłem, że stanowczo sprzeciwiacie się uwolnieniu Quentina?

— Nie chcieliśmy wydać go rekinowi — wyjaśnił Tamples — Teraz już nie ma niebezpieczeństwa.

— Dlaczego więc chcecie go wypuścić?

— Ponieważ jest ranny — odpowiedział Rrin-saa. — Nie na ciele, lecz w głębi swojej istoty.

— Tym bardziej trzeba go stąd zabrać — Roman upierał się. — Twój operatorzy na pewno potrafią mu pomóc.

— Nie chodzi o pomoc — zaskowyczał smutno Tamples. — Chodzi o kredyt zaufania.

Roman wzruszył ramionami.

— Przykro mi, ale nic nie rozumiem. Przecież nie jesteście winni temu, co się stało.

— Rro-maa, wzięliśmy Quentina na służbę. Przywiązaliśmy go do statku i przemawialiśmy do głębi jego mózgu. W zamian za to obiecaliśmy mu opiekę i obronę. Tymczasem naraziliśmy go na wielkie niebezpieczeństwo. Wywołaliśmy u niego tak głęboki uraz, że zapadł w perasiata. — Tamples westchnął ciężko. — Nie możemy udawać, że nic się nie zdarzyło.

Roman zmarszczył brwi. — Okoliczności zmusiły nas do tego.

— Musimy spełnić obowiązek — odrzekł krótko Rrin-saa.

Roman zaniepokoił się. Senat i Siły Gwiazdne z pewnością będą mieć pretensje. Pocieszał się myślą, że w Programie Amity podkreślano wielokrotnie konieczność podporządkowania się Tamplesom w decyzjach dotyczących zdrowia koni kosmicznych. To powinno go usprawiedliwiać.

— W porządku! Może lepiej pozostawić Quentina bez uprzęży? Jeśli chcesz, rozwiążemy go w ciągu godziny. Musimy tylko przygotować łódź.

— Zgoda. Dziękuję, Rro-maa — ucieszył się Tamples.

Godzinę później Roman obserwował z pomostu, jak Quentin żwawo oddala się w czarną przestrzeń.

Kapitan zastanawiał się, czy porozumienie z Tamplesami w ogóle jest możliwe, skoro tak bardzo różnią się od ludzi.

ROZDZIAŁ 22

Dwadzieścia cztery godziny później rozpoczęły się przesłuchania, tym razem jednak nie w komfortowym budynku parlamentu Solomona, lecz w ponurym i surowym wnętrzu krążącego po orbicie ziemskiej okrętu wojennego *CSS Defiance*. Jeśli na Solomonie reprezentacje Sił Gwiezdných i Senatu miały mniej więcej taką samą liczbę członków, to na *Defiance* zdecydowanie przeważali wojskowi, którzy zdominowali wszystkie posiedzenia. Udział cywilów ograniczał się na ogół do uważnego słuchania. Zgodnie z przewidywaniami Ferrola, jednym z cywilów był Senator.

Przez pierwsze trzy dni nie mieli czasu na rozmowę w cztery oczy. Ferrol był zajęty wywiadami z załogą. Niekiedy towarzyszył mu Roman, Kennedy lub Tenzing. Noce też były wypełnione: męczyły go sny o rekinach i sępach. Śnił mu się także Prometeusz. Znalazł się przecież na tej samej *Defiance*, która niegdyś pozbawiła go rodzinnego domu. Zastanawiał się, czy wybór tego szczególnego pojazdu był głupim żartem, czy nieporozumieniem.

W ciągu tych pracowitych dni i niespokojnych nocy niecierpliwie oczekiwał na wezwanie Senatora. Czwartego dnia znudził się oczekiwaniem.

— Bardzo mi przykro — powiedział Stefain Reese z uprzejmą stanowczością. — Senator jest w tej chwili naprawdę bardzo zajęty.

— Chciał się ze mną zobaczyć — upierał się Ferrol, wykręcając szybę, by przez półotwarte drzwi zajrzeć do biura.

Dostrzegł Senatora pochłoniętego rozmową z jakimś cywilem i dwoma wojskowymi w ciężkich od odznaczeń mundurach.

— Proszę przekazać, że czekam tutaj.

Po chwili wahania Reese podniósł słuchawkę telefonu i powiedział coś ściszym głosem. Ferrol wyteżył słuch. Nie mógł odróżnić słów, lecz zorientował się, że Senator jest zaniepokojony.

— Senator polecił panu wrócić do siebie i czekać na wezwanie.

W mózgu Ferrola odezwał się sygnał alarmowy.

„Chcą mnie wykiwać. Przecież już za dwie godziny wracamy na *Amity*”.

— Nie mogę dłużej czekać — powiedział do Reese’a. — Proszę przekazać Senatorowi, że daję mu minutę czasu na wyprowadzenie gości. Jeśli tego nie zrobi, wejdę tam bez pukania i opowiem wszystko przy świadkach.

Reese obrzucił obrzucił go długim, uważnym spojrzeniem, jakby zastanawiał się, czy warto wezwać Służbę Bezpieczeństwa. Nie wytrzymał jednak spokojnego wzroku Ferrola i zdecydował się porozmawiać z Senatorem.

— Senator zgodził się — mruknął po chwili.

Ferrol skinął głową i zaczął w myślach odliczać sekundy. Gdy doszedł do pięćdziesięciu pięciu, drzwi otworzyły się. Goście Senatora wyszli, nie patrząc w jego stronę. Senator stanął w drzwiach. Po wyjściu ostatniego gościa, skierował wzrok na Ferrola. Jego spojrzenie było zimne i pozbawione śladu jakichkolwiek emocji.

— Dzień dobry, komandorze! — w głosie również nie było słyhać podniecenia. — Niech pan wejdzie!

Ferrol w milczeniu wszedł do biura. Tym razem Senator dokładnie zamknął drzwi.

— Przeszkodził mi pan w ważnym zebraniu — powiedział niecierpliwie i usiadł przy eleganckim, metalowym biurku.

— Za dwie godziny opuszczam *Defiance* — powiedział Ferrol, skutecznie panując nad głosem.

Nie miał zamiaru dać się zepchnąć na pozycję obronną.

— W ciągu następnych dwunastu godzin *Amity* otrzyma rozkazy i cała sprawa pójdzie w zapomnienie. Bóg wie, na jak długo. Przerwanie zebrania było niestety jedynym sposobem, żeby z panem porozmawiać.

Senator uniósł brwi.

— Dlaczego pan uważa, że powinniśmy porozmawiać?

Ferrol aż zaniemówił ze zdziwienia.

— Nic nie rozumiem — odezwał się wreszcie.

— A zatem, Chayne, wyjaśnię panu krótko. Został pan zwolniony ze służby.

— Co? — wykrztusił zupełnie zbity z tropu. — Dlaczego?

— Czy to ważne? — Senator wzruszył ramionami.

Ferrol przełknął ślinę. Oczy zasły mu łzami. Znow poczuł się jak dziecko stojące przed zagniewanym ojcem, który odpycha je ze wzgardą.

Opanował się jednak. Nie był dzieckiem, a siedzący obok mężczyzna nie był jego ojcem.

— Tak. To ważne — powiedział, nerwowo szcękając zębami. — Przez wiele lat byłem jednym z najlepszych agentów.

— Najlepszych? — Senator lekko odchrząknął. — Niech pan sobie nie pochlebia. To prawda, że czasem był pan pożyteczny, ale do najlepszego to panu daleko. Praca agenta wymaga wielu lat doświadczeń. Chyba nieco więcej niż pan żyje na tym świecie.

— Dlaczego nie mogę zdobyć tego doświadczenia? — zapytał Ferrol.

Poczucie bezradności zmieniło się w bezsilny gniew.

— A przede wszystkim to jest kwestia zaufania — Senator wreszcie odkrył karty.

Chyba zorientował się, że inne metody nie skutkują.

— Jeśli agent oferuje przeciwnikowi poufne informacje... no cóż, sam pan chyba rozumie, że to go dyskwalifikuje.

— Byliśmy wówczas w śmiertelnym niebezpieczeństwie — Ferrol zrozumiał w końcu aluzję Senatorsa. — Wolałby pan, żeby pożarł nas rekin, a dane Kheslava przepadły na zawsze?

— Kapitan Roman twierdzi, że te dane nie miały specjalnego znaczenia.

— To prawda, nie na wiele się przydały — przyznał Ferrol. — Nie mogłem jednak wiedzieć o tym wcześniej.

— Chyba nie... Jest jednak faktem, że pakiet danych stanowi prywatną własność i że nie miał pan prawa do kopiowania.

— I to ma być prawdziwa przyczyna degradacji — wykrztusił Ferrol. — Przekazanie panu nielegalnie uzyskanych materiałów.

Oczekiwał, że Senator zareaguje gniewem albo przynajmniej zniecierpliwieniem, co pozwoliłoby mu ustosunkować się do zarzutów. Łagodność Senatorsa wydawała się upokarzająca.

— Nielegalne informacje? Ależ Chayne, jeśli materiały nie pochodzą z obszarów zastrzeżonych, nie można uważać ich za nielegalne. A przekazanie ich? Toż to absurd! Mam dużo lepsze źródła — Senator potrząsnął głową. — Nie, Chayne, „prawdziwa przyczyna”, jak pan to ujął, nie jest w ogóle związana z pańską dotychczasową działalnością ani nawet z brakiem zaufania. Powiedziałem o danych Kheslava tylko po to, by wyrazić niezadowolenie z pańskiego postępowania. Prawdziwa przyczyna... — Senator zrobił dramatyczną pauzę... — leży w tym, że wygraliśmy.

Ferrol z irytacją wzruszył ramionami.

— Jak mam to rozumieć? Co wygraliśmy?

— Oczywiście naszą bezkrwawą, nie wypowiedzianą wojnę z Tamplesami — wyjaśnił Senator. — Odkryliśmy, że rekiny mogą uniemożliwić poruszanie się przy pomocy koni kosmicznych. Pan przecież wie najlepiej, co rekiny robią z końmi.

— Pewnie, że wiem — po wiedział Ferrol. — To jasne, że rekiny nie zniknęły na zawsze w ubiegłym tygodniu i nadal będą atakować konie kosmiczne. Przynajmniej w tej okolicy. No i co z tego?

— Sama obecność rekinów nie jest aż tak bardzo ważna. Chodzi raczej o dziwaczne poczucie odpowiedzialności Tamplesów. Otóż, według kapitana Romana, jeśli Tamplesi uznają, że nie wypełnili wobec konia swoich zobowiązań, skłonni są wypuścić go na wolność. Jeśli w ogóle można mówić o zobowiązaniach wobec istot pozbawionych inte-

ligencji — dodał pogardliwie.

„Dlatego Roman i Rin-saa uwolnili Quentina”, zrozumiał wreszcie Ferrol.

Kapitan nie chciał wyjaśnić mu tej decyzji. Jeśli Tamplesi nie zmieniają swoich zasad, rekiny mogą w odpowiednich warunkach uniemożliwić ich poruszanie się w kosmosie.

— Co pan zamierza? — zapytał Senatora. — Złapać rekina i wciągnąć go do zagrody w systemie Kialinninni?

Senator uśmiechnął się lekceważąco.

— Wbrew pańskim podejrzeniom, mam trochę zdrowego rozsądku — powiedział surowo. — Nie sądzę, żebyśmy musieli używać tak drastycznych i niebezpiecznych środków. Rekiny są drapieżnikami, a drapieżniki potrafią odnaleźć swoją zdobycz. Z czasem same trafią do systemu Kialinninni.

— W ten sposób nic nie zyskamy.

— Dlaczego?

— Konie kosmiczne nie będą służyć ani nam, ani Tamplesom. Oni będą skazani na przebywanie w obrębie swoich systemów, a my na ślimacze tempo Mitsuushi.

Senator skrzywił się.

— Mamy przecież swoje gwiazdy.

— Tylko kilka. Niewiele.

— To wystarczy — powiedział Senator tonem perswazji. — Planety znajdujące się w naszym zasięgu mogą okazać się bardzo interesujące. Tym bardziej że Tamplesi nie będą mogli się wtrącać.

Ferrol przypomniał sobie fascynujące odkrycia dokonane podczas pierwszej wyprawy *Amity*, które ze względu na fenomen narodzin Pegaza pozostały nie docenione w oficjalnych raportach i w opinii publicznej.

— Racja, mamy dość przestrzeni. Nie powinniśmy jednak rezygnować z pozostałych obszarów. Być może, to nie jest wcale konieczne — westchnął ciężko. — Wiedząc o istnieniu rekinów, potrafimy wyjaśnić niepowodzenia Demothiego i innych, którzy kiedykolwiek próbowali kierować kosmicznymi końmi.

— Tak, znam pańską teorię lęku przed drapieżnikiem — powiedział Senator. — Powtarza ją pan do znudzenia. Co pan w końcu chce zaproponować? Żeby Demothi ujeżdżał rekina?

Ferrol przełknął ślinę. Plan opracowany w najdrobniejszych szczegółach, przemyślany dokładnie w ciągu ostatnich dwóch dni, nie mógł przejść mu przez gardło. Senator naprawdę nie interesował się możliwością wykorzystania koni kosmicznych przez Cordonale. Zadowolili się unieszkodliwieniem Tamplesów i nie pragnął niczego więcej. Odniósł już swoje małe zwycięstwo. Ferrol mógł tylko żałować, że nie wiedział o tym wcześniej.

— Zdaje się, że nie mamy o czym rozmawiać — powiedział ponuro.

— Od początku tak uważałem — przypomniał Senator, podnosząc się z fotela.

— A teraz, jeśli pan pozwoli...

Ferrol nie ruszał się.

— Domyślam się, że nadal jestem członkiem załogi *Amity*. Chociażby dlatego, że degradacja mogłaby wzbudzić niezdrową sensację. A co z moim statkiem?

— Z jakim statkiem? — zdziwił się Senator. — Aha, myśli pan o *Scapa Flow*. O co właściwie panu chodzi?

— Powiedział pan, że w czasie mojej służby na *Amity Scapa Flow* będzie wykorzystywana jako pański prywatny statek kurierski — przypomniał Ferrol niecierpliwie.

— Czy ta umowa nadal obowiązuje, czy też członkowie załogi zostali już zwolnieni?

Senator popatrzył na niego z niechęcią.

— Nigdy dotąd nie byłem zmuszony pertraktować z człowiekiem, który usiłuje wsunąć stopę między drzwi, zanim zdążą się przed nim zatrzasnąć — powiedział wyniośle.

— Nie mam zamiaru wkładać stopy między drzwi — odpowiedział Ferrol tym samym tonem. — Dbam tylko o interesy mojej załogi. Musi im pan zapewnić jakieś wynagrodzenie, przynajmniej dopóki będę pracował dla pana na pokładzie *Amity*.

Senator skinął głową z pogardliwym uśmiechem.

— Nic im nie jestem winien, ale mogę pójść na ustępstwo i przedłużyć umowę. Czy to pana satysfakcjonuje? — dodał z ironią.

— Tak, Senatorze! — zgodził się Ferrol. — Dziękuję i do zobaczenia.

Ruszył w kierunku drzwi. Chciał już wyjść, lecz Senator powstrzymał go.

— Chayne?

Ferrol odwrócił się.

— Tak, słucham?

— Na pańskim miejscu — powiedział Senator — nie liczyłbym na przedłużenie kontraktu.

Ferrol spojrział na niego zdumiony.

— Nie rozumiem...

— Kiedyś pan zrozumie! — Senator uśmiechnął się zagadkowo.

Dwie godziny później Ferrol wraz z resztą załogi opuścił *Defiance*. Droga powrotna była wystarczająco długa, aby ze spokojem zastanowić się nad słowami Senatora.

Na *Amity* Ferrol udał się niezwłocznie do głównej kabiny komunikacyjnej i nadał krótki, dokładnie przemyślany szyfrogram. Mimo niebotycznych kosztów przekazu informacji nadbiorniki tachionowe bywały tak przeciążone, że często na dostęp do przekaźnika trzeba było czekać nawet dwadzieścia cztery godziny. Ferrol miał jednak szczególne uprawnienia jako oficer operacyjny Sił Gwiezdných. Po kilkudziesięciu minutach otrzymał z Ziemi potwierdzenie, że wiadomość dotarła do *Scapa Flow*.

Od tej chwili postanowił działać na własną rękę, nie oglądając się na żadną pomoc. Niech Senator robi, co chce!

ROZDZIAŁ 23

Przez następne cztery dni *Amity* krążyła po orbicie ziemskiej, czekając na rozkazy. Załoga sprzeczała się zawzięcie, snując najśmielsze przypuszczenia co do swoich dalszych losów. Wbrew oczekiwaniom, rozkazy okazały się prozaiczne. *Amity* miała wrócić na Solomona po nowego konia, a potem czekać na poród kolejnego źrebaka.

Po otrzymaniu rozkazów, w ciągu godziny wrócili do systemu Solomona. Wkrótce *Amity* weszła na orbitę planety, gdzie spotkała się ze statkiem Tamplesów, który przywiózł nową ekipę i nowego konia o nazwie Sleipnir. Konie wymieniono bez większych trudności. Statek Tamplesów oddalił się, zabierając swoją załogę i Man o'War. Dawni operatorzy mieli pozostać jeszcze kilka godzin, aby udzielić wskazówek swoim zmiennikom. W przedziale Tamplesów panowało więc niezwykle ożywienie. Druga część statku była znacznie spokojniejsza. Wykonywano ostatnie testy i prowadzono leniwe rozmowy o niczym.

Sleipnir okazał się bardzo pojętny. Już po dwudziestu czterech godzinach potrafił współpracować z operatorem, choć spodziewano się, że początkowe trudności mogą potrwać nawet kilka dni. Nie bez znaczenia było również ogromne doświadczenie operatorów, uzyskane podczas dramatycznych wydarzeń na *Amity*.

W każdym razie, już nazajutrz *Amity* była gotowa do działania. I przez następne sześć tygodni krążyła bez celu po orbicie Solomona.

— Przepraszam, że pana budzę, kapitanie — odezwał się nieśmiało oficer dyżurny.
— Zasygnalizowano pilną wiadomość dla *Amity*.

— No trudno! — Roman przeciągnął się i przetarł dłonią oczy.

Pokonując senność, włączył wizję interkomu i obwód komunikacji laserowej.

— Stacja tachionowa Solomona! — zawołał. — Zgłasza się kapitan Roman! Odbiór!

— Przyjąłem! — stacja zgłosiła się po kilku sekundach.

Roman wpatrywał się w ekran, oczekując nowych rozkazów. Po chwili pojawił się następujący tekst:

DO STATKU BADAWCZEGO AMITY, SOLOMON
OD KOMANDORA STREFY PRZYGRANICZNEJ, PREPYAT:
SUPERPILNE SUPERPILNE — SUPERPILNE
EKIPA BADAWCZA LUDZI I TAMPLESÓW ZAGINEŁA NA NCL 9862
NATYCHMIAST LECIEĆ DO PREPYAT,
STAMTĄD DALEJ NA 9862, HOLUJĄC STATKI BADAWCZE ATLANTIS,
STARSEEKER I JNANA
DALSZE INFORMACJE ODEBRAĆ ZE STATKÓW
WICEADMIRAŁ MARCOSA, COMBOREX, PREPYAT CODE/VER 7882//S3
2:16 GMT///ESD 6 maja

Roman kilkakrotnie przebiegł wzrokiem treść depezy. Miał jak najgorsze przecucia.

— Czy to nowe rozkazy? — zapytał oficer z nie ukrywaną nadzieją.

Roman westchnął głęboko.

— Alarm dla operatora! — rozkazał. — Gdy tylko Sleipnir będzie gotowy, musimy SKOCZYĆ do Prepyat. Będziemy holować stamtąd trzy statki. Przygotować liny i łodzie holownicze! — zawahał się. — Proszę obudzić porucznik Kennedy! — zdecydował jednak. — Za piętnaście minut chcę ją widzieć na pomoście!

Trzy pojazdy stały nieruchomo tuż obok siebie w odległości stu metrów od *Amity*. Załoga łodzi numer jeden zakładała liny holownicze. Kennedy przystanąła obok fotela dowódcy i obserwowała, co się dzieje na ekranie.

— Co pani sądzi o tym wszystkim? — zapytał uprzejmie kapitan.

Wzruszyła ramionami.

— Nie mam najmniejszych wątpliwości — powiedziała z przekonaniem. — Już stąd widać, że lufy dział są odkryte. Poza tym, na normalnym statku badawczym nie umieszczano by takiego miotacza jonów, jak ten pod układem czujników na *Atlantis*. Po pierwsze, nie odpowiada normom, a po drugie, jest zbyt drogi, żeby podarować go byle komu.

Roman skinął głową. Niestety, miał takie same podejrzenia.

— Sądzi pani, że mamy do czynienia z jednostką wojenną?

— Tak, kapitanie. Najprawdopodobniej *Atlantis* jest niszczycielem albo lekkim krążownikiem, a dwa pozostałe statki to zamaskowane korwety.

— Okręt wojenny i jego obstawa... Czy coś wiadomo o samym systemie 9862?

— Chwileczkę, kapitanie — pochyliła się nad klawiaturą.

Na monitorze ukazała się mapa systemu z gwiazdą zaznaczoną jaskrawym maziem.

— Jest to niebiesko-biały gigant oddalony od Cordonale około sześciuset lat świetlnych. Zdaje się, że niczym się nie wyróżnia. W każdym razie, nikt się nim nie interesuje.

— Przynajmniej dotychczas — Roman zapisał napływające informacje. — Zauważyłem, że gwiazda przypomina wielkością i kształtem tę, od której odpędził nas rekin. Czy to tylko przypadek?

— To może być któryś Yishyar — zgodziła się Kennedy. — Za kilka godzin będziemy mieć pewność.

Zatrzeszczało radio. Zgłosiła się łódź numer jeden.

— Zakończyliśmy akcję. Wracamy!

— Przyjąłem — powiedział Roman i włączył nadajnik laserowy. — *Amity do Atlantis* Zgłoś się!

— Tu *Atlantis*, kapitan Lekander! Czekam na bliższe informacje! — Odpowiedź była natychmiastowa i bardzo stanowcza.

Sądząc po głosie i wyglądzie, Lekander nie był cywilem.

— Nasza łódź holownicza wróci w ciągu dziesięciu minut — sprecyzował Roman. — Wtedy będziemy mogli wziąć was na hol.

— W porządku! Najpierw jednak chciałbym coś panu wyjaśnić — powiedział po-błażliwie Lekander. — Ekipa badawcza, pracująca dotąd ściśle według harmonogramu, z niewiadomych przyczyn spóźnia się już sześć godzin. Musimy sprawdzić, co się z nimi stało.

— Jako cywilny statek badawczy? — zapytał Roman złośliwie.

Twarz Lekandera nie zmieniła się.

— Pańscy Tamplesi mogliby się nie zgodzić na użycie jednostki bojowej — wyjaśnił. — Zresztą, to nieważne.

Najważniejsze, żeby pan zrozumiał, że pański statek służy wyłącznie do transportu. Pod żadnym pozorem nie wolno panu ingerować w to, co może zdarzyć się w systemie. Będzie pan trzymał się w pobliżu i wszystko obserwował. Nie wolno się wtrącać! Umożliwimy wam obserwację przez kamerę teleskopową, którą przyślemy wam za chwilę. Proszę pamiętać, że pańskim zadaniem jest wyłącznie bierne uczestnictwo.

Roman popatrzył mu prosto w oczy.

— A jeśli w systemie pojawiają się sępy? — zapytał bez ogródek.

— Jest pan upoważniony do SKOKU do systemu 66082, gdyby nastąpiło bezpośrednie zagrożenie. System ten jest oddalony od miejsca postoju mniej więcej dwa lata świetlne. Po zakończeniu akcji dołączamy do was na Mitsuushi — wyjaśnił flegmatycznie Lekander. — Zresztą, bez trudu odgonimy sępy, jeśli będziemy musieli was opuścić.

Roman starał się panować nad sytuacją.

— Przewiduje pan taką możliwość?

Po twarzy Lekandera przemknął ledwo dostrzegalny cień uśmiechu.

— Rzeczywiście, chcemy was zostawić, ale nie musicie się niczego obawiać. Razem z kamerą wyślemy wam torpedę jądrową AA-26 średniego zasięgu. Tak na wszelki wypadek.

Po SKOKU okręty zostały odcepione od *Amity* i oddaliły się. Przez pewien czas były jeszcze widoczne przez dalekosiężny teleskop, lecz wkrótce zupełnie zniknęły.

Żałoga z zainteresowaniem oglądała teleskop i torpedę, którą kapitan Lekander przesłał im „na wszelki wypadek”. Po umieszczeniu torpedy wraz z wyrzutnią na zewnętrznym kadłubie, pozostały jedynie długie godziny meczącej bezczynności.

— Wygląda na to, że doskonale znają trasę — stwierdziła Kennedy, obserwując na monitorze kurs flotylli. — Nie tracą czasu na wytyczanie szlaku. Gnają wprost na asteroidy!

— Zupełnie jakby odbierali sygnały z zaginionego statku — zauważył Marlowe. — Ja za cholere nie mogę ich złapać!

— Może nadają na nietypowych częstotliwościach — powiedziała Kennedy. — Najprawdopodobniej jednak *Atlantis* kieruje się najprostszą drogą do wyznaczonego z góry celu. Gdy tylko wykona obrót, będziemy mogli określić punkt docelowy.

— Dlaczego nie wcześniej? — zapytał Ferrol. — Możemy przynajmniej wykreślić położenie toru, po którym porusza się *Atlantis*.

— Właśnie to robię — wtrącił Marlowe. — Na razie nie natrafiłem na żaden ślad zaginionego statku.

Na pomoście zaległo milczenie. Roman pomyślał o rekinach.

— Statek może być ukryty za asteroidami — starał się przekonać siebie i załogę. — Nie obawiajmy się najgorszego, zanim...

— Ruchomy obiekt! — wykrzyknął Marlowe. — Z prawej strony flotylli, w odległości mniej więcej czterystu kilometrów.

— Zobaczyli go! — dodała Kennedy. — Zmienili szyk, chyba chcą go ominąć... zbliżają się do niego!

— Czy mógłby pan zwiększyć ostrość? — zapytał Roman Marlowe'a, usiłując zidentyfikować zamazane kontury na ekranie. — Nie można odróżnić, czy to rekin, czy koń kosmiczny.

— Chwileczkę, kapitanie. Mam kłopoty z regulacją. Obraz rozjaśniał się i ciemniał, drgał i zanikał, zanim wreszcie uzyskał odpowiedni kontrast.

— Matko święta! — jęknął ktoś z przerażeniem.

— Proszę podać wymiary! — powiedział zdecydowanie Roman.

— Długość: prawie dwa tysiące sześćset metrów — odczytał Marlowe z ponurą miną. — Jest niemal o jedną trzecią dłuższy niż poprzedni rekin i ma dwa razy więk-

szą objętość.

W pierwszej chwili, kierowany nagłym impulsem Roman rzucił się do nadajnika, chcąc nadać sygnał alarmowy.

„To straszne, jeśli siła telekinezy rzeczywiście zależy od wielkości zwierzęcia...”, pomyślał przerażony. Opanował się jednak. Był najzupełniej pewien, że Lekander i tak nie odstąpi od swoich zamiarów.

— Czy w pobliżu są sępy? — zapytał tylko.

— Chyba nie — odpowiedział Marlowe. — Z całą pewnością nie ma sieci optycznych, przynajmniej na razie. Widocznie sępy wiedzą, że tam nie ma koni.

— Albo nie przyciąga ich siła telekinezy — dodał Roman. — W każdym razie...

— Strzelają laserem! — przerwał Marlowe. — Wszystkie trzy statki.

Roman spojrział na ekran radaru, na którym pojawiły się słabo widoczne smugi zjonizowanego gazu, zbliżające się do rekina.

— Ciekawe, jakiej broni używają?

— Trudno rozpoznać z tej odległości — odpowiedział Marlowe. — Jeśli mają lasery bojowe o dużej mocy, poradzą sobie z rekinem.

W tym momencie jeden z pocisków ugodził drapieżnika. Rekin natychmiast uskokzył w bok. Laser skorygował cel. Tym razem jednak od ciała rekina oderwało się coś w kształcie obłoku i osłoniło go przed ciosem.

— To sępy! — wykrztusił Marlowe.

— Zdaje się, że trafili w pierścień czuciowy — dodała Kennedy. — Ciągłe strzelają!

Z lasera wydobywały się znów wąskie smugi gazu. Niestety, w znacznej odległości od celu zatrzymały się i rozplynęły w zagradzającym drogę obłoku.

— Czyżby sępy zbudowały zaporę? — zapytał Roman.

— Oczywiście! — potwierdził Marlowe. — Wygląda na to, że rozwiesiły zasłonę z asteroidów, wzmocnioną siecią optyczną. Moim zdaniem, lasery bojowe mimo wszystko mogą ją skruszyć.

Jakby w odpowiedzi na słowa Marlowe'a smuga gazu pokonała barierę. Uderzony rekin drgnął. Kolejny pocisk znów utkwiał w zaporze.

— Wypełniły dziurę! — zauważył niechętnie Marlowe. — Te rekiny są cholernie pojętne, no nie?

— To nie może trwać w nieskończoność — Ferrol potrząsnął głową. — W końcu sępy się rozproszą.

— Tak, ale rekin może zaatakować wcześniej — Marlowe nie był optymistą. — Zapora składająca się w znacznej części z asteroidów będzie na pewno bardzo trwała.

Nagły błysk rozjaśnił pokład *Jnany*.

— Wystrzelili pocisk w kierunku sępów — stwierdziła Kennedy. — Teraz następny — dodała, gdy wystrzelił *Starseeker*.

Pociski zbliżały się po jednym torze w kierunku zapory. Roman obserwował je w napięciu.

— Pierwszy uderzył — zameldował Marlowe. — Widać wyraźnie błyszczące włókna, to pocisk sieciowy. Rozwija się... o cholera!

— Co się stało? — zawołał Roman.

— Potężne wyładowanie plazmy — wyszeptał Marlowe z podziwem. — Co najmniej tysiąc amperów i tyle samo woltów.

— W każdym razie skruszyli zaporę. Drugi pocisk przechodzi przez dziurę — relacjonowała Kennedy. — Rekin odrzuca go na bok, pewnie myśli, że to następny pocisk sieciowy.

Pośrodku ekranu pojawiła się nagle czarna plama, co oznaczało, że włączył się awaryjny pochłaniacz światła.

— Wybuch jądrowy! — zawołał Marlowe. — Mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów od rekina eksplodował ładunek kumulacyjny o mocy około dwudziestu megaton.

Roman zacisnął szczęki. Skutki wybuchu w takiej odległości mogły być groźne dla *Amity*.

— Ferrol, niech pan powie ludziom Tenzinga, żeby kontrolowali rzeczywisty czas promieniowania — polecił. — Proszę też przekazać Tamplesom, żeby zwrócili uwagę na objawy stresu u Sleipnira. Musimy być przygotowani na wszystko.

— Tak jest, kapitanie! — odpowiedział Ferrol, włączając interkom.

Czarna plama na ekranie radaru zmniejszała się i bladła. Rekin poruszał się znacznie wolniej, ale nie miał zamiaru ustąpić. Roman patrzył na niego z lękiem i podziwem. Nawet z odległości pięćdziesięciu kilometrów gorąco i promieniowanie korpuskularne musiało mieć piekielną siłę...

— Następną salwa! — zameldowała Kennedy. Roman skupił uwagę na okrętach. Wystrzeliły kolejno:

Atlantis, Starseeker, Jnana i znów *Atlantis*.

— To ogień zaporowy! — stwierdziła Kennedy. — Widocznie próbują wszystkich możliwych sposobów.

W tym momencie niebo rozjaśniło się blaskiem pierwszej eksplozji.

— Pewnie chcą go zabić, nie zadając obrażeń zewnętrznym — domyśliła się Kennedy. — Przypuszczalnie sądzą, że jest bardzo osłabiony wybuchem jądrowym.

— Nie powinni ryzykować — mruknął Marlowe. — Rekin rusza się przecież całkiem żwawo. Zawraca... do diabła, co on wyprawia?

Rekin zręcznie wymykał się nadciągającym pociskom. Wbrew oczekiwaniom wcale się nie cofał. Poruszał się po skomplikowanym torze przypominającym nieregularną spiralę. Pociski błyskały wokół jak kosmiczne robaczki świętojańskie, ale żaden nie trafił.

W końcu, właśnie gdy okręty miały ponownie wystrzelić, rekin odwrócił się tyłem i zaczął się oddalać.

— Nie przyspiesza powyżej dwóch G — zameldowała Kennedy. — No cóż, przecież jest ranny.

— Ranny, a poza tym zupełnie ogłupiały. Co on tu odgrywał? Taniec umierającego łabędzia! — zastanawiał się Ferrol.

— Raczej manewry obronne — podpowiedział Marlowe. — Przez cały czas odpychał pociski, które wybuchały coraz bliżej.

Kennedy nie odzywała się. Obserwowała monitor radaru.

— Rekin zwalnia! — zauważyła po chwili. — Przyspieszenie maleje do zera... osiągnęło zero.

Roman wstrzymał oddech. Na ekranie znów pojawiły się błyski pocisków. Tym razem uderzały w ciało rekina!

— Dopadli go — zawołała Kennedy. — Znów atakują laserem!

— I wiązkami jonowymi — dodał Marlowe. — Trafiają w cel, widocznie sępy zostały rozproszone przez eksplozję. O Boże, laser rozciął mu skórę. Jak głęboko!

Po chwili niebo zapłonęło oślepiającym ogniem. Flotylla zmobilizowała wszystkie siły! Wybuchały równocześnie pociski laserowe, wiązki jonowe i ładunki chemiczne! Zmasowany atak trwał nie dłużej niż dwadzieścia minut.

Na pociemniałym niebie pozostały tylko szczątki martwego rekina.

— Cóż, trudno byłoby to zidentyfikować — mruknął Ferrol.

— To już tylko strzepy — powiedział Roman z wyraźną ulgą.

Włączył nadajnik i przez chwilę szukał *Atlantis*.

— *Amity* do *Atlantis* — zawołał. — *Atlantis* zgłoś się!

— *Atlantis*, kapitan Lekander — odpowiedź nadeszła po kilku sekundach. — Fascynujący spektakl, prawda?

— Teraz już wiemy, że rekina można zabić. Dotąd nie mieliśmy pewności — odpowiedział rzeczowo Roman.

— Każdą żywą istotę można zabić — powiedział Lekander z wyższością. — Trzeba tylko mieć odpowiednie narzędzia.

— Chyba tak... Jakie macie plany?

— Poczekamy kilka godzin, aż spadnie temperatura otoczenia, a potem wyślemy ekipę, która wykona sekcję zwłok — wyjaśnił Lekander. — Jeśli coś jeszcze zostanie z rekina — dodał. — Nie wiem, czy pan to widzi, ale sępy już się do niego dobrały. Zdaje się, że tylko po to broniły go tak ofiarnie.

— Hm — mruknął Roman, zastanawiając się nad sytuacją. Przełączył monitor, żeby sprawdzić, z jaką prędkością dryfuje martwy rekin. — Kapitanie, ile czasu chcecie poświęcić na badania? — zapytał.

— Zobaczymy. Dlaczego pan pyta?

— Obliczyłem, że oddalicie się od naszej aktualnej pozycji o kilkaset tysięcy kilometrów — wyjaśnił Roman. — Pomyślałem, że moglibyśmy spotkać się z wami i ściągnąć zwłoki.

— Niezły pomysł, ale to zbyt bezpieczne. Jak już mówiłem, powinien pan zostać na miejscu i nie wtrącać się!

Roman skinął głową.

— Rozumiem. Tak właśnie myślałem.

— Rro-maa?

Roman aż podskoczył z wrażenia. Nie spodziewał się, że któryś z Tamplesów przysłuchuje się rozmowie. — Słucham?

— Chcielibyśmy zapytać Lle-kann, czy znalazł zaginionego konia?

Roman zaczerwienił się ze wstydu. Przejęty bitwą, zupełnie zapomniał o statku, który mieli ratować.

— Masz rację! — zgodził się od razu. — Jak to wygląda, kapitanie?

— Nie znaleźliśmy żadnego statku ani konia. Myślę jednak, że nie ma powodów do obaw — zapewniał Lekander z jakąś fałszywą gorliwością. — Prawdopodobnie zauważyli rekina i uciekli, nim pojawiły się sępy.

Roman spojrzał na niego podejrzliwie.

— Mówił pan, że spóźniają się sześć godzin — przypomniał. — Nawet gdyby SKOCZYLI na inną gwiazdę, nie potrzebowaliby tyle czasu na powrót.

— Może mają kłopoty z silnikiem — Lekander upierał się przy swoim. — Może zatrzymali się ze względu na poród albo...

— Albo są już w domu — przerwał Roman — a cała akcja miała na celu wyłącznie zabicie rekina?

— Nie wiem, która z przyczyn jest najbardziej prawdopodobna! — Lekander tracił cierpliwość.

Romana skrzywił się. Rzeczywiście, może Lekander nie wiedział, lecz ci, którzy go przysłali, wiedzieli na pewno, że łatwiej wyjaśnić Tamplesom konieczność udziału w akcji ratowniczej niż w zabijaniu rekina. Widocznie ktoś wpadł na pomysł, że lepiej nie wtajemniczać również Romana.

— Rro-maa?

— Słucham, Rrin-saa? — zapytał, ukrywając zdenerwowanie.

— Czy to prawda, że nie było żadnego niebezpieczeństwa?

Zawahał się:

— Nie wiem, Rrin-saa. Naprawdę nie wiem — przyznał zupełnie szczerze.

Tamples długo milczał, zanim wreszcie odezwał się uroczystym tonem:

— Nie jesteśmy drapieżnikami. Nie zabijamy bez powodu i bez potrzeby nie naru-

szamy naturalnych struktur.

— Rrin-saa, musimy dowiedzieć się o rekinach jak najwięcej — powiedział Roman i za chwilę pożałował własnych słów. — Dla naszej wspólnej korzyści — ciągnął bez przekonania. — Jeśli w tej okolicy krążą rekiny, wasze konie są w ciągłym niebezpieczeństwie.

— W razie potrzeby będziemy ich bronić — odrzekł Rrin-saa. — Okłamaliście nas, Rro-maa!

— Okłamano nas obu — powiedział Roman bardzo poważnie. — Przykro mi.

— Mnie też — odpowiedział Tamples. — Program Amity opierał się na zaufaniu. To zaufanie zostało zburzone.

— Czy nie można go odbudować?

— Nie. Program Amity jest skończony.

Słowa Rrin-saa długo dźwięczały mu w uszach. Z niedowierzaniem pokręcił głową, spoglądając otępiałym wzrokiem na interkom.

„Czyżby zerwana została ostatnia wątła nić porozumienia? Co będzie dalej z obserwacją porodów? Stało się coś bardzo niedobrego”, pomyślał zmartwiony.

— Jest gorzej niż myślisz — powiedział Rrin-saa jakby ze współczuciem. — My też żałujemy, że się nie udało, ale nie mamy wyboru. Naszym obowiązkiem jest poszanowanie naturalnych struktur. Wasz podstęp doprowadził do tego, że nie spełniliśmy obowiązku. — Przerwał na chwilę. — Nie oczekuję zrozumienia — zakończył dobitnie.

Roman westchnął głęboko.

— My też mamy etykę, Rrin-saa. Może tylko zbyt często kierujemy się pragmatyzmem.

— Nie macie poczucia obowiązku wobec innych — w głosie Tamplesa nie było złości, raczej nuta smutku. — Nie wierzę, żebyście potrafili postępować inaczej niż dotychczas. Gdy tylko będziecie gotowi, odwieziemy was z powrotem na Solomona. Potem odprowadzimy Sleipnninni do zagrody.

— Rrin-saa...?

Ekran zgasł. Roman odwrócił się powoli i napotkał badawcze spojrzenie Ferrola.

— Chciał pan coś powiedzieć, komandorze?

— Uważani, że Rrin-saa kłamie — powiedział Ferrol stanowczo.

Roman popatrzył mu prosto w oczy.

— Tak pan uważa?

— Tak, kapitanie — powtórzył Ferrol. — Nie mogą zrezygnować z Programu tylko dlatego, że jeden z nich poczuł się obrażony. Ich przywódcy nigdy się na to nie zgodzą. Oczywiście wykorzystają okazję, żeby oskarżyć nas o wykroczenia popełnione z winy Tamplesów. To jest po prostu zwyczajna manipulacja. Chyba wszyscy na pokładzie tak myślą.

— Możliwe — zgodził się Roman. — Powszechna zgoda nie jest jednak świadectwem prawdy.

Nagle poczuł się strasznie zmęczony. Odpiął pasy i wstał z fotela.

— Wracam do swojej kabiny — zdecydował. — Proszę kontynuować obserwacje i nagrania.

Odepchnął się od fotela i ruszył w kierunku drzwi.

— Kapitanie, zarejestrowaliśmy ruchomy obiekt! — przeszkodziła mu Kennedy. — Mniej więcej dwa tysiące kilometrów przed flotyllą.

— Zbliża się w ich stronę — przerwał Marlowe. — Przyspiesza... — przestraszony spojrzął na Romana. — Kapitanie, to jest drugi rekin!

Roman zawrócił do swego pulpitu. Jedną ręką zapinając pasy, drugą w pośpiechu włączył nadajnik.

— *Amity do Atlantis Alarm!* Macie za plecami drugiego rekina!

— Widzimy! — Lekander był zupełnie spokojny. — Nie martwcie się, damy sobie radę.

Rekin był teraz widoczny pośrodku monitora. Ciągłe przyspieszał.

„Tak, Lekander potrafi się go pozbyć”, pomyślał Roman bez entuzjazmu.

— Marlowe, niech pan odszuka miejsce, z którego nadciągnął rekin! — rozkazał. — Chodzi o to, czy SKOCZYŁ z daleka, czy też czaił się gdzieś w pobliżu?

— Tak jest, kapitanie!

Flotylla oddalała się od martwego rekina i przygotowywała broń. Po chwili laser wyrzucił smugi gazu, lecz natychmiast zniknęły w chmurze sępów, otaczających rekina.

— Marlowe, niech pan się pośpieszy — ponaglił kapitan, z rosnącym niepokojem oczekując odpowiedzi. — Jeśli rekin od dłuższego czasu obserwował działanie pocisków, nie da się tak łatwo pokonać.

— Znalazłem! — zameldował Marlowe. — SKOK rekina został zarejestrowany nie wcześniej niż przed dwiema minutami.

Roman odetchnął z ulgą. Rekin nie mógł więc obserwować pierwszej bitwy. To tylko przypadek, że sępy osłoniły go przed salwą. Mimo to sytuacja stawała się dramatyczna.

— Rekin się nie cofa — zameldowała Kennedy. — Zbliża się do okrętów, ciągle zwiększając przyspieszenie.

— Zaraz w nie uderzy! — wykrzyknął Ferrol. Roman zacisnął pięści.

— *Amity do Atlantis* — zawołał do mikrofony. — Kapitanie, niech pan ucieka!

— Spokój, Roman! — warknął Lekander. — Nie mamy czasu na dyskusje. Gotowi... Ognia!

Na ekranie pojawiły się błyskawice wystrzałów ze wszystkich trzech okrętów. Pociski pomknęły w kierunku rekina i... zatrzymały się w pół drogi.

Roman z niedowierzaniem wpatrywał się w ekran. Pociski zawisły bezwładnie w zu-

pełnie nieszkodliwej dla rekinia odległości.

— Rekin zwiększył prędkość — poinformowała spokojnie Kennedy. — Widocznie uznał, że najważniejszym zadaniem jest zatrzymanie pocisków. To znaczy, że wie, co jest bardziej niebezpieczne.

— Nie może wiedzieć — zaprotestował Marlowe. — Przecież dopiero się pojawił. Nie może znać tej broni.

— To sępy! — zrozumiał nagle Ferrol. — To one zarejestrowały bitwę i przekazały wszystko drugiemu rekinowi.

Rekin nadal zbliżał się do flotylli. Pociski tkwiły w miejscu, trzymane w żelaznym uchwycie telekinezy. Roman w napięciu śledził sytuację.

— Ciągle je trzyma — zauważył głośno — ale nie ma siły odrzucić. Marlowe, z jakiej odległości działają pociski jądrowe?

— I tak nie można ich odpalić — wtrąciła Kennedy, nim Marlowe zdążył się odezwać. — Statki są już zbyt blisko. Jeśli spróbują...

Przerwała zauważywszy, że błyszczące punkty na ekranie zaczęły kolejno znikać.

— Co się dzieje? — wykrztusił Roman.

— Rozwalił je — odpowiedział Ferrol załamującym się głosem. — Roztrzaskał na kawałki!

Teraz nie było już żadnych wątpliwości. Rekin dokładnie wiedział, z czym ma do czynienia i w jaki sposób się bronić.

Lekander też to zauważył. Okręty ustawiły się bokiem i wystrzeliły równocześnie. Roman wstrzymał oddech... Nagle odezwał się Lekander:

— *Atlantis* do *Amity* Odsunęliśmy od was sępy. Uciekajcie, jeśli to możliwe! — powiedział z niewzruszonym spokojem.

— To wy uciekajcie. Tym razem możecie przegrać — ostrzegł go Roman.

— Poradzimy sobie! — odburknął Lekander. — Czekać na nas w systemie 66802. Dotrzemy tam, gdy tylko będziemy mogli. Skończyłem! — Odbiornik wyłączył się.

— Idioci! — wrzasnął Ferrol. — Na co jeszcze czekają!?

— Nie mogą się ruszyć — wyjaśniła spokojnie Kennedy. — W czasie pierwszej bitwy wybuch jądrowy całkowicie zjonizował pierścień Misuushi, która przynajmniej jeszcze przez dziesięć minut będzie niesprawna.

Ferrol nie odpowiedział.

„Rzeczywiście, niema o czym mówić”, pomyślał Roman ponuro.

Statki płynęły jeden za drugim z przyspieszeniem ponad ośmiu G.

„Poradzą sobie”, uspokajał się Roman, „muszą tylko trochę poczekać”.

Nagle *Starseeker* wyraźnie zwolnił i lekko się zachwiał. Jeszcze chwila i... zatrzymał się, a potem ruszył w przeciwną stronę.

— Kapitanie! — odezwał się Marlowe. — Zlokalizowałem sępy. Za piętnaście minut

będą gotowe do budowania sieci.

Roman zrezygnowany pokiwał głową. Nie potrafił przeciwstawić się kosmicznym prawom natury.

— Kennedy, proszę przekazać Tamplesom kierunek na system 66802 — powiedział obojętnie. — Niech operator jak najszybciej przygotowuje Sleipnira do SKOKU. Ferrol, uruchomić torpedę! Celować w sępy, jak najdokładniej! Nie chcę, żeby zauważyły, w którą stronę będziemy SKAKAĆ.

Ferrol lekko się uśmiechnął.

— Zrozumiano, kapitanie!

Natychmiast przystąpił do pracy. Po chwili torpeda była gotowa.

— Ognia! — krzyknął kapitan.

Z ogromną ulgą obserwował, jak sępy rozpraszają się na wszystkie strony.

Potem przeniósł wzrok na ekran radaru. *Starseeker* nadal wycofywał się w kierunku rekina. Otaczała go chmara sępów, która w końcu zupełnie go zakryła. Rekin natychmiast rzucił się w stronę drugiego statku. W zawrotnym tempie, z przyspieszeniem dziesięciu G, doganiał *Jnanę*.

— Kapitanie, operator zgłasza gotowość Sleipnira!

Dopiero po chwili dotarły do niego słowa Kennedy. Głęboko zaczerpnął powietrza. „Nie ma wyjścia. Trzeba uciekać!”, zdecydował.

— Ustawić detonator torpedy z pięciosekundowym opóźnieniem! SKOK!

W mgnieniu oka pokonali odległość dwóch lat świetlnych i znaleźli się w systemie NCL 66082. Teraz musieli uzbroić się w cierpliwość i czekać na flotyllę Lekandera. Na przebycie takiej odległości Mitsuushi potrzebuje przynajmniej dwie i pół doby.

Przez dziesięć dni żaden z oczekiwanych statków nie pojawił się.

ROZDZIAŁ 24

Jako oficer operacyjny — zaczął Ferrol z lodowatą uprzejmością — mam obowiązek przedstawić dowódcy zastrzeżenia, jeśli, moim zdaniem, jego działania są niekorzystne dla statku i załogi lub naruszają interesy Cordonale. Zatem...

— Uważa pan, że nie powinniśmy już dłużej czekać? — przerwał spokojnie kapitan.
— Że dziesięć dni opóźnienia na takim krótkim odcinku to stanowczo za dużo?

— Tak sędzę, kapitanie! — odpowiedział Ferrol z godnością.

Zaskoczyło go opanowanie i uprzejmość kapitana, tym bardziej, że Roman od dłuższego czasu celowo go unikał. — Przez naszą opieszałość Cordonale nie uzyskała dotąd informacji, które mogą mieć istotne znaczenie dla bezpieczeństwa w kosmosie. Jesteśmy zobowiązani...

— Czyżby pan sądził, że zaginiona załoga nie żyje?

— Pan też tak uważa?

Ferrol spojrzał mu prosto w oczy, lecz w twarzy kapitana nic się nie zmieniło.

— Zawsze trzeba mieć nadzieję — odpowiedział łagodnie. — Może statek został uszkodzony i dlatego tak wolno się porusza. Skąd pan wie, że nie dzieli nas już tylko kilka godzin świetlnych? Poczekajmy jeszcze trochę!

— Moglibyśmy po nich wrócić — zasugerował Ferrol. — Najpierw jednak należałoby zostawić na Solomonie wszystkie nagrania i zapisy.

Roman zmarszczył brwi.

— To nie jest takie proste. Po powrocie do Cordonale Tamplesi zabiorą nam konia.

— Wiem, że panu na tym zależy! — parsknął Ferrol. — Chce się pan odegrać na Siłach Gwiazdnych za to, że wpuścili nas w maliny!

Roman spojrzał na niego bardzo poważnie.

— Chciałbym pana o coś zapytać, komandorze. Gdy byliśmy w systemie 9862, tuż przed pojawieniem się drugiego rekina, powiedział pan, że ostra reakcja Tamplesów jest tylko próbą manipulacji. Czy podtrzymuje pan tę opinię?

Ferrol wytrzymał spojrzenie kapitana, ale nic nie odpowiedział. Początkowo naprawdę był przekonany, że Tamplesi, jak zwykle, udają niewinnych i pokrzywdzonych.

Teraz, po dziesięciu dniach, kiedy dokładnie zastanowił się nad sytuacją, nie był już tego taki pewny. Nie wierzył wprawdzie, że Admiralicja celowo wprowadziła załogę *Amity* w błąd i zaaranżowała polowanie na rekina, lecz, z drugiej strony, nie mógł zapomnieć wyrazu złośliwej satysfakcji na twarzy Senatora, gdy ten zapewniał go, że misja *Amity* dobiega końca. W obecnej sytuacji całą winę za niepowodzenie *Amity* Senat będzie mógł rzucić na Tamplesów, a większość z Cordonale na pewno w to uwierzy.

— Jestem przekonany, że ktoś nas oszukał. W tej chwili nie mam już pewności, czy to zrobili Tamplesi — wycofał się niechętnie.

Popatrzył wyzywająco na Romana, chcąc uprzedzić jego reakcję. Obawiał się, że kapitan skwituje pomyłkę wzruszeniem ramion albo ironicznym uśmiechem...

Roman jednak nie okazał swojej przewagi.

— W porządku, komandorze — powiedział krótko. — Załóżmy więc, przynajmniej na razie, że wypowiedź Rin-saa rzeczywiście wyrażała głęboki ból Tamplesów, na jaki zostali narażeni przez udział w polowaniu. Wiemy, jak bardzo przeżywają cierpienia zwierząt: zdecydowali się nawet na utratę Quentina, chcąc wynagrodzić mu krzywdę.

„Może po prostu stwierdzili, że wskutek przedwczesnej, głębokiej śpiączki żrebak utracił siły i jest już bezużyteczny”, pomyślał Ferrol sceptycznie, lecz nie podzielił się swoimi wątpliwościami.

— Załóżmy, że tak jest — powiedział ostrożnie. — Do czego pan zmierza?

— Podejrzewam, że wszystko zostało zorganizowane przez kogoś, kto chce się pozbyć *Amity*. W tym celu obmyślono tę intrygę — wyjaśnił rzeczowo Roman, lecz pod maską spokoju można było zauważyć wyraz determinacji.

Ferrol wzruszał ramionami.

— Tego nie można udowodnić!

— Wiem o tym. Zastanawiałem się raczej nad zaproponowaniem Tamplesom jakiejś rekompensaty.

Tego Ferrol zupełnie się nie spodziewał.

— Co pan ma na myśli? — zapytał zaskoczony.

Roman celowo przedłużał chwilę milczenia.

— Przez kilka lat przebywał pan wśród Tamplesów... Czy mamy na pokładzie coś, co zechcieliby przyjąć w podarunku? — zapytał tajemniczo.

Ferrol zastanowił się.

— Myśli pan o żrebałku? — zrozumiał wreszcie.

— Uważam, że to bardzo odpowiedni prezent na pożegnanie — przytaknął Roman.
— Co pan o tym sądzi?

Ferrol zorientował się nagle, że patrzy na kapitana z otwartymi ze zdziwienia ustami.

— Czyżby miał pan zamiar tkwić tutaj, nie wiadomo gdzie, i czekać, aż Sleipnir zde-

cyduje się urodzić tego cholernego żrebaka? — zapytał niepewnie.

Roman uśmiechnął się.

— Jak pan sądzi, dlaczego wezwałam pana właśnie teraz, choć od dłuższego czasu unikałam rozmowy?

— Ponieważ pan nie... — Ferrol przerwał, bo w tej chwili pojął intencje kapitana.
— To znaczy, że teraz...?

Roman skinął głową.

— Wszystko na to wskazuje — potwierdził. — Rrin-saa powiedział mi, że optymalnym rozwiązaniem będzie SKOK za pół godziny.

Ferrol popatrzył przez iluminator na nieznane gwiazdy.

— Nie można tego zrobić tutaj?

— Chciałbym przedtem znaleźć się w systemie Solomona. Wówczas Tamplesi będą mogli niezwłocznie zabrać ze sobą obydwu konie.

Ferrol nie odpowiedział. Patrzył na dalekie, nieznane gwiazdy, które zdawały się gasnąć. Rozpacz ścisnęła go za gardło.

„Wszystko skończone! Tamplesi wyznaczyli trasę *Amity*, a Roman ją zaakceptował. Jeśli Senator miał rację, naprawdę niewiele brakowało, żeby kosmos znów należał do Cordonale. Wystarczyłoby trochę odwagi”. Nagle zdecydował się!

— Za pańskim pozwoleniem — głos z trudem wydobywał się przez zaciśnięte gardło — chciałbym pokierować ekipą myśliwych.

Roman zawahał się.

— Bardzo dobrze, komandorze — zgodził się po chwili. — Niech pan zejdzie na dół i przygotuje ekipę. — Popatrzył znacząco na Ferrola. — Proszę nie zapominać, że to ostatni poród z udziałem *Amity*. Niech będzie owocny!

— Proszę się nie martwić! Postaram się! — ucisk w gardle ustąpił.

— Liny zabezpieczone! — odezwał się stłumiony przez maskę głos siedzącej z tyłu Yamoto. — Żrebak zaczyna ciągnąć.

Ferrol spojrzał podejrzliwie na trzech Tamplesów, którzy siedzieli obok Yamoto. Ciągłe odczuwał niepokój.

— Wwis-khaa? Czy już odzyskaliśmy kontrolę?

— Uspokaja się. To już nie potrwa długo — odpowiedział Tamples z rezerwą. Na jego hełmie nadal paliły się trzy czerwone światelka.

— To dobrze! — bez przekonania stwierdził Ferrol. Pochylił się do mikrofonu. — Lądownik do *Amity*! — zawołał. — Żrebak jest zabezpieczony, wkrótce odzyskamy całkowitą kontrolę. Jak się czuje Sleipnir?

— Doskonale! — odpowiedział Roman. — Sso-ngii nie zauważył objawów stresu ani śpiączki. Macie jakieś kłopoty?

— Na razie nie — głos Ferrola nie zdradzał podniecenia. — Wwis-khaa uważa, że wszystko jest w porządku. Zdaje się, że nie będziemy musieli wymieniać operatorów.

— Pamiętajmy o prawie Murphy'ego. Lepiej wykazać nadmiar ostrożności niż zgubną lekkomyślność — w głosie kapitana nie wyczuwało się cienia podejrzliwości. Potrafił ukryć nieufność, nawet jeśli zaniepokoił go fakt, że Ferrol potrzebował aż trzech operatorów.

— No właśnie, musimy uważać po tym, co się stało z Quentinem — Ferrol przytaknął gorliwie. — Czy wymyślił pan jakąś nazwę dla żrebaka? A może już nie warto, skoro Tamplesi i tak go zabiorą.

— Proponuję nazwać go Epilog. Myślę, że to odpowiednie imię i trochę bardziej subtelne niż na przykład Deathblow — powiedział Roman z nutą goryczy.

Ferrol upewnił się, że kapitan, całkowicie pochłonięty rozpamiętywaniem podstępnej gry Senatu i Sił Gwiazdnych, nie dostrzeże innego zagrożenia...

— Bardzo dobry pomysł, kapitanie powiedział uprzejmie. — Myślę, że powinniśmy zastanowić się, w jaki sposób prześlemy Tamplesom Epiloga i Sleipnira?

— Wysłałem już kurierem wiadomość do zagrody Kialinninni — wyjaśnił Roman. — Tamplesi przyślą transportery. Prawdopodobnie wyruszą dopiero za kilka godzin. Dobrze się składa, że ma pan kilku operatorów.

— Kilka godzin? Dlaczego tak się guzdrzą? — Ferrol udawał oburzenie.

Kapitan westchnął głęboko.

— Powiedzieli, że ze względu na rekina chcą najpierw odprowadzić większość floty do bazy Kialinninni. Nie wiem, co chcą dzięki temu uzyskać!

Ferrol uśmiechnął się pod maską. Senator miał rację. Tamplesi nie chcieli zrezygnować ze swoich koni, lecz zamknięcie ich w zagrodzie faktycznie sprowadzało się do tego samego. Tamplesi poddawali się!

— Zyskają trochę na czasie — mruknął niewyraźnie. Obrócił się przez ramię.

— Co nowego, Wwis-khaa?

— Jest spokojny — zameldował Tamples. — Rozmawiamy.

— To świetnie! — Ferrol przełknął ślinę. — Yamoto, pod jednym z foteli przy wyjściu znajduje się pudełeczko z pakietem danych. Czy mogłaby je pani przynieść?

— Tak jest, komandorze! — Yamoto odpięła pasy i ruszyła w kierunku wyjścia.

„Teraz!”, pomyślał Ferrol. „Przede wszystkim wyłączyć nadbiornik laserowy!” Komunikacja z *Amity* została przerwana. Ferrol starannie wykreślił na monitorze steru wyznaczoną już wcześniej zmianę kierunku.

— Wwis-khaa! — powiedział spokojnie. — Ustaw Epiloga zgodnie ze wskazanym wektorem. Uważaj, żeby go nie przestraszyć!

— Twoje życzenia są naszymi! — odpowiedział Tamples. Po chwili Ferrol poczuł słabe działanie siły odśrodkowej, co oznaczało, że żreback obraca się wraz z lądowni-

kiem.

— Wykonane! — zameldował Wwis-khaa.

— W porządku. Posłuchaj: ta jasna gwiazda na wprost nas to Sirius. Czy Epilog ją widzi?

Tamples milczał. Poprzez szum urządzeń Ferrol słyszał tylko bicie własnego serca. W końcu nadeszła odpowiedź:

— Widzi.

— To świetnie — Ferrol odetchnął z głęboką ulgą. — SKOCZYMY tam!

Tym razem milczenie trwało jeszcze dłużej.

— Wwis-khaa? Czy mnie słyszysz?

— Ffe-rho...

— Pytałem, czy mnie słyszysz — powtórzył Ferrol z naciskiem i spojrzał Tamplesowi prosto w oczy, lecz nie wyczytał z nich żadnych uczuć.

— Słyszę.

— Więc SKACZ! To rozkaz.

Wwis-khaa zamrugął oczami.

— Wasze życzenia są naszymi — powiedział cicho. Po chwili niebiesko-białe światło zalało wnętrze lądownika.

— Co się stało? — wykrztusiła Yamoto, która wróciła właśnie z pakietem danych. — Komandorze, SKOCZYLIŚMY.

— Wiem o tym — powiedział obojętnie. — Proszę się nie martwić, wszystko jest kontrolowane. W porządku, Wwis-khaa — dodał, przekazując mu następny wektor — teraz obróć Epiloga w tym kierunku. Gdy tylko znajdziemy się w odpowiedniej pozycji, SKOCZYMY jeszcze raz.

Sprawdził wykonanie polecenia i uspokojony zwrócił się do Yamoto:

— Czy ma pani jakieś pytania, poruczniku? — zapytał uprzejmie.

— No... tak, komandorze — starała się zapanować nad sobą. Nawet pod maską można było zauważyć zmarszczkę na jej czole. — Nie poinformowano mnie, że odłączymy się od *Amity*.

— Nie poinformowano pani — powtórzył lodowatym tonem. — Wwis-khaa, jak ci idzie?

— Epilonninni jest prawie gotowy — odpowiedział Tamples.

— Dobrze! Tak trzymać!

Yamoto spojrzała na monitor.

— Zmierzamy do Arachne, prawda?

— Tak, na krótko — wyjaśnił Ferrol. — To znaczy ja i Tamplesi będziemy tam krótko. Pani wysiądzie, a my polecimy dalej.

Popatrzyła na niego zdumiona.

— Komandorze, cokolwiek chce pan zrobić...

— To nie pani sprawa — przerwał ostro.

Nie miał zamiaru okłamywać Yamoto. Dlatego zdecydował się nie udzielać jej żadnych informacji.

— Jak już mówiłem, wysadzimy panią na Arachne i na tym pani rola się skończy.

Patrzyła na niego długo i badawczo. Ferrol nie spuścił wzroku. Panował nad swymi nerwami. Choć był zdecydowany na wszystko, chciał jednak uniknąć sięgania po broń, która ciążyła mu w kieszeni. Yamoto pierwsza odwróciła wzrok.

— Zrozumiano, komandorze — powiedziała z westchnieniem. — To pańskie dane — podała mu pudełko, które cały czas trzymała w dłoni. — Jeśli pan jeszcze ich potrzebuje...

— Oczywiście, że tak! — Otworzył pudełko i wyciągnął niewielką rolkę, którą podał Yamoto.

— To dla pani. Informacje nawigacyjne dotyczące Arachne i znajdującej się tam kolonii. Odeślemy panią łodzią ratunkową, a potem musi pani sobie sama poradzić. Mam nadzieję, że nie sprawi to kłopotu.

— Na pewno nie! — zawodowa duma okazała się silniejsza niż lęk.

— To dobrze. Jak sobie radzisz, Wwis-khaa?

— Epsilonninni jest gotów — odpowiedział Tamples.

— Czy dobrze widzi gwiazdę? — upewnił się Ferrol.

Wiedział, że przymglone słońce Arachne było znacznie trudniejszym celem dla żrebaka niż ognisty Sirius.

— Epsilonninni widzi gwiazdę — potwierdził Wwis-khaa.

Ferrol szybko przeszukał monitory. Na szczęście, nie było na nich *Amity*. Widocznie niespodziewany manewr lądownika zdezorientował Romana. Zatem wszystko w porządku. — SKOK!

Niebieskie światło Siriusa zgasło, a przed lądownikiem pojawiła się gwiazda w kolorze czerwono-pomarańczowym.

— Jesteśmy na miejscu — oznajmił Ferrol, skutecznie ukrywając wątpliwości.

Jeśli pomylił się w obliczeniach, zwrot „na miejscu” nie musiał wcale oznaczać systemu Arachne. Jeśli niewłaściwie określił pozycję na orbicie...

Wolał o tym nie myśleć. Czuł, że zimny pot spływa mu po plecach.

Wcisnął jeden z przełączników. Na monitorze ukazał się obraz najbliższego otoczenia. Obawy okazały się nieuzasadnione.

— To Arachne! — Yamoto też nie miała żadnych wątpliwości. — Jest na wprost nas, trochę poniżej. Odległość czterdzieści osiem tysięcy kilometrów, namiar sześć w lewo, nadir osiemdziesiąt dwa.

Ferrol odetchnął głęboko.

— Wwis-khaa, kieruj się w stronę planety. Przyspieszenie dwa G, jeśli Epilog może tyle osiągnąć.

— Wasze życzenia są naszymi.

Pasy bezpieczeństwa zacisnęły się na plecach Ferrola. Wwis-khaa zmieniał kierunek, obracając lądownik w stronę Arachne. W przednim iluminatorze ukazał się niebiesko-biały, cieniowany półksiężyc. Ucisk pasów był teraz odczuwalny z drugiej strony.

— Jesteśmy na właściwym torze — potwierdziła zupełnie niepotrzebnie Yamoto.
— Przyspieszenie dwa G.

Ferrol skinął głową. Znow ogarnął go niepokój. Minęły już prawie dwa miesiące od czasu, gdy rozkazał załodze *Scapa Flow*, by czekała na orbicie Arachne. Z obawą nastawiał teleskop. Może znudzili się oczekiwaniem...

Na chwilę oślepił go blask słońca. Potem zobaczył swój statek, który zgodnie z rozkazem krążył po geosynchronicznej orbicie wokół planety Arachne, zasiedlonej przez ludzi i Tamplesów.

Skorygował kurs i przesłał dane na stanowisko sternika. Jednocześnie uruchomił komunikację laserową.

— Wwis-khaa, skręcaj we wskazanym kierunku! — polecił czekając, aż laser zlokalizuje odbiorcę.

— *Scapa Flow*! — zawołał, uzyskawszy łączność. — Mówi Chayne Ferrol. Hasło: „Skoczek”! Zgłoś się!

— Tu *Scapa Flow* — wykrzyknął z nie ukrywaną radością Malraux Demarco.
— Długo musieliśmy czekać, Chayne.

— O wiele za długo — zgodził się Ferrol. — Jesteście przygotowani?

— O tak, w każdej chwili możemy się z tobą połączyć — zapewnił Demarco. — Masz dla nas jakiś... prezent?

— Tylko pożyczkę — zastrzegł się Ferrol. — A teraz posłuchaj uważnie: Mniej więcej za czterdzieści pięć minut — szybko obliczał na komputerze — będziemy mieli ETA. W tym czasie musicie bardzo dokładnie opróżnić ładownię i przygotować łódź ratunkową do lotu na planetę.

Poza tym wyciągnijcie z magazynu linę średniej długości, wystarczy czterysta metrów, i przymocujcie solidnie do uchwytu na dziobie.

— Nie będziemy polować? — zapytał lekko rozczarowany Demarco.

— Nie martw się. Polowanie cię nie ominie — Ferrol uspokoił go bez większego entuzjazmu. — Teraz uważaj, oto mój plan: Wylądujemy w ładowni. Liny będą przeciągnięte przez główny luk. Uszczelnimy otwór, żeby uniknąć gwałtownego prądu powietrza. Zanim szarpniecie wyrwie uszczelnienie, zahaczmy się o linę pomiędzy naszym koniem a uchwytem dziobowym i naciągniemy ją, rozluźniając linę lądownika. Jasne?

— Jasne, tylko nie wiadomo, czy lądownik zmieści się w ładowni — odpowiedział

Demarco. — Według naszych obliczeń, będzie cholernie ciasno.

— Zmieścimy się — zapewnił Ferrol. — Liczyłem dwa razy i jestem pewien, że wszystko będzie dobrze.

— No cóż, jeśli tak twierdzisz... — Demarco ciągle nie był przekonany.

— Uwierz mi! — powiedział Ferrol z naciskiem. — Zresztą, to moja sprawa. Do was należy wyłącznie opróżnienie ładowni, żeby nic nam nie przeszkadzało. Poza tym, przeciągnijcie kabel interkomu, abyśmy mogli podłączyć ładownik do obwodu.

Na chwilę obudziły się w nim wyrzuty sumienia, lecz szybko je zagłuszył. Naprawdę nie miał wyjścia. Ze względu na brak masek filtracyjnych dla całej załogi, musiał trzymać Tamplesów zamkniętych w ładowniku.

— Postaramy się jak najlepiej! — obiecał Demarco. — Chyba musimy się pośpieszyć?

Ferrol rzucił okiem na siedzącą obok Yamoto.

— Macie dość czasu, żeby zrobić to porządnie — odpowiedział. — W każdym razie, moglibyście dzisiaj zrezygnować z podwieczorku.

— W porządku. Na pewno zdążymy.

— To świetnie! Skończyłem!

Wyłączył laser i rozpoczął przeszukiwania okolicy przy pomocy radaru i sygnałów dźwiękowych. W pobliżu pojawiły się jakieś statki, lecz Ferrol postanowił je ignorować.

— Przygotowuje się pan do połączenia ze statkiem, prawda? — zapytała Yamoto.

Ferrol skinął głową.

— No właśnie. Dlaczego pani pyta?

— Bo nie sądzę, żeby się panu udało — odpowiedziała wprost. — Rozbije pan ładownik albo ładownię, albo i jedno, i drugie.

Ferrol zdenerwował się.

— Będę podchodził bardzo powoli — próbował ją przekonać. Mogę również poprosić sternika *Scapa Flow*, aby nas poprowadził.

— A jeśli *Amity* będzie pana ścigać? — Yamoto nie dawała za wygraną.

— Dlaczego ma nas ścigać? — udał zdziwienie.

— Nie oszukujmy się, Ferrol — spojrzała na niego wymownie. — Cokolwiek pan wyczynia, robi to pan na własną rękę, bez żadnego upoważnienia. Oboje o tym wiemy. Wiemy równie dobrze, że czekając na sternika stracimy mnóstwo czasu. Możemy potem nie zdążyć z odpowiednim ustawieniem ładownika.

— Nie mogę się zgodzić, żeby pani kierowała — powiedział zdecydowanie. — Do tej pory zawsze wykonywała pani tylko rozkazy wyższych oficerów. Więcej nie mogę od pani wymagać.

— Wzrusza mnie pańska troskliwość — mruknęła Yamoto. — Lecz muszę pana

uspokoić: nie robię tego dla pana. — Skinęła głową w kierunku Tamplesów. — Naraża pan trzy niewinne istoty, cztery, jeśli liczyć mnie. Poprowadzę lądownik i koniec!

Ferrol skrzywił się pod maską, wiedząc, że Yamoto nie może tego zauważyć. Oczywiście, powinienem spodziewać się sprzeciwu. Yamoto nie miała zaufania do jego projektów. Zresztą, ostatnio nikt mu nie ufał. Dlaczego miałaby być wyjątkiem?

— No dobrze, jeśli pani tak na tym zależy! — zgodził się niechętnie.

— Widać wyraźnie, że się ociąga — mruknął Demarco, wpatrzony w monitory. — Moim zdaniem, wcale nie ma zamiaru zbliżyć się do planety.

Ferrol popatrzył na ekran. Demarco miał rację. Yamoto pozwalała łodzi dryfować.

— Prawdopodobnie postanowiła czekać na *Amity* — domyślił się. — Pewnie liczy na to, że zarejestruje nasz SKOK i przekaże im kierunek.

Demarco spojrział na niego pytająco.

— Nie znajdują nas, prawda?

— Nie martw się! — uspokoił go Ferrol. — Wybraliśmy taką trasę, że nie mają żadnych szans.

Zadzwęczał interkom.

— Chayne, mamy połączenie z lądownikiem — zameldował ktoś z załogi.

— Dziękuję! — Ferrol włączył aparat. — Wwis-khaa? Tu komandor Ferrol! Jak się macie?

— Wszystko w porządku, Ffe-rho!

Po wyjściu Ferrola i Yamoto, Tamplesi zdjęli maski. Jednak nikt na *Scapa Flow* nie potrafił, niestety, odczytać znaczenia grymasów, które były teraz doskonale widoczne na ich skrzywionych twarzach.

— Przepraszam, że muszę trzymać was w lądowniku. Ze względu na brak masek nie możemy wpuścić was na pokład!

— Wykluczone! — burknął Demarco. — Przez pół roku nie wywietrzylibyśmy smrodu.

Ferrol rzucił mu ostrzegawcze spojrzenie.

— Wwis-khaa, powinieneś mieć na ekranie następny cel SKOKU. Czy Epilog dobrze widzi tę gwiazdę?

— Widzi. — Wwis-khaa zawahał się chwilę, zanim zapytał niepewnie: — Ffe-rho, czy mógłbyś nam powiedzieć, czego właściwie od nas chcesz?

— To ważne pytanie — przyznał Ferrol. — Odpowiedź jest prosta. Chcę, żebyście pomogli waszym osadnikom i waszym koniom. Czy słyszałeś kiedykolwiek o ziemskich zwierzętach, które nazywają się psy?

— Są to udomowione ssaki mięsożerne z rodzaju *Canis* — odpowiedział bezbłędnie Wwis-khaa. — W naturze spełniają rolę pomocnika i towarzysza człowieka.

— Masz rację — przyznał Ferrol, trochę zaskoczony wiedzą Tamplesa.

— W dzisiejszych czasach najczęściej są towarzyszami, ale dawniej były używane do pilnowania innych pożytecznych zwierząt przed niebezpiecznymi drapieżnikami. W niektórych miejscach i dziś spełniają tę rolę.

Miał nadzieję, że Tamples połknie haczyk i nie pomylił się.

— Chcesz znaleźć takie zwierzęta w kosmosie? — zapytał, dziwacznie przechylając głowę. — Małe drapieżniki, które broniłyby koni przed rekinem?

— O to chodzi! — przytaknął Ferrol. — Na razie nie wiemy, czy takie stworzenia w ogóle istnieją, ale skoro poznaliśmy już trzy gatunki, które poruszają się w przestrzeni, może znajdziemy jeszcze inne.

— Nie wiem — powiedział Wwis-khaa bez przekonania. — W jaki sposób chcesz ich szukać w niezmierzonej przestrzeni?

— Nie chcę — wyjaśnił Ferrol. — Zostawimy w spokoju przestrzeń kosmiczną i skupimy się na wybranych, niewielkich obszarach, mianowicie na pierścieniach, otaczających wielkie czarne dziury. Uważam, że to dobry pomysł — kontynuował, nie zwracając uwagi na zdumioną minę Demarco. — Przypuszczalnie właśnie stamtąd pochodzą konie kosmiczne i dlatego należy się spodziewać, że powstała tam nisza ekologiczna. Czy chcecie to sprawdzić?

Tamples milczał. Ferrol ponaglał go w myślach. Postawił wszystko na jedną kartę. Jeśli Tamplesi odmówią, cały wysiłek pójdzie na marne.

— Wasze życzenia są naszymi! — usłyszał wreszcie długo oczekiwaną odpowiedź. — Kiedy chcielibyście wyruszyć?

Odetchnął z ulgą.

— Możliwie jak najszybciej — wyjaśnił. — Zgłoś naszemu sternikowi, Randallowi, gdy Epilog będzie gotowy.

— Wasze życzenia są naszymi! — powtórzył Wwis-khaa.

Ferrol wyłączył interkom. Czuł radość zwycięstwa. Rozejrzał się wokół... Demarco patrzył na niego surowo.

— Mam nadzieję — odezwał się tonem oskarżenia — że to tylko bluff.

— Częściowo — przyznał Ferrol. — Większość jednak jest prawdą. Będziemy kłusować wokół czarnych dziur. Chciałbym złapać miniaturową odmianę rekina, ale nie z tych powodów, które podałem Tamplesom. Kłamstwo zapewni nam ich współudział w polowaniu.

— Mogłeś po prostu powiedzieć tym krzywym ryjom, że to rozkaz. Jesteś przecież wyższym oficerem — odburknął Demarco. — To całe tłumaczenie wydaje się dobre dla zwariowanych ekologów, nie dla nas.

Ferrol poczuł, że wściekłość chwyta go za gardło. Nigdy nie sądził, że Demarco jest taki zajadły!

— Obawiam się, że po drodze możemy napotkać rekiny — wyjaśnił, nie okazując

emocji. — Uważam, że Tamplesi powinni wiedzieć, na co się narażają.

Demarco uniósł brwi ze zdziwienia.

— Widzę, kapitanie, że przerobiły cię jakieś czułe serduszka z *Amity*. Po co nam miniaturowe rekiny, jeśli nie szukamy psów obronnych dla krzywych ryjów?

— Potrzebujemy ich do transportu — wyjaśnił Ferrol zniecierpliwiony.

Demarco najwyraźniej próbował podważyć jego autorytet.

— Łapanie koni i ich tresura okazały się niepotrzebną stratą czasu. Teraz już wiemy, że konie nie chcą albo nie mogą podporządkować się człowiekowi, ponieważ człowiek jest drapieżnikiem. Musimy spróbować ujarzmić innego drapieżnika.

Demarco odchrząknął, jakby zbierał się na odwagę.

— Tak uważasz? — zapytał ironicznie. — Moim zdaniem, twój wywód za bardzo przypomina wymysły krzywych ryjów.

Ferrol poczuł, że ma naprawdę dość sprzeciwów.

— W porządku, jeśli tego chcesz — powiedział lodowatym tonem. — Nie masz nic do gadania. Musisz wykonywać moje rozkazy. Jestem przecież twoim dowódcą.

Demarco ustąpił niechętnie.

— Tak jest, kapitanie! — mruknął i odwrócił się do swego pulpitu.

— Chayne? — odezwał się ostrożnie Randall. — Twoje krzywe, to znaczy, twoi Tamplesi zgłaszają gotowość.

Ferrol głęboko wciągnął powietrze, całą siłą woli starając się opanować.

— Powiedz mu, żeby SKOCZYŁ — powiedział krótko.

Zastanawiał się, co było powodem, że w ciągu jednego roku jego załoga zmieniła się w gromadę bezmyślnych fanatyków.

ROZDZIAŁ 25

Komendant Arachne ogłosił alarm tachionowy dla Ziemi i Prepyat. Zdaje się, że wiadomość o tym nie dotarła do *Amity* — głos Yamoto dobiegający z odbiornika laserowego zdradzał skrajne zmęczenie i wyczerpanie psychiczne, czemu Roman wcale się nie dziwił. Była to zupełnie naturalna reakcja na przeżycia ostatnich kilku godzin.

— Informacja dotarła do nas zbyt późno — wyjaśnił.

— To moja wina, kapitanie — westchnęła Yamoto. — Powinnam, nie zważając na konsekwencje, zaalarmować kolonię, gdy tylko znaleźliśmy się w systemie.

Roman potrząsnął głową.

— Nie miałyby to żadnego znaczenia. Nasza pozycja po dwóch SKOKACH, najpierw na Sirius, a potem do systemu Sołomona, nie pozwalała na zbliżenie do Arachne. Nie zdążylibyśmy zatrzymać Ferroła, nawet gdyby pani podniosła alarm znacznie wcześniej. Z całą pewnością nie jest pani winna.

— Tak jest, kapitanie! — zgodziła się bez przekonania. — W każdej chwili jestem gotowa skierować łódź na orbitę.

Roman szybko przeszukał monitor steru. Po czterech godzinach uciążliwej podróży przez system Arachne z przyspieszeniem/opóźnieniem trzech G, *Amity* zbliżyła się wreszcie do planety. Niedługo jej tor miał przeciąć geosynchroniczną orbitę, na której powinni spotkać się z Yamoto.

— Niech pani trzyma się jak najbliżej — zdecydował. — Lepiej trochę poczekać, aniżeli później gonić *Amity*.

Sam nie wiedział, dlaczego tak się śpieszy. Według obliczeń Yamoto, *Scapa Flow* wyprzedzała ich o dobre sześć godzin i właściwie nie mieli żadnych szans na dogonienie jej.

— Mniej więcej za dziesięć minut będziemy na orbicie. Siedząca przy sterze Kennedy lekko odwróciła głowę.

— Kapitanie, ustaliliśmy przypuszczalny kierunek ucieczki. Czy chce pan zobaczyć?

— Tak, oczywiście! — Dłuższą chwilę studiował mapy, które pojawiły się na monitorze. We wskazanym kierunku... nie było zupełnie nic.

— Czy może pani określić stopień prawdopodobieństwa? — zapytał.

— Nie więcej niż siedemdziesiąt pięć procent — przyznała.

— Obraz SKOKU Epiloga zarejestrowany przez Yamoto jest bardzo wyraźny, lecz taką dokładność można osiągnąć jedynie z odległości pół kilometra. Komputer określi prawdopodobieństwo na dziewięćdziesiąt dziewięć procent we wskazanym obszarze — zakreśliła kółeczko wokół wektora. — Na tym wycinku znajduje się jednak co najmniej piętnaście gwiazd, które może zobaczyć koń kosmiczny.

— Nawet tak młody jak Epilog? — zapytał Roman.

— Nie wiem — Kennedy potrząsnęła głową. — Tamplesi też nie wiedzą. Pytałam ich.

Roman zacisnął zęby, starając się pokonać odrazę, jaką nagle poczuł do Tamplesów. Oczywiście, nawet w krytycznej sytuacji nie mieli zamiaru poniżyć się do czegoś tak trywialnego jak domysły. Po chwili uspokoił się jednak. W końcu, to nie była ich wina.

— Niech pani przekaże mi wszystko, co wiadomo o tych gwiazdach — polecił. — Spróbujemy odgadnąć, o co chodzi Ferrolowi.

W gruncie rzeczy nie spodziewał się rewelacji. Rzeczywiście, informacje Kennedy ograniczały się do kilku cyfr bez znaczenia: wymiary, odległości, klasy spektralne, prawdopodobieństwo systemów słonecznych.

— Nie należało oczekiwać niczego więcej — mruknął Marlowe.

— Może Ferrol wie coś, czego my nie wiemy — odrzekł kapitan.

— Kennedy, czy sprawdziła pani, które pakiety zabrał ze sobą?

— O ile mi wiadomo, wziął z *Amity* jedynie nawigacyjny program lokalizacji oraz pełen zestaw map Gwiazdozbioru Łabędzia — wyjaśniła Kennedy. — Poza tym, dane dotyczące Arachne, które oddał Yamoto. Ona twierdzi, że miał sześć pakietów. Prawie na pewno były to tylko informacje nawigacyjne i mapy Łabędzia. — Spojrzała na Romana. — Należy przypuszczać, że któraś z zaznaczonych gwiazd posłużyła Ferrolowi jako etap pośredni do dalszego SKOKU.

Roman ponuro skinął głową. Przed chwilą doszedł do tych samych wniosków. Jeśli Ferrol wykonał SKOK wieloetapowy, zaginął po nim wszelki ślad i trzeba pogodzić się z porażką.

Na pulpicie włączył się jeden z czujników dźwiękowych: zbliżali się do łodzi Yamoto.

— Kennedy, niech drzwi hangaru będą otwarte. Gdy tylko wyrównamy prędkości, Yamoto będzie mogła wprowadzić łódź.

Potem wspólnie podejmą decyzję. Czy ścigać Ferrola, walcząc z trudnościami i niepewnością, czy też, uznawszy, że każda próba będzie tylko pustym gestem, dać za wygraną.

Lecz jak można pozwolić Ferrolowi działać, nie wiedząc do czego zmierza?

„Powinienem go zatrzymać”, pomyślał bezsilnie. „Co gorsza, mogłem go zatrzymać. Wszystko stało się z mojej winy. Mogłem się go pozbyć przed pierwszą wyprawą albo nawet później zwolnić go ze służby”.

Zadźwięczał sygnał interkomu.

— Rro-maa?

Roman spojrzął w skrzywioną twarz Tamplesa.

„Stało się”, pomyślał przygotowany na najgorsze. Oczekiwał zarzutów, wyrażonych jak zwykle z lodowatą uprzejmością, że przez nierozwagę albo zwykłą głupotę zmarnował drogocennego żrebaka.

— Tak, Rrin-saa, o co chodzi? — zapytał.

— Czy twoim życzeniem jest ściganie Ffe-rho?

— W tej sytuacji trudno mówić o życzeniach — mruknął zdezorientowany. Czyżby Tamplesi byli bardziej przebiegli niż myślał? Nie stawiali zarzutów, chcąc przez pozornie niewinne pytania skłonić go, aby sam przyznał się do winy... — Ferrol i Epilog dawno zniknęli... — Nagle coś przyszło mu do głowy. — Chyba że wy wiecie, gdzie ich szukać?

— Ja nie wiem — odpowiedział Rrin-saa. — Ale Sleipnninni wie.

Ferrol oniemiał ze zdumienia. Nie spodziewał się takiej odpowiedzi!

— Powtórz to! — wykrztusił wreszcie.

— Sleipnninni wie, dokąd SKOCZYŁ Epilog — powtórzył Rrin-saa. — Możemy go dogonić, jeśli sobie życzysz.

Roman dostrzegł wyraz niedowierzania na twarzy Marlowe’a.

— Nie rozumiem, Rrin-saa — powiedział z naciskiem. — Epilog SKOCZYŁ sześć godzin temu. Skąd Sleipnir może wiedzieć, gdzie on jest?

— Nie wiem — odpowiedział Rrin-saa. — Wiem tylko, że on wie. To wszystko.

Roman potarł dłonią czoło i znów popatrzył na Marlowe’a.

— Co pan o tym sądzi?

Marlowe potrząsnął głową.

— Dla mnie to czarna magia!

— Zupełnie niepojęte — zgodził się kapitan. — Kennedy, jakie jest pani zdanie?

— Też nic nie rozumiem. Z drugiej strony, nie mamy nic do stracenia.

— To prawda. No dobrze, Rrin-saa, róbcie swoje! Ustawcie Sleipnira, gdy tylko Yamoto i jej łódź znajdą się na pokładzie. Będziemy SKAKAĆ!

Twarcz Tamplesa była jak zwykle nieprzenikniona.

— Wasze życzenia są naszymi! — powiedział obojętnie.

W ciągu prawie osiemnastu godzin *Scapa Flow* wykonała sześć SKOKÓW, zanim wreszcie dotarła do pierwszej czarnej dziury z listy Ferrola, która nosiła nazwę Cygnus

X-1.

Otoczenie do złudzenia przypominało system prenowej, w którym *Amity* znalazła się przed kilkoma miesiącami. Z jednej strony płonęła ogromna, niebiesko-biała gwiazda o blisko dwudziestokrotnej masie gwiazdowej, z drugiej znajdowała się czarna dziura: przestrzeń, zalana równie jaskrawym, błękitnym światłem. Cały układ otaczała chmura wirującego gazu, którą odpychało od gwiazdy przyciąganie czarnej dziury. Obłok gazu był najwęższy w połowie zakrzywionego korytarza pomiędzy dwoma ciałami niebieskimi. Z czarnej dziury bez przerwy wydobywały się promienie jonizujące, które rozświetlały najbliższe otoczenie systemu. Gwiazda miała kształt nieco wydłużony i po brzegach świeciła najjaśniej. Gazowy obłok wisiał nad nią jak nieforemna sieć. Większość zachodzących w nim przemian odbywała się zbyt wolno, by można było dostrzec je gołym okiem, jednak w sąsiedztwie błękitnego ogniska widać było wyraźne zawirowania, które pojawiały się nie wiadomo skąd i znikwały w kosmosie. Oddawały grawitacyjną energię potencjalną, zasilając w ten sposób zewnętrzny strumień promieniowania.

Intensywność światła była przerażająca. Kiedy mijali jeden z systemów, Ferrol pozwolił Epilogowi odciągnąć statek o sześć milionów kilometrów od głównej gwiazdy, chcąc dzięki temu uniknąć nadmiernego przyciągania w X-1.

Teraz, słysząc trzask płyt kadłuba, które deformowały się od gorąca, i widząc, jak spalają się kolejne mierniki promieniowania zewnętrznego, żałował, że nie oddalili się jeszcze bardziej.

Po krótkim czasie *Scapa Flow* opuściła niegościnnie system. W ciągu piętnastu minut przeszukiwań w promieniu miliona kilometrów nie znaleziono nic ciekawego. Zresztą i tak musieli uciekać jak najszybciej.

Cztery kolejne SKOKI doprowadziły ich do następnego systemu, który okazał się znacznie łagodniejszy. Gwiazda leżała w dużej odległości od czarnej dziury, dzięki czemu siła grawitacji była słabsza, a strumień promieniowania mniej intensywny. Choć szukali dłużej, nie znaleźli śladów życia.

Nie było ich też w trzecim systemie. Również w czwartym i w piątym nie natrafili na żaden ślad.

Dopiero w szóstym poszukiwania okazały się... owocne.

— Niemożliwe, niemożliwe — powtarzał bezmyślnie Demarco.

Ferrol bez słowa skinął głową. Drżąc z emocji, usiłował skupić uwagę na trzech monitorach równocześnie. Trzy błyszczące kółeczka otaczały ruchome obiekty, poruszające się wśród pyłu kosmicznego i drobnych skał, które gromadziły się wokół czarnej dziury. Na własne oczach widział pojawiające się dwa następne kółeczka!

— To chyba tylko skały — powiedział niepewnie. — Ich obecność odróżnia ten system od poprzednich.

— Nie tylko one — zaprzeczył kłótliwym tonem Demarco. — Czarna dziura promieniuje znacznie słabiej niż pozostałe, a to jest przecież dla nas najważniejsze.

Ferrol z wściekłością zacisnął zęby. Głos Demarca bezlitośnie wyrwał go z marzeń i przywrócił do rzeczywistości.

— To prawda — powiedział tylko.

„Nie trzeba poddawać się emocjom”, uspokajał sam siebie, „nie wolno reagować na irytujące uwagi Demarca, który w ostatnich dniach złośliwie wszystkiemu się sprzeciwia. Najważniejsze, to nie przegapić okazji. Musimy skupić się na poszukiwaniach, przeprowadzanych z największą ostrożnością i bez niepotrzebnych konfliktów”.

— Dzięki słabszemu promieniowaniu, środowisko jest na pewno bardziej stabilne — dorzucił pojednawczo. — Randall, czy masz już dane dotyczące pierścienia otaczającego dziurę?

— Jeszcze nie wszystkie, ale zdaje się, że to po prostu zwykła mgławica asteroidowa. Nie możemy podejść bliżej, bo promieniowanie i efekty grawitacyjne zaczną dawać się we znaki. — Odwrócił się do Ferrola. — Chyba masz rację, że czynnikiem krytycznym jest kawałkowatość głównego pierścienia. Przynajmniej dwa z zaobserwowanych obiektów pojawiły się z ciemnej strony brył. Prawdopodobnie chronią się tam przed promieniowaniem. Jeśli są mniejsze niż konie, na powierzchnię ich ciała przypada większa dawka.

— Taak — powiedział Ferrol z namysłem. — Przyjrzyj się trochę samej dziurze. Chciałbym mieć jakieś bliższe informacje!

— Dobrze!

Randall wrócił do swoich poszukiwań, a Ferrol połączył się z ładownią i lądowiskiem. Rozmowa z Randallem przypomniła mu o koniu...

— Wwis-khaa? Jesteś tam?

Na ekranie pojawiła się twarz Tamplesa, a raczej niewielki skrawek twarzy pomiędzy hełmem a złoto-niebieskawą chusteczką.

— Ffe-rho?

— Tak, Ppla-zii — potwierdził Ferrol. — Domyślam się, że Wwis-khaa odpoczywa?

— Tak jest! — odpowiedział Tamples. — Ostatnio bardzo dużo odpoczywa.

— Wszyscy odpoczywacie za dużo — mruknął Demarco.

Ferrol spojrział na niego ostrzegawczo.

— Wiem o tym i bardzo mi przykro — powiedział do Tamplesa. — Zdaję sobie sprawę, że to, do czego w ostatnich dniach zmuszamy Epiloga, jest dla was bardzo męczące. Ale to się opłaci. Znaleźliśmy coś, co najprawdopodobniej jest populacją zwierząt, których poszukujemy.

— Wiem! — odparł Ppla-zii. — Eplonninni już widział.

— Ach tak — mruknął Ferrol, ignorując szydery uśmiech Demarca. — To świet-

nie! I co ci powiedział Epilog?

— Nie rozumiem...

— Pytam, jakie wrażenia odniósł Epilog w tym systemie? — wyjaśnił Ferrol. — Może, na przykład, poczuł się zaniepokojony albo zagrożony przez promieniowanie czarnej dziury? Może mu przeszkadza działanie pól grawitacyjnych? — Popatrzył na błyszczące kółeczka na monitorze. — Najważniejsze, czy obawia się żywych organizmów znajdujących się w systemie?

— Epilonninni nie odczuwa zagrożenia — odpowiedział zdecydowanie Ppla-zii.

— To dobrze. Zamelduj natychmiast, gdyby coś się zmieniło.

— Wasze życzenia są naszymi!

— W takim razie... — Ferrol rozejrzał się po pomoście. — Kohlhase, od tej chwili twoim jedynym zadaniem jest obserwacja ruchomych obiektów, poruszających się przed Epilogiem! Co nowego, Randall?

— Masa gwiazdowa czarnej dziury wynosi około stu jednostek. Dziura jest słabo naładowana, ale bardzo szybko się obraca. Jeśli przyjmujemy, że obwód wynosi około stu pięćdziesięciu kilometrów, znajdujemy się teraz w odległości mniej więcej trzech milionów kilometrów — Randall podawał najważniejsze szczegóły.

Ferrol skinął głową, starając się przypomnieć sobie wszystko, co kiedykolwiek czytał o czarnych dziurach.

— Czy zaobserwowaliśmy jakieś efekty relatywistyczne? Odchylenia pola albo inne anomalie orbitalne?

Randall wzruszył ramionami.

— Z tej odległości to zupełnie niemożliwe. — Zmarszczył brwi. — Oczywiście, chcąc przyjrzeć się twoim zwierzakom, musielibyśmy podejść bliżej.

— W porządku — zgodził się Ferrol. — Będziesz uważał, czy nic nam nie grozi. Mam na myśli zwłaszcza poziom promieniowania i gradienty grawitacji, ale zawiadamiaj mnie o wszystkim, co mogłoby budzić jakieś obawy. Jasne?

— Tak jest!

Wszystko zostało przygotowane. Ferrol z westchnieniem spojrzął na ekran. Teraz już poruszało się na nim ponad dwadzieścia obiektów, oznaczonych błyszczącymi kółkami. Najbliższy znajdował się dwadzieścia tysięcy kilometrów od czarnej dziury.

— Okay, Ppla-zii — powiedział. — Zbliżamy się! Ostrożnie i bardzo powoli...

ROZDZIAŁ 26

Asteroid był ogromny. Jego nierówne i poszarpane brzegi niewyraźnie majaczyły w upiornie sinym blasku dalekiej czarnej dziury. Jasny krąg światła reflektorów szperających *Scapa Flow* przesuwał się powoli, zatrzymując co chwila na ciemniejszych punktach gwiazdy.

Ferrol zniecierpliwiony potrząsnął głową.

— No trudno, poddaję się — mruknął, odwracając się od ekranu. — Gdzie on mógł się podziać?

— Zdaje się, że uciekł w lewo — powiedział Demarco. — Tam dalej... o tam jest!

Czarny cień oderwał się od asteroidu i pomknął w przestrzeń. Na chwilę zniknął poza krawędzią ekranu, lecz penetrator lasera prędko go zlokalizował. Było to nieznanne zwierzę, które załoga zgodnie nazwała motylem. Motyl miał około pół metra długości i co pewien czas obracał się w locie o dziewięćdziesiąt stopni. Po dwudziestu minutach biernej obserwacji nic więcej nie można było o nim powiedzieć.

— Łapiemy go, Mai! — zdecydował Ferrol. — Poczekaj tylko, aż będziesz miał otwarte pole do strzału.

— W porządku — w skupieniu wyszeptał Demarco. — Za chwilę...

Po wystrzeleniu sieci statek przechylił się lekko. Ferrol wstrzymał oddech... Motyl wykonał gwałtowny zwrot, lecz spóźnił się o sekundę. Sieć owinęła się wokół niego, ciasno oplatając ciało. W sinym świetle czarnej dziury wyładowania koronowe sieci były prawie niewidoczne. Motyl drgnął kilka razy i zamarł w bezruchu.

— Townee, przyciągnijcie go! — zawołał przez interkom.

— Tak jest!

Ferrol przeciągnął się, rozluźniając napięte ze zdenerwowania mięśnie. Obserwował na monitorze, jak motyl powoli zbliża się do statku.

Dryfując przez cztery godziny w kręgu akrecji, zlokalizowali, zidentyfikowali i sfilmowali przynajmniej piętnaście różnych wariantów kosmicznych stworzeń. Cztery zostały schwytane, ogłuszone lub zabite prądem i zabrane na pokład do dalszych badań.

„To już piąty okaz tej cholernej menażerii. Ten też chyba nie jest drapieżnikiem”, po-

myślał z irytacją.

— Ffe-rho?

Z trudem oderwał się od ponurych myśli.

— Tak, Wwis-khaa, o co chodzi?

— Czy życzysz sobie, abyśmy nadal zbliżali się do czarnej dziury?

Przez chwilę Ferrol analizował odczyty. Od czasu pojawienia się w systemie, statek utrzymywał kurs zgodny z ruchem kręgu akrecji i zbliżył się do czarnej dziury nie więcej niż kilkaset kilometrów.

— Tak, jeśli nie ma przeszkód — zdecydował. — Czy nadmierne przyciąganie może zaszkodzić Epilogowi?

— Nie wiem — odpowiedział Tamples. — Wiem tylko, że to jest dla niego niepokojące miejsce. To wszystko.

Niepokojące miejsce oznacza zaniepokojonego konia oraz zaniepokojonych i wyczerpanych operatorów. Zniechęcenie Ferrola nagle przerodziło się w gniew, ale szybko zdołał się opanować. W tym przypadku Tamplesi nie byli winni. Niestety, ciągle potwierdzała się bolesna prawda, że konie kosmiczne, ten wspaniały środek transportu, są zupełnie nieodporne na stres.

— Czy mógłbyś określić, jak długo możemy tu zostać, biorąc pod uwagę zmęczenie operatorów? — zapytał rzeczowo.

— Nie wiem — odpowiedział Tamples. — Wiem tylko, że ja będę mógł operować Epilonninnim jeszcze przez dwie godziny, lecz Bbri-whoa nie będzie mógł mnie później zastąpić.

Tylko dwie godziny...

Dotąd poznali zaledwie cząstkę systemu.

— Rozumiem — powiedział rozgoryczony. — No cóż, spróbujmy zrobić tak: gdy Ppla-zii zajmie twoje miejsce, znajdziemy jakiś dogodny system i SKOCZYMY tam. Może po kilku dniach odpoczynku będziemy mogli powrócić?

— Może. Nie wiem.

Ferrol spojrzał na Demarca.

— No cóż — zaczął — zdaje się, że...

— Ffe-rho?

Odwrócił się do interkomu.

— Tak, Wwis-khaa, co się stało?

— Epilonninni jest... zaniepokojony. — Tamples bez zmrużenia powiek wpatrywał się w Ferrola. — W pobliżu jest coś, co go niepokoi.

Ferrol zdenerwował się.

— Kohlhase? Jest coś nowego?

— Nic się nie pojawiło w pobliżu Epiloga — odpowiedział Kohlhase z przekona-

niem.

— Obserwuj uważnie! — przypomniał Ferrol. — Mai, Randall, chcę mieć pełny obraz...

— Ruchomy obiekt! — przerwał Demarco. — Namiar trzydzieści trzy stopnie w prawo, zenit trzy, zasięg tysiąc sto kilometrów.

— Zaraz go znajdę — mruknął Ferrol.

Drżącymi dłońmi włączył program identyfikacji. Na monitorze zmieniały się kolejno obrazy zwierząt. Stwór widoczny na okienku w górnej części ekranu był jednak niepodobny do żadnego z nich.

— To coś zupełnie nowego — potwierdził Demarco. — Jest od nich znacznie większy, ma prawie cztery metry długości.

Ferrol wyregulował ostrość obrazu.

— Wygląda trochę jak miniaturowy sęp — stwierdził po namyśle.

Demarco spojrzał mu przez ramię.

— To dobrze czy źle?

Ferrol zagryzł dolną wargę. Komputer ciągle nie mógł zidentyfikować zwierzaka.

— Jeśli to sęp, nie musimy się niczego obawiać.

Demarco odchrząknął.

— Więc to nie jest ten twój drapieźnik?

Dopiero teraz Ferrol przestraszył się naprawdę. Całą siłą starał się opanować lęk i ze spokojem zastanowić nad sytuacją. Nie trzeba przedwcześnie wpadać w panikę!

— Nie jestem pewien — odpowiedział chłodnym tonem. — Nazwaliśmy je sępami, ponieważ kiedy zobaczyliśmy je pierwszy raz, rozdzierały martwego konia. Z drugiej strony, ochoczo przyłączyły się do walki po stronie rekina, gdy ten zaatakował *Amity*. Może to nie są sępy, tylko szakale...

— Tak, lecz wystarczy porównać je z rekinem, aby stwierdzić, że nie mają kształtów drapieźnika. Nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie? — zastanowił się Demarco.

— Słuszna uwaga — przyznał Ferrol. — Lecz przecież konie też mają kształt walca. Być może, budowa ciała jest raczej związana ze sposobem wykonywania SKOKÓW niż z formą odżywiania.

Spoglądając na ekran, obserwował, jak zwierzę dryfuje nieco szybciej niż okoliczne asteroidy i co kilka sekund łagodnie zmienia kierunek. Może w ten sposób przygotowuje się do ataku?

— Chciałbym obejrzeć go dokładnie od spodu. Sępy, które widzieliśmy dotychczas, miały ogromne otwory trawienne w dolnej części ciała — przypomniał sobie niepokojący szczegół.

Kątem oka zauważył, że Demarco wzruszył ramionami.

— Oczywiście, dlaczego nie? Możesz zobaczyć go w całości. Sprawdzę tylko, czy do-

datkowa wyrzutnia jest gotowa do wystrzelenia sieci — odwrócił się do interkomu.

— Ruchomy obiekt! — przerwał Randall. — Za tą skałą, tuż przed sępem.

Obrazy na ekranie zmieniały się błyskawicznie jeden po drugim, zanim wreszcie na monitorze pojawiła się niebieskawa sylwetka jakiegoś zwierzęcia, które zygzakami przesuwało się pomiędzy bryłami asteroidów.

— To chyba motyl — zasugerował Ferrol.

— Na to wygląda — potwierdził Randall. — Cholernie się spieszy!

Ferrol przełączył monitor, chcąc uzyskać szerszą perspektywę. Z niepokojem oczekiwał, kiedy mały sęp rzuci się na motyla.

Tymczasem nic złego się nie działo. Nawet gdy motyl rozpoczął swój taniec tuż przed nosem sępa, ten zupełnie spokojnie płynął dalej i nie okazywał apetytu na łatwą zdobycz.

— To oferma! — zauważył ironicznie Demarco. — Nie umie jeszcze polować.

Ferrol wzruszył ramionami.

Może po prostu nie chce mu się jeść — spróbował odpowiedzieć tym samym tonem co Demarco, ale niezupełnie mu się udało.

— Co robimy? — zapytał Demarco. — Nadal chcesz go schwytać?

Ferrol skinął głową.

— Chyba tak!

Sęp mijał właśnie asteroid, zza którego wynurzył się motyl. Motyl powoli zbliżał się do krawędzi panoramicznego monitora. Ferrol przełączył program, aby znów uzyskać obraz sępa w zbliżeniu.

— Mówiłeś, że możemy zobaczyć go...

Nie zdążył dokończyć. Sęp nagle zniknął z ekranu.

— Szukać go! — wrzasnął Ferrol.

Na monitorze znów był widoczny większy obszar.

— Boże święty! — westchnął Randall. — Jak zasuwał!

Ferrol w milczeniu skinął głową. Sęp osiągał niebywałą prędkość, wijąc się zygzakiem wśród pyłu i większych brył, zupełnie jakby naśladował lot motyla. Czyżby go tropił?

— Randall, potrzebuję analizy toru lotu sępa i motyla!

— Już zrobiłem, Chayne! — odpowiedział Randall. — Prawie dokładnie się pokrywają. Nie ma wątpliwości, że sęp idzie po śladach.

— Spryciarz! — mruknął Demarco. — Ciekawe, jakie to ślady?

Ferrol lekko się uśmiechnął.

— Oczywiście rozpylony pot motyla.

— Co takiego?

— Później ci powiem. Teraz nie przeszkadzaj — odpowiedział niecierpliwie.

Motyl znów pojawił się na wizji. Ciągłe uciekał, ale nie ulegało wątpliwości, że sępa w końcu go złapie. Już na ich oczach znacznie się przybliżył do swojej ofiary.

Wreszcie zrównał się z motylem. Oba zwierzaki oddalały się z ogromną szybkością, lecąc obok siebie, teraz już po linii prostej, bez zygzaków.

— Złapał go — mruknął Randall. — Trzyma w żelaznym uchwycie telekinezy.

— Gdzieś go ciągnie — dodał Demarco.

Po chwili zwierzęta zniknęły z ekranu. Na pomoście zaległa długa cisza. W końcu przerwał ją Ferrol.

— No dobrze — powiedział spokojnie. — Randall, skontaktuj się z Wwis-khaa. Niech nas podprowadzi do sępa na odległość strzału wyrzutni sieci.

— Chayne! — wykrzyknął Kohlhase. — Ruchomy obiekt, z przodu, na prawo: coś wielkiego!

Ferrol przycisnął włącznik interkomu.

— Wwis-khaa, alarm! — wykrzyknął. — Znajdź docelową gwiazdę i SKACZ!

— Wasze życzenia są naszymi!

— Natychmiast przygotuj Epiloga — rozkazał Ferrol. — Demarco, zbadaj wymiary tego obiektu. Kohlhase, rozejrzyj się, czy nie towarzyszą mu sępy.

W tej chwili na pulpicie zabrzmiał sygnał komunikacji laserowej. Z odbiornika odezwał się wesoły głos:

— Tu kapitan Roman z pokładu *Amity Scapa Flow*, zgłoś się!

Ferrol bez słowa gapił się w nadajnik. Zastanawiał się, jakim cudem Roman mógł ich wysledzić. Ogarnęło go dziwne uczucie, że historia się powtarza. To wszystko już było... System Yishyar, schwytanie żrebaka, wezwanie z *Driady*... i ucieczka w ostatniej chwili. Mimo wszystko starał się skupić w oczekiwaniu na niebezpieczne pytania. Przełknął ślinę.

— Randall, przekaż Wwis-khaa, żeby zaczekał z tym SKOKIEM.

Włączył wizję i nadajnik.

— Mówi Ferrol — odezwał się do mikrofonu. — Daleko was zaniósł, kapitanie!

— Pana również! — na monitorze pojawiła się twarz Romana.

Zdradzała zmęczenie, ale przede wszystkim ogromną satysfakcję.

— Macie jakieś kłopoty, komandorze?

— Raczej nie, poza tym, że za dwie godziny musimy wracać. Nasz koń i operatorzy nie wytrzymują tych warunków.

— Mam nadzieję, że nikt nie został ranny? — zapytał ostro kapitan.

Widocznie podejrzewał, że Ferrol użył przemocy.

— Czujemy się doskonale! — zapewnił. — Chciałbym też od razu wyjaśnić, że nikogo nie zmuszałem. Wszyscy sami się zgodzili.

— Chyba dopiero później. Według Yamoto, nikt nie zgłosił się na ochotnika — za-

uważył Roman z naciskiem. — Czy znalazł pan to, czego pan szukał?

Ferrol zacisnął pięści. Zastanawiał się, czy Roman rzeczywiście odgadł jego zamiary.

— Właściwie nie znalazłem — odpowiedział spokojnie. — Ale po drodze poznaliśmy wiele szczegółów dotyczących tutejszej ekologii. Zabraliśmy na pokład pięć egzemplarzy do dalszych badań po powrocie. Obecnie jesteśmy na tropie szóstego. Jeśli pan pozwoli, spróbujemy go złapać.

— Może pan kontynuować akcję — Roman zmarszczył brwi. — Zdaje się, że nie jest pan specjalnie zaskoczony tym, że was znaleźliśmy?

— Jesteśmy bardzo zaskoczeni — przyznał Ferrol. — Przede wszystkim jednak odczuliśmy z ulgą. W pierwszej chwili wzięliśmy was za rekina! Czy zechce mi pan zdradzić, w jaki sposób nas odnaleźliście?

Roman potrząsnął głową.

— Na razie nie potrafimy tego wyjaśnić — odpowiedział. — Tamplesi powiedzieli tylko, że Sleipnir potrafi pójść waszym śladem. Marlowe sugeruje występowanie jakichś charakterystycznych zaburzeń w teoretycznym polu telekinezy, lecz dotąd...

— Cholera! — Ferrol zaklął pod nosem.

Nagle rozjaśniło mu się w głowie! Wszystko się zgadza! — Kapitanie, to pot! Sleipnir przyszedł po śladach potu!

Roman zmarszczył brwi.

— Nie wiem, czy...

— Chwileczkę — przerwał Ferrol i szybko wcisnął kilka klawiszy rejestratora. — Niech pan popatrzy! To nagranie wykonaliśmy przed chwilą. Mały sęp atakuje motyla.

Roman z namysłem obserwował obraz kamery i nie odzywał się. W odbiorniku było słychać tylko cichy szum.

— Ciekawe — odezwał się wreszcie. — Ma pan rację. Najprawdopodobniej ślady potu zwierząt kosmicznych są odpowiednikiem śladów krwi zwierząt na Ziemi. Ale tylko wtedy, gdy zwierzę nie potrafi SKAKAĆ.

— Wcale nie! — Ferrol potrząsnął głową. Czuł, że dokonał przełomowego odkrycia. Dlaczego nikt dotąd tego nie zauważył? — Pot znika po SKOKU, ale ślad pozostaje. Pamięta pan te złożone cząsteczki silikonowe, które wszyscy oglądali, ale nie potrafili ich docenić? To właśnie one w jakiś sposób przenoszą informację o kierunku SKOKU.

— Mój Boże! — powiedział Roman, a na jego twarzy pojawił się wyraz przerażenia. — Pan ma rację, lecz nie chodzi przecież tylko o informacje dotyczące SKOKU. Rejestrowane są wszystkie przeżycia zwierząt. Wszystko, co się z nimi dzieje. To rodzaj krótkotrwałej pamięci, może nawet długotrwałej...

— Skąd pan wie? — Ferrol zmarszczył brwi.

— Drugi rekin w systemie 9862 — przypomniał Roman. — Ten, który rozbił flotyl-

lę. Wiedział wszystko o ich broni i taktyce.

Ferrol popatrzył na niego w osłupieniu. Czuł, że robi mu się słabo. Oczami wyobraźni widział przerażającą masakrę: przy pomocy sępów rekin zablokował broń laserową i jonową, siłą telekinezy powstrzymał pociski, a potem zmiażdżył statki w śmiertelnym uścisku. Przypomniawszy sobie taniec pierwszego rekina. Teraz już wiedział:

— To nie był taniec śmierci. Pierwszy rekin rozpylał wokół swój pot.

— Chyba tak — zgodził się Roman. — Co pan na to, Marlowe?

— Zgadza się, kapitanie! — Marlowe przesłał mu obraz zarejestrowany na taśmie.

— Rzeczywiście, drugi rekin przeszedł przez ten obszar. Proszę zauważyć, że przed szarżą zatrzymał się na kilka sekund.

— A my przez dziesięć dni tkwiliśmy w systemie 66802 — powiedział Ferrol, ze zdenerwowania szczękając zębami.

— No właśnie — Roman przytaknął ponuro. — Zmarnowaliśmy mnóstwo czasu. Możemy tylko mieć nadzieję, że pocisk, który wystrzeliliśmy przeciwko sępom, zniszczył pozostałości potu Sleipnira na tyle, że stały się nieczytelne.

Ferrol spojrzawszy przez iluminator. Błękitna poświata zakrywała najbliższe asteroidy, a dalsze otaczała lekka mgiełka.

— To niemożliwe — potrząsnął głową. — Od ponad pół wieku Tamplesi podróżują przy pomocy koni. Dlaczego nigdy tego nie zauważyli?

— Prawdopodobnie nigdy nie mieli okazji — stwierdził Roman. — Nie sądzę, żeby kiedykolwiek ktoś ukradł im konia.

Uwaga kapitana przywołała Ferrola do rzeczywistości.

— No dobrze! I co teraz? — zapytał wyzywająco.

Przez chwilę Roman nieruchomym wzrokiem patrzył w przestrzeń.

— Teraz jak najszybciej wracamy do Cordonale — postanowił. — Zresztą... — nie dokończył.

W jego oczach pojawił się dziwny błysk.

— Kennedy, proszę zająć się układem nawigacyjnym. Niech pani wyznaczy najkrótszą trasę do zagrody Kialinninni. Ferrol, chcę panu zaproponować następujący układ: niech pan złapie to zwierzę, które pan ściga, a potem natychmiast wraca do Cordonale. Wtedy nie wyciągnę wobec pana żadnych konsekwencji.

— Chwileczkę — powstrzymał go Ferrol. — Skąd ten pośpiech?

— Nie pamięta pan? — zdenerwował się Roman. — Tamplesi odprowadzili do Kialinninni wszystkie swoje konie!

Ferrol zrozumiał wreszcie.

— Zostawili ślady... Każdy z nich prowadzi prosto do zagrody — wykrztusił.

— No właśnie — przytaknął Roman. — Musimy natychmiast ich ostrzec. Chyba potrafimy jakoś zmylić ślady, może wystrzelić torpedy jądrowe w miejscach SKOKU? Sam

nie wiem...

Ferrol zacisnął szczęki. W tej sytuacji lepiej wrócić na *Amity*.

— Chciałbym polecieć z wami, kapitanie — oświadczył. — Jeśli zaraz wyruszymy, będziemy mogli połączyć się mniej więcej za pół godziny.

Roman odwrócił się, przypuszczalnie do Kennedy. Potem z głębokim namysłem spojrział na Ferrola.

— Czy mógłbym się dowiedzieć, dlaczego?

Ferrol nie bez trudności wytrzymał spojrzenie kapitana.

— Nadal jestem oficerem operacyjnym *Amity* — przypomniał i po raz pierwszy od wielu godzin znów pomyślał o pistolecie w kieszeni munduru, a przede wszystkim o kopercie od Senatora...

— Tu jest moje miejsce. Nawet jeśli zarządzi pan areszt domowy. — Jeszcze jeden argument przyszedł mu namysł. — Poza tym, *Amity* ma lepsze wyposażenie do badań okazów z mojej kolekcji. W ciągu tych kilku godzin, które straciłbym na powrót, doktor Tenzing będzie mógł już rozpocząć analizy.

Roman utkwiał w nim przenikliwe spojrzenie, jakby starał się odczytać ukryte zamiary. Ferrol czekał w napięciu. Wreszcie kapitan niechętnie skinął głową.

— W porządku, komandorze. Niech pan kontynuuje polowanie i przygotuje egzemplarze do transportu. Spotkamy się za pół godziny.

Ferrol odetchnął z ulgą.

— Tak jest! Dziękuję, kapitanie!

— Do usłyszenia! Skończyłem!

Ekran zgasł. Przez dłuższą chwilę Ferrol siedział nieruchomo przed nadajnikiem, niezdolny do jakiegokolwiek działania. Poczul się zdrajcą. Po raz drugi w krytycznej sytuacji kapitan dał mu szansę, a on w każdej chwili gotów był podstępem zmusić go do uległości. Od początku wiedział, że tego nie uniknie. Nie oczekiwał jednak, że to nastąpi tak szybko.

— Pierwszy SKOK wykonany! — zameldowała z pomostu Kennedy. — Pozostaniemy w tym systemie przez najbliższe dwadzieścia minut, zanim będziemy gotowi do kolejnego SKOKU.

Roman skinął głową.

— W porządku! Nie ma kłopotów ze *Scapa Flow*

— Na razie nie — odwróciła się i szybko przeszukała monitory. — Lina trzyma się dobrze. Nie widać też, żeby Sleipnir odczuwał dodatkowy ciężar.

— To świetnie! Proszę mnie o wszystkim informować! Wyłączył interkom i rozejrzał się wokół. Ferrol siedział w milczeniu przy drugim pulpicie. Starał się, żeby jego postawa wyrażała poczucie własnej godności, a zarazem należny szacunek dla kapitana, lecz nie wyglądał zbyt przekonująco.

— Strasznie wytrzęsie pańskich ludzi — zagadnął kapitan. — Moglibyśmy wziąć ich na pokład.

Ferrol wzruszył ramionami.

— Dziękuję, kapitanie, że pan o tym pomyślał. Szczerze mówiąc, uważam jednak, że na *Scapa Flow* mają lepsze warunki.

— Poza tym mają większą szansę na odcięcie liny i ucieczkę, gdy tylko Cordonale będzie w zasięgu Mitsuushi? — zapytał sarkastycznie Roman.

Ferrol wydawał się dotknięty.

— Daję panu słowo honoru! — powiedział z godnością. — Nie będą próbowali uciekać.

Roman zastanowił się.

— Wierzę panu — stwierdził po chwili. — Bardzo przepraszam, komandorze!

— Dziękuję! — Ferrol uspokoił się. — Czy mam złożyć oficjalne zeznania, zanim zarządzi pan areszt domowy? Czy odłożymy te formalności do czasu powrotu na Ziemię?

Roman obserwował twarz Ferrola. Malował się na niej wyraz urażonej niewinności i respektu dla dowódcy, ale... nie można było wyczytać najmniejszego śladu niepokoju. Właśnie to zaskoczyło kapitana. Będąc na miejscu Ferrola, chyba należałoby się niepokoić.

— Sądzę, że pana zdegradują — spróbował go wy badać.

Ferrol drgnął, a w jego oczach zapalił się błysk niepewności.

— Tak pan sądzi?

— W pewnej mierze zależy to od powodów pańskiego wyczynu — powiedział poważnie. — Nie uważa pan, że motywacja jest ważnym składnikiem każdego działania?

— To zależy, o czym mówimy: o etyce czy o prawie — odpowiedział przekornie Ferrol.

Roman wzruszył ramionami.

— Może... W każdym razie, zanim lądownik zabrał Epiloga i odleciał, gdy pan pomagał w przenoszeniu okazów na pokład, odbyłem krótką rozmowę z Wwis-khaa. Powiedział mi, że pan szuka jakiegoś „owczarka”, który pomagałby Tamplesom pilnować ich koni — spojrzał pytająco na Ferrola.

— Oczywiście pan w to nie uwierzył? — zapytał Ferrol z ironią.

— To była wersja przeznaczona dla Tamplesów — przypomniał Roman.

— I dlatego musi być kłamstwem? — w głosie Ferrola słychać było ton wyzwania.

Roman nie dał się sprowokować. Milczał czekając, aż Ferrol się opanuje. Rzeczywiście, po chwili odezwał się zupełnie innym tonem.

— Kapitanie, tak się składa, że mniej więcej powiedziałem prawdę — wyjaśnił spokojnie. — Jak wiadomo, konie kosmiczne nie są izolowanym zjawiskiem na drodze

ewolucji. Należy przypuszczać, że są częścią złożonego ekosystemu zwierząt, poruszających się w kosmosie. Każdy przyzwoity ekosystem powinien mieć kilka gatunków drapieżników. Postanowiłem je znaleźć.

— Nie czekając na niczyją zgodę i opinię — podsumował Roman.

— Tak — zgodził się Ferrol. — Z drugiej strony, Rris-saa już wcześniej powiedział, że Tamplesi przy najbliższej okazji mają zamiar się wycofać z tej zabawy. Jeśli nie wykorzystalbym szansy, jaką dał nam Epilog, może okazja nigdy by się nie powtórzyła. Uśmiechnął się lekko. — Poza tym, gdybym pana uprzedził, byłby pan razem ze mną pociągnięty do odpowiedzialności.

— Chyba że po prostu zamknąłbym pana w kabinie — rzekł Roman lodowatym tonem.

Ferrol bezradnym gestem rozłożył ręce.

— Gdyby pan to zrobił, nie poznalibyśmy ekologii czarnych dziur.

„Jeśli odkrycia okażą się efektywne, nikt nie nazwie ich przestępstwem”, pomyślał cynicznie Roman. „Taką właśnie politykę, opartą na doraźnych korzyściach, prowadzi ostatnio Cordonale”.

— Powiedział pan, że wersja przeznaczona dla Wwis-khaa była mniej więcej prawdziwa. Domyślam się, że w przypadku pańskich teoretycznych drapieżników chodziło o coś więcej niż pilnowanie koni.

Ferrol nachylił się w stronę kapitana. Jego twarz przybrała nagle wyraz powagi.

— Kapitanie, moglibyśmy wykorzystać te zwierzęta — powiedział ze źle ukrywanym podnieceniem. — Wytresować je tak, jak Tamplesi wytresowali swoje konie. Te zwierzęta byłyby nasze! Gdybyśmy mieli własne kosmiczne... no, nie wiem, powiedzmy: wilki, zaprzęgnęlibyśmy je do naszych pojazdów, a cały kosmos stanąłby dla nas otworem! Moglibyśmy eksploatować i kolonizować, co nam się żywnie podoba, a Tamplesi nie mogliby nam przeszkadzać i prowadzić nas za rączkę!

— Widzi pan perspektywę stworzenia floty koni wojennych? — zapytał Roman.

— Widzę nieograniczone perspektywy... — Ferrol przerwał, gdy sens pytania dotarł do jego świadomości. — Co pan mówi?

— Powiedziałem: „flota koni wojennych” — powtórzył spokojnie Roman. — Pomyśl, który od pewnego czasu usiłuje pan sprzedać swoim poplecznikom w Senacie. W każdym razie od czasu narodzin pierwszego żrebaka, a może nawet od ucieczki przed *Driadą* z systemu Cemwanninni Yishyar.

Ferrol patrzył na niego w osłupieniu.

— Kto panu...? — wykrztusił z trudem. Przełknął ślinę i dokończył, udając oburzenie: — Nie wiem, o czym pan mówi!

— Mówię o panu — Roman przyglądał mu się uważnie. — O człowieku, który złożył fałszywą przysięgę i sprzeniewierzył fundusz Senatowi, uprawiając kłusownictwo w syste-

mie Cemwanninni. Który później...

— Niczego nie ukradłem — sprzeciwił się Ferrol.

W jego głosie, oprócz oburzenia, pojawiła się jednak nuta strachu.

— Nigdy nie robiłem niczego na własną rękę. Do diabła, oni sami mnie zwerbowali!

— Wierzę panu — powiedział Roman — ale oficjalnie rozpowszechnia się inną wersję. Domyślam się, że pańscy protektorzy starają się stworzyć atmosferę, w której łatwo będzie można zdyskredytować wszystko, co mógłby pan powiedzieć przeciwko nim.

Ferrol powoli odwrócił wzrok w kierunku iluminatora. Przez dłuższą chwilę spoglądał w gwiazdy. Roman odczytywał z jego twarzy grę uczuć, których młody człowiek nie potrafił dłużej ukrywać. Kapitan poczuł się jednym z tych, którzy trzymają topór nad głową Ferrola. Stopniowo poczucie winy zmieniło się jednak w zainteresowanie połączone z rosnącym szacunkiem. Ferrol zawsze traktował dowódcę i jego poglądy z pewną lekceważącą arogancją. Roman tłumaczył to młodym wiekiem i poczuciem siły, wynikającym z nieoficjalnej protekcji polityków. Obecnie musiał przyznać, że pomylił się w ocenie. Ferrol nie ugiął się nawet teraz, gdy cała wspierająca go siła obróciła się przeciwko niemu. Szok wywołany świadomością, że rzucono go pomiędzy wilki, szybko zmienił się w lodowaty, uparty gniew. Gdy znów odwrócił twarz do Romana, był już zupełnie spokojny.

— Jak długo krąży ta oficjalna wersja? — zapytał.

— Pierwszy raz usłyszałem ją na *Defiance*, podczas przesłuchań — wyjaśnił Roman. — Przedtem próbowałem kilkakrotnie dotrzeć do pańskiego nagrania, ale pańscy przyjaciele postarali się, żebym go nie znalazł.

Ferrol ponuro skinął głową.

— Teraz znów jest dostępne — mruknął przygnębiony. — Oczywiście odpowiednio spreparowane.

— To możliwe — przyznał Roman. — A zatem: co pan zamierza?

Ferrol zastanowił się.

— Chyba spróbuję zainteresować kogoś innego ideą udomowienia kosmicznych drapieżników. Na przykład Instytut Psychologii Sinshahli, z którym współpracował De-mothi.

— Mogą pana nie przyjąć — ostrzegł go Roman. — Nie wiadomo, jaki zasięg ma opinia, którą wystawili panu politycy.

— Na pewno nie taki duży — Ferrol potrząsnął głową. — Jeśli zbyt wielu ludzi usłyszałoby tę wersję, mogliby domagać się wyciągnięcia konsekwencji. Politycy nie będą chcieli, żeby moja sprawa nabrała rozgłosu.

— Ma pan rację. Oni też są w trudnej sytuacji.

Ferrol nerwowo wzruszył ramionami.

— Mają nadzieję, że nie będę dolewał oliwy do ognia. Prawdopodobnie dlatego postarali się, żeby pan wiedział o wszystkim. Liczyli, że pan mi to przekaże. — Spojrzał ostro na Romana, jakby coś sobie przypomniał.

— Skoro pan znał oficjalną wersję, dlaczego pozwolił mi pan uczestniczyć w poro-dzie Epiloga?

Roman popatrzył mu prosto w oczy.

— Jak mówiłem, nie wierzę w oskarżenia. Kilkanaście miesięcy służby to bardzo dobra okazja do poznania człowieka, jego charakteru i poglądów. Wtedy wiadomo, czy można mu zaufać i w jakich okolicznościach.

Coś dziwnego pojawiło się w oczach Ferrola, czego Roman nie potrafił jednoznacznie określić.

— Tak jest, kapitanie! — Ferrol odezwał się bezbarwnym tonem. — Dziękuję za za-ufanie! Przepraszam bardzo, ale ostatnie dni były dla mnie bardzo wyczerpujące. Jeśli pan pozwoli, chciałbym teraz odpocząć w swojej kabinie.

— Oczywiście — zgodził się Roman. — Według obliczeń Kennedy, za dwanaście godzin będziemy w Kialin-ninni. Chciałbym, żeby do tego czasu był pan zdolny do służby.

— Tak jest, kapitanie! — powiedział Ferrol, wstając z fotela.

— Komandorze...?

Ferrol zatrzymał się przy drzwiach.

— Słucham, kapitanie?

— Cieszę się, że pan wrócił.

Tym razem dziwny błysk w oczach Ferrola Roman odczytał jako wyraz głębokiego żalu.

— Dziękuję, kapitanie! — powiedział Ferrol i wyszedł.

ROZDZIAŁ 27

Słońce Kialinninni, zaznaczone na monitorze błyszczącym mazakiem, było zamgloną, czerwoną gwiazdą, która przesuwała się wraz z innymi, kiedy Sleipnir łagodnym łukiem podchodził coraz bliżej. Roman spojrział przez przedni iluminator i z niepokojem zauważył, że gołym okiem gwiazdy nie dawało się już niemal zobaczyć. Po chwili koń zupełnie ją zasłonił.

— Sso-ngii, czy jesteś pewien, że Sleipnir widzi gwiazdę docelową?

— Widzi — odpowiedział Tamples.

Roman z niedowierzaniem wpatrywał się w monitor, lecz miał nadzieję, że Sso-ngii się nie myli.

— W porządku! Przygotuj się do SKOKU na mój rozkaz! Zamelduj natychmiast, gdyby Sleipnir poczuł się zaniepokojony albo przestraszony. — Połączył się z maszynownią. — Komandorze Stolt, doktorze Tenzing, czy wszystko gotowe?

— Czekamy na rozkazy — odpowiedział Stolt. — Łodzie mają uzupełnione paliwo i są gotowe do startu. Doktor Tenzing jeszcze raz sprawdza strukturę aerozolu.

— Dobrze! Spuścić łodzie!

— Tak jest, kapitanie! Już zaczynamy!

Roman skupił uwagę na monitorze taktycznym. Z hangaru wynurzyły się dwie łodzie, które oderwały się od kadłuba *Amity* i początkowo płynęły tuż obok siebie. W miarę oddalania się od statku stopniowo się rozdzielały, aby w końcu stanąć po przeciwnych stronach cielska Sleipnira.

— Zaczęli rozpylanie! — zgłosił Stolt.

Łodzie posuwały się powoli wzdłuż potężnego walca, wlokąc za sobą smugi gęstej mgły. Po chwili równocześnie uniosły się łagodnie w górę i poruszały po torze spiralnym, mniej więcej pięć metrów ponad Sleipniem. Mgiełka powoli opadała. Łodzie dotarły do głowy i zawróciły, kierując się wzdłuż liny uprzęży. Rozpylona substancja coraz bardziej zasłaniała konia, tworząc wokół niego dziwną aureolę.

— Zaraz wrócą — powiedział Stolt. — Za minutę ETA. Roman skinął głową.

— Marlowe?

— Mgła utrzymuje się doskonale. Wypełnia całą przestrzeń wokół Sleipnira.

— To świetnie! — Nagle coś sobie przypomniał. — Gdy znajdzie pan chwilę czasu, proszę zawiadomić *Scapa Flow* o tym, co się będzie działo. Po co mamy ich straszyć?

— Tak jest, kapitanie! — Marlowe odwrócił się od interkomu.

Roman popatrzył uważnie na monitor taktyczny.

— Sso-ngii, czy Sleipnir zauważył ten gaz wokół siebie?

— Nie zwrócił na to uwagi. Cały czas wpatruje się w gwiazdę Kialinninni i przygotowuje do SKOKU.

„Poza tym, przez cały czas wydziela informacje, które jakiś zabłąkany rekin może wykorzystać, żeby trafić do zagrody,” pomyślał Roman. „Jeśli mikstura z największą dokładnością spreparowana przez Tenzinga okaże się nieskuteczna...”

Paradoks polegał na tym, że nigdy nie dowiedzą się, czy była skuteczna.

Łodzie zbliżyły się do kadłuba *Amity* i zniknęły z ekranu.

— Kapitanie, łodzie są już na pokładzie — zameldował Stolt. — Właśnie wpłynęły do hangaru — dodał po chwili. — Jesteśmy gotowi!

— Sso-ngii?

— Słucham, Rro-maa?

Roman poprawił się w fotelu, jeszcze raz spojrzął na monitor.

— Wszystko w porządku. Ognia i SKOK!

Laser wystrzelił. Na ekranie pojawiła się połyskliwa strużka zjonizowanego wodoru, która zmierzała w stronę chmury gazu, otaczającej Sleipnira. Nagle... ogromny płomień zasłonił konia! Tenzing zapewniał, że przy zetknięciu mieszaniny z wiązką laserową nie wydzielili się zbyt wiele ciepła. Podobno sprawdzał to kilkakrotnie. Temperatura ciała Sleipnira nie powinna wzrosnąć powyżej sześciuset stopni Celsjusza. To wcale nie tak dużo jak na kosmicznego konia, lecz zupełnie wystarczy, żeby zniszczyć i rozproszyć złożone cząsteczki potu.

Tym razem logika zawiodła. Wbrew wszelkim prawom chemii, biologii i zdrowego rozsądku, mieszanina paliła się gwałtownie. W jednej chwili Sleipnir stał się kolejnym wcieleniem postaci z prastarych mitów ludzkości, budząc wspomnienia gorejących stosów żałobnych, całopalnej ofiary Feniksa i mąk piekielnych opisanych przez Dantego.

Po kilku sekundach ogień zniknął i wszystko wyglądało jak przedtem. Roman odechnął głęboko. Poczul się trochę niepewnie. Spoglądał wokół zastanawiając się, czy ktoś zauważył jego zmieszanie. Jednak na pomoście wszyscy pochyleni nad pulpitemi, zajęci operacjami, które zwykle wykonuje się po SKOKU. Czyżby już SKOCZYLI? Roman z niedowierzaniem szybko przeszukał monitory. Rzeczywiście, udało się! Na monitorze nawigacyjnym widać było zamgloną bryłę słońca Kialinninni, znajdującą się teraz na wprost statku. Krzywa czasu wskazywała, że SKOK nastąpił w chwili największego natężenia ognia. Napotkał wzrok Ferrola.

— Wszystko wydaje się w porządku — powiedział niepewnie.

— Na to wygląda — odparł Ferrol. — Co teraz?

— Poszukamy zagrody — stwierdził Roman, wciskając klawisze komputera. — Jeśli obliczenia Kennedy są prawidłowe, zagroda powinna być gdzieś po prawej stronie.

— Mamy ją! — zameldował Marlowe. — Namiar... hm, około trzydzieści dziewięć w prawo do najbliższej krawędzi ogrodzenia, nadir dziesięć, zasięg dziewięćdziesiąt pięć kilometrów!

Roman skinął głową. Kiedy zagroda ukazała się na ekranie, komputer wyraźnie zaznaczył jej granice i wypośrodkował obraz. Roman nastawił dziesięciokrotne powiększenie, potem jeszcze raz powtórzył tę operację.

— Dobry Boże... — westchnęła Kennedy, oglądając własny monitor. — Chyba nie kłamali mówiąc, że chcą sprowadzić tu wszystkie swoje konie?

— Na pewno nie — potwierdził Roman, lekko oszołomiony.

Ostatni raz widział zagrodę, kiedy mianowano go dowódcą *Amity*. Wówczas jednak za ogrodzeniem poruszało się swobodnie nie więcej niż dziesięć koni. Teraz, podrygując nerwowo, stłoczone jeden przy drugim, zajmowały cały rozległy obszar. Ich niewyraźne sylwetki, błyszczące odbitym światłem głównej gwiazdy systemu, przypominały trochę obraz kropli wody, widziany pod mikroskopem w ogromnym powiększeniu. Roman z roztargnieniem zastanawiał się przez chwilę, czy Tamplesi też dostrzegli tę analogię.

„Z pewnością to zauważyli”, upewnił się w myślach. „Przecież powtarzające się w przyrodzie schematy i struktury to podstawa ich filozofii”.

— Tam musi być dwieście koni! — stwierdził ze strachem Marlowe.

Roman oderwał się od filozoficznych myśli. Miał przecież ważne zadanie do wykonania.

— Najprawdopodobniej to jest całe stado — wyjaśnił. — Albo flota, jak oni to nazywają. Wszystko jedno! Proszę uruchomić radio i skontaktować się z zarządem stacji kosmicznej. Musimy ich ostrzec, że konie pozostawiły ślady potu. — Włączył interkom. — Doktorze Tenzing?

— Chwileczkę, kapitanie — odpowiedział doktor z lekkim zniecierpliwieniem.

— Proszę poczekać, właśnie napływają wyniki analizy spektroskopowej ognia.

Wyniki miały potwierdzić, albo przynajmniej nie wykluczyć, że ślady potu Sleipnira zostały dokładnie zatarte. Nawet jeśli się mu udało, to jeszcze nie wszystko... Najgorsze mieli przed sobą. Roman skrzywił się. Odszukanie i zniszczenie śladów we wszystkich systemach, z których sprowadzono tyle koni, będzie bardzo uciążliwe. Najprawdopodobniej zresztą przekroczy możliwości Tamplesów. Może Siły Gwiazdne dadzą się przekonać i udzielą pomocy, na przykład w zamian za obietnicę stałej współpracy operatorów i koni.

— Kapitanie — Marlowe lekko odwrócił głowę od radioodbiornika. Na jego czole rysowała się głęboka zmarszczka. — Nie mam żadnej odpowiedzi ze stacji.

— Niech pan nadal próbuje — Roman odwrócił się do monitorów, nie chcąc pokazać swojej reakcji. Brak odpowiedzi bardzo go zaniepokoił.

Pośrodku ekranu ukazał się cylindryczny kształt stacji kosmicznej. Wyglądała zupełnie tak samo, jak ją zapamiętał. Z wyjątkiem...

— Kennedy — powiedział spokojnie — proszę przeszukać cały obszar. Włączyć program rejestrujący ruchome obiekty w połączeniu z identyfikacją koni i rekinów.

— Tak jest, kapitanie! — odpowiedziała ponurym głosem.

Roman zauważył, że Ferrol zerka na niego z ukosa.

— Kapitanie, czy mamy jakieś kłopoty? — zapytał.

— Nie jestem pewien — Roman ruchem głowy wskazał monitor. — Kiedy byłem tutaj ostatnio, w pobliżu stacji stały trzy statki kurierskie. Teraz nie ma ani jednego.

Ferrol popatrzył na swój ekran.

— Może to o niczym nie świadczy — powiedział z namysłem. — Statki mogą pomagać w zbieraniu koni albo zajęte są czymś innym.

— Zostawiliby to wszystko?

Ferrol nie odpowiedział. Roman odwrócił się czując, że atmosfera na pomoście gwałtownie się zmieniła. Kennedy przeszukiwała coraz większy teren przy pomocy trójwymiarowej spirali. Była to standardowa metoda stosowana na okrętach wojennych w celu szybkiego zlokalizowania najbardziej niebezpiecznych obiektów w pobliżu okrętu. Na dalekie odległości okazywała się nieskuteczna.

— Ferrol, proszę porozumieć się ze *Scapa Flow* — rozkazał.

— Niech uruchomią dalekosiężny program poszukiwania ruchomych obiektów.

Ferrol popatrzył na niego zdumiony.

— Tak jest, kapitanie! — powiedział niepewnie.

Roman włączył interkom.

— Sso-ngii, jak się czuje Sleipnir?

Tamples odezwał się po dłuższej chwili milczenia:

— Jest... zaniepokojony, Rro-maa.

— Tak jak my! — Roman popatrzył na monitor.

Nadal nie było widać nic prócz gwiazd. — Podprowadź nas do samego ogrodzenia. Kurs przyspieszenia/opóźnienia: dwa G!

— Wasze życzenia są naszymi! — odezwał się Sso-ngii po chwili wahania.

Roman wyłączył interkom i powrócił do swoich obserwacji. Poszukiwania Kennedy odbywały się teraz w odległości dziesięciu tysięcy kilometrów. W dalszym ciągu nic nie stwierdzono.

Łagodna siła przycisnęła go do poręczy fotela, gdy Sleipnir obracał się w stronę za-

grody. Po chwili przyspieszenie wzrosło do przepisowych dwóch G, co dało się wyraźnie odczuć przez zwiększone ciśnienie. Jeszcze moment i... Roman boleśnie uderzył głową w oparcie fotela.

— Sso-ngii! — wykrzyknął — Co się stało?

— Ruchomy obiekt! — zameldowała Kennedy. — Zbliża się od tyłu, z dużą prędkością.

— Marlowe, niech go pan odszuka — powiedział Roman przez zaciśnięte gardło.

— Mam go, kapitanie. Wygląda jak grupa sępów — mruknął Marlowe. — Tak, zgadza się. Około pięćdziesięciu obiektów. Niektóre z nich mogą być przyciąganymi asteroidami. Zbliżają się z przyspieszeniem około piętnastu G.

Monitor taktyczny pokazywał tor ich lotu, z którego wynikało, że nie dostawszy się w zasięg telekinezy, raczej ominą statek. Mimo wszystko należało zachować ostrożność.

— Spróbujemy zaatakować je laserem — rozkazał Roman. — Kennedy, proszę przedłużyć wektor do miejsca, skąd przyleciały!

— Mam wynik poszukiwań! — przerwał nerwowo Ferrol. — Pochylony do przodu, zmagął się z siłą ciśnienia. *Scapa Flow* odnalazła rekiny. Jest ich co najmniej sześć w odległości około pięciuset tysięcy kilometrów.

Kennedy wymamrotała jakieś przekleństwo.

— Kapitanie, zgadza się! — stwierdziła głośno. — Sześć rekinów i... zdaje się, że to są trzy konie!

Czyżby powracali kurierzy?

— Proszę o wyraźniejszy obraz! — powiedział kapitan.

— Spróbuję!

Po chwili obraz powiększył się i wyostrzył.

Roman tylko jęknął. Widok był zupełnie nieoczekiwany. Sześć rekinów w równym szyku, z przyspieszeniem pięciu G zbliżało się do *Amity* i do zagrody. Zaledwie sto kilometrów przed nimi, zachowując stałą odległość, płynęły trzy konie kosmiczne. Ciągnęły za sobą niewielkie statki, za którymi snuła się smuga dziwnej, błyszczącej substancji. Dopiero po pewnym czasie Roman zorientował się, że są to liny uprzęży. Jeszcze później odgadł zamiary Tamplesów.

— Chcą schwytać rekiny w sidła — mruknął zdumiony.

— Liny przeciwko rekinom... — westchnęła Kennedy. — Co za głupota!

Roman próbował się skupić.

— Marlowe, raport!

— Laser nie skutkuje — zgłosił Marlowe. — Sępy właśnie mijają *Amity*.

Jeśli znajdą się przed *Sleipnirem*, zasłoń mu widok.

— Sso-ngii, przygotuj się do awaryjnego SKOKU — zawołał Roman przez interkom.

— Dokądkolwiek! Kennedy, musimy znaleźć jakiś kurs, którym będziemy mogli powrócić do Cordonale.

Jeśli Siły Gwiazdne zdecydują się odpowiednio prędko wysłać flotę wojenną, *Amity* będzie mogła zapobiec masakrze koni.

— Rro-maa?

Niecierpliwie spojrział w interkom.

— Rrin-saa, czy Sso-ngii mnie nie słyszy? Potrząśnij go tam! Musimy uciekać! — zamilkł, zauważywszy dziwny wyraz na twarzy Tamplesa.

— Co się stało? — zapytał.

— Sso-ngii nie może nic zrobić. Sleipnninni jest w... perasiata.

Roman poczuł, że robi mu się słabo.

— To niemożliwe! — powiedział i natychmiast zawstydził się własnych słów. — Jak może spać, skoro ciągle przyspiesza?

Przestraszył się sępów i rekinów — odpowiedział Rrin-saa. — On jest... — nie znalazł właściwego określenia.

„Świat oszalał”, pomyślał Roman. Wpatrując się w ekrany, gorączkowo szukał jakiegoś rozwiązania. Tymczasem sępy minęły *Amity* i zbliżywszy się na odległość dwudziestu siedmiu kilometrów rozwinęły swą sieć... Być może Tamplesom wystarczyłaby chwila na obudzenie Sleipnira?

— Marlowe, czy przypadkowo nie zbliżają się następne sępy? — zapytała nagle Kennedy. — Czy to już na pewno wszystkie?

— Hm... — Marlowe ze zmarszczonym czołem wciskał klawisze komputera. — Nie, nie znalazłem więcej.

— A zatem, nie ma problemu — rozejrzała się dookoła. — Kapitanie, *Scapa Flow* ma na pokładzie sieć. Odwiążemy ją i przepuścimy do przodu, żeby zlikwidowała zaporę. Przed SKOKIEM połączymy się znowu.

Roman spojrział pytająco na Ferrola.

— Czy to będzie możliwe?

Ferrol z wahaniem skinął głową.

— Chyba tak — odrzekł powoli. — Ale tylko wówczas, gdy Sso-ngii trochę ograniczy przyspieszenie.

Roman skinął głową. Odprężył się nieco. Wprawdzie problem nie został rozwiązany, ale przynajmniej mieli jakieś wyjście.

— Słyszysz mnie, Rrin-saa? — zawołał. — Musicie odzyskać kontrolę nad Sleipnirem.

— Próbuje, Rro-maa.

— W porządku! Ferrol, proszę przygotować swoich ludzi. Niech wyruszają jak najprędzej!

— Tak jest — odpowiedział Ferrol z dziwnym wyrazem twarzy i szybko odwrócił głowę.

Roman znów spojrział na sępy. Ustawiały się w szyku... Poczłł wyraźny spadek przyspieszenia, które po chwili zupełnie zanikłó.

— Rro-maa? Sleipnninni już nie jest w perasiata.

— Dziękuję, Sso-ngii! — odwrócił się do Ferrola. — Niech pan odłączy linę i wyda rozkaz *Scapa Flow*. Kennedy, proszę sprawdzić, czy nie będziemy mieli trudności SKACZĄC z tej głębokości w studni grawitacji.

— Już to sprawdziłam — odpowiedziała. — Nie powinno być większych kłopotów. Najlepszym wyjściem byłby system Torii. Stamtąd można zawiadomić przez tachion Prepyat i Ziemię.

Zanim Siły Gwiazdne przysła swoje okręty, *Amity* zdąży przygotować się do kolejnego SKOKU.

— Doskonale! — skinął głową.

Spojrział na Ferrola i bardzo się zdziwił. Ferrol wpatrywał się w niego w milczeniu, nie zwracając najmniejszej uwagi na swoje instrumenty.

— Ferrol, co się stało?

Ferrol z trudem przełknął ślinę. Spojrział z żalem na kapitana.

— Nic się nie stało, kapitanie.

— Więc proszę zawiadomić *Scapa Flow*.

Roman odwrócił się do Kennedy.

— Nie, kapitanie!

— Dlaczego? — zapytał spokojnie Roman, ze zdziwieniem patrząc na Ferrola.

Ferrol, nie spuszczał wzroku z Kennedy, sięgnął do kieszeni munduru i wyciągnął kopertę.

— Kapitanie — powiedział oficjalnym tonem. — Korzystając z pełnomocnictwa Senatu, które znajduje się w tej kopercie, pozbawiam pana dowództwa.

ROZDZIAŁ 28

I o była chwila, o której Ferrol często rozmyślał z niepokojem, ale i z nadzieją, od czasu gdy po raz pierwszy stanął na pokładzie *Amity*. Już ponad rok nie opuszczała go myśl o tajemniczej kopercie Senatora, był więc dobrze przygotowany na ten moment. Mimo to decyzja wcale nie była łatwa.

Na pomoście zaległa śmiertelna cisza. Nawet szum i brzęk instrumentów z trudem docierał do jego świadomości. Wszyscy milczeli, przeważnie zastygli w bezruchu jak kamienne figury. Ferrol starał się patrzeć kapitanowi prosto w oczy, choć przychodziło mu to z wielkim trudem. Zmieszany i zawstydzony oczekiwał gwałtownej reakcji: niedowierzania, a może nawet sprzeciwu. Tymczasem kapitan zachował się zupełnie spokojnie.

— Czy mógłbym to zobaczyć? — zapytał uprzejmie, wyciągając dłoń w kierunku fotela.

Ferrol głośno przełknął ślinę. Odpiął pasy i zbliżył się do kapitana. Stanął obok fotela, umieszczając jedną stopę w uchwycie pokładowym. Roman wziął od niego kopertę, przyjrzał się kilku słowom wypisanym na wierzchu i otworzył ją. Wyciągnął złożoną kartkę, jeszcze raz spojrzął badawczo na Ferrola i zaczął czytać.

Ferrol oblizwał wyschnięte wargi. Rozejrzał się po pomoście...

Ten krytyczny moment miał zdecydować o przyszłości. Jeśli Roman sprzeciwi się rozkazom Senatu i nie podporządkuje nowemu dowódcy... — Ferrol nie miał odwagi dokończyć. Spojrzał na Kennedy i... nie mógł oderwać od niej wzroku. Znów oblizwał wargi. Poczul skurcz w żołądku, gdy przypomniał sobie słowa Senatora, który nazwał ją najniebezpieczniejszą osobą na *Amity*. Senator miał rację. Zimne, nieruchome spojrzenie osoby zdecydowanej na wszystko w zupełności potwierdzało tę opinię. Ferrol odczekał głęboko. Płaski pistolet, ukryty pod mundurem, dotknął żeber.

„Potrafi pan sobie z nią poradzić”, zapewniał Senator. Patrząc w oczy Kennedy, Ferrol nie był tego pewien. Jeśli ona rzeczywiście jest agentem wojskowym, musiałby pierwszy sięgnąć po broń.

Słyszając szelest składanego papieru, z mieszaniną ulgi i niechęci oderwał wzrok od

Kennedy i popatrzył na Romana.

— Sądzę, że zechce pan udzielić mi wyjaśnień — powiedział kapitan tonem towarzyskiej rozmowy.

— Myślę, że sam rozkaz wszystko wyjaśnia — odrzekł Ferrol.

— To prawda, rozkaz jest zupełnie zrozumiały — zgodził się chłodno Roman. — Chodzi mi o przyczynę, dla której wybrał pan ten właśnie moment.

Ferrol westchnął głęboko.

— Kapitanie, nie chcę z panem dyskutować! — powiedział, usiłując pohamować drżenie głosu.

Niełatwo było zdobyć się na stanowczość.

— W tej chwili jest tylko jedna sprawa do rozstrzygnięcia: Czy pan podporządkuje się rozkazom? Tak czy nie?

Znowu spodziewał się gwałtownej reakcji, ale i tym razem się pomylił. Roman przez chwilę patrzył na niego wymownie, a potem prawie bez wahania uruchomił interkom.

— Kapitan Roman do całej załogi! — powiedział, ciągle patrząc na Ferrola. — Od tej chwili, zgodnie z rozkazem Senatu... przekazuję dowództwo *Amity* komandorowi Ferrolowi.

Wyłączył interkom, odpiął pasy i opuścił stanowisko dowódcy.

— Czekam na pańskie rozkazy — powiedział do Ferrola. Ferrol patrzył na pusty fotel. Ogarnęła go fala wstydu i gorzkie pragnienie, żeby Roman okazał przynajmniej jakiś odruch sprzeciwu. Upokorzenie kogokolwiek w obecności podwładnych jest czymś bardzo nieprzyjemnym, lecz jeśli ten ktoś bez oporu godzi się z losem, wszystko staje się wręcz nie do zniesienia. Z drugiej strony, być może, kapitan właśnie w ten sposób chciał obudzić w nim poczucie winy?

Wreszcie Ferrol na tyle zapanował nad nerwami, że zdecydował się zająć miejsce dowódcy. Czuł się głupio, lecz jeśli w ogóle czegokolwiek nauczył się od Senatora, była to z pewnością wiara w znaczenie zewnętrznych atrybutów i symboli sprawowania władzy.

— Marlowe, aktualne informacje o rekinach! — rzucił krótkie polecenie, włączając repetytor skanera.

— Ciągłe się zbliżają — odburknął Marlowe.

— ETA w stosunku do zagrody?

— Przy obecnym przyspieszeniu, zakładając porównywalną fazę opóźnienia, około dwóch godzin.

„Dwie godziny...”, zastanowił się Ferrol.

Przez chwilę obserwował monitor taktyczny. Trzy konie Tamplesów wytrwale zbliżały się do zagrody. Z tyłu i z góry dołączyły do nich dwa następne, potem DOSKOCZYŁ jeszcze jeden. Tamplesi desperacko bronili swego stada, do ostatniej chwili starając się

spędzić wszystkie konie. Nie przewidując możliwości zaatakowania zagrody, sami skazywali swą flotyllę na totalną zagładę.

Los znowu zakpił z Ferrola. Przez dziewięć długich lat marzył o tym, że kiedyś przyczyni się do upadku Tamplesów, wymyślał najróżniejsze scenariusze odebrania im przestrzeni i zemsty za wypędzenie z Prometeusza. Teraz, wbrew wszelkim planom, okazywało się, że Tamplesi dokonają tego dzieła własnymi rękami, z niewielką pomocą sił przyrody, którym nie mieli zwyczaju się przeciwstawiać. Ferrol nie miał dosłownie nic do zrobienia. Pozostawały po prostu dwie godziny biernego oczekiwania.

— Komandorze, marnujemy czas!

Ferrol spojrział na Marlowe'a.

— Przyjąłem pańską uwagę — powiedział chłodno. — Kennedy, czy nadal zbliżamy się wprost do zagrody kursem dwóch G?

Znów popatrzyła na niego tym swoim zimnym, przenikliwym wzrokiem.

— Tak jest!

— To dobrze. Będziemy kontynuować ten manewr — zdecydował Ferrol. — Proszę powiadomić Tamplesów.

— Właściwie, co pan chce zrobić? — zapytała, ignorując polecenie.

Starał się nie okazywać zakłopotania. Wytrzymał spojrzenie Kennedy i odrzekł spokojnie:

— Poruczniku, mówiłem już przedtem, że nie czas na dyskusje. Proszę wykonać rozkaz!

— Jeśli chce pan powstrzymać Cordonale od udzielania pomocy Tamplesom, wcale nie musi pan dotrzeć do zagrody — za jego plecami odezwał się Roman. — Im dłużej trzyma nas pan w tym systemie, tym bardziej pan ryzykuje, że rekiny i sępy dopadną nas, zanim *Scapa Flow* rozpędzi sieć optyczną.

— Wiem o tym — burknął Ferrol z niechęcią, zaskoczony, że Roman tak prędko odgadł jego zamiary.

— Wcale nie chcę się tam schować. Chcę otworzyć ogrodzenie i wypuścić konie — ze zdziwieniem usłyszał własną odpowiedź.

Sądząc z wyrazu twarzy Romana, on też nie przewidział takiej możliwości.

— Co chce pan zrobić? — zapytał ostrożnie.

— To, co pan słyszał — burknął Ferrol i uświadomił sobie nagle, że pomysł nie jest najgorszy.

Właściwie nie było żadnego powodu, żeby konie zawsze pozostawały w rękach Tamplesów. Przecież to wszystko jedno, czy zostaną rozszarpane, czy wypędzone. — Chyba że pan chce pozostawić je rekinom — dodał.

Przez dłuższą chwilę Roman obserwował go w milczeniu.

— Wiec tak ma wyglądać pańska zemsta na Tamplesach — powiedział bardzo spo-

kojnie.

— Przynajmniej nie będzie ofiar. Zostaną tylko odcięci od świata. To chyba lepsze niż wojna — odpowiedział wyzywająco Ferrol.

— Widział pan konie kosmiczne w akcji — kontynuował kapitan, jakby nie dosłyszał słów Ferrola. — Wie pan, jak źle znoszą sytuacje stresowe. Czyżby nadal pan wierzył, że Tamplesi mają gdzieś ukrytą flotę wojenną?

Ferrol skrzywił się. Teraz już w to nie wierzył.

— Mechanizmy i metody nie są ważne — powiedział krótko. — Ważne jest to, że ciągła obecność Tamplesów na naszych terenach i w ich pobliżu jest dla nas zagrożeniem. To zagrożenie właśnie się kończy. — Spojrzał na Kennedy. — Wydałem pani rozkaz, poruczniku!

Przez chwilę myślał, że Kennedy ma zamiar się zbuntować. Jednak nie, w końcu odwróciła wzrok i zajęła się instrumentami. Po krótkiej rozmowie z operatorami statek zaczął znów przyspieszać.

— Proszę podać ETA! — rozkazał, gdy Sleipnir osiągnął dwa G.

— Około siedemdziesięciu minut — odpowiedziała nie odwracając się.

„Zupełnie wystarczy”, pomyślał uspokojony. Przez godzinę na pewno zdążą zniszczyć sieć ogrodzenia i uciec przed rekinami.

— Bardzo dobrze — skinął głową.

— Rrin-saa chciałby się dowiedzieć, jakie mamy plany — dodała Kennedy.

— Proszę powiedzieć, że pomagamy im w uczciwej sprawie. Powinni się tym zadowolić — odburknął niechętnie.

— Komandorze — wtrącił Roman spokojnym głosem — chciałbym przez chwilę porozmawiać z panem w biurze. Oczywiście, jeśli ma pan trochę czasu.

Ferrol spojrzał na niego podejrzliwie.

— Wszystko, co pan ma do powiedzenia, możemy wyjaśnić na pomoście — odpowiedział stanowczo.

Roman z nieprzróżnionym wyrazem twarzy potrząsnął głową.

— Chodzi o pewną poufną informację. Ferrol zagryzł dolną wargę.

„Do diabła”, pomyślał, „zdaje się, że to naprawdę coś ważnego”. Może Roman będzie próbował odwieść go od planowanej akcji albo podważać dyrektywy Senatu? W tym czasie Kennedy potajemnie przygotowuje SKOK do Cordonale i postara się drogą tachionową o odwołanie rozkazów... „Mimo wszystko, trzeba się przekonać”, postanowił.

— Z pewnością jest pan świadomy — powiedział spokojnie — że działając na moją niekorzyść, spowoduje pan tylko uwięzienie *Amity* w tym systemie. Bardzo wątpię, żeby *Scapa Flow* przegoniła sępy, jeśli osobiście nie wydam takiego rozkazu.

Wstrzymał oddech zastanawiając się, czy Roman zdaje sobie sprawę, że ostrzeżenie było co najmniej w połowie nieprawdziwe. Kapitan mocno zmarszczył czoło.

— Czyżby pan sugerował — powiedział uprzejmie — że chcę pozbawić pana dowództwa?

Ferrol zmusił się, żeby spojrzeć mu prosto w oczy. Tylko w ten sposób mógł zorientować się, czy kapitan mówi szczerze. Zmagając się z siłą grawitacji, ciężko wstał z fotela.

— Kennedy, obejmuje pani służbę na stanowisku dowodzenia — zdecydował. — Będę w biurze kapitana. Proszę kontynuować kurs i powiadomić mnie, gdyby zmieniła się sytuacja z rekinami.

— Przyjęłam — powiedziała, nie odwracając głowy.

Ferrol znów utkwiał wzrok w Romanie. Długo badał go spojrzeniem, zanim wskazał ręką na drzwi.

— Proszę bardzo, kapitanie!

Właściwie, Roman nie mógł mu w niczym przeszkodzić. Cokolwiek stanie się z Ferolem i z *Amity*, Tamplesi i tak przegrali.

— Chyba nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że usiądę przy biurku — powiedział Ferrol, gdy drzwi rozsunęły się bezgłośnie.

— Chce pan obserwować wejście? — zdziwił się Roman.

— Chcę obserwować repetytor steru — sprostował Ferrol, podchodząc do biurka.

Rzeczywiście, chodziło mu przede wszystkim o możliwość kontrolowania kursu *Amity*. Fakt, że Roman znalazł się pomiędzy biurkiem a drzwiami, oddzielając go od potencjalnych intruzów, był zupełnie przypadkowy.

— No więc, jakie to poufne informacje ma pan do przekazania?

Roman usiadł naprzeciwko i przez chwilę nic nie mówił.

— Rozkazy Senatu, które pan przedstawił, zostały napisane przed rokiem — rozpoczął wreszcie. — Miał je pan ze sobą od pierwszego dnia na pokładzie *Amity*.

— To prawda — Ferrol skinął głową. — Musiałem się zabezpieczyć, żeby wyniki naszej wspólniejszej wyprawy z mieszaną załogą nie zmarnowały się.

— Dlaczego dopiero teraz postanowił pan z tego skorzystać?

— Dotąd nie było potrzeby — mruknął Ferrol. — Każdy wie, że eksperyment skończył się niepowodzeniem. Gdyby Pegaz nie zostawił nam żrebacka, *Amity* zostałyby odwołane, a pan wróciłby na *Driadę*. Zamieszczono by o nas krótką notatkę w nieważnych raportach Sił Gwiezdnych i tak by się to wszystko skończyło.

— To prawda, ale to moja sprawa. Jeśli fakty niezbicie potwierdzały przekonania przeciwników Tamplesów, a pan obawiał się, że będę to ukrywał, dlaczego nie odebrał mi pan dowództwa od razu, gdy z pierwszej wyprawy wróciliśmy na Solomona?

Ferrol otworzył usta i zamknął je znowu. Jakoś nigdy się nad tym nie zastanawiał.

— Nie wiem — przyznał. — Chyba... no tak, chyba dlatego, że wierzyłem w pańską uczciwość.

Roman skinął głową i popatrzył wymownie na Ferrola.

— Zaufanie... W końcu wszystko do tego się sprowadza, prawda? Nikt nie może tak naprawdę wszystkiego wiedzieć, w każdym razie nie w znaczeniu własnego, indywidualnego doświadczenia. Nasza wiedza, nasze poglądy, a nawet wiele naszych najgłębszych wierzeń, wszystko to zależy od uczciwości innych ludzi.

— Czyżby pan podejrzewał, że moje pełnomocnictwo jest nieważne?

— Ależ skąd! — Roman zachnął się. — Być może, pańscy mocodawcy zmienili już zdanie. Jednak zanim zdążymy ich o to zapytać, będzie już po wszystkim. Obaj dobrze o tym wiemy.

— Niech pan wreszcie przedstawi swoje racje — mruknął Ferrol, z dreszczem niecierpliwości czekając na wyjaśnienia kapitana.

— Moje argumenty znajdują się w biurku, w czarnej kopercie. Dolna szuflada z prawej strony.

— Czyżby rozkazy Senatu przeznaczone tym razem wyłącznie dla pana? — Ferrol silił się na ironię, choć wcale nie było mu do śmiechu.

Roman powoli, w milczeniu pokręcił głową. Ferrol patrzył na niego niepewnie. Potem zdecydował się: cały czas kątem oka obserwując Romana, sięgnął do dolnej szuflady i otworzył ją.

Koperta był duża, lecz niezbyt gruba. Wydawała się ciężka, ale, być może, był to tylko efekt wzmożonej grawitacji. Na wierzchu widniała ciemnoczerwona etykieta z napisem „ściśle tajne!”.

Spojrzał na Romana.

— Co to jest? — zapytał.

— Proszę otworzyć i przekonać się — powiedział Roman.

Ferrol wpatrywał się w kopertę. Zastanawiał się podejrzliwie, jaka kara grozi mu za bezprawne przeczytanie tajnego dokumentu. Po chwili stwierdził jednak, że Roman nie pozwoliłby sobie na takie biurokratyczne sztuczki. Szybkim ruchem rozerwał kopertę i wyciągnął z niej papierową teczkę z napisem...

Z bezsilną wściekłością popatrzył na Romana.

— Tak — powiedział Roman spokojnie. — To jest oficjalny raport dotyczący kolonii na Prometeuszu. Myślę, że powinien pan wreszcie poznać prawdę.

ROZDZIAŁ 29

Ferrol w osłupieniu wpatrywał się w siedzącego naprzeciw Romana.

— Skąd pan to ma? — zapytał drżącym i zachrypniętym głosem.

— Z nagrań Senatu — wyjaśnił Roman.

— To znaczy, od zaprzyjaźnionych z panem sympatyków Tamplesów — odciął się Ferrol. — Ręce zaczęły mu drżeć, więc oparł je całą siłą o blat biurka. — Co to właściwie jest? — powiedział wzburzony. — Bardzo naciągnięta interpretacja faktów czy też jawne fałszerstwo?

Roman zmarszczył brwi.

— Wydaje się pan strasznie zdenerwowany — powiedział uprzejmie. — Przecież pan tego jeszcze nie przeczytał...

Ferrol zacisnął zęby. W jego głowie kłębiły się wizje i wspomnienia z Prometeusza.

— Tam są pogrzebane nadzieje moich rodziców — wysyczał. — Ich nadzieje, marzenia, całe ich życie. Do cholery, przecież ja wiem, co się stało na Prometeuszu!

— Jednak niech pan przeczyta to dla mnie. — Głos Romana był nadal spokojny, lecz w oczach zapaliły się błyski sprzeciwu. — Niech mi pan powie, w którym miejscu zostałem oszukany.

Ferrol dłuższą chwilę patrzył na niego bez zmruczenia powiek, zanim wreszcie spuścił wzrok i zainteresował się teczką. Właściwie, nie musiał się niczego obawiać. Przecież wiedział, co Tamplesi robili na jego planecie. Żadna propagandowa manipulacja nie może zmienić faktów. Westchnął głęboko i otworzył teczkę.

Oceniając ją po ciężarze, spodziewał się, że zawiera dużo papieru. Nie oczekiwał jednak takiej ogromnej różnorodności typów i form dokumentów. Były tam zeznania, oficjalne nagrania wypowiedzi kolonistów, wyciągi z dziennika okrętowego *CSS Defiance*, tłumaczenia protokołów z przesłuchań Tamplesów, listy przewozowe, opisy ewakuacji kolonistów, notatki i zaświadczenia na papierze firmowym Senatu oraz raporty naukowe i medyczne. Raportów było najwięcej.

— Na wstępie zamieszczono podsumowanie — odpowiedział Roman.

Ferrol skinął głową, w milczeniu wertując raporty medyczne. Pierwszy dotyczył ko-

mendanta kolonii, którego zabrano później na pokład *Defiance*. Ferrol przebiegł wzrokiem dokument i ostro spojrział na kapitana.

— Tu jest pierwsze kłamstwo — uderzył dłonią w papier. — Raport medyczny dotyczący Billingshama jest wierutnym kłamstwem. Niemożliwe, aby stwierdzono u niego wirusy hive. To przecież pierwsza rzecz, którą sprawdza się przed delegowaniem kogoś do nowej kolonii.

— Wiem — Roman zgodził się ze spokojem. — Ma pan rację. Nikt nie mógł przenieść wirusów na Prometeusza.

Ferrol spojrział na niego krytycznie.

— Myli się pan w swoich domysłach — stwierdził stanowczo. — Wykluczone, żeby zaraził się na Prometeuszu. Nie miał od kogo się zarazić.

— Jest pan pewien? — zapytał spokojnie Roman.

— Oczywiście, że tak — odburknął Ferrol. — Czytałem raport ekipy badawczej... — głos uwiązał mu w gardle. — Nie — wykrztusił — to niemożliwe! Prometeusz był zalegalizowany jako kolonia. Do cholery, przecież ktoś go zalegalizował!

Roman pokiwał głową, patrząc na niego współczująco.

— Rzeczywiście, Prometeusz został zalegalizowany jako teren osadniczy, później jeszcze raz dokładnie zbadany i komisyjnie zatwierdzony. Wysłano tam trzy tysiące kolonistów. Do tej pory, z powodu zakażenia wirusem hive zmarło już dwustu z nich — zawahał się. — Jeśli Tamplesi nie zabraliby was stamtąd, pewnie pomieraliby wszyscy.

— Wiem, do czego pan zmierza! — warknął Ferrol czując, że ogarnia go fala wściekłości. — Co zwolennicy Tamplesów usiłują nam wmówić! Niestety, to jest zupełnie nielogiczne! Jakim cudem Tamplesi mogli wykryć wirusa, którego nie stwierdziła wyspecjalizowana ekipa badawcza? Przecież oni nie mają nawet przyzwoitej aparatury analitycznej! A zresztą, do cholery! byli na Prometeuszu nie dłużej niż dwa miesiące, zanim ukradli nam planetę i wypędzili nas.

Roman bezradnie rozłożył ręce.

— Nie mam pojęcia, w jaki sposób wykryli wirusa — przyznał. — W ogóle nie jestem pewny, czy go wykryli. — Ruchem głowy wskazał teczkę. — Komisja śledcza wysunęła przypuszczenie, że Tamplesi, pozostający w jakimś związku ze strukturami przyrody, mogli stwierdzić obecność wirusa drogą dedukcji. Coś w tym rodzaju zdarzyło się chyba na Alfie, gdy Llos-tlaa zapewniał, że zwierzaki nie zaatakują nikogo z grupy lądującej, lecz nie wiedział, dlaczego. A jeśli chodzi o okupację planety... — potrząsnął głową. — Oni są tak samo jak my wrażliwi na wirusa hive. Prometeusz jest nie zamieszkały od dziewięciu lat i pewnie nikt się tam nie osiedli.

Ferrol boleśnie przygryzł dolną wargę.

„To niemożliwe. Niemożliwe”, powtarzał w myślach, lecz nie mógł pozbyć się wą-

pliwości. A jednak... Nie, to z pewnością kolejne kłamstwo Tamplesów. Ekipa badawcza nie mogła popełnić tak strasznego błędu i przeoczyć wirusa śmiertelnej choroby. Kłamstwo pozostaje kłamstwem, nawet jeśli Roman w nie uwierzył. A jeśli to prawda...

Brzęczyk u drzwi przerwał Ferrolowi burzliwe zmagania z własnymi myślami. Patrząc na wejście, w jednej chwili uświadomił sobie, na czym polegał podstęp kapitałna. Roman zwabił go tutaj i dał mu teczkę tylko po to, aby odciągnąć go od pomostu!

Drzwi biura rozsuwały się powoli. Ferrol jednym szybkim ruchem podniósł się z krzesła i prawą ręką pociągnął pistolet, ukryty pod mundurem. Na chwilę lufa zahaczyła się o kieszeń i Ferrol gwałtownie opadł na krzesło. Wyszarpnął broń, która ciężko uderzyła o krawędź biurka. Podniósł ją i trzymając mocno w obu dłoniach, wymierzył wprost w drzwi... Rozsunęły się do końca. W progu stanęła Kennedy.

„Najbardziej niebezpieczna osoba na pokładzie *Amity*”, powiedział Senator. Już na pierwszy rzut oka było widać, że miał rację. Stojąc bez ruchu z opuszczonymi rękami wydawała się bezbronna, a mimo to mierzyła go czujnym wzrokiem. Jej spojrzenie było zimne i nieustraszone. Przyszła, żeby go zabić.

Na tę chwilę Ferrol przygotowywał się od dawna, lecz teraz musiał gorzko przyznać, że wszystko to okazało się niewystarczające.

„Potrafi pan sobie z nią poradzić?”, Senator był tego zupełnie pewny i Ferrol mu uwierzył. Nikt nie ostrzegł go jednak, jak ciężko jest spojrzeć w oczy komuś, do kogo się strzela.

Roman lekko odchrząknął.

— Chce pan ją zabić z zimną krwią? — zaczął łagodnym tonem. — Niech pan zaniecha tego zamiaru. Proszę opuścić broń i pozwolić jej wejść.

Kennedy nie poruszyła się.

— Ja nie ustąpię! — ostrzegł ją Ferrol drżącym głosem czując, że nie zdobędzie się na użycie siły. Gdyby zrobiła jakiś ruch, powiedziała cokolwiek, może zdecydowałby się na atak...

Ona jednak ciągle trwała w bezruchu.

— Nawet gdyby pani mnie zabiła, nie zdąży pani pomóc Tamplesom!

Kennedy spojrzała przelotnie na Romana.

— Nie mam zamiaru nikogo zabijać. Naprawdę! — wyjaśniła uspokajająco.

— To po co pani tu przyszła? — wybuchnął Ferrol. — Kazałem pani pozostać na pomoście!

W jej oczach zapalił się błysk ironii.

— Tak naprawdę przyszłam po to, żeby uchronić pana przed histerią. Widzę, że się spóźniłam.

Zdecydowanie zacisnął obie dłonie na rękojeści pistoletu podejrzewając, że Kennedy chce uśpić jego czujność.

— Jestem wzruszony pani troskliwością — powiedział sarkastycznie. — W jaki sposób zamierzała to pani zrobić?

Roman poruszył się na krześle i wskazał dłonią Kennedy.

— Sądzę — powiedział spokojnie — że należy panią przedstawić. To jest komandor Erin Kennedy, były oficer operacyjny CSS *Defiance*.

Ferrol patrzył na nią w osłupieniu, powoli rozluźniając palce zaciśnięte na pistolecie. Znow przypomniano mu *Defiance*...

— Nie wierzę! — wykrzyknął, zanim zdążył pomyśleć.

— Dlaczego nie? — zapytała Kennedy. — Sądzi pan, że nie dałabym sobie rady?

— Ostrzegano mnie, że pani jest niebezpieczna... — przerwał bezradnie.

Roman skinął głową, jakby czytał w myślach Ferrola.

— Oczywiście, ostrzegali pana pańscy mocodawcy z Senatu — powiedział pobłaźliwie. — Dla nich prawda o Prometeuszu jest bardzo drażliwym tematem.

Ferrol oblizwał wargi i bezwiednie odłożył broń na biurku.

— W jaki sposób może pani udowodnić, że była pani na *Defiance*.

Zmarszczyła brwi.

— Przede wszystkim na podstawie tego dokumentu — wskazała leżącą przed nim teczkę. — Moje nazwisko jest na większości tych papierów, byłam oficerem odpowiedzialnym za przesłuchania świadków.

Ferrol spuścił wzrok i przewrócił kilka stron raportu. Serce zabiło mu mocniej... Pod zeznaniami rzeczywiście widniał podpis Kennedy.

Popatrzył na nią badawczo.

— To nie może być prawda! — sprzeciwił się bez namysłu. — Ekipa naukowców stwierdziła, że na Prometeuszu nie ma wirusów!

— Oczywiście! — zaczerwieniła się ze złości. — Wystawili tak doskonały certyfikat, że Senat nie pofatygował się, żeby dokonać wymaganej ustawowo weryfikacji. Dlaczego, do diabła, uważa pan, że komuś mogłoby zależeć na fałszowaniu raportów?

Ferrol jeszcze raz spojrzął na teczkę.

„A więc to wina Senatu... Całego Senatu”, pomyślał rozgoryczony.

— Mówi pani, że oni wiedzieli o wszystkim? Że mnie... oszukali?

— Czy tak trudno w to uwierzyć? — zapytał Roman. — Gdyby nie pańska nienawiść do Tamplesów, byłby pan im niepotrzebny.

Ferrol rzucił mu ostre spojrzenie.

— Skoro mówimy o manipulacji, zastanówmy się nad pańskim postępowaniem — powiedział z wyrzutem czując, że budzi się w nim gniew. — Od dawna wiedział pan o wszystkim, i pani też — spojrzął na Kennedy. — Dlaczego ukrywaliście to przede mną?

— I tak wcześniej by pan nie uwierzył — stwierdziła Kennedy.

— Nie o to chodzi!

— Właśnie, że tak! — wtrącił stanowczo Roman. — Gdybym w pierwszym dniu wyprawy pokazał panu teczkę, zlekceważyłby pan te dowody jako jeszcze jedno oszustwo frakcji zwolenników Tamplesów.

— Wolał pan bawić się mną jak kukielką — powiedział Ferrol przygnębiony. — Wodźć mnie za nos, otaczać zwolennikami Tamplesów, zrobić łącznikiem z sekcją badawczą, żebym jak najlepiej poznał tych cholernych Tamplesów! To samo robił Senator, tylko w przeciwnych zamiarach. Dlaczego mam uwierzyć nie jemu, tylko panu?

— Ponieważ my mamy dowody — Kennedy wskazał teczkę.

— A jeśli to tylko kolejne oszustwo, jak powiedział kapitan? — zapytał Ferrol wyzywająco.

— Ależ, komandorze...

Roman ruchem dłoni nakazał jej milczenie.

— Chayne, w żaden sposób nie możemy pana przekonać — powiedział spokojnie. — Wszyscy o tym dobrze wiemy. Niech pan przypomni sobie pewne fakty, które mogą potwierdzać naszą wersję. Na przykład to, że Tamplesi rozpoczęli ewakuację od rodzin z małymi dziećmi, które, jak wiadomo, są najwięcej odporne na wirusa hive. Ale to nie jest dowód, w każdym razie nie taki, jakiego pan szuka.

— Co mi pan wmawia?

— Po prostu uważam, że zachowuje się pan tak jak wszyscy. Nie mając dowodów, wybiera pan wersję, w którą chce pan uwierzyć.

Ferrol przełknął ślinę. Teraz już wiedział, komu należy zaufać. Oczyma wyobraźni zobaczył Senatora: nieszczere spojrzenie, arogancki, zarozumiały ton, ciągle manipulowanie faktami i ludźmi. Potem przypomniał sobie rok spędzony na *Amity* pod dowództwem Romana, który tak często irytował go bezkrytyczną sympatią dla Tamplesów i uproszczoną wizją problemów kosmosu. Pamiętał jednak, że kapitan nie wahał się ryzykować życia, żeby obronić go przed rekinem.

Spojrzał na Kennedy: chłodny temperament, kompetencja, długoletnie doświadczenie i, według charakterystyki, absolutnie obojętny stosunek do Tamplesów. Była to osoba, której nie mogło zależeć na wykorzystywaniu kogokolwiek dla własnych celów. Nie miała żadnych powodów, żeby kłamać na temat Prometeusza.

Popatrzył na interkom i zawstydzził się, że robi z siebie kompletnego głupca. Nie miał jednak zwyczaju przejmować się tym, co myślą o nim inni. Westchnął głęboko i uruchomił centralny obwód komunikacji.

— Komandor Ferrol do załogi! — odezwał się, nie podnosząc wzroku. — Przekazuję funkcję dowódcy kapitanowi Romanowi. To wszystko. Skończyłem!

Wyłączył interkom i speszony spojrzał na Romana, lecz kapitan nie miał zamiaru

wykorzystywać swojej przewagi.

— Dziękuję! — powiedział poważnie.

Ferrol skinął głową. Czuł się okropnie głupio.

— Jeśli pan pozwoli — powiedział, starając się powstrzymać drżenie głosu — pozostanę w swojej kabinie, dopóki *Scapa Flow* nie będzie musiała przystąpić do walki z sępami.

Skierował się do drzwi, lecz Roman powstrzymał go gestem.

— Poruczniku — zwrócił się do Kennedy. — Jaka jest sytuacja przed SKOKIEM? Czy jesteśmy dostatecznie głęboko w studni grawitacji, żeby wydostać się z systemu?

Potrząsnęła głową.

— Raczej nie. Niezależnie od celu SKOKU, kadłub na pewno się przegrzeje. — Spojrzała na Ferrola. — Poza tym uważam, że komandor Ferrol ma rację: nawet jeśli powiadomimy Siły Gwiazdne, nie zdążymy im pomóc.

Roman w zamyśleniu pocierał dłonią policzek i błędził wzrokiem po ścianach.

— W takim razie — wstał z krzesła — wracamy na pomost. Pan też, komandorze!

Ferrol podniósł się opieszale. Wstydził się stanąć twarzą w twarz z resztą załogi.

— Tak jest, kapitanie! — powiedział niechętnie. — Przygotuję załogę *Scapa Flow*.

— Dziękuję, komandorze — odpowiedział Roman. — Myślę jednak, że na razie nie będą nam potrzebni. Musimy przecież spełnić czyn miłosierdzia, zanim opuścimy to miejsce.

Ferrol wpatrywał się w kapitana, aż... nagle zrozumiał!

— Sądzi pan, że i tak musimy wypuścić wszystkie konie? Roman spojrzał na niego z lekkim uśmiechem.

— Mówiłem panu już wczoraj, że w ciągu minionego roku doskonale poznałem pański charakter i poglądy. Pan od dawna nienawidzi Tamplesów, ale nigdy nie chciał pan skrzywdzić kosmicznych koni. — Wskazał dłonią iluminator, przez który widać było odległą zagrodę. — Instynkt podpowiedział panu sposób ratowania koni. Mam zaufanie do takich instynktów.

Ferrol skinął głową, jakby rzeczywiście cokolwiek rozumiał. Przez chwilę wydawało mu się, że potrafi jednoznacznie określić swój stosunek do Romana, do Tamplesów i w ogóle do całego kosmosu. Teraz znów poczuł się zagubiony...

— Rozumiem, kapitanie — powiedział mimo wszystko.

— To dobrze! — Roman podszedł do drzwi. — Chodźmy więc! Według moich obliczeń, za czterdzieści minut będziemy przy zagrodzie. Niech pan przez ten czas zastanowi się, jak ją otworzyć.

— Prawie gotowe — głos Demarca dobiegał z głośnika przy stanowisku Ferrola. — Townee i Hlinka przyczepili kable do ogrodzenia, a teraz je naciągają. Główne kondensatory całkowicie naładowane, dodatkowe: w dziewięćdziesięciu ośmiu procen-

tach.

— Przyjąłem — Ferrol odwrócił się do Romana. — Jeszcze tylko chwilę, kapitanie!
Roman skinął głową i spojrzał na Marlowe'a.

— ETA rekinów? — zapytał.

— Dwadzieścia osiem minut dla pierwszego rekina i parę minut więcej dla następnych — odpowiedział Marlowe nerwowo.

Ferrol z mieszaniną goryczy i melancholii obserwował monitor taktyczny. Teraz już dziesięć pojazdów kierowanych przez Tamplesów uciekało w kierunku zagrody. Rekiny w zawrotnym tempie pokonywały odległość dzielącą je od statków, które zdawały się niemal tkwić w miejscu. Prowizoryczne sidła plątały się bezużytecznie wśród stada sępów. Konie zamknięte w zagrodzie zdążyły już zauważyć rekiny. Przestały gromadzić się wzdłuż ogrodzenia i jakby przeczuwając plany *Amity* i *Scapa Flow*, zbiły się w ciasny kłęb w miejscu, gdzie część ogrodzenia miała zostać rozerwana. Jeśli się uda...

Ferrol przygryzł dolną wargę, aż oczy zaszyły mu łzami. Po konfrontacji z Romanem i Kennedy wszystkim, co wiedział lub sądził, że wie o Tamplesach, pogrążyło się w chaosie. Nie potrafił uporządkować swoich wrażeń, lecz jedno zrozumiał z absolutną pewnością: Senator odniósł sukces w swoich podstępnych knowaniach. Tej myśli Ferrol nie mógł znieść.

— Dodatkowe kondensatory naładowane — zameldował Demarco. — Wszystkie wskaźniki sygnalizują gotowość.

Ferrol niecierpliwie otarł łzy.

— Są gotowi, kapitanie — zameldował nie odwracając się.

— Bardzo dobrze, komandorze — odpowiedział spokojnie Roman. — Może pan dać rozkaz!

Ferrol zacisnął zęby i skupił uwagę na monitorze.

— W porządku, Mai! Gotowi... ognia!

Z radia dobiegł cichy trzask kondensatorów *Scapa Flow*. W tej samej chwili na ekranie można było zauważyć niebieskawy błysk wyładowania koronowego. Potężny wstrząs elektryczny rozciął kilka kilometrów ogrodzenia! Przez sekundę w niebieskawym świetle widoczne były stłoczone, nieruchome cielska. Potem lina ogrodzenia rozpadła się. Czerwony karzeł oświetlił skłębioną masę przeciskającą się przez otwór.

Siedząca przy sterze Kennedy głośno westchnęła.

— Stało się! — szepnęła. — To koniec ery.

Ferrol skinął głową. Konie wypływały przez dziurę i oddalały się w różne strony. Patrzył na monitor taktyczny i zastanawiał się, czy uciekający przed rekinami Tamplesi zauważyli, że ich wspianiała zagroda została zniszczona. Nie potrafił odgadnąć, czy wyzryn *Amity* zostanie potraktowany jako zdrada, czy też jako bolesna i niezbędna operacja. Nie umiał również określić, z jakiej reakcji byłby bardziej zadowolony.

„Ciekawe, do czego prowadzą godne zaufania instynkty”, pomyślał sceptycznie.

— Oni mogą tu wrócić — powiedział Marlowe, lecz w jego głosie nie było przekonania. — Kiedyś przybyli tutaj bez koni. Na pewno potrafią zrobić to jeszcze raz.

Ferrol odwrócił się i zauważył, że Kennedy z powątpiewaniem potrząsnęła głową.

— Bez naszej pomocy to niemożliwe — powiedziała. — Za pierwszym razem mieli szczęście. Konie kosmiczne wędrowały przez ich system i przebywały w nim wystarczająco długo, aby można było je schwytać i wytresować. Tamplesi nigdy nie mieli własnych pojazdów mechanicznych.

— Miejmy nadzieję, że byli dość przezorni i kilka koni ukryli w innym miejscu — powiedział Roman. — Z drugiej strony... — nie dokończył. Na jego twarzy pojawił się nerwowy grymas.

— Quentin? — domyślił się Ferrol.

Roman z namysłem skinął głową.

— Nieważne, ile koni jest na wolności — stwierdził rzeczowo. — Jeśli jest choć jeden, Tamplesi na pewno będą usiłovali przyznać go tutaj, nie mogąc obronić przed rekinami.

Nikt się nie odezwał. Zator przy wyjściu z zagrody został zlikwidowany i ostatnich kilkadziesiąt koni pozostających jeszcze w środku powoli przesuwało się do przodu. Wszystkie konie Tamplesów uciekały jak strumień powietrza z przekłutego balonika. To naprawdę koniec ery!

— A propos pojazdów mechanicznych... — Roman zmienił temat. — Już czas, żebyśmy przegnali sępy i oddalili się stąd. Komandorze?

— Tak jest, kapitanie! — Ferrol odetchnął głęboko. Nie odrywając wzroku od monitora, włączył radio.

— *Amity do Scapa Flow!* Mai, wycofujemy się! Przygotujcie broń sieciową!... — przerwał w pół zdania. Coś niepokojącego pojawiło się na ekranie.

— Co się stało?! — wykrzyknął kapitan.

Ferrol, nie dowierzając własnym oczom, wpatrywał się w monitor. Uwolnione konie, które początkowo rozproszyły się z dala od rekinów, zwracały teraz, kierując się na wprost napastników.

— Kapitanie, proszę spojrzeć na monitor taktyczny. Uciekające konie... nie uciekają! — powiedział niepewnie.

Przez chwilę patrzyli sobie w oczy. Potem Roman odwrócił się do ekranu.

— Kennedy, czy konie są nadal za blisko gwiazdy, żeby SKOCZYĆ?

Powoli pokręciła głową.

— Teraz już chyba nie — odpowiedziała. — Na pewno nie, jeżeli wierzyć naszym ustaleniom dotyczącym promieniowania i temperatury, jaką konie potrafią utrzymać.

— Gdyby rozerwały sieci optyczne... — mruknął niepewnie Marlowe.

— Ależ one wcale nie uciekają — Kennedy spojrzała na monitor Romana. — One atakują — stwierdziła zdumiona.

Roman patrzył na nią przez chwilę, a potem zdecydowanym ruchem włączył nadajnik.

— *Amity* do statków Tamplesów! — zawołał. — Mówi kapitan Roman. Wycofajcie się stąd natychmiast, bo stratuja was własne konie!

Odpowiedział mu tylko nieartykułowany skowyt.

— Cholera! — zaklął pod nosem.

— Niech pan połączy się z Rrin-saa — poradził Ferrol. — On to przetłumaczy.

Roman bez namysłu uruchomił interkom. Ferrol znów skupił uwagę na monitorze. Po krótkiej rozmowie statki Tamplesów zaczęły usuwać się z toru rekinów, zajmując miejsce opuszczone przez konie, które w zwartym szyku parły wprost na drapieżnika.

— Niech pan sprawdzi, czy wszystko jest rejestrowane — powiedział do Marlowe'a. — Dobrze byłoby mieć komplet nagrań.

Zaczęła się bitwa!

Akcja wydawała się Ferrolowi zadziwiająco powolna, lecz w swoim zwolnionym tempie była przerażająca. Gdy tylko statki ustąpiły miejsca koniom, rekiny natychmiast zmieniły pozycję, ustawiając się na wprost napastników, w szyku przypominającym rozłożone palce dłoni. Pomiędzy przeciwnikami roiły się sępy, poruszając się bezładnie jak dym. Wciśnięte pomiędzy walczących nie były dość silne, aby wytworzyć sieć optyczną, ani dość słabe, aby ulec sile telekinezy.

Nagle *Amity* poruszyła się gwałtownie. Ferrol upadł na fotel.

— Rrin-saa! Co się stało? — zawołał Roman.

— Sleipnninni chce się przyłączyć — Rrin-saa odezwał się przez interkom słabym głosem. — Sso-ngii nie może go utrzymać!

— Musi sobie poradzić! — powiedział Roman z naciskiem. — Nie możemy narażać *Amity* na to kotłowisko. Zmień operatora, jeśli Sso-ngii jest za słaby. Spróbujcie we dwóch, jeśli to konieczne, ale Sleipnir musi zostać na miejscu. Zrozumiano?

— Wasze życzenia są naszymi!

Kennedy spojrzała na kapitana.

— Zdaje się, że nie ma sensu się upierać — powiedziała rozsądnie. — Konie ze statków Tamplesów też się przyłączają.

Ferrol przełknął ślinę. Kennedy miała rację. Po oddaleniu się od bezpośredniego zagrożenia, konie zawracały na tyły, wlokąc za sobą statki jak bezwolne ofiary. Sleipnir też na pewno poczuł instynkt gatunkowy, ale był na tyle daleko od centrum wydarzeń, że można było próbować go powstrzymać.

Konie zbliżały się do rekinów, otaczając je ze wszystkich stron. Koło zaczęło się zamykać... Wtedy rekiny znów zmieniły ustawienie, skupiając się w jednym punkcie, jakby

chciały przerwać zaciskający się krąg. Konie natychmiast utworzyły tam zaporę z co najmniej dwudziestu ciał.

„Zbierają posiłki”, pomyślał Ferrol z ironią, przypominając sobie własne marzenia o zbudowaniu floty wojennych koni, podsycane przez kogoś z Senatu. Rekiny znów zmieniły szyk.

— Idą do przodu! — stwierdziła Kennedy.

— Tylko próbują — sprostował Roman widząc, że konie błyskawicznie opanowują sytuację. — Marlowe, czy mógłby pan powiedzieć, jakiej właściwie broni używają one w tej walce?

— Niestety, nie wiadomo — Marlowe potrząsnął głową. — Domyślam się, że próbują uśmiercić przeciwnika siłą telekinezy, lecz nie mam żadnych instrumentów, które mogłyby to potwierdzić.

Amity znów gwałtownie drgnęła.

— Rro-maa?

— Słucham, Rrin-saa? Masz jakieś kłopoty? — zapytał Roman.

— Sso-ngii i Hhom-jee nie mogą już dłużej utrzymać Sleipnninni — powiedział Tamples dziwnym tonem. — Ciągnie, nie zwracając na nic uwagi. Jakby był w perasiata!

Ferrol wzruszył ramionami, spoglądając z irytacją na ekran interkomu. Początkowo Tamplesi twierdzili, że perasiata to rodzaj snu, przed dwoma godzinami użyli tego określenia, opisując paniczną reakcję Sleipnira na zbliżającego się rekina, a teraz nazywają tak zapał bojowy. Jedno słowo o trzech zupełnie różnych znaczeniach. Może Tamplesi wcale nie wiedzą na temat koni tak dużo, jak im się wydaje?

Znów spojrzął na monitor. Powolny taniec śmierci ciągle trwał. Rzeczywiście, wiedza Tamplesów na temat koni musiała być ograniczona.

— Powiedz im, żeby trzymali Sleipnira, jak długo się da — powiedział Roman do Rrin-saa. — Jeszcze choćby kilka minut! Konie z pewnością zwyciężą, ale...

— Nie do wiary! — przerwał ktoś ściszym głosem.

Ferrol obejrzał się. To Kennedy! Wyglądała, jakby dokonała właśnie wielkiego odkrycia.

— O co chodzi? — zapytał Roman. Kennedy odetchnęła głęboko.

— Moim zdaniem, bitwa już się skończyła — powiedziała z niespotykanym u niej podnieceniem. — W każdym razie: jej wynik jest rozstrzygnięty.

Roman wzruszył ramionami.

— Proszę to wyjaśnić! Wskazała monitory.

— Niech pan spojrzy na sępy! — powiedziała już nieco spokojniej. — Trudno cokolwiek zobaczyć, bo konie zasłaniają widok. A jednak...

— Nie do wiary! — zawtórował jej Marlowe. — Ona ma rację. Sępy utworzyły sieć

optyczną: tym razem przed rekinami.

— Zmieniły sojuszników — powiedziała Kennedy, ze zdumieniem potrząsając głową. — Zobaczyły, kto wygrywa i zdecydowały się przejść na stronę zwycięzcy.

Ferrol szybko zmienił obraz na monitorze. Miał dobre przeczucia.

— Kapitanie, nasza sieć optyczna też się rozwiła — zameldował. — Sępy... — przerwał, szukając ich na wizji.

— ...przyłączają się do bitwy — dokończył Marlowe.

— Doprawdy, to bardzo ciekawe — powiedział Roman z namysłem.

Przez chwilę obserwował monitory. Potem odwrócił się z lekkim uśmiechem i włączył interkom.

— Rrin-saa?

— Słyszę, Rro-maa. Nie możemy już dłużej utrzymać Sleipnira.

— Nie trzeba — przerwał Roman. — Powiedz Sso-ngii, że może puścić Sleipnira, i tylko niech ogranicza przyspieszenie.

— Wasze życzenia są naszymi!

Roman wyłączył interkom. *Amity* natychmiast ruszyła do przodu. Ferrol poczuł przypływ mdłości, lecz po chwili Sleipnir zwolnił do trzech G i objawy choroby morskiej ustąpiły.

— Myślę, że dobrze obliczył pan czas — powiedział do Romana. — Uważam, że nie ma sensu uczestniczyć w bitwie.

— Nie ma obawy — stwierdził Roman. — Rekiny na pewno zostaną pokonane znacznie wcześniej, niż tam dotrzemy. Zresztą, lepiej być trochę przed czasem niż za późno.

Ferrol zmarszczył brwi.

— Na co za późno?

— Zobacz pan! Teraz niech pan zawiadomi *Scapa Flow*, że chcemy się z nimi połączyć przy rekinach, kiedy już wszystkie zostaną zabite. — Z namysłem spojrzął na monitory. — Jeśli się nie mylę, czeka nas bardzo dużo pracy!

ROZDZIAŁ 30

Spóźniają się! — odezwał się Ferrol ze swego kąta. Roman odwrócił wzrok od gwiazd i spojrzął na niego przeciągle. Mimo że Ferrol celowo wybrał sobie miejsce położone jak najdalej od biurka kapitana i foteli przygotowanych dla gości, jego niepokój i tak natychmiast rzucał się w oczy.

— Przyjdą — uspokoił go Roman. — Spóźnialstwo to jedna z rozkosznych cech Tamplesów.

Ferrol odchrząknął czując, że napięcie trochę ustępuje.

— Prawda — przytaknął. Roman badał go wzrokiem.

— Na pewno nie potrzebuje pan maski? Odór jest czasami nie do wytrzymania, nawet gdy układ wentylacyjny pracuje pełną parą.

Ferrol głęboko, jakby na zapas, zaczerpnął powietrza.

— Jednak nie — zdecydował, patrząc na drzwi. — Muszę zrewidować swoje nawyki. To będzie dobry początek.

— W porządku! Tylko niech pan nie bije! — ostrzegł go Roman.

Ferrol zaczerwienił się. Zupełnie zapomniał o drobnym incydencie, który dawno temu zdarzył się w hangarze *Amity*.

— Nie będę bił — obiecał.

Zadźwięczał brzczyk u drzwi.

— Przyszli! — powiedział Roman.

Drzwi rozsunęły się. W progu stali Rrin-saa i Sso-ngii. Ich skrzywione twarze były prawie zupełnie zakryte maskami.

— Wejdźcie! — Roman wskazał krzesła stojące przy biurku. — Usiądźcie, proszę!

— Dziękujemy! — odpowiedział Rrin-saa i Tamplesi weszli do wnętrza.

Drzwi cicho zasunęły się za nimi. Gdy usiedli, Roman spojrzął badawczo na Ferrola, który zdążył się już trochę uspokoić.

„Nie powinien sprawiać kłopotów”, pomyślał.

— No cóż — powiedział, odwracając się do Tample-sów. — Doktor Tenzing zameldował, że jego ludzie zrobili przy martwych rekinach wszystko, co na razie było moż-

liwe. Możemy więc opuścić system Kialinninni. Mam nadzieję, że zanim wrócimy do Cordonale, zmienicie zdanie co do dalszych losów Programu Amity.

— Nie możemy — odrzekł Rrin-saa. — Zostaliśmy oszukani, Rro-maa. Wskutek oszustwa uczestniczyliśmy w niepotrzebnym zabijaniu. Powiedziałem, że eksperyment się skończył, i podtrzymuję swoją decyzję.

Roman skinął głową.

— Rozumiem — powiedział. — Wiem, że konsekwencja jest ważną cechą podejmowanych decyzji politycznych. Sądzę jednak, iż teraz ich motywy zmieniły się. Wiemy przecież, na czym polega rozmnażanie koni kosmicznych.

Rrin-saa przechylił głowę.

— Nie wiemy, dlaczego konie się rodzą — powiedział z nutą uporu w głosie. — Wiemy tylko, że do tego potrzebni są ludzie. To wszystko.

Tamplesi nie zamierzali ustąpić ani trochę. Zresztą, Roman wcale tego nie oczekiwał. Na swój flegmatyczny sposób byli tak samo uparci jak ludzie.

— No dobrze — zaczął cierpliwie — pozwól, że ci to wytłumaczę. Konie rodzą się dlatego, że ludzie, jak sam zauważyłeś, są drapieżnikami. Przyspieszony cykl rozmnażania jest reakcją koni na obecność drapieżnika.

— To nie jest sprawdzone — powiedziała Rrin-saa.

— Może nie na poziomie dostępnym dla Tamplesów — ostro zareagował Roman — dla nas jednak informacje uzyskane w czasie bitwy są wystarczające. Jeśli konie kosmiczne zostaną zaatakowane przez swoich najgorszych wrogów, prawa ekologii zapewniają im tylko jedną możliwość obrony: pomnożenie przewagi liczebnej. Jest tylko jeden sposób zwiększenia takiej przewagi.

Rrin-saa zawahał się, a potem dotknął dłonią ucha.

— Może masz rację — zgodził się.

— Wiesz, że tak jest — powiedział Roman. — Niezależnie od tego, czy głośno to przyznasz. Pewnie ci się to nie podoba, ponieważ zawsze sądziłeś, że kosmiczne konie są organizmami, których struktury i prawa wy poznaliście najlepiej.

— Wcale nie myślimy, że posiadliśmy całą wiedzę — obruszył się Rrin-saa. — Ciągłe obserwujemy, uczymy się, poznajemy. Niektóre spostrzeżenia przychodzą prędko, a inne zdobywamy przez stulecia. Tampliss-ta będą rozważać nasze obserwacje i uczyć się z nich.

— To dobrze — Roman popatrzył na Sso-ngii, potem znów na Rrin-saa. — Skoro tak lubicie rozważać, przemyślcie i to, co wam teraz powiem. Pomyliliście się co do koni i, pozwolę sobie zauważyć, mylicie się również co do ludzi.

Rrin-saa popatrzył na niego bez zmrużenia powiek, lekko pochylając głowę.

— Jeszcze nie potrafimy zrozumieć was w pełni. Jednak rozumiemy lepiej, niż przypuszczasz.

Roman potrząsnął głową.

— Nie! — powiedział stanowczo. — Tak ci się tylko zdaje. Wbiliście sobie w głowy, że my nie jesteśmy niczym innym niż przerośniętymi Tamplesami, którzy nie mogą lub nie chcą zrozumieć praw natury i których musicie doprowadzić do poziomu własnej wrażliwości, choćby przemocą. Taki obraz został ukształtowany w waszych umysłach dwadzieścia lat temu i trwa do dzisiaj.

— Jesteście istotami rozumnymi, Rro-maa — powiedział Rrin-saa. — Potraficie zapanować nad przyrodą, ale macie też wobec niej zobowiązania.

— Rozumiem, co chcesz powiedzieć — zgodził się Roman. — Możesz mi wierzyć lub nie, ale my znamy i akceptujemy swoje obowiązki wobec natury. Oczywiście, zgodnie z naszym światopoglądem. — Odetchnął głęboko, czując na swoich barkach ciężar historii. Z *Amity* wiązał nadzieję na uniknięcie wojny i rozejm korzystny dla obu stron. Teraz miał chyba ostatnią szansę, aby osobiście przyczynić się do zażegnania konfliktu. — Uważacie się za strażników i obrońców natury, Rrin-saa — powiedział powoli i wyraźnie. — Rozumiecie struktury i ekosystemy. Potraficie się do nich dostosować. Ludzie są inni. My też dostrzegamy te same struktury, lecz przystosowujemy je do własnych potrzeb.

— Wykorzystujecie je — sprostował Tamples piskliwym głosem. — Niszcząc je przy tym.

Roman potrząsnął głową.

— Wykorzystujemy, ale nie niszczymy. Oczywiście zdarzają się wypadki, czasami niefortunne. Najczęściej jednak nie niszczymy przyrody, tylko ją zmieniamy.

— Nie macie prawa jej zmieniać! — upierał się Rrin-saa.

— Właśnie co do tego mylicie się przez tyle lat — odparł Roman. — Mamy prawo, bo właśnie w ten sposób współżyjemy z naturą: jako istoty, które mają dar budowania, konstruowania, przekształcania i zmieniania oblicza naszych światów. Co więcej, wy — wskazał palcem na Rrin-saa — jako istoty respektujące wszystkie prawa natury, macie obowiązek pozwolić nam na działanie.

Tamplesi patrzyli na niego bez słowa, równomiernie kiwając głowami. Roman nie był pewien, co oznacza ten gest: zdumienie czy zamyślenie?

— Rozumiecie, co powiedziałem? — ponaglił ich.

Głowa Rrin-saa powoli przestała się poruszać. Tamples uspokoił się.

— Nie mogę ci odpowiedzieć, Rro-maa — powiedział. — musimy porozmawiać z Tاملiss-ta. Wszyscy musimy się nad tym zastanowić.

Roman odetchnął z ulgą.

— O to mi właśnie chodzi. A gdy już będziecie się zastanawiać, pomyślcie również o tym. — Podniósł z biurka niewielką szklaną ampulkę i podał Rrin-saa.

— Czy wiesz, co to jest?

Rrin-saa spod zmrużonych powiek wpatrywał się w zawartość ampułki.

— To chyba jakiś pył — powiedział po chwili.

— Rzeczywiście — Roman skinął głową. — Dokładnie mówiąc: rozpylony pot, po-brany niedawno od jednego z martwych rekinów. Przypuszczamy, że zawiera on komplet danych, dotyczących ostatnich minut życia. Jest to zapis informacji o sześciu potężnych drapieżnikach, które desperacko próbowały uciekać, dopóki nie zostały zabite te-
lekinezą dwustu rozwścieczonych koni.

— Taka śmierć jest również zgodna z prawem natury — powiedział Rrin-saa. — To nie to samo co polowanie, do którego zostaliśmy podstępnie zmuszeni.

— Nie przeczę — odparł Roman. — Jednak patrzę szerzej na tę sprawę. Jak sądzisz, co zrobiłby rekin, który WSKOCZYWSZY do nowego systemu, natrafiłby na taką in-
formację?

Rrin-saa przez dłuższą chwilę wpatrywał się w ampułkę.

— Nie wiem — powiedział w końcu. — Wiem tylko, że niektóre drapieżniki unikają miejsc, w których poniosły śmierć inne zwierzęta. To wszystko.

— Wystarczy! — Roman poczuł słodki smak zwycięstwa. Obawiał się, iż Tamplesi nie pojmą znaczenia potu albo będą udawać, że nie rozumieją. Rrin-saa postanowił jed-
nak być uczciwy jak wszyscy Tamplesi. — Jeśli rekiny będą się tak zachowywać, to zna-
czy, że potrafimy się przed nimi bronić — kontynuował kapitan. — Zauważ, że dzięki
temu odkryciu nie trzeba zabijać ani naruszać normalnych struktur ekologicznych.

Rrin-saa gapił się na fiolkę.

— Być może — powiedział — lecz do tego trzeba znacznie więcej potu, niż macie.

— Tak — zgodził się Roman z lekkim uśmiechem — ale będziemy mieli więcej. Widzisz, jednym ze sposobów, w jaki ludzie zmieniają środowisko, jest rozbijanie cie-
kawych struktur, takich jak na przykład pot, na drobne cząsteczki i odtwarzanie ich. Zabierzemy do Cordonale czterysta kilogramów materiału, a w ciągu kilku tygodni uzyskamy całe tony, które będzie można rozpylić po wszystkich waszych systemach. Wskazał na ampułkę w dłoni Rrin-saa. — Pokaż tę próbkę innym Tampliss-ta, a gdy
będziecie się zastanawiać nad przyszłością stosunków z ludźmi, pomyślcie, że być może
głównym celem naszego wspólnego życia w kosmosie jest współdziałanie. Wzajemne
uzupełnianie się, wymiana informacji i dzielenie się umiejętnościami, których nie po-
siada druga strona.

— Nie chcemy być waszymi wrogami, Rro-maa — powiedział łagodnie Rrin-saa. — Nigdy nie chcieliśmy.

— Cieszę się — Roman skinął głową. — My też nie chcemy być waszymi wrogami, ale... nie będziemy was naśladować.

Przez kilka sekund Tamples milczał. Potem otrząsnął się i wstał z fotela.

— Przekażę twoje słowa innym Tampliss-ta — powiedział uroczyście.

— Zastanowimy się na tym.

— O to mi chodziło! — ucieszył się Roman. — Dziękuję, że przyszliście. Do zobaczenia przed lądowaniem!

Sso-ngii bez słowa stanął obok Rrin-saa.

— Żegnaj, Rro-maa — zaskowyczał Rrin-saa z dziwną powagą.

Potem obaj Tamplesi równocześnie wykonali identyczny gest oznaczający pożegnanie.

— Wiele nauczyliśmy się na pokładzie *Amity*. Mamy nadzieję, że wy również.

Roman skinął głową.

— Z całą pewnością, Rrin-saa. Żegnajcie!

Tamplesi odwrócili się do Ferrola, który przez cały czas nie odezwał się ani razu, i również do niego pomachali rękami. Wyszli nie oglądając się za siebie.

Roman odetchnął z ulgą stwierdziwszy, że najgorsze ma już za sobą. Spojrzał na Ferrola i zagadnął:

— Wydawało mi się, że w ogóle pana nie dostrzegli.

Ferrol wzruszył ramionami.

— Wcale mi na tym nie zależy. Bardzo interesująca rozmowa, kapitanie. Chyba nigdy nie spotkałem kogoś, kto mówiąc bez przygotowania, byłby równie elokwentny.

— Dziękuję! Miejmy nadzieję, że wysiłek nie pójdzie na marne.

— Na pewno nie, jeśli rozpatrzą wszystko uczciwie. Ujawnienie błędnych poglądów na temat „bezzradnych” koni z pewnością podważy ich zaufanie do własnej wiedzy. Surowa weryfikacja domysłów i obiegowych opinii powinna doprowadzić do odrzucenia bardzo wielu z nich.

Przez chwilę Roman miał ochotę przypomnieć Ferrolowi jego własne doświadczenia z odrzucaniem przesądów. Rozmyślił się jednak.

— W każdym razie, warto było spróbować — powiedział tylko.

— Oczywiście! — Ferrol zawahał się. — Wspominał pan, że za parę godzin wracamy na Solomona?

Roman skinął głową.

— *Amity* wraca. Zdaje się, że pan zostaje.

Ferrol spojrział na niego zdumiony.

— Skąd pan wie?

— Spędzał pan bardzo dużo czasu przy laserze, rozmawiając ze *Scapa Flow*, gdy znajdowała się obok statków Tamplesów. Kiedy kurierzy zaczęli nadawać swoje sygnały, stało się oczywiste, że pan załatwia jakieś własne interesy.

— Dokładniej mówiąc, załatwiano za mnie. — Ferrol odchrząknął. — Okazuje się, że Senat w przypływie dobrej woli i przyjaznych uczuć łaskawie podarował Tamplesom *Scapa Flow* i mnie, żebyśmy pomogli im wyłapać konie.

Roman zagwizdał z podziwem.

— A wiec ma pan stałe zajęcie?

— No właśnie! — Ferrol spojrział przez iluminator. — Zdaje się, że nawet Tamplesi byli zdziwieni ilością koni znajdujących się w systemie. Są bardziej oswojone, niż sadyli, lecz w ciągu kilku godzin po bitwie prawie sto uciekło, a te, których nie wpędzono do zagrody, uciekają w dalszym ciągu.

— Oczywiście *Scapa Flow* na wszelki wypadek zarejestrowała kierunki SKOKÓW? — powiedział delikatnie kapitan.

— Na wszelki wypadek — powtórzył Ferrol. — W każdym razie plan jest następujący: Mamy pilotować statek Tamplesów do miejsca SKOKU, stamtąd ich koń po śladach potu będzie tropił uciekiniera, którego musimy schwytać i odprowadzić do zagrody. Później w ten sam sposób będziemy szukać następnego. — Potrząsnął głową. — Trzeba liczyć około tygodnia na jednego konia. Ma pan rację: to jest stałe zajęcie.

— Przy tym dość korzystne, bo daleko od Cordonale — dodał Roman. — Lepiej, że będzie pan z dala od różnych nacisków.

— Zdaję sobie z tego sprawę — przyznał niechętnie Ferrol.

Roman spojrział na niego badawczo.

— Chyba Senat zapłaci panu za wszystko, prawda?

Ferrol uśmiechnął się ironicznie.

— Tak, przewidzieli pewną drobną sumę. Na szczęście, mam możliwość zrobienia interesu bezpośrednio z Tamplesami. Za każdą akcję będę mógł, ja osobiście, a nie Senat, przez trzy tygodnie swobodnie korzystać z konia i usług operatorów. Swobodnie, to znaczy bez sprzeciwów, morałów i narzucania swojej woli.

Roman skinął głową. Właściwie nie zdziwiły go ani warunki, ani sposób zapłaty.

— Zamierza pan zająć się przewozami?

— Jeszcze nie wiem. Myślałem raczej o badaniach na obszarach średniego zasięgu, mniej więcej sto do dwustu lat świetlnych. Chciałbym zorganizować coś w rodzaju pierwszej misji *Amity*. Rozejrzeć się nad możliwościami osiedlenia dla ludzi, którym nie przeszkadza odrobina izolacji. — Uśmiechnął się ironicznie. — Kto wie? Może sam zdecydowałbym się na emigrację. Myślę, że Senat zapewni mi daleko idącą pomoc, abym mógł zagospodarować się gdzieś daleko stąd. — Zmarszczył brwi. A pan? Wraca pan do normalnej służby w Siłach Gwiezdných?

— Chyba że Senat odeśle mnie do korpusu dyplomatycznego — zażartował Roman. — Mówiąc serio, gdy misja *Amity* zostanie oficjalnie zakończona, najprawdopodobniej skierują mnie z powrotem do służby granicznej.

Ferrol spojrział na niego porozumiewawczo.

— To nie jest dobre miejsce na wypadek wojny — powiedział ostrzegawczo. — Zwłaszcza dla kogoś, kto tak jak pan z fanatycznym uporem wzbrania się przed tym,

żeby raz na zawsze przegnać Tamplesów.

Roman potrząsnął głową.

— Nie będzie wojny. Nie teraz. Ferrol skrzywił się.

— Proszę mi wybaczyć, lecz ja tak bardzo nie wierzę zapewnieniom Tamplesów!

— Nie o to chodzi, komandorze — znów potrząsnął głową. — Ja też nie ufam ideologii. Po prostu liczę na zrozumienie własnych interesów.

Ferrol odchrząknął.

— Nie sądzę, żeby Tamplesi byli interesowni.

— Oczywiście, że są — zapewnił Roman. — Obrona własnych interesów zapewnia przetrwanie gatunków w przyrodzie. W interesie Tamplesów jest minimalna ingerencja w środowisko, przy jego maksymalnym wykorzystaniu.

Myślę, że właśnie to jest główną przyczyną konfliktu z nimi. Oni uważają nasze działania za przeciwne ich zamiarom. Są przekonani, że wprowadzamy zmiany, które nie przynoszą żadnych korzyści. Ale teraz przecież, kiedy zobaczyli, że nasza technologia może mieć znaczenie praktyczne, przestaną być aż tak bardzo krytyczni wobec naszych metod. Może nie całkowicie, ale na pewno swój sprzeciw zaczną wyrażać już bardziej dyplomatycznie. Ferrol popatrzył na niego z powątpiewaniem.

— Wyciąga pan daleko idące wnioski. Tamplesi nigdy nie zmieniają etyki tylko dlatego, że to się może opłacać.

Roman uśmiechnął się.

— Oczywiście, że tak. Jak pan sądzi, dlaczego spór o tereny graniczne do tej pory nie zakończył się wojną?

Ferrol zastanowił się.

— Nie wiem...

— Proszę sobie przypomnieć, jaka była sytuacja, kiedy *Amity* wyruszyła na pierwszą wyprawę. Już wówczas trwała pełna mobilizacja. Pamięta pan, że alarm wywołany wypadkiem doktora Lowry'ego obaj w pierwszej chwili potraktowaliśmy jako zapowiedź wojny. Tymczasem upłynął rok i wojna nie wybuchła. Dlaczego?

Ferrol spojrzał podejrzliwie na kapitana.

— Czyżby pan uważał, że program związany z rozmnażaniem koni powstrzymał wojnę?

— Oczywiście — odparł Roman. — Otwarty konflikt mógłby pozbawić ich czegoś bardzo cennego: żrebaków, których dotychczas nie potrafili wyhodować. Druga sprawa, może jeszcze ważniejsza, to substancje odstrasżające rekiny. Repelent przeciwko rekinom, trankwilizator dla rekinów, repelent przeciwko sępom, stymulator rozmnażania koni i wiele innych produktów, które możemy uzyskać, skoro złamaliśmy już kod cząsteczki potu. Dla nas przyjazne stosunki z Tamplesami oznaczałyby lepszy dostęp do koni i liczne związane z tym korzyści.

Spojrzał przez iluminator. W czerwonym świetle majaczyła jedna z łodzi *Amity*, która ostrożnie prześlizgiwała się nad ciałem martwego rekina, zbierając ostatnie próbki potu.

— Kosmosem rządzi ekonomia, Chayne — powiedział spokojnie. — Nie etyka, nie retoryka, nie opinia społeczna, ale wyrachowana, zimna ekonomia. Jeśli okaże się, że zakończenie konfliktu będzie korzystne dla obu stron, politycy znajdą powody do rozejmu. Jeśli dla którejś strony bardziej korzystna okaże się wojna, znajdzie się pretekst do wojny. W dziejach ludzkości zawsze tak było i nie wiem, dlaczego teraz miałyby być inaczej.

— Kapitanie, nigdy nie sądziłem, że pańskie poglądy na kosmos są tak bardzo cyniczne — Ferrol westchnął głęboko.

Roman wzruszył ramionami.

— Może taka ocena jest słuszna. Zawsze uważałem jednak, że odrzucanie nieprzyjemnych faktów nie chroni przed ich konsekwencjami, a tylko uniemożliwia przeciwdziałanie. Oczywiście wolałbym, żeby pokój z Tamplesami opierał się na szlachetniejszych wartościach niż pieniądze. Wolę jednak taki pokój niż żaden. Może z czasem zmieni się również opinia społeczna i poglądy polityków. Jest to całkiem możliwe, jeśli tylko ekonomia na to pozwoli. — Zmarszczył brwi. — Niech więc pan się tak nie spieszy na daleką planetę, gdy już znajdzie pan środki. Przez kilka lat będziemy potrzebować takich ludzi jak pan, którzy zechcą publicznie głosić swoje poglądy.

Ferrol uśmiechnął się niepewnie.

— Nawet jeśli ci ludzie wierzyli kiedyś wyłącznie w wojnę, konie wojenne i genocydy?

Roman wzruszył ramionami.

— Porucznik Kennedy powiedziała przecież, że to koniec ery — przypomniał spokojnie.

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ 1	2
ROZDZIAŁ 2	13
ROZDZIAŁ 3	25
ROZDZIAŁ 4	35
ROZDZIAŁ 5	44
ROZDZIAŁ 6	55
ROZDZIAŁ 7	63
ROZDZIAŁ 8	66
ROZDZIAŁ 9	75
ROZDZIAŁ 10	82
ROZDZIAŁ 11	93
ROZDZIAŁ 12	99
ROZDZIAŁ 13	104
ROZDZIAŁ 14	111
ROZDZIAŁ 15	116
ROZDZIAŁ 16	128
ROZDZIAŁ 17	137
ROZDZIAŁ 18	145
ROZDZIAŁ 19	154
ROZDZIAŁ 20	161
ROZDZIAŁ 21	167
ROZDZIAŁ 22	174

ROZDZIAŁ 23	179
ROZDZIAŁ 24	191
ROZDZIAŁ 25	202
ROZDZIAŁ 26	208
ROZDZIAŁ 27	220
ROZDZIAŁ 28	227
ROZDZIAŁ 29	233
ROZDZIAŁ 30	244